



Biblioteka Politechniki Krakowskiej



10000231576

4974. Klowall.
21/124

1200

BIBLIOTEKA
LAUREATÓW
NOBLA

RABINDRANATH
TAGORE



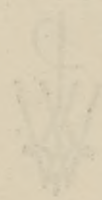
WSPOMNIENIA
BŁYŃSKI
BENGALU



BIBLIOTEKA
KRAKOW

100 KRAKOW
KRAKOW

WYSTAWA
KRAKOW
KRAKOW



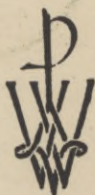
WYSTAWA
KRAKOW

*BIBLIOTEKA
LAUREATÓW NOBLA*

*POD REDAKCJĄ
DRA STANISŁAWA LAMA*

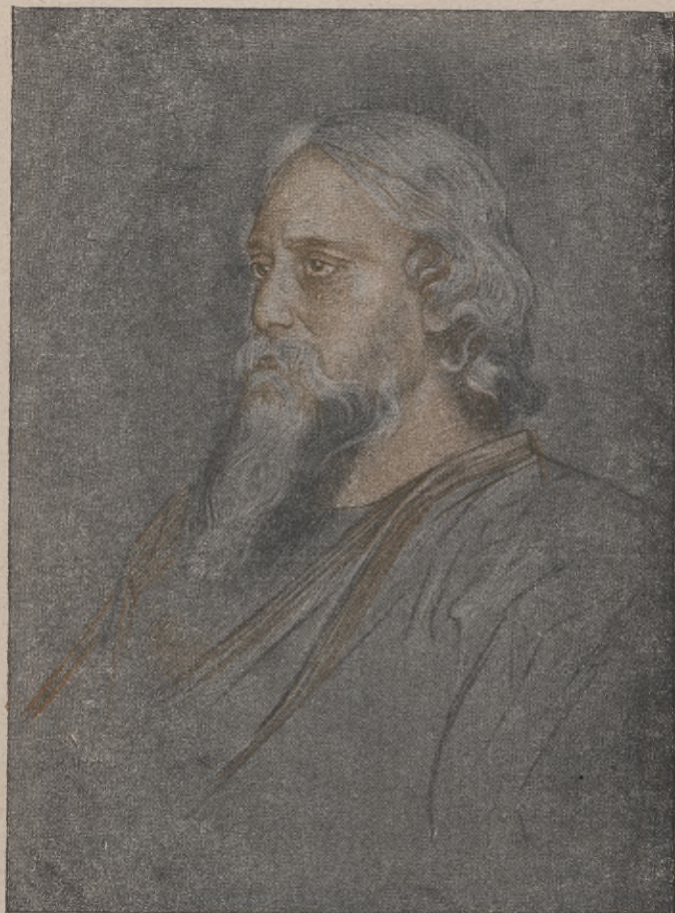
TOM 16.

*RABINDRANATH TAGORE
WSPOMNIENIA
*
BŁYSKI BENGALU*



*LWÓW—POZNAŃ 1923
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO*





Rabindranath Tagore.

RABINDRANATH TAGORE
WSPOMNIENIA
*
BŁYSKI BENGALU

PRZEŁOŻYŁ Z ORYGINAŁU
JERZY BANDROWSKI



LWÓW—POZNAŃ 1923
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

I 29.528



WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

~~~~~ ODBITO NA PAPIERZE BEZDRZEWNYM ~~~~~  
POZNAŃSKA DRUKARNIA I ZAKŁAD NAKŁADOWY T. A., POZNAŃ

Akc. Nr. K-1841/58

## OD TŁUMACZA.

---

„Wspomnienia“ (Reminiscences) Rabindranatha Tagorego zostały napisane i wydrukowane w pięćdziesiątym roku życia poety, na krótki czas przed jego podróżą do Europy i Ameryki dla poratowania nadwątlonego zdrowia w roku 1912. Podczas tej podróży Tagore pierwszy raz pisał do druku po angielsku.

W londyńskim wydawnictwie Macmillana dzieło to ukazało się roku 1921-go. W tłumaczeniu niemieckiem książka ta, podobnie jak i „Błyski Bengalu“, nie wyszła. Oba te utwory są tedy w Europie środkowej najmniej znane.

A właśnie oba są dla poznania i zrozumienia życia i twórczości poety bengalskiego niezbędne.

„Wspomnienia“ są jednym z nielicznych znanych nam i dostępnych pamiętników ludzi wschodnich. Dowiadujemy się z nich niezmiernie wiele o życiu wielkiej, arystokratycznej rodziny bengalskiej, o dążeniach wolnościowych narodu, o sposobie myślenia i pracy jego przywódców, poznajemy najwy-



bitniejszych ludzi, poznajemy historję odrodzenia narodu, podróżujemy wraz z autorem po kraju, docieramy do najskrytszych zakątków jego domu i serc tego domu mieszkańców. Wszystko tu stoi przed nami otworem. W ten sposób, dzięki możliwości wniknięcia w życie poety i jego rodziny, uzyskujemy wreszcie tak niezbędne do zrozumienia go tło, przez niego samego po mistrzowsku podmalowane. Dzięki temu tłu Tagore w oczach naszych przestaje być poetą czy literatem dalekiego, nieznanego kraju, stając się natomiast bliskim, prawdziwym, realnym człowiekiem.

Co się tyczy piękna artystycznego, to pamiętniki te — mojem zdaniem — śmiało można porównać z „Dichtung i Wahrheit“ Goethego, z tą różnicą, że szczerłość ich, otwartość, dążenie do znalezienia swej własnej prawdy i bezustanne usiłowanie o wyzwolenie swego życia z więzów fałszywego konwenansu, kłamstwa i niewoli przesądów, przypomina czasami najpiękniejsze party „Konfesyj“ Jana Jakuba Rousseau. Równocześnie jednak motyw przewodni książki — walka z uciskiem ciemężycieli — walka o wolność, o język, o poszanowanie praw narodu, walka o prawo swobodnego rozwoju — wszystko to, co przez tak długi czas stanowiło treść naszego życia, a co znów spotykamy w książce Tagorego — zbliża go do nas jeszcze bardziej i czyni nietylko zrozumiałym, lecz nawet pokrewnym.

„Błyski Bengalu“, wyciąg z listów Tagorego, umieściliśmy w tym samym tomie z tego powodu, że one organicznie wiążą się z jego „Wspomnieniami“ w całość i stanowią ich dalszy ciąg. Niejeden motyw z „Wspomnień“ w nich się odzywa, niejedna sprawa, we „Wspomnieniach“ poruszona, w „Błyskach“ znajduje ostateczne rozwiązanie. Prócz tego listy te, malujące przeważnie wewnętrzne życie poety na tle przyrody bengalskiej, są poprostu światłem, przeświecającem tło wspomnień życiowych, tworzą naturalną, wprost jedyną atmosferę Rabindranatha Tagorego. I również w niemałym stopniu ułatwiają zrozumienie jego twórczości, co więcej, są do tego zrozumienia po prostu niezbędne, jak to zresztą sam autor w przedmowie do „Błysków“ zaznacza.

Dopiero po przeczytaniu tych niezmiernie zajmujących i czarujących zarazem prac autobiograficznych, Czytelnik polski będzie mógł należycie zrozumieć i ocenić stanowisko i działalność Rabindranatha Tagorego. Czy on jest największą poetą bengalskim, to trudno powiedzieć, niewątpliwie jednak jest, nietylko w swej ojczyźnie, ale i w całych Indjach, pierwszym poetą narodowym i nowoczesnym. Tam poetów nigdy nie brakło, ale oni śpiewali w sanskrycie i różnych innych martwych językach literackich, dostępnych tylko członkom kast najwyższych, podczas gdy on pierwszy „śpiewa dla narodu“, a śpiewa tak, że całe Indje mu wtórują. Jest „wolnomyśli-

cielem“, dlatego, że nie boi się skalania, gdy cień człowieka niższej kasty padnie na jego stopy, jest „bolszewikiem“ dlatego, że ukochawszy chłopą bengalskiego i złożywszy pokłon jego człowieczeństwu, nie może bez łez i współczucia patrzeć na jego mękę głodową, jest „burzycielem“, ponieważ w imię wolności narcdy protestuje przeciw dyktandowi angielskich armat...

Prawda mówi sama za siebie.

*J. B.*



(1)

Nie wiem, kto maluje obrazy na kanwie pamięci. Ktokolwiekby to jednak był, to, co maluje, to istotnie obrazy; rozumiem przez to, że ten ktoś nie posługuje się swym pędzlem wyłącznie w celu wiernego kopjowania wszystkiego, co się dzieje. Wybiera coś albo pomija, stosownie do swego upodobania. Niejedną wielką rzecz pomniejsza, z drobnostek robi sprawy ważne, bez ceremonji na dalszy plan przenosi, co było na przodzie, wyciąga naprzód to, co było w tyle. Słowem, nie pisze historii, lecz maluje obrazy.

Tak po zewnętrznej powierzchni życia przesuwają się całe szeregi wydarzeń, gdy wewnątrz zamalowane jest całym szeregiem obrazów. Między jednym a drugim zachodzi pewien związek, jednakże życie z temi obrazami jedności nie stanowi.

Nie mamy możności przejrzeć dokładnie tej pracowni w naszym wnętrzu. Oko nasze dojrzy od czasu do czasu parę fragmentów ale większa część prac pozostaje niewidzialna w ukryciu. Dlaczego ten wiecznie pracowity malarz maluje,

kiedy skończy, dla jakiej galerji są te jego obrazy przeznaczone — któż może powiedzieć?

Kiedy przed kilku laty pytano mnie o wydarzenia mego minionego życia, miałem sposobność zajrzenia do tej pracowni malarskiej. Myślałem, że zadowolę się zebraniem odrobiny materiału, potrzebnego do historji mego życia. Otóż, otwarłszy drzwi, spostrzegłem, że wspomnienia z życia nie są bynajmniej życia historją, lecz oryginalnem dziełem nieznanego artysty. Rozrzucone tu i tam przeróżne kolory, to nie odbicie światła zewnętrznych, przeciwnie, barwy te należą do samego malarza i, promienne namiętnością, tryskają z jego własnego serca; stąd też to, co na tych płótnach zanotowano, zupełnie nie nadaje się na świadectwo do użytku trybunału sądowego.

Ale, choćby próba wydobycia dokładnej historji z lamusu wspomnień miała pozostać bezowocną, przeglądanie obrazów ma swój urok, urok, któremu nie mogę się oprzeć.

Droga, którą jedziemy, przydrożna gospoda, w której się zatrzymujemy, nie są obrazami, jak długo znajdujemy się w podróży — są zbyt potrzebne, zbyt biją w oczy. Ale gdy wieczorem, przed zatrzymaniem się w zajeździe, spoglądamy za siebie na miasta, pola, rzeki i wzgórza, które przebyliśmy w zaraniu swego życia, widziane w świetle zbliżającego się ku końcowi dnia rzeczy,

te są istotnie obrazami. To też, spojrzawszy przy nadarzającej się sposobności za siebie, ja również stanąłem zdumiony i zamyślony.

Czy zrodziło się to we mnie wyłącznie wskutek naturalnego zajęcia się własną przeszłością? Oczywiście, nie mogło się tu obejść bez jakiegoś uczucia osobistego, ale obrazy miały prócz tego także swą własną niezależną wartość artystyczną. W moich wspomnieniach niema ani jednego wydarzenia, zasługującego na uwiecznienie. Lecz jakoś przedmiotu nie stanowi jedyne uzasadnienia wspomnienia. To, co się odczuło naprawdę, o ile tylko może być odczute przez innych, zawsze ma dla nich pewną wartość i znaczenie. Jeśli obrazy, które ukształtowały się w pamięci, mogą być wyrażone słowami, warte są z pewnością miejsca w literaturze.

Obrazy swej pamięci ofiaruję jako materiał literacki. Uważać je za próbę autobiografji byłoby błędem. Rozpatrywane pod takim kątem widzenia wspomnienia okazałyby się zarówno bezużytecznymi jak i niezupełnymi.

## (2) *ZACZYNA SIĘ NAUKA.*

My, trzech chłopcy wychowywaliśmy się razem. Obaj moi koledzy byli o dwa lata starsi ode mnie. Kiedy do nich przyjęto nauczyciela i moja nauka



się rozpoczęła, w pamięci mej jednak nie zostało nic z tego, czego się wówczas uczyłem.

Co stale wraca mi na myśl, to „Deszcz szemrze, liść drży“<sup>1)</sup>. Właśnie zarzuciłem kotwicę po przebyciu burzliwych okolic seryj *kara, khala*<sup>2)</sup>, a teraz czytam „Deszcz szemrze, liść drży“ — dla mnie pierwszy poemat Arcymistrza. Ile razy przypomnę sobie radość tego dnia, nawet dziś, zdaję sobie sprawę, dlaczego rym jest tak niezbędny w poezji. Albowiem dzięki niemu słowa dochodzą do kresu a przecie się nie kończą; przemija ich brzmienie, ale trwa dźwięk i tak ucho jak umysł mogą w dalszym ciągu bawić się bezustannem przerzucaniem rymów. A to znów sprawia, że w mej świadomości deszcz szemrze i liść drży wciąż i wciąż przez cały długi dzień mego życia.

Z wczesnego okresu mego dzieciństwa jeszcze jeden epizod pozostał mi na zawsze w pamięci.

Mieliśmy starego kasjera, imieniem Kajlasz, a który był jakby członkiem rodziny. Człowiek bardzo dowcipny, Kajlasz stale starym i młodym platał najrozmaitsze figle, a głównym celem jego żarcików byli świeżo pożenieni zięciowie, nowi jeszcze w kole rodzinnem. Istniał cień podejrzenia, że humor nie opuścił go nawet po śmierci. Kiedyś

---

<sup>1)</sup> Dźwięczne zdanie z czytanki bengalskiej.

<sup>2)</sup> Dwuzgłoskowe ćwiczenia.

starsi zajęci byli próbą zaprowadzenia komunikacji pocztowej z zaświatem za pomocą ekierki. Podczas jednego seansu ołówek wyskrobał nazwisko Kajlasza. Zapytano go, jaki rodzaj życia pędzi tam, gdzie przebywa. — Ani słówka o tem! — brzmiała odpowiedź. — Dlaczegoż mielibyście tak tanio dowiedzieć się tego, co ja mogłem zdobyć kosztem życia?

Ten Kajłasz zwykł był ku memu szczególniejszemu zadowoleniu wyśpiewywać niezdarną balladę własnego układu. Bohaterem tej ballady byłem ja sam, a nie brakowało w niej też olśniewającej zapowiedzi pojawienia się bohaterki. Ile razy się tej balladzie przysłuchiwałem, ciekawość moja wzrastała niezmiernie przy opisie tej czarującej całej świat oblubienicy, opromieniającej łono przyszłości, na którym była, niby na tronie, usadowiona. Opis i wyliczenie pokrywających ją od stóp do głowy klejnotów i niesłychana świetność przygotowań do wesela mogły odurzyć starsze i mądrzejsze głowy, co jednak wzruszało chłopaka i nadawało blask przedziwnej radości obrazom, mknącym przez jego wizję, to szybki dźwięk częstych i licznych rymów i rozmach rytmu.

Te dwie biesiady literackie do dziś dnia trwają w mej pamięci — zaś oto drugi, klasyczny poemat dziecka: „Deszcz sobie pada pac-pac, a wody rzeki wzbierają.“

Następne, co pamiętam, to rozpoczęcie mego życia szkolnego. Pewnego dnia zobaczyłem, jak starszy mój brat i Satja, syn mej siostry, także trochę starszy ode mnie, szli do szkoły, pozostawiając w domu mnie, uznanego za zbyt małego. Nigdy jeszcze nie jeździłem powozem i ani na krok nie ruszałem się z domu. To też, kiedy Satja wrócił, pełen niesłychanie barwnych opowiadań o swych przygodach po drodze do szkoły, doznałem wrażenia, że w domu poprostu nie wytrzymam. Guwerner nasz chciał rozproszyć me złudzenia zdrową radą i przy pomocy głośnego klapsa: — Teraz płaczesz, że nie chodzisz do szkoły, poczekaj, zapłaczesz ty, gdy do niej chodzić zaczniesz! — Nie przypominam sobie, jak się nazywał ten nasz guwerner, jak wyglądał, jak się zachowywał, ale pamięć jego ważkiej rady i jeszcze bardziej ważkiej ręki dotychczas mi pozostała. Nigdy w życiu nie słyszałem wierniejszego prorocstwa.

Mój płacz zapędził mnie przedwcześnie do Seminarjum Orjentalnego. Czego mnie tam uczono, nie mam najmniejszego pojęcia, zato po dziś dzień pamiętam jeden ze sposobów karania w tej szkole. Chłopak, który nie umiał wydać lekcji, musiał stać na ławce z rozkrzyżowanymi ramionami, dźwigając na odwróconych dłoniach stosy tabliczek. Niech psychologowie debatują nad tem, o ile ta metoda może doprowadzić do łatwiejszego



zrozumienia rzeczy. Tak ja rozpocząłem swą naukę w nadzwyczaj młodym wieku.

Na ten właśnie czas przypada także moje zapoznanie się z literaturą zapomocą książek, które były „en vogue“ w mieszkaniach dla służby. Główną rolę odgrywał tu bengalski przekład aforizmów Czanakji i Ramajana Krittiwazy.

Doskonale przypominam sobie obraz lektury Ramajany jednego dnia.

Dzień był pochmurny. Bawiłem się na długiej werandzie, skąd widać było drogę.<sup>1)</sup> Nagle Satji dla jakiejś przyczyny, której już sobie zupełnie nie przypominam, zachciało się napędzić mi strachu okrzykiem „Policja! Policja!“ Moje wyobrażenia o obowiązkach policjantów były wówczas nadzwyczaj niejasne. Jedno było dla mnie pewne, a mianowicie, iż oskarżona o zbrodnię osoba, raz dostawszy się w ręce policjanta, musi przepaść i zniknąć na zawsze tak niezawodnie, jak nie-szczęśnik, który wpadł w paszczkę krokodyla. Nie mając najmniejszego pojęcia o tem, jak niewinny chłopak może uniknąć tego nieubłaganego kodeksu kryminalnego, poskoczyłem ku aparta-

---

<sup>1)</sup> Kryta kolumnada czyli balkon. Rodzinny dom pisarza stanowi nieregularną trzypiętrową masę gmachów, która wzrastała w miarę jak mnożyła się zamieszkująca te budynki rodzina; dom zbudowany jest dokoła kilku kwadratowych dziedzińców i posiada długie kolumnady zewnętrzne i węższe galerje wewnętrzne, skąd jest dostęp do całego szeregu pokoi.

mentom wewnętrznym, w ślepej trwodze przed ścigającymi mnie rzekomo policjantami, czując mrówki biegające mi wzdłuż krzyżów. Zanimiosłem matce wieść o zagrażającym mi losie, nie zauważyłem jednak, aby ona wywarła na niej większe wrażenie. Cokolwiekby było, nie uważając za bezpieczne dla siebie ponowne wychodzenie, usiadłem na progu pokoju matki i zacząłem czytać Ramajanę w okładce z marmurkowego papieru, książkę, należącą do ciotki mej matki. Po obu stronach rozciągała się weranda, biegnąca dokoła czworokątnego wewnętrznego gościńca, w tej chwili oświetlonego blado blaskiem chmurnego popołudniowego nieba. Moja cioteczna babcia, zauważywszy, iż płaczę nad jakąś żalosalną sytuacją w książce, przysłała do mnie i książkę mi odebrała.

### (3) *W DOMU I POZA DOMEM.*

Zbytek był mi w dniach dzieciństwa rzeczą zupełnie nieznaną. Stopa życia była wówczas znacznie skromniejsza niż dziś. Pozatem dzieci były w naszym domu zupełnie wolne od przykrości zbyt dokładnego dozoru. Faktem jest, że o ile dogłądanie dzieci ludziom, którym pieczę nad nimi powierzono, może ewentualnie sprawiać przyjemność, dzieciom wydaje się zawsze bezgranicznem skrępowaniem.





Tagore w roku 1877.





My byliśmy przeważnie pod władzą służby. Chcąc sobie zaoszczędzić kłopotów, służba prawie zupełnie pozbawiła nas prawa swobodnego poruszania się. Ale swoboda, wynikająca z nierozpieszczania, opłacała nam nawet przykrości tych ograniczeń, ponieważ dzięki nim byliśmy wolni od bezustannego włóczenia za sobą, napychania i ubierania.

Pożywienie nasze było dalekie od wytworności. Spis poszczególnych części naszej garderoby wywołałby uśmiech pogardy na twarzy nowoczesnego chłopca. Pod żadnym pozorem nie wolno nam było nosić skarpetek lub trzewików przed ukończeniem dziesiątego roku życia. W porze zimowej wystarczała druga wełniana koszula, naciągnięta na pierwszą. Na myśl nam nawet nie przyszło uważać się z tego powodu kiedykolwiek za chorych. Tylko kiedy stary Nijamat, krawiec, zapomniał przyszyć nam kieszeń do którejś koszuli, wybuchaliśmy skargami, bo nie było jeszcze na tym świecie chłopca tak ubogiego, któryby nie miał czem zapełnić swych kieszeni; a także, dzięki łaskawemu zrządzeniu Opatrzności, niema wielkiej różnicy między skarbami synów bogatych i biednych rodziców. Mieliśmy zwykle po parze pantofli, ale nie zawsze nosiliśmy je na nogach. Nasz zwyczaj wyrzucania ich wysoko ponad głowę i łapania w powietrzu niszczył je gruntownie, po-

mijając już, iż w rzeczywistości na każdym kroku negował ich rację bytu.

Starsi trzymali nas zdala od siebie, różniąc się od nas, tak co się tyczy ubrania i pożywienia, mieszkania i zajęć, rozmowy i rozrywek. Czasami udawało się nam coś niecoś z tego zobaczyć, nigdy jednak dostać. Dla nowoczesnych dzieci rodzice stali się tani; zbyt łatwy jest do nich dostęp, jak wogóle do wszystkich przedmiotów pożądaných. Nam nie tak łatwo nie przychodziło. Niejedna, zgoła pospolita rzecz była dla nas rzadkością, zaś żyliśmy przeważnie nadzieją zdobycia, kiedy wreszcie dorosniemy, tego, co odległa przyszłość pokazywała nam jako przynętę. Następstwem tego było, że to niewiele, cośmy mogli osiągnąć, wykorzystywaliśmy najzupełniej; od łupy aż do rdzenia zużywaliśmy wszystko, niczego nie odrzucając. Nowoczesne dzieci rodzin zamożnych nie docierają nawet do połowy rzeczy, które dostają; dla nich większa część świata przepada.

Przebywaliśmy przeważnie w części domu, przeznaczonej dla służby, w południowo-wschodnim kącie apartamentów zewnętrznych. Jednym z naszych służących był Sziam, smagły, niezdarny, kędzierzawy chłopak, z dystryktu Chulny. Ten najchętniej umieszczał mnie w jakimś kącie, zakreślał dokoła mnie kredą koło i, grożąc mi z uroczystą miną podniesionym palcem, przestrzegał



mnie przed niebezpieczeństwami przekroczenia tego koła. Czy to grożące mi niebezpieczeństwo było natury materialnej czy też nadprzyrodzonej, tego nigdy dokładnie nie rozumiałem, mimo to zwykle opanowywała mnie trwoga nielada. Z Ramajany wiedziałem już o nieszczęściach, jakie spadły na Sitę z powodu pozostawienia pierścienia Lakszmana; wobec tego nie mogłem sceptycznie zapatrywać się na czarowną moc koła, zakreślonego przez Sziamę.

Tuż pod oknem tego pokoju znajdowała się sadzawka z mnóstwem murowanych schodów, prowadzących do wody a po jej zachodniej stronie, przy murze ogrodowym, rosło olbrzymie drzewo figowe; ku południowi otaczał je łańcuch palm kokosowych. Tkwiąc w kole, zakreślone w pobliżu okna, całe dni spędzałem, wyglądając przez otwarte okno i patrząc, patrząc na tę scenę, jak na malowidło z książki z obrazkami. Już od wczesnego ranka sąsiedzi nasi jeden po drugim udawali się do kąpieli. Wiedziałem, kiedy który z nich się pojawi, znałem najdrobniejsze szczegóły ich toalety. Ten zatykał sobie uszy palcami, odbywając przepisaną ilość zanurzeń, poczem natychmiast odchodził. Drugi nie chciał ryzykować zupełnego zanurzenia się, lecz poprzestawał na powtórzonym kilkakrotnie wytarciu głowy swym mokrym ręcznikiem, Jeszcze inny przedewszy-

stkiem gwałtownym ruchem ramion odganiał od siebie z powierzchni wody wszelkie możliwe nieczystości, a potem zanurzał się szybko, jak gdyby pod wpływem nagłego natchnienia. Był tu też taki, który skakał wprost do wody bez żadnych przygotowań, zaś piąty wchodził do wody powoli. krok za krokiem, mruczając przez cały czas swe poranne modlitwy. Jeden zawsze się spieszył i gdy tylko się zanurzył, uciekał do domu, drugi zawsze miał czasu dość, kąpał się powoli, po kąpieli wycierał się starannie ręcznikiem, swój kostjum kąpielowy zamieniał na czyste ubranie, nie zapominał o starannem udrapowaniu swej sukni, a wreszcie kończył małą przechadzką po ogrodzie zewnętrznym<sup>1)</sup> i zbieraniem kwiatów, poczem dopiero powracał powoli do domu, promieniejąc świeżością swego ochłodzonego ciała. Trwało to tak długo, póki wreszcie nie nadeszło popołudnie. Wówczas miejsce kąpieli pustoszało i stawało się milczące. Pozostawały tylko kaczkę, przez cały długi, boży dzień nurkujące za róbakami lub czyszczące starannie swe pióra.

Kiedy nad sadzawką cisza rozpościerała swe panowanie, całą mą uwagę przyciągał cień pod drzewem figowem. Niektóre z jego napowietrznych korzeni, pełznąc ku dołowi wzdłuż pnia, tworzyły

---

<sup>1)</sup> Część domu, przeznaczona dla mężczyzn, jest zewnętrzna; kobiety zamieszkują wewnętrzną część domu.

czarny splot u jego stóp. Zdawało się, jak gdyby prawa wszechświata nie miały dostępu do tych tajemniczych rejonów; jak gdyby jakiś kraj baśni starego świata uniknął czujności boskiej i wciąż jeszcze trwał uparcie w świetle nowoczesnego dnia. Niepodobieństwem dla mnie jest wyrazić w zrozumiałym języku, kogo tu widziałem i jak sobie te istoty poczynają. O tem to drzewie figowem pisałem później:

Z poplątanemi korzeniami zwisającemi z twych gałęzi,  
o, stare drzewo figowe,  
stałoś wciąż dzień i noc, podobne do pokutnego ascety,  
a czy pamiętasz dziecię, którego tantazja igrała z twemi  
cieniami?

Niestety! Tego drzewa figowego już niema, jak niema tej tafli wody, która służyła za zwierciadło majestatycznemu panu puszczy! I wielu z tych, którzy zwykli się tu kąpać, powędrowało w zapomnienie za cieniem figowego drzewa. Zaś chłopak, wyrósłszy, opowiada o grze światel i cieniów, docierających do powikłań, jakimi ze wszech stron osaczają go korzenie, przez niego samego wyhodowane.

Nie było nam wolno nigdzie wyjść, a nawet w domu nie wszędzie mieliśmy dostęp. Gwałtem zdobywaliśmy sobie możność spojrzenia na świat przez szpary. Dla mnie nie do osiągnięcia była ta bezgraniczna rzecz, zwana „światem zewnętrznym“, a której błyski, dźwięki i wonie chwilami



dolatywały do mnie i dosięgały mnie mimo przeszkód. Zdawało mi się, jak gdyby to „coś“, pełne tyłu gestów, chciało się ze mną bawić, bez względu na szranki. Lecz to „coś“ było wolne, zaś ja skrupowany — nie było tu punktów stycznych. Oczywiście, siła przyciągająca była tem większa. Koło kredowe zmazywano codziennie, ale ten krąg zamknięty nie zniknął. To, co było dalekiem, tak samo dalekiem pozostało, świat zewnętrzny jest w dalszym ciągu poza mną; i przypominam sobie poemat, który napisałem, kiedy byłem starszy:

Oswojony ptak siedział w klatce, wolny żył w lesie.

Gdy godzina ich wybiła, spotkały się ptaki — tak postanowił los.

Wolny ptak wola: O, miłości ma, lećmy do lasu!

Ptak w klatce szepeze: Pójdź tu, zamieszkamy obaj w klatce.

Wolny ptak rzecze: Między prętami, gdzie niema dość miejsca, aby rozwinąć skrzydła?

Niestety! — wykrzyknął ptak w klatce — Nigdy nie będę wiedział, gdzie usiąść na niebieskiej grzędzie.

Parapet na naszych płaskich dachach sięgał mi ponad głowę. Kiedy trochę podrosłem, kiedy tyranja służby ustała, kiedy z wejściem w nasz dom nowopoślubionej oblubienicy zyskałem trochę uznania jako towarzysz jej wolnych chwil, wtedy wychodziłem czasem w południe na terasę. O tej porze wszyscy w domu byli już po obiedzie, w zajęciach domowych nastawała przerwa; w apartamentach wewnętrznych panowała cisza siesty po-

łudniowej; rozwieszona na parapecie schły mokre kostjумы kąpielowe; wrony unosiły resztki jedzenia, wyrzuconego na kupę nawozu w jednym kącie podwórza; w ciszy tej przerwy ptak w klatce oko w oko rozmawiał przez szpary w parapecie z wolnym ptakiem.

Stoję i patrzę... Spojrzenie me pada przede wszystkim na rząd palm kokosowych na dolnym skraju naszego ogrodu wewnętrznego. Widać przez nie „Ogród Singhi“ z jego gąszczem chat<sup>1)</sup> i sadzawką, zaś na brzegu sadzawki mleczarnię naszej mleczarki, Tary; jeszcze dalej, pomieszane z wierzchołkami drzew przeróżne kształty rozmaitych wysokości dachów i teras Kalkutty, odbijając oślepiająco biały blask południowego słońca, ciągną się daleko na prawo i znikają w szarym błękitie wschodniej części horyzontu. A niektóre z tych odległych domów, z odstającymi budkami krytych dachem schodów, prowadzących na terasę, wyglądają jak gdyby, podniósłszy w górę palec, wspominały coś o tajemnicach swych wewnątrz. Jak żebrak u wrót pałacu wyobraża sobie, że zamknięte przed nim, na rygle komnaty zawierają nieprawdopodobne skarby, tak i ja niewiele mogę powiedzieć o bogactwie niczem nie

---

<sup>1)</sup> Te osady, składające się z nędznych chałup, sąsiadujących z monumentalnymi gmachami i pałacami, stanowią do dziś jedną z anomalij Kalkutty.

skrępowanych zabaw i swawolnych igraszek, od jakich te nieznane mieszkania zdają mi się roić. Z najdalszej głębi niebios, pełnych palącego blasku słonecznego, nad moją głową dolatuje do mych uszu wysoki, przenikliwy krzyk sępa, gdy w zaułku, przytykającym do „Ogrodu Singhi“, za domami, spowitemi w ciszę południowej drzemki, rozlega się monotonne nucenie handlarza nagolemicami i bransoletami — *czaj czuri czaj* — a cała ma istota chciałaby się wyrwać i uciec daleko od powszedniości świata.

Ojciec mój rzadko kiedy bywał w domu, stale jeździł po świecie. Pokoje jego na trzecim piętrze bywały zwykle zamknięte. Często sięgałem ręką przez okienko i, odsunąwszy zasuwkę, otwierałem drzwi, a potem spędzałem całe pół dnia, leżąc nieruchomo na sofie ojca, w południowej stronie pokoju. Przedewszystkiem był to pokój zawsze zamknięty, dalej wchodzenie ukradkiem, co miało głębokie zabarwienie tajemniczości; pozatem cały dzień mógłbym być marzyć na szerokiej, pustej przestrzeni terasy południowej, gorejącej w promieniach słońca.

Ale oprócz tego była tu jeszcze jedna atrakcja. Właśnie w owym czasie puszczono w Kalkucie w ruch wodociągi, które, w pierwszym porywie swego triumfalnego wkroczenia, nawet indyjskim dzielnicom nie odmawiały swych świadczeń. W tym





Wewnętrzny ogród w domu Tagorych.



złotym wieku wody beczkowej, u nas woda sięgała aż do mieszkania mego ojca na trzecim piętrze! Odkręciwszy kurek od tuszu, do syta mogłem użyć rozkoszy niewczesnej kąpieli — nie tyle dla przyjemności samej kąpieli, ile aby popuścić cugle swemu pragnieniu robienia tego, co mi się właśnie podobało. To, iż znajdowałem się między radością wolności a obawą, aby mnie nie złapano, sprawiało, że ten tusz municypalnej wody miotał wprost strzały rozkoszy, które mnie nawskroś przeszywały.

Prawdopodobnie właśnie dlatego, iż możliwość kontaktu ze światem zewnętrznym była tak daleka, radość, jakiej doznawałem, była tem większa. Kiedy materiału jest nadmiar, umysł leniwieje i we wszystkim zdaje się na materiał, zapominając, iż o powodzeniu święta radości znacznie więcej stanowi jego wyekwipowanie wewnętrzne, niż zewnętrzne. Oto główna lekcja, którą ten okres dzieciństwa może dać człowiekowi. W tym wieku posiada się mało, a to co się posiada, jest bardzo pospolite, a jednak więcej do szczęścia nie potrzeba. Świat zabawy ginie dla nieszczęsnego dziecka, przeciążonego nieskończoną ilością zabawek.

Nazywać nasz wewnętrzny ogród ogrodem, byłoby może trochę zawiele. Składało się nań jedno drzewo cytrynowe, parę śliw różnych gatunków i rząd palm kokosowych. W środku



znajdowało się brukowane koło, w którego szparach rozsiadły się różne trawy i chwasty i zatknęły w nich swe zwycięskie sztandary. Tylko te rośliny, które odmawiały śmierci z zaniedbania, spełniały tu bez przeszkód przyrodzone sobie obowiązki, nie zaznawszy nigdy skropienia przez ogrodnika. W północnym rogu dziedzińca stała kryta słomą ryżową szopa, w której czasem, o ileby konieczności gospodarstwa domowego tego wymagały, mieli się zgromadzać mieszkańcy apartamentów wewnętrznych. Ale ten ostatni ślad życia wiejskiego poniósł zupełną klęskę i ginął powoli, zawstydzony i zapomniany.

A mimo wszystko podejrzewam, iż ogród Adama w raju nie mógł być chyba piękniejszy od tego naszego ogrodu; bo on i jego ten raj był niemniej nagi; nie potrzeba tam było zaopatrywać się w różne rzeczy świata materialnego. Dopiero od czasu, kiedy człowiek spróbuje owocu z drzewa wiadomości złego i dobrego i kiedy go zupełnie może strawić, wzrasta w nim wciąż potrzeba różnych przedmiotów z zewnątrz oraz upiększenia. Nasz ogród wewnętrzny był moim rajem; wystarczał mi zupełnie. Pamiętam dobrze, jak to jesienią, wczesnym rankiem biegłem do niego, gdy tylko się obudziłem. Wybiegała naprzeciw mnie woń rosą okrytej trawy i liści, a poranek, ze swem chłodnem, świeżem światłem słonecznem

wyglądał ku mnie z poza muru ogrodowego od wschodu, z popod drżących pióropuszków palm kokosowych.

W północnej części domu znajduje się jeszcze jeden pusty skrawek ziemi, który po dziś dzień nazywamy *golabari* (śpichlerz). Sama nazwa wskazuje, że ongiś, w dalekiej przeszłości, tu musiało być miejsce, gdzie zwykle w śpichlerzu przechowywano doroczny zapas ziarna. W owych czasach wszędzie jeszcze — niby między bratem a siostrą w dzieciństwie — występowało podobieństwo między miastem a wsią. Dziś podobieństwa tego trudno się już doszukać. Ta *golabari* bywała — o ile mi się to udawało — mą odświętną kryjówką. Nie byłoby prawdą, gdybym powiedział, że przychodziłem tu bawić się — przeciwnie, miejsce to pociągało mnie tem, że tam bawić się nie można było. Trudno mi powiedzieć, co w tem tkwiło. Może być, że cały urok stanowiło dla mnie zaniebanie tego skrawka ziemi, leżącego w zapomnianym kącie. Znajdował się on zupełnie poza mieszkalną częścią domu i nie widać było na nim śladów użyteczności; co więcej, był tak mało ozdobny jak jałowy, ponieważ nikt tu nigdy nic nie sadił. Niewątpliwie z tego powodu ten opuszczony zakątek nie krępował w niczem swobodnej gry wyobraźni chłopca. Ilekroć udało mi się przez jakąś dziurę umknąć przed czujnością



mych opiekunów i schronić się na *golabari*, uważałem ten dzień za świąteczny.

A przecie w domu naszym znajdowało się miejsce, którego dotychczas nie udało mi się odnaleźć. Mała dziewczynka, towarzyszka mych zabaw dziecinnych, nazywała je „Pałacem Królewskim“. „Właśnie tam przed chwilą byłam!“ — opowiadała mi czasem. Ale jakoś nigdy nie przychodziła chwila szczęśliwa, w której mogłaby mnie wziąć razem z sobą. Było to miejsce bajeczne, a zabawki w niem musiały być tak piękne, jak to, czem się tu bawiłem. I zdawało mi się, że ono musi być gdzieś bardzo blisko — może na pierwszym lub na drugim piętrze — a tylko jedna była rzecz, a mianowicie, że nigdy się nie mogło tam trafić. Ileż razy wypytywałem swą towarzyszkę: — Powiedz, czy to jest naprawdę w domu czy poza domem? — Ale ona zawsze odpowiadała: — Nie, nie, to jest napewno w tym domu! — Siedziałem i rozmyślałem, zdumiony: — Gdzież to może być? Czyż ja nie znam wszystkich pokojów w tym domu? — Gdzie mógłby mieszkać król, nigdy nie starałem się dowiedzieć; gdzie jest jego pałac, tego dotychczas nie odkryłem; ale mimo to było mi jasne, że pałac króla znajduje się w naszym domu.

Kiedy tak teraz powracam myślą do tych dni dzieciństwa, to co mnie najwięcej w nich uderza,



to tajemniczość, jaka zwykła była przepelniać tak życie jak i świat. Zewsząd wyzierało coś, o czym się nawet nie marzyło, a najważniejszym pytaniem każdego dnia było: „Kiedy, och, kiedyż to nareszcie przyjdzie!“ Było to, jak gdyby przyroda trzymała coś w złożonych dłoniach i pytała nas z uśmiechem: „Jak myślicie, co ja tu mam?“ Na myśl nam nawet nie przychodziło, żeby dla niej mogło być coś niemożliwego.

Pamiętam doskonale, jak w rogu południowej werandy zasadziłem pestkę drzewa mangowego, którą hodowałem i codziennie podlewałem. Myśl, iż z pestki tej ewentualnie wyrość może drzewo, utrzymywała mnie w stanie wysokiego, niepoahamowanego podziwu. Pestki mangowe do dzisiaj zwykły puszczać kielki, ale już nie z towarzyszeniem tego uczucia podziwu. Wina nie leży po stronie pestek mangowych, lecz po stronie umysłu.

Pewnego razu ukradliśmy kilka kamieni z kamiennego ogrodu<sup>1)</sup> któregoś ze starszych kuzynów i założyliśmy swój własny ogród kamienny. Rośliny, zasiane w szczelinach między kamieniami,

---

<sup>1)</sup> Nie można inaczej przetłumaczyć w tym wypadku angielskiego słowa „rockery.“ Mieszkańcy Wschodu lubują się w kamieniach, głazach i ich dziwacznych kształtach, a miniaturowe „ogrody kamienne“ t. j. ułożone z przeróżnych kamieni nie są tam żadną rzadkością. U nas też wznoszono sztuczne ruiny, grotty, kurhany itp.

zostały poddane uprawie tak intensywnej, że tylko dzięki swym roślinnym właściwościom mogły to znosić aż do chwili swej przedwczesnej śmierci. Niepodobna wyrazić słowami nieskończonego zachwyty i podziwu, jaki budził w nas ten miniaturowy szczyt górski. Nie mieliśmy najmniejszej wątpliwości, iż to wspaniałe nasze dzieło będzie przedmiotem podziwu również i ze strony starszych. A naraz całe to wzgórze w kącie naszego pokoju, ze wszystkimi swemi skałami i roślinnością, zniknęło właśnie w dniu, w którym zamierzaliśmy pochwalić się niem. Nauczka, iż podłoga izby szkolnej nie stanowi właściwego terenu do wznoszenia góry, została nam udzielona z taką bezwzględnością i tak nagle, że poważnie nami wstrząsnęła. Brzemie kamieni, od którego uwolniono podłogę, całym swym ciężarem przytłoczyło nasze umysły, kiedyśmy zdali sobie sprawę z otchłani, znajdującej się między naszymi pomysłami a wolą starszych.

Jak serdecznie i szczerze tętniło dla nas życie świata w tych dniach! Ziemia, woda, liście i niebo, wszystko mówiło do nas, a my ze swej strony nie lekceważyliśmy niczego! Jak często doznawaliśmy bolesnego uczucia żalu na myśl, że możemy widzieć tylko zewnętrzną historję ziemi, a nie wiemy nic o jej dziejach wewnętrznych! Naszą jedyną myślą było, w jaki sposób mogli-



byśmy zajrzeć pod jej pyłem okrytą skorupę. Gdybyśmy — tak sobie to wyobrażaliśmy — mogli wpychać w nią bambus po bambusie, jeden nad drugim, udałoby się nam może wejść z jej najwewnętrzniejszymi głębiami w jakiś kontakt.

Podczas świąt *Magh* wbijano dokoła wewnętrzznego dziedzińca całe szeregi masztów, mających dźwigać świeczniki. Wykopywanie dziur na te maszty zaczynało się pierwszego dnia *Magh*. Przygotowania do świąt są wogóle dla dzieci zawsze bardzo zajmujące, ale to kopanie dziur mnie szczególnie pociągało. Mimo, że przyglądałem mu się rok w rok — i widziałem, że choć dziura staje się coraz głębsza, aż wreszcie kopiący zupełnie w niej zniknął, a jednak nigdy nie pojawiała się nic nadzwyczajnego, nic godnego poszukiwań księcia czy rycerza — to przecie miałem wrażenie, że podnosi się tu wieko od skrzyni tajemnicy. Zdawało mi się, że jeszcze trochę kopania, a wieko się podniesie. U tej zasłony był sznur, zapomocą którego można ją było podnieść, ale nikt nie chciał za sznur pociągnąć. Starsi — myślałem — mogą przecie robić, co się im podoba, dlaczegoż poprzestają na tak płytkim badaniu? Gdybyśmy my, młodzież, mieli tu prawo rozkazywać, z pewnością nie pozwolilibyśmy na to, aby najgłębsza tajemnica ziemi leżała wciąż przywalona swem zapyłonem wiekiem.



Niemniej podniecała naszą wyobraźnię myśl, że poza każdym łukiem błękitu kryją się tajemnice niebios. Jakby w nas piorun uderzył, kiedy nasz Pandyt, komentując nam jakąś lekcję z naszej bengalskiej czytanki, powiedział nam, że ta niebieska sfera nie jest zamknięciem w rodzaju klosza. — Dodawajcie drabinę do drabiny — mówił — i drapcie się wciąż w górę, nigdy nie będziecie potrzebowali uchylić głowy. — On pewnie oszczędnie obchodzi się ze swemi drabinami — pomyślałem i pytałem dalej z wzrastającym zajęciem: — A gdybyśmy dodali jeszcze więcej drabin i jeszcze więcej i więcej? — Zaś gdy zrozumiałem, że to mnożenie i dodawanie drabin do niczego nie prowadzi, siedziałem oszołomiony, rozmyślając nad tą całą sprawą. Zaiste — przyszedłem do przekonania — znajomość rzeczy tak zdumiewających mogą posiadać tylko ci, którzy są nauczycielami świata!

#### (4) *SERWOKRACJA.*

W dziejach Indyj panowanie dynastji Niewolników nie należało do szczęśliwych. Wspominając okres panowania służby w historii swego własnego życia, nie mogę znaleźć w nim nic zasługującego na pochwałę lub zachęcającego. Często zmieniali się królowie, ale nigdy nie zmieniło się nic w kodeksie obostrzeń i kar, jakie na nas

spadały. Jakkolwiekby było, my w owym czasie zgoła nie mieliśmy chęci do filozofowania na ten temat; nasze plecy znosiły, jak mogły najlepiej, ciężki, jakie na nie padały, zaś i my uznawaliśmy jako prawo wszechświata, iż Wielki ma prawo bić, zaś Mały być bitym. Dużo mnie kosztowało czasu, zanim zdołałem zrozumieć wprost przeciwną prawdę, a mianowicie, że to właśnie Wielki cierpi, zaś Mały zadaje cierpienia.

Dobrych czy złych stron zwierzyny nie można oceniać z punktu widzenia myśliwego. Oto dającego ten chyży ptak, którego krzyk przestrzega towarzyszy, zanim jeszcze padnie strzał, potępiany jest jako występny. My wyliśmy, kiedy nas bito, czego bijący nas nie uważali bynajmniej za objaw dobrego wychowania; traktowano to faktycznie jako bunt przeciw serwokracji. Nie mogę zapomnieć, jak w celu skutecznego poskromienia takiego buntu, zanurzano nam głowy w wielkich, wówczas używanych kadziach na wodę, — niewątpliwie, w oczach tych, którzy je powodowali, te wrzaski były godne pogardy, prócz tego zaś mogły łatwo wywołać niemile następstwa.

Jeszcze dziś nieraz się dziwię, co ściągało na nas tak okrutne postępowanie służby. Nie mogę przypuścić, aby w całości, w naszym postępowaniu czy zachowaniu się było coś takiego, coby nas stawiało poza granicami wszelkiej



ludzkiej dobroci. Prawdziwa przyczyna musiała tkwić chyba w tem, że na służbę zwalano całe brzemie opieki nad dziećmi, zaś całe brzemie trudno nieść nawet najbliższym i najdroższym. Jeśli tylko tym dzieciom pozwoli się być dziećmi, biegać sobie, bawić się i zaspakajać swą ciekawość, sprawa stanie się zupełnie łatwą. Problemy nie do rozwiązania powstają dopiero wówczas, kiedy próbujecie dzieci utrzymać w pokoju, kazać im siedzieć cicho lub psujecie im ich zabawę. Bo wówczas całe brzemie dziecka, tak łatwo dźwigane przez własną jego dziecinność, pada ciężko na dozorcę — podobnie, jak ciężar owego konia z bajki, którego niesiono zamiast pozwolić mu kłusować na własnych nogach. I mimo iż za pieniądze można było dostać tragarzy nawet do dźwigania takiego ciężaru, nie przeszkadzało im to na każdym kroku mścić się na nieszczęsnem zwierzęciu.

Co do tych wszystkich tyranów naszego dzieciństwa, to przypominam sobie tylko ich kuksy, uderzenia i nic więcej. W pamięci mej utkwiała tylko jedna postać.

Nazywał się on Iswar i piastował kiedyś godność nauczyciela wiejskiego. Było to indywiduum sztuczne, czyste i stale nadęte. Ziemia zdawała mu się być zbyt ziemską, za mało miała wody, aby mogła być dostatecznie czysta; stąd też i on znajdował się w wiecznej wojnie z jej chronicznie



zapyłonym stanem. Swoj dzbanek na wodę zanurzał w beczce ruchem błyskawicznie szybkim, aby zaczerpnąć dla siebie wodę z głębin niepokalanych. To on, kąpiąc się w sadzawce, dłonią odpędzał od siebie wciąż nieczystości, a potem zanurzał się nagle, jak gdyby sądził, że może wodę zaskoczyć. Chodził, trzymając stale pod pewnym kątem ramiona zdala od swego ciała, jak gdyby — jak się nam zdawało — nie mógł dowierzać nawet czystości swej własnej odzieży. Całe jego zachowanie się sprawiało wrażenie wysiłku utrzymania zdala od siebie wszelkich niedoskonałości, które niestrzeżonemi przez nikogo drogami docierają do ziemi, wody i powietrza, a także i do ścieżek człowieka. Niezglębiona była otchłań jego powagi. Z głową zlekka pochyloną cedził głębokim głosem swe starannie dobrane słowa. Jego literacki napuszony sposób wysławiania się stanowił po jego odejściu zawsze temat zabawy dla starszych, jego górnolotne frazesy miały swe stałe miejsce w domowym repertuarze humorystycznym naszej rodziny. Wątpię jednak, czy używane przez niego wyrażenia brzmiałyby dziś tak nadzwyczajnie, jak wówczas, na dowód, jak język literacki i język życia codziennego, różniące się między sobą dawniej jak niebo a ziemia, wzajemnie się dziś do siebie zbliżyły.

Ten były nauczyciel znalazł sposób zmuszenia nas do siedzenia wieczorami spokojnie. Co wieczór zbierał nas dokoła nadtluczonego kaganka i czytał nam głośno historje z Ramajany i Mahabharathy. Przychodził też ten i ów ze służby i przyłączał się do audytorjum. Kaganek rzucał wielkie cienie daleko aż na belkowanie dachu, małe jaszczurki domowe polowały na ścianach na owady, nietoperze jak w szalonym tańcu derwiszów latały wciąż wokół dokoła werandy, a my słuchaliśmy i podziwialiśmy w milczeniu, z otwartymi ustami.

Do dziś pamiętam wieczór, w którym doszliśmy do historii Kuszy i Lawy, jak ci dwaj waleczni młodzieńcy odgrażali się, że wdepcą wzajemnie w ziemię sławę swych ojców i stryjów i jak pełna napięcia cisza tej nędznie oświetlonej izby aż drżała od naprężonej ciekawości. Robiło się już późno, nasz przepisany czas czuwania zbliżał się do końca, a rozwiązanie wciąż jeszcze było daleko.

W tym krytycznym punkcie pośpieszył nam z pomocą stary uczeń i druh mego ojca, Kiszori, który znalazł wreszcie dla nas zakończenie epizodu i odczytał je w przyśpieszonym tempie do rychłego taktu dźwięcznych wierszy Dasuraji. Wrażenie łagodnej, niskiej melodji czternastogłoskowego metru Krittiwazy zniknęło bez śladu i w jednej chwili porwał nas prąd rymów i alliteracji.



Czasami z prelekcyj tych rodziły się spory mitologiczne, rozstrzygane zwykle głębokimi wyrokami mądrego Iswara. Mimo, iż jako jeden ze służby, przeznaczony dla dzieci, piastował w naszym społeczeństwie służebnem rangę, która go stawiała poniżej wielu innych, przecie, na podobieństwo starożytnego dziadka Biszmy w Mahabharacie, jego przewaga potrafiła wyzwolić się z uniżoności miejsca, wyznaczonego mu poniżej młodszych od niego.

Ten nasz poważny i czcigodny sługa miał pewną słabość, o której — dla ścisłości historycznej — wspomnieć muszę. Miał zwyczaj zażywania opium. To rodziło znów potrzebę obfitszego odżywiania się. To też, kiedy rano przynosił nam kubki z mlekiem, okazywało się, że siły pożądania w jego duszy były potężniejsze od sił oporu. Jeśliśmy dali bodaj najmniejszy wyraz swej odrazy do takiego posiłku, żaden wzgląd odpowiedzialności za nasze zdrowie nie zmuszał go do powtórnego zaproszenia do jedzenia.

Iswar miał też poniekąd ograniczone poglądy na naszą skłonność do solidniejszych pokarmów. Zasiadaliśmy na ziemi do naszego wieczornego posiłku, a przed nami stawiano pewną ilość *luczi* <sup>1)</sup> ułożonych w stos na grubej, okrągłej, drewnianej tacy. Iswar zaczynał, zrzucając na każdy talerz

---

<sup>1)</sup> Rodzaj pieczywa, niesłodzony placek używany zamiast chleba do innych potraw.



ostrożnie po kilka *luczi* z wysokości, wystarczającej do zabezpieczenia się od pokalania<sup>1)</sup> — a był tak zręcznie niegościnnie, że te placki spadały, podobne do nielaskawych i niechętnych względów, wydartych bogom podstępem natręctwem. Zachodziło wobec tego pytanie, czy zechce nam dać więcej. Wiedziałem dobrze, iż odpowiedź będzie w najwyższym stopniu mitygująca i nie mogłem tego przenieść po sobie, aby go obrabowywać przez domaganie się drugiej porcji.

Prócz tego otrzymywał Iswar codziennie pewną drobną kwotę, z której miał opłacać nam skromny nasz podwieczorek. Co rano pytał nas, co chcemy na podwieczorek. Wiedzieliśmy dobrze, iż wymienienie rzeczy najtańszej będzie najlepiej przyjęte, to też czasami zamawialiśmy sobie ryż na sypko a kiedyindziej rzeczy tak niestrawne jak prażone orzechy itp. Jasno wynikało z tego, że Iswar w kwestji naszej diety nie był wcale tak pedantycznie ścisły, jak w swych zwyczajach rytualnych.

### (5) SZKOŁA NORMALNA.

Kiedy chodziłem do Seminarjum Orientalnego, wynależem sposób wydostania się z poniżenia, w jakie wpadłem skutkiem tego, że zostałem

---

<sup>1)</sup> Dotknięcie cudzego pokarmu podczas jedzenia lub przyborów ręką, którą niesie się żywność do ust, jest uważane rytualnie za pokalanie.

uczniem. Założyłem w jednym kącie naszej wew-  
randy swoją własną szkołę. Drewniane balaski  
ogrodzenia były mymi uczniami, a ja mogłem grać  
rolę nauczyciela, siedząc przed nimi na stolku  
z laską w ręku. Ustanowiłem, gdzie które kołki  
są dobrymi uczniami, które złymi — mało tego,  
zupełnie wyraźnie mogłem odróżnić grzecznego  
od urwisza, pilnego od próżniaka. Niegrzeczne  
kołki tyle ode mnie i od bezustannej chłosty wy-  
cierpiały, że gdyby były żywe, pragnęłyby nie-  
wątплиwie wyzionąć ducha. A im bardziej strzępiły  
się od mych plag, tem bardziej mnie złościły, aż  
wreszcie nie wiedziałem już, w jaki sposób je na-  
leżycie ukarać. Ani jeden kołek nie pozostał,  
aby zaświadczyć dziś przeciw mnie, jak strasznie  
znęcałem się nad tą swą niemą klasą. Od tego czasu  
moich drewnianych uczniów zastąpiono balustradą  
prętów z lanego żelaza, a prócz tego nikt z nowego  
pokolenia nie używałby tych środków wychowania —  
nie wywarłyby one już tego samego wrażenia.

Od tego czasu zrozumiałem, o ile łatwiej  
posiąść manierę, niż rzecz samą. Bez najmniej-  
szego wysiłku przyswoilem sobie całą niecierpli-  
wość, porywczosć, stronnicość i niesprawiedliwość  
właściwą mym nauczycielom, wyjąwszy tylko  
wszystko, czego nauczali. Jedyną mą pociechą  
jest, że nie miałem sposobności stosowania tych  
barbarzyńskich metod wobec żadnej istoty żywej.



Niemniej różnica między mymi drewnianymi wychowankami a uczniami Seminarjum nie zapobiegła utożsamieniu się mej psychologii z psychologią nauczycieli tej szkoły.

Nie mogłem chyba długo chodzić do Seminarjum Orientalnego, bo byłem jeszcze małym chłopcem, kiedy mnie zaczęto posyłać do Szkoły Normalnej. Jedyne, co ze zwyczajów tego zakładu pamiętam, jest, że przed rozpoczęciem nauki wszyscy chłopcy musieli rżędem zasiąść w galerji i poddać się czemuś w rodzaju odśpiewania czy wygłoszenia jakichś wierszy — najwidoczniej próba wprowadzenia do rutyny codziennej jakiegoś ożywiającego elementu.

Na nieszczęście, słowa były angielskie, melodia również cudzoziemska, tak, że nie mieliśmy najślabszego wyobrażenia, co to za inkantację wyśpiewujemy, a także monotonja tej produkcji nie dodawała nam bynajmniej ducha. Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, że to zmaći pełne pogody zadowolenie władz szkolnych z wprowadzenia takiego zwyczaju; przekonanie się o praktycznym rezultacie jego zalet władze szkolne uważały za zbyteczne i niewątpliwie uważałyby też za zbrodnię ze strony chłopców, gdyby oni obowiązkowo nie czuli się szczęśliwymi. Nie pytając o resztę, poprzestawały najzupełniej na zaczerpnięciu pieśni, słów i wszystkiego innego, tak jak



je znalazły, w tej książce angielskiej, która podsunęła im teorię.

Żargon, do którego w ustach naszych zredukował się w tym wypadku język angielski, niezbyt zbudowałyby filologów. Mogę zacytować tylko jeden wiersz:

*Kalloeke pulloeke singil mellalling, mellalling, mellalling.*

Po długich rozmyślaniach zdołałem częściowo odgadnąć oryginał. Co w tej przemianie znaczy słowo „kalloeke“, tego wciąż jeszcze nie wiem. Reszta, jak myślę, brzmiałaby:

*... Full of glee, singing merrily, merrily, merrily.*

W miarę, jak me wspomnienia ze Szkoły Normalnej wynurzają się z odmętów i rysują mi się wyraźniej, nie stają się bynajmniej pod żadnym względem milsze. Gdybym miał zdolność do zaprzyjaźniania się z innymi chłopcami, męczarnie nauki nie wydałyby mi się może tak nieznośne. Pokazało się jednak, że to jest niemożliwe, — do tego stopnia plugawi byli ci chłopcy tak co się tyczy zwyczajów jak i wyglądu zewnętrznego. Dlatego w pauzach między poszczególnymi lekcjami wymykałem się na drugie piętro i spędzałem czas siedząc przy oknie, wychodząc na ulicę. Liczyłem: jeden rok — dwa lata — trzy lata — dumając nad tem, ile to lat, takich jak ten rok, trzeba jeszcze będzie wytrzymać.

Z nauczycieli przypominam sobie tylko jednego, którego sposób wyrażania się był tak ordynarny, że z samej pogardy dla niego stale odmawiałem mu odpowiedzi na wszelkie pytania. Wskutek tego przez cały rok siedziałem w głębi jego klasy milczący, i podczas gdy inni zajęci byli nauką, mnie pozostawiono samego, dając mi w ten sposób możność zastanawiania się nad rozwiązaniem przeróżnych zawikłanych problemów.

Jednym takim zagadnieniem, pamiętam, nad którym najbardziej łamałem sobie głowę, było pytanie, w jaki sposób pokonać nieprzyjaciela, nie posiadając broni. Jeszcze dziś staje mi przed oczami, jak głęboko zastanawiałem się nad tą kwestją wśród pobrzęku chłopców, powtarzających swe lekcje. Otóż gdybym mógł należycie wytreścić pewną ilość psów, tygrysów i innych krwiożernych zwierząt i wystawić kilka takich szeregów na polu bitwy, to — wyobrażałem sobie — mogłoby już ujść za bardzo zachęcający początek. A ponieważ to podnieciłoby nasze męstwo osobiste, zwycięstwo w żaden sposób nie mogłoby nam już ujść. Zaś w miarę, jak obraz tej przedziwnie prostej strategii coraz żywszych barw nabierał w mej imaginacji, zwycięstwo po mej stronie stawało się pewnem ponad wszelką wątpliwość.

Jak długo praca nie wchodziła w zakres mego życia, zawsze bez trudu odgadywałem najprostszy



sposób wykonania danego zadania; odkąd sam pracuję, wiem, że to, co jest ciężkie, jest ciężkie naprawdę, a co jest trudne, pozostaje trudnem. Spostrzeżenie to nie jest bardzo pocieszające, ale nigdy ani w przybliżeniu uawet tak złe, jak nałóg próbowania wszędzie wyjść najprostszyc.

Kiedy wreszcie minął rok tej nauki, egzaminował nas z bengalskiego Pandyt Waczaspati. Dostałem najwyższą lokację ze wszystkich chłopców. Nauczyciel zaprotestował wobec władz szkolnych, stawiając zarzut protekcji. Wobec tego poddano mnie egzaminowi po raz drugi, w obecności inspektora szkoły, który siedział tuż przy egzaminatorze. I tym razem przyznano mi pierwszą lokację.

## (6) WIERSZORÓBSTWO.

W owym czasie nie mogłem mieć więcej, niż osiem lat. Dźioti, jeden z synów siostrzenicy mego ojca, był ode mnie znacznie starszy. Właśnie wówczas uzyskał był dostęp do literatury angielskiej i z wielkim zapalem deklamował monolog z Hamleta. Co mu strzeliło do głowy, aby takie dziecko, jak ja, zaprzętać pisaniem wierszy, tego powiedzieć nie mogę. Pewnego popołudnia zawołał mnie do swego pokoju i kazał mi spróbować napisać jaki wiersz, poczem wytłumaczył mi budowę czternastozgłoskowego metru *pajar*.



Do tej chwili widywałem poematy tylko w drukowanych książkach — bez żadnych przekreśleń, bez śladu dla oka wątpliwości, wahania czy też jakiejkolwiek słabości ludzkiej. Nie śmiałybym być nawet pomyśleć, że moje usiłowania mogą zrodzić taką poezję!

Jednego dnia złapano w naszym domu złodzieja. Nie mogąc się oprzeć ciekawości, ale sam drżący i pełen strachu, zdobyłem się jednak na odwagę pobiec i przyjrzeć się mu. Zobaczyłem zupełnie zwykłego człowieka. A gdy ujrzałem, że nasz odźwierny traktuje go poniekąd brutalnie, zrobiło mi się bardzo żal. Podobne doświadczenie miałem też z poezją.

Kiedy, związawszy z sobą razem kilka słów stosownie do własnego widzi-mi-się, spostrzegłem, iż ułożyły się w wiersz *pajar*, uczułem, że z tą chwilą rozwiały się wszystkie me iluzje co do chwały układania poematów. I jeszcze dziś, widząc sponiewieranie nieszczęsnej Poezji, mam taki sam niesmak, jak wówczas, kiedy szło o tego złodzieja. Niejednokrotnie ogarniała mnie litość, ale mimo wszystko nie miałem sił, aby powściągnąć niecierpliwą dłoń, rwącą się do ciosu. Wątpię, aby złodzieje wycierpieli tyle i od tak wielu.

Gdy tylko przewyciężyłem pierwsze uczucie zgrozy, nic mnie już nie mogło powstrzymać. Dzięki względom jednego z naszych oficjalistów

udało mi się wejść w posiadanie zeszytu bruljonowego z niebieskiego papieru. Własnoręcznie polinjowałem go, niezbyt zresztą równo, ołówkiem i zacząłem notować w nim wiersze wielką, dziecinną bazgraniną.

Podobny do młodego rogacza, który uderza tu, tu i tam swemi świeżo wykluwającymi się rogami, pchałem się wszędzie ze swą kielkującą poezją. Jeszcze bardziej odznaczał się na tem polu mój starszy<sup>1)</sup> brat, który, pyszniąc się memi produkcjami, rozbijał się po całym domu, szukając dla mnie słuchaczów.

Przypominam sobie, jak pewnego dnia, wychodząc kupą z oficyny w suterenach po zwycięskiej wyprawie przeciw urzędnikom, wpadliśmy prosto na redaktora pisma „The National Paper“, Nagabopala Mittera, wchodzącego właśnie do naszego domu. Mój brat zaczął go bez ceremonji: — Proszę was, Nagabopal Babu! Nie chcielibyście posłuchać poematu, jaki Rabi napisał? — Odczyt rozpoczął się natychmiast.

Moje dzieło nie odznaczało się jeszcze zbyt wielką objętością. Wszystkie swe wylewy poeta spokojnie mógł pomieścić w jednej kieszeni. Byłem pisarzem, drukarzem i wydawcą zarazem, zaś mój brat, jako kierujący działem ogłoszeń, był

---

<sup>1)</sup> Pisarz jest najmłodszy z siedmiu braci. Ma tu na myśli szóstego brata.

jedynym moim współnikiem. Ułożyłem był kilka wierszy o lotosie, i teraz stojąc u stóp schodów deklamowałem z nich Nagabopalowi Babu wyjątki głosem, równym co do swego natężenia memu entuzjazmowi.

— Bardzo dobrze! — odpowiedział z uśmiechem — Ale co ma znaczyć ta *dwirepha*? <sup>1)</sup>

W jaki sposób doszedłem do tego słowa, tego już nie pamiętam. Zwykle słowo równie dobrze spełniłoby swe zadanie w tej mierze wiersza. Ale w całym poemacie na tem właśnie słowie ja sobie najwięcej zasadzałem. Z całą pewnością kolosalne wrażenie robiło na naszych urzędnikach. Zato, wbrew wszelkiemu spodziewaniu Nagabopal Babu nie podległ mu — przeciwnie, śmiał się z niego! Odrazu z całą pewnością zrozumiałem, że on nie mógł mieć najmniejszego wyobrażenia o rzeczy, to też nigdy więcej mu już wierszy nie czytałem. Od tego czasu postarzałem się o wiele lat, ale dotychczas nie potrafiłbym wydać swego zdania o tem, co stanowi o zrozumieniu lub niezrozumieniu u moich słuchaczy. Jakkolwiekby się Nagabopal Babu uśmiechał, słowo *dwirepha*, podobne do pszczoły, odurzonej miodem, bez przeszkody dotarło do miejsca swego przeznaczenia.

---

<sup>1)</sup> Przystarzałe słowo. oznaczające pszczołę.



## (7) RÓŻNE NAUKI.

Jeden z nauczycieli Szkoły Normalnej dawał nam też prywatne lekcje w domu. Był chudy, rysy twarzy miał suche, głos ostry. Lektury jego trwały od szóstej do pół do dziewiątej rano. Pod jego kierunkiem lektura nasza postąpiła od popularnych literackich i naukowych autorów bengalskich do epiki Meghnadwadhy.

Mój trzeci brat baczył pilnie na to, aby nasze wykształcenie było jak najbardziej wszechstronne, dlatego też w domu braliśmy znacznie więcej przedmiotów, niż kurs szkolny tego wymagał. Musieliśmy wstawać przed świtem i w samych tylko przepaskach na biodrach, zaczynaliśmy od paru chwytów z niewidomym zapaśnikiem. Następnie bezzwłocznie wciągaliśmy koszule na pyłem zawalane ciała i rozpoczynaliśmy lekcje literatury, matematyki, geografji i historji. Ledwo wróciliśmy ze szkoły, już czekali na nas nauczyciele rysunków i gimnastyki. Wieczorem Aghore Babu przychodził na lekcje języka angielskiego. Dopiero o dziewiątej godzinie wieczorem byliśmy wolni.

W niedzielę rano mieliśmy lekcje śpiewu z Wisznu. Prócz tego, również przeważnie w niedzielę, przychodził Sitanath Dutta, który demonstrował nam doświadczenia z zakresu fizyki. To mnie bardzo zajmowało. Przypominam sobie

uczucie zdumienia, jakie mnie napełniło, kiedy Sitanath Dutta postawił trochę wody z opłukami w szklanem naczyniu na ogniu i pokazał nam, jak lżejsza, ogrzana część wody podchodzi ku górze, podczas gdy zimna woda opada nadół i jak wreszcie woda zaczyna wrzeć. A jakże dumnym się uczułem, dowiedziawszy się, że woda jest składową częścią mleka, łatwą do oddzielenia i że mleko gotowane gęstnieje dlatego, że woda w postaci pary wyzwała się z tego związku. Niedziela nie była naprawdę niedzielą, jeśli Sitanath Babu nie przyszedł.

Mieliśmy też lekcje, na których słuchacz Lekarskiej Szkoły Campbella wykładał nam o kościach ludzkich, do którego to celu służył szkielet z powiązanymi drutem kośćmi a zwisający z sufitu pokoju, służącego nam za salę szkolną. Wreszcie znaleziono też czas dla Pandyty Tatwaratny, który przychodził uczyć nas na pamięć reguł gramatyki sanskryckiej. Nie wiem, co bardziej wyłamywało język, nazwy kości czy *sutry* gramatyka. Zdaje mi się, że górę wzięły te drugie.

Przystąpiliśmy do nauki angielskiego, poczyniwszy w tym języku znaczne postępy na lekcjach bengalskich. Ponieważ Aghore Babu, nasz angielski nauczyciel, uczęszczał na wykłady Kolegium Lekarskiego, przychodził na lekcje dopiero wieczorem.



Książki twierdzą, że odkrycie ognia stanowi jedno z największych odkryć ludzkości. Nie myślę spierać się o to. Ale z drugiej strony nie mogę wyzbyć się myśli, jak szczęśliwe są pisklęta dzięki temu, że ich rodzice nie mogą zapalać wieczorem lamp. Języków uczą się wczesnym rankiem i niezawodnie zauważyliście, z jakim zapałem się tej nauce oddają. Prawda, nie wolno nam też zapominać o tem, że one nie muszą się uczyć angielskiego!

Zdrowie tego naszego medycznego nauczyciela było tak znakomite, że nawet gorące, połączone życzenia jego trzech uczniów nie zdołały sprawić, aby choć jedną lekcję opuścił. Tylko raz rozciągnął się z rozbitą głową, kiedy przy sposobności bójki studentów mahometańskich z eurazyjskimi w Kolegium Medycznym rzucono na niego krzesłem. Był to niewątpliwie wypadek godzien pożałowania, mimo to my osobiście nie byliśmy w stanie smuć się nim, a jego uzdrowienie wydało się nam przesadnie rychłem.

Jest wieczór. Deszcz leje strumieniami grubymi i prostymi jak lance. W uliczce naszej jest wody powyżej kolan. Sadzawka w ogrodzie wezbrała, woda przelewa się przez jej brzegi a kudłate czupryny niższych krzaków ledwo wystają ponad wodę. Cała nasza istota promienieje zachwytem tego rozkosznego deszczowego wieczoru niby kwiat



*Kadamby* swemi wonnemi kłosami. Tuj-tuj, za parę minut, minie już pora, w której nauczyciel nasz przychodzi... Ale jeszcze niema pewności. Siedzimy na werandzie, skąd widać uliczkę<sup>1)</sup>, czekając i czekając w pełnem trwogi zapatrzaniu. Nagle jeden wielki, gwałtowny skurcz — i serca nasze omdlewają. Znany nam dobrze czarny parasol wynurza się z za rogu nieuszkodzony nawet podczas takiej pogody! Czyżby to mógł być ktoś inny? Absolutnie nie. Może w dalekim, szerokim świecie znalazłby się ktoś drugi, dorównujący mu wytrzymałością, ale nigdy w tej naszej, ślepej uliczce!

Rozważając dziś ten okres jako całość, nie mogę powiedzieć, aby Aghore Babu był twardym człowiekiem. Nie uczył nas kijem i jego nagany dalekie były nawet od łajań. Jakiegokolwiek jednak byłyby jego osobiste zalety, jego godzina to był „*evening*“ a jej przedmiot — *English!* Jestem pewien, że nawet anioł w oczach każdego chłopca bengalskiego uchodziłby za prawdziwego wysłannika Śmierci, gdyby się zjawiał przed nim u końca uciążliwego dnia szkolnego, zapalając nędzną, lichą lampkę, aby go przy niej uczyć angielskiego języka.

Jak dobrze pamiętam dzień, w którym nauczyciel nasz chciał nam zaprezentować powaby

---

<sup>1)</sup> Ta ślepa uliczka prowadzi pod kątem prostym z gościńca do czołowej werandy domu.

angielskiego języka! Przeczytał w tym celu głośno wobec nas z wielkiem namaszczeniem kilka wierszy — prozy, czy poezji, tego nie wiedzieliśmy — z jakiejś angielskiej książki. Wrażenie, jakie to na nas sprawiło, było zupełnie nieoczekiwane. Wybuchnęliśmy śmiechem tak niepowstrzymanym, że tego wieczoru musiał nas nauczyciel z lekcji uwolnić. Prawdopodobnie zrozumiał, że miał przed sobą zadanie nielada — że lat trzeba będzie, aby przewyciężyć ten opór i przeciągnąć nas na swoją stronę.

Aghore Babu próbował czasami wpuścić do naszej sali szkolnej jakieś żywsze tchnienie wiedzy z zewnątrz i dać mu możliwość ożywienia suchej rutyny szkolnej. Pewnego dnia wyjął z kieszeni zawinięty w papier pakuneczek i zapowiedział nam: — Pokażę wam dziś podziwu godną próbkę dzieła Stwórcy! — To mówiąc, rozwinął paczkę i, wyciągnąwszy z niej część głosowych organów człowieka, zaczął nam objaśniać jej mechanizm.

Do dziś dnia pamiętam przykre wrażenie, jakiego wówczas doznałem. Byłem zawsze przekonany, że mówi cały człowiek — nigdy nie sądziłem, że akt mówienia może być obserwowany z tego wyodrębnionego punktu widzenia. Pominąwszy niewątpliwą cudowność mechanizmu, znaczy on z pewnością mniej od całego człowieka. Daleki oczywiście byłem od tłumaczenia sobie tego temi słowy, ale ostatecznie to było powodem mej nie-



chęci. Może być, iż ponieważ nauczyciel stracił z oczu tę prawdę, uczeń nie mógł dać się unieść entuzjazmowi, z jakim nauczyciel wykladał mu swój przedmiot.

Kiedy indziej znów zaprowadził nas do „Prosectorium“ Kolegium Lekarskiego. Na stole leżało rozciągnięte ciało jakiejś staruszki. To na mnie wielkiego wrażenia nie wywarło. Zato leżąca na ziemi amputowana noga wstrząsnęła mną najzupełniej. Człowiek widziany tak ułamkowo wydawał mi się czemś tak strasznem, tak niedorzecznem, że przez długi czas nie mogłem się pozbyć wspomnienia tej czarnej, wszelkiego znaczenia pozbawionej nogi.

Załatwiwszy się z pierwszą i drugą częścią angielskich wypisów Peary Sarkara, rozpoczęliśmy „Kurs lektury“ Mc Cullocha. Pod koniec dnia ciała nasze były już zupełnie zmożone, myśli biegły do pokojów sypialnych, czarna książka zawierała mnóstwo trudnych słów, zaś temat nie był zbyt zachęcający, bo w owych czasach macierzynska względność Matki Saraswati<sup>1)</sup> nie była jeszcze znana. Książki dzieci nie zawierały wówczas tyle obrazków co dziś. Prócz tego u wrót każdej nowej lektury stał cały pluton słów, podzielony na zgłoski i najeżony trudnemi akcen-

---

<sup>1)</sup> Bogini wiedzy.



tami, niby łagnetami, wzbraniającemi dostępu umysłowi dziecka. Ścieśnione ich szeregi atakowałem niejednokrotnie napróżno.

Nauczyciel nasz chciał nas zawstydzić, wyślawiając świetne postępy jakiegoś innego swojego ucznia. Czuliśmy się istotnie głęboko zawstydzeni a także niezbyt życzliwie usposobieni dla tego celującego ucznia, ale wszystko to nie mogło rozproszyć ciemności, jakie przyłgnęły do tej czarnej księgi.

Opatrzność, daleka zresztą od litości dla gatunku ludzkiego, zaszczepiła usypiający czar wszystkim nudnym rzeczom. Jak tylko się nasza lekcja angielskiego rozpoczynała, głowy nasze zaczynały się kiwać. Środki, jak bryzganie nam w oczy wodą lub zmuszanie nas do biegu dookoła werandy, nie odnosiły trwałego efektu. Jeś i przypadkowo nasz najstarszy brat, przechodząc tamtędy, zauważył tę naszą walkę z sennością, wyzwalał nas od niej na cały wieczór. Ale wystarczała tylko chwilka, a otrząsaliśmy się z niej najzupełniej.

## (8) *MOJE PIERWSZE WYJŚCIE W ŚWIAT.*

Raz, kiedy febra rozszerzyła się w Kalkucie, pewna część licznej naszej rodziny musiała poszukać schronienia w nadrzecznej willi Czhatu Babu. Do tej partji należeliśmy i my.

To było moje pierwsze wyjście w świat. Brzeg Gangesu przytulił mnie na powitanie do swego łona, jak przyjaciel z przeszłego życia. Tu, przed mieszkaniem dla służby, znajdował się gaj drzew guawy; zaś dni moje miały mi mijać na przesiadywaniu w cieniu werandy i przyglądaniu się przez luki między pniami płynącej rzece. Codziennie rano, budząc się, doznawałem uczucia, jak gdyby ten nastający dzień był dla mnie czemś w rodzaju nowego liściku o wyzłacanych brzegach, mającego mi zwiastować jakąś niesłychaną nowinę, jak tylko go otworzę. To też, nie chcąc zeń stracić ani odrobiny, ubierałem się na gwałt i śpieszyłem ku memu krzesłu na werandzie. Codziennie był tu przypływ i odpływ Gangesu; ożywiony ruch tylu rozmaitych łodzi; przesuwanie się cieniów drzew z zachodu na wschód i — ponad obramowaniem ciemnych plam lasów na przeciwległym brzegu — złoty strumień żywej krwi, bijącej z rozdartej piersi wieczornego nieba. Czasami dzień był chmurny od samego ranka; czarne były na przeciwległym brzegu lasy i czarne cienie biegały po rzece. I naraz, zamazując horyzont, z szumem nadlatuje rozgłośnie grający deszcz, niewyraźna linja przeciwległego brzegu żegna się z nami, tonąc we łzach; rzeka wzbiera tłumionemi łkaniami; zaś mokry wiatr hula nad nami wśród liści drzew.



Miałem wrażenie, jak gdybym się drugi raz narodził, wydostawszy się wreszcie z wnętrzości murów, belek i krokwi. Kiedy się znowu ze światem zewnętrznym zaznajamiałem, opadły z niego brudne pokrowce małostkowych przyzwyczajęń. Jestem pewny, że syrop z trzciny cukrowej, z którym podawano mi na śniadanie zimne *luczi*, nie mógł smakiem różnić się od ambrozji, jaką w niebie swem pija Indra; albowiem nieśmiertelność znajduje się w pijącym, a nie w nektarze, o czym zapominają ci, którzy jej poszukują.

Za domem znajdował się otoczony murem plac z sadzawką i schodami, prowadzącymi do wody z platformy kąpielowej. Po jednej stronie platformy wznosiło się olbrzymie drzewo Dżambolanowe, zaś dokoła rosło mnóstwo różnych drzew owocowych, zbijających się w gęste grupy, a w których cieniu kryła się samotna sadzawka. Przedziwny urok miało dla mnie przycienione piękno tego ustronnego sadu, zgoła różne od szerokiej przestronności przeciwległego brzegu. Było to, jak gdybym miał przed sobą oblubienicę domu w samotności jej południowej siesty, spoczywającą na wielobarwnej, własnoręcznie haftowanej macie i zwierającą się samej sobie cichutkim szeptem z tajemnic swego serca. Niejedną południową godzinę spędziłem samotny w cieniu tego



Dżambolanowego drzewa, śniąc o strasznych królestwach Jakszów<sup>1)</sup> w głębinach sadzawki.

Bardzo pragnąłem zobaczyć wieś bengalską. Gąszcz jej chat, jej słomiane strzechy, uliczki, łazienki, zabawy i zgromadzenia, jej pola i targowiska, jej życie jako całość, jak je sobie w swej wyobraźni malowałem — to wszystko bardzo mnie pociągało. Taka właśnie wieś znajdowała się tuż koło naszego ogrodu, za murem, nam jednak zabroniono do niej chodzić. Wydostaliśmy się na świat, lecz nie na wolność. Trzymano nas z początku w klatce, teraz siedzieliśmy już na grzędzie, ale łańcuch wciąż jeszcze pozostawał.

Pewnego poranku dwóch z naszych starszych braci wybrało się na włóczęgę po wsi. Nie mogłem dłużej pohamować swej ciekawości i, wymknąwszy się niepostrzeżenie, szedłem za nimi, w pewnej odległości. Idąc uliczką, pograżoną w głębokim cieniu, wzdłuż jej gęstych, ciernistych płotów z *seora*, brzegiem sadzawki, pokrytej zielonemi porostami wodnemi, chwytalem z niesłychaną szybkością jeden obraz za drugim. Przypominam sobie do dziś dnia gołego chłopca, zajętego spóźnioną toaletą nad brzegiem sadzawki i czyszczącego zęby rozgryzionym końcem gałązki. Nagle starsi spostrzegli, że idę za nimi. — Wynoś się, wynoś

---

<sup>1)</sup> Król Jakszów jest Plutonem mitologii hinduskiej.

się, zabieraj się natychmiast! — zaczęli krzyczeć. Byli oburzeni. Wędrowałem boso, na koszuli nie miałem ani krajki ani zwierzchniego odzienia, wogóle — nie byłem ubrany do wyjścia; jak gdyby to była moja wina! Nigdy jeszcze nie miałem ani skarpetek ani jakiegobądź zbytecznego ubioru, to też nie tylko że wróciłem do domu zniechęcony tym porankiem, ale nawet nie miałem możliwości usunięcia swych niedostatków i otrzymania pozwolenia wyjścia na drugi dzień. Mimo wszystko, choć w ten sposób za mną dostęp do świata został mi zamknięty, przede mną Ganges wyzwalał mnie z wszelkich więzów, a myśl moja mogła każdej chwili, kiedy się jej tylko spodobało zejść na pokład łodzi, wesoło żeglujących wzdłuż brzegu, i mknąć daleko ku krajom, nienazwanym w żadnej geografji.

Było to czterdzieści lat temu. Od tego czasu noga moja ani razu nie postąpiła w ocienionym *czampakiem* ogrodzie willi. Stoi tam z pewnością ten sam stary dom i te same stare drzewa, ale ja wiem dobrze, że one już nie mogą być te same — bo gdzież znajdę teraz to rzeźwiące uczucie zdumienia, które czyniło je tem, czem były?

Wróciliśmy do naszego domu w mieście, w dzielnicy Dżorasanko. I dni moje stały się niby kęsy, w ofierze rzucane w ziejącą paszczę Szkoły Normalnej.

## (9) UPRAWIANIE POEZJI.

Znany już niebieski notatnik niebawem został zapełniony, niby dziupla jakiegoś owadu, całą siecią najrozmaiciej pokręconych linii oraz grubemi i cienkimi kreskami liter. Obracane żywo przez chłopca-poetę kartki wkrótce się pomięły, a wówczas rogi złękły się i pozaginały niby szpony, jak gdyby pilnie trzymając napisane na nich litery, aż wreszcie nie wiem już jaka rzeka Baitarani<sup>1)</sup> poniosła je łaskawie w odmęty zapomnienia. Bądź co bądź uniknęły tortury przejścia przez maszynę drukarską i nie potrzebowały się obawiać swego przybycia na ten padół płaczu.

Nie mogę powiedzieć, abym się wobec szerzenia mej sławy poetyckiej zachowywał jako bierny świadek. Mimo, że Satkari Babu w naszej klasie nie uczył, bardzo mnie lubił. Napisał był książkę o historii naturalnej — lecz nie przypuszczam, aby złośliwy humorysta w tem właśnie chciał dopatrywać się źródła jego sympatji dla mnie. Otóż Satkari Babu zawołał mnie raz do siebie i spytał: — Czy to prawda, że ty piszesz wiersze? — Nie zatailem przed nim tego faktu. Od tego czasu prosił mnie niekiedy o pomoc w układaniu i kompletowaniu czterowierszów, przyczem zwykle ja dodawałem tylko dwuwiersz do dwuwiersza, jaki on napisał.

---

<sup>1)</sup> Hinduska Lethe.



Gobinda Babu był bardzo smagły, krótki i gruby. Był dyrektorem naszej szkoły. Otoczony księgami rachunkowemi, w czarnem ubraniu, siedział w swej kancelarji na drugim piętrze, a my baliśmy się go bardzo, ponieważ on był sędzią dzierżącym trzecinę. Pewnego razu schroniłem się do jego pokoju przed prześladowaniem kilku urwiszów. Ścigało mnie pięciu czy sześciu starszych chłopców. Nie było nikogo, ktoby mógł za mnie zaświadczyć — wyjąwszy tylko me lzy. Mimo to wygrałem i od tego czasu Gobinda miał zawsze dla mnie w swem sercu ciepły kącik.

Pewnego dnia zawołał mnie podczas rekreacji do swego pokoju. Drżąc z trwogi, poszedłem, ale ledwo przed nim stanąłem, przywitał mnie pytaniem: — Więc ty piszesz wiersze? — Przyznałem się niezwłocznie. Polecił mi napisać poemat na temat jakiejś wzniosłej nauki moralnej, której nie pamiętam. Bezmiar łaskawości i uprzejmości wraz z tak pochlebny z jego strony żądaniem ocenić mogą tylko ci, którzy byli jego uczniami. Kiedy ten poemat skończyłem i na drugi dzień mu go oddałem, zaprowadził mnie do najwyższej klasy i kazał mi stanąć przed chłopcami. — Deklamuj! — rozkazał. Odczytałem wiersz głośno.

Co się tyczy tego poematu moralnego, to jedynie chwalebną rzeczą było, iż wkrótce zaginął. Wrażenie moralne, jakie wywarł na tej klasie, nie było

wcale zachęcające — wywołane przezeń uczucie dalekie od uznania dla autora. Większość żywiła przekonanie, iż poemat ten nie był mojem dziełem. Jeden uczeń oświadczył nawet, że może dostać książkę, z której poemat został odpisany, ale nie śpieszył się z tem; proces dowodzenia wyrządza taką krzywdę tym, którzy pragną wierzyć! Wreszcie liczba żądnych sławy poetyckiej uczniów zaczęła wzrastać w przerażający sposób, przyczem metody, przez nich używane, nie należały do tych, jakie się uznaje za drogi wiodące do doskonałości moralnej.

Dziś nie niema nadzwyczajnego w tem, że młodzik pisze sobie wiersze. Blask poezji przeminął. Pamiętam, jak na tych parę kobiet, które w owych czasach pisały wiersze, patrzano, jak na jakieś cudowne stworzenia boskie. Dziś wierzyć się nie chce, kiedy się słyszy, że któraś młoda dama wierszy nie pisze. W dzisiejszych czasach poezja rozgałęzia się już szeroko dawno, zanim się dojdzie do najwyższych klas bengalskich; i żaden nowoczesny Gobinda Babu nie zwróciłby uwagi na czyn poetycki, o jakim tu opowiedziałem.

#### (10) *SRIKANTHA BABU.*

W owym czasie niebo obdarzyło mnie słuchaczem, jakiemu równego nigdy już mieć nie będę. Posiadał on taką zdolność znajdowania upodobania



we wszystkim, że absolutnie nie mógłby był zajmować miejsca krytyka w żadnym z naszych miesięczników. Ten staruszek był podobny do najzupełniej dojrzałej „Alfonso mango“ — nie miał w sobie ani śladu kwasu, ani jednego twardego włókna. Jego subtelną, czysto ogoloną twarz okalała wszystko pochłaniająca łysina, najmniejszy ślad zęba nie szpecił wnętrza jego ust, zaś jego wielkie, roześmiane oczy promieniały bezustannym zachwytem. Kiedy mówił swym łagodnym, głębokim głosem, mówiły wraz z nim jego usta i oczy i ręce. Pochodził ze starej szkoły perskiej kultury i nie umiał ani słowa po angielsku. Jego nierozłącznymi towarzyszami były — nargile w lewej ręce a cytra (*sitar*) na kolanach, zaś z jego gardła płynął nieprzerwany śpiew.

Srikantha Babu nigdy nie potrzebował czekać na to, aby go uroczyście przedstawiono, bo nikt nie mógł oprzeć się naturalnemu wołaniu jego entuzjastycznego serca. Raz zaprowadził nas do wielkiego angielskiego atelier fotograficznego, chcąc, abyśmy się razem z nim fotografowali, i tam tak sobie ujął właściciela swą niewyszukaną historją w mieszaninie hindustani i bengali, jak to on jest ubogim człowiekiem, ale bardzoby sobie życzył, aby mu to zdjęcie zrobiono, że właściciel z uśmiechem zniżył mu cenę. Srikantha Babu był tak naiwny, tak nie zdawał sobie sprawy z tego, że



mógłby kogoś obrazić, iż to jego targowanie się w tym pysznym zakładzie angielskim zupełnie nie brzmiało trywjalnie. Czasami brał mnie z sobą do pewnego europejskiego domu misyjnego, a tu także grał i śpiewał, zaś swemi karesami dla małej córeczki misjonarza i szczerym zachwytem dla małych trzewiczków jego żony ożywiało zebranie jak mało kto. Inny, zachowując się tak niemądrze, byłby przykrym natrętem, ale jego szczerą prostotą podobala się wszystkim i kazała im śmiać się razem z nim.

Na brutalność i niegrzeczność był Srikantha Babu zupełnie niewrażliwy. Swego czasu mieszkał u nas pewien śpiewak, dość sławnego nawet nazwiska. Podpiwszy sobie, natrząsał się ze sposobu śpiewania Srikanthy Babu, i to nie przebierając w słowach, a ten znosił to z niewyczerpaną cierpliwością, nie próbując nawet odpowiadać. Kiedy wreszcie niepoprawna brutalność tego człowieka spowodowała jego odprawę, Srikantha Babu serdecznie za nim prosił. — To nie on winien, to trunek! — nastawał.

Nie mógł znieść widoku żadnej smutnej rzeczy, nie mógł nawet słuchać o niej obojętnie. To też, gdy chłopcy chcieli go dręczyć, starczyło, aby zaczęli mu deklamować wyjątki z „Wygnań Sity“ Widjasagara—Srikantha Babu, wysoce wzburzony, wyciągał przed siebie na znak protestu ręce, błagając ich i zaklinając, aby przestali.

Ten stary człowiek był przyjacielem tak mego ojca, jak i starszych naszych braci i wreszcie naszym. Był rówieśnikiem wszystkich i każdego z nas. Jak strumyczkowi dość pierwszego lepszego kamienia, aby z nim igrać i tańczyć dokola niego, tak on z najmniejszego powodu wyskakiwał ze skóry z radości. Pewnego dnia ułożyłem hymn, w którym nie zapomniałem też wspomnieć o niedolach i nędzach tego świata. Srikantha Babu był przekonany, że ojciec mój nie będzie się posiadał z radości, poznawszy tak doskonałą klejnot poezji religijnej. Z właściwym sobie niepohamowanym zapałem ofiarował się sam z nim go poznać. Na szczęście nie było mnie przytem, opowiadano mi jednak później, iż ojca mego ubawiło niemało, iż troski tego świata tak wczesnie najmłodszego syna jego doprowadziły aż do pisania wierszy. Pewien jestem, że dyrektor Gobinda Babu ze znacznie większym szacunkiem potraktowałby mą pracę na tak poważny temat.

Byłem najulubieńszym uczniem Srikanthy Babu w śpiewie. Nauczył mnie pieśni „Nie dla mnie więcej już Władza“ i włączył mnie po wszystkich pokojach od jednego członka rodziny do drugiego, wszędzie każąc mi śpiewać. Ja śpiewałem, zaś on bębnił mi akompanjament na swej *sitarze*, a kiedy przychodził refren, śpiewał razem ze mną, powtarzając go bez przestanku, śmiejąc się



i kiwając każdemu po kolei głową, jak gdyby podniecając do bardziej entuzjastycznych pochwał.

Był pełnym podziwu i oddanym wielbicielem mego ojca. Według jednej z jego melodyj ułożono hymn „Albowiem On jest sercem naszych serc.“ Srikantha Babu, śpiewając raz ten hymn w obecności mego ojca, popadł w takie podniecenie, że zerwał się ze swego miejsca przy słowach „Albowiem On jest sercem naszych serc“, transponował gwałtownie akompanjament na „sitarze“ a potem, wachlując dłonią swą twarz ojca, zmienił słowa na „Albowiem Tyś jest sercem naszych serc“.

Kiedy staruszek po raz ostatni odwiedził mego ojca, ojciec leżał złożony chorobą w nadrzecznej willi w Czinsurah. Srikantha Babu, sam śmiertelnie chory, nie mógł już wstać bez pomocy, a chcąc coś zobaczyć, musiał palcami otwierać powieki. W tym stanie zdrowia, pielęgnowany przez córkę, odbył podróż do Czinsurah ze swego domu w Birhum. Z wielkim wysiłkiem złożył ojcu swój ostatni pokłon, poczem powrócił do swego mieszkania w Czinsurah, gdzie w parę dni później wyzionął ducha. Córka jego opowiadała mi potem, że powrócił na łono wiecznej młodości, śpiewając pieśń „Jak słodkiem jest Twe miłosierdzie, o Panie!“



## (11) KOŃCZY SIĘ NAUKA BENGALSKIEGO.

W szkole byliśmy wówczas w przedostatniej klasie. W studjach domowych zaszliśmy w nauce bengalskiej znacznie dalej, niż w szkole wykładano.<sup>1)</sup> Przeszliśmy Akszaja Datty podręcznik „Fizyka dla wszystkich“, a prócz tego skończyliśmy epikę Meghuawadhy. Tę fizykę wykuliśmy, nie mając nic do czynienia z samą fizyką, to też nasza znajomość tego przedmiotu była najzupełniej książkowa. Prawdę mówiąc, czas nad nią spędzony poszedł zupełnie na marne, a jak mi się dzisiaj zdaje, zmarnowany gorzej, niż gdybyśmy byli wogóle nic nie robili. Meghuawadha także nie była dla nas odpowiednia. Najdelikatniejsze przysmaki nie mogą smakować, gdy się je komuś rzuci na głowę. Używanie epiki jako środka nauczania języka można porównać z goleniem człowieka mieczem — smutna rzecz dla miecza, bardzo przykra dla podbródka. Poematu można uczyć z emocjonalnego stanowiska, ale zaprzęganie go do służby w charakterze słownika gramatycznego nie było przewidziane jako korzyść dla boskiej Saraswati.<sup>2)</sup>

A nagle jednego dnia nasza karjera w Szkole Normalnej skończyła się, a wieść o tem szła na-

<sup>1)</sup> Czytelnik rozumie, iż nie idzie tu o język bengalski, lecz o studia w języku bengalskim, J. B.

<sup>2)</sup> Bogini Wiedzy,

stępująca: Jeden z nauczycieli naszej szkoły chciał sobie pożyczyć z naszej biblioteki Mitry życiorys mego dziadka. Mój siostrzeniec, a zarazem kolega szkolny, Satja, oświadczył, że zdobędzie się na tyle odwagi, aby o tem wspomnieć memu ojcu. Rozmyślając nad przeprowadzeniem swego planu, przyszedł do przekonania, iż, aby mego ojca zagadnąć, codziennego języka bengalskiego będzie chyba za mało. Wobec tego wysmażył sobie zdanie archaiczne i wygłosił je z tak staranną dokładnością, iż ojciec mój nie mógł nie zauważyć, że nasza znajomość języka bengalskiego posunęła się trochę za daleko i że zagraża jej niebezpieczeństwo przejścia samą siebie. I otóż następnego poranka, kiedy stosownie do przyjętego przez nas zwyczaju, nasz stół stał już ustawiony na południowej werandzie, tablica wisiała na gwoździu na ścianie i wszystko było przygotowane do lekcji z Nilkomalem Babu, ojciec zawołał nas trzech do swego mieszkania na górze. — „Nie potrzebujecie już brać więcej lekcji języka bengalskiego“ — rzekł. Dusze nasze zatańczyły w nas z radości.

Nilkomal Babu czekał na dole, nasze książki leżały na stole otwarte i z pewnością zajmowała naszego nauczyciela myśl przejścia z nami jeszcze raz Meghuadwadhy. Ale, jak na łożu śmierci różne sprawy życia codziennego tracą w oczach chorego swą istotność, tak dla nas w jednej chwili wszystko,



począwszy od siedzącego na ziemi Pandyty a skończywszy na gwoździu, na którym wisiała tablica, stało się puste, jak miraż. Naszą jedyną troskę stanowiło pytanie, w jaki sposób zakomunikować Nilkamalowi Babu tę nowinę z zachowaniem należytego „decorum“. Uczyniliśmy to nareszcie z niemalym wysiłkiem wobec figur geometrycznych, patrzących na nas z przerażeniem z tablicy, i białego wiersza z Meghnadwadhy, teraz istotnie zbiegającego.

Pandyt pożegnał się z nami następującymi słowy:

— Posłuszny obowiązкови, byłem może czasem dla was surowy — zapomnijcie o tem. Później przyjdzie czas, kiedy zrozumiecie wartość tego, czego was nauczyłem.

Istotnie, ja tę wartość ocenić potrafiłem. Umysły nasze rozwijały się prędko głównie dzięki temu, że nas uczono w naszym ojczystym języku. Nauka powinna możliwie jak najdalej iść za procesem jedzenia. Jeśli smak rozpoczyna się od połknięcia pierwszego kęsa, żołądek budzi się do swej pracy zanim został zapełniony, skutkiem czego jego trawiące soki działają w całej pełni. Mowy o czemś podobnem oczywiście nie może być, jeżeli chłopca bengalskiego uczy się w języku angielskim. Na pierwszym kęsie może sobie wylamać oba rzędy zębów — istne trzęsienie ziemi w ustach! A zanim



zrozumie, że ten kasek to nie zwykły kamień, lecz strawny bonbon, połowa wyznaczonego mu życia minie! Człowiek się poci i męczy nad sylabizowaniem i gramatyką, a w rzeczywistości duchowo głoduje, zaś gdy wreszcie „dojdzie do smaku“, apetyt dawno już zniknął. Jeśli od samego początku nie pracuje cały umysł, niektóre z jego władz do samego końca już pozostaną nierozwinięte. Gdy wszystko dokoła wołało po wykładowym języku angielskim, mój trzeci brat miał dość odwagi, aby dla nas zatrzymać nauczanie bengalskie. Jeszcze i na drugim świecie głęboko mu zato wdzięczny będę.

## (12) *PROFESOR.*

Po wyjściu ze Szkoły Normalnej zapisano nas do Akademji Bengalskiej, zakładu eurazyjskiego. Mieliśmy wrażenie, jak gdybyśmy zyskali na godności, żeśmy trochę wyrosli — i weszliśmy w pierwszy okres swej wolności. W rzeczywistości cały postęp, jaki zrobiliśmy w tej Akademji, to był ten krok ku wolności. Nigdyśmy nie rozumieli, czego nas tam uczono, nie staraliśmy się nauczyć i nie zdawało się też, aby komu zależało na tem, żebyśmy się nauczyli. Chłopcy byli w tej szkole niezdolni, ale już nie niemożliwi — co stanowiło wielką ulgę. Pisali kredą na swych dłoniach „Osioł“ i odbijali wam to na plecach z serdecznem „hello!“

Dawali wam z tyłu między żebra „sójkę“ i z niewinną miną patrzyli w inną stronę. Lokowali wam na głowie miąższ bananowy i zmykali niepostrzeżenie. Ale było to, jak ocieranie się łu o skałę — sprawiało nam to przykrość, lecz nie kałało.

Ta szkoła miała dla mnie jedną wielką wygodę. Nikt tu nie żywił rozpaczliwej nadziei, że chłopcy, podobni nam, będą robili jakieś postępy w nauce. Był to mały zakład o niewystarczających dochodach, wobec czego my w oczach władz szkolnych mieliśmy niezaprzeczoną wyższość — płaciłmy regularnie czesne. Dzięki temu nawet łacińska gramatyka nie była dla nas groblą nie do przekroczenia, zaś mimo świetnych błędów, pleców naszych nikt nie tykał. Nic a nic nie miała z tem do czynienia jakaś litość dla nas — to tylko szkolne władze administracyjne pomówiły z nauczycielami.

A jednak, choć nieszkodliwa, była to przecie szkoła. Sale były potwornie straszne ze swemi murami na straży, na kształt policjantów. Dom cały podobny był raczej do gołębnika, niż ludzkiego mieszkania. Ani najmniejszej ozdoby, ani obrazka, ani śladu jakiegoś koloru, jakiejs próby pozyskania chłopięcego serca. Ignorowano najzupełniej fakt, iż większą część umysłu dziecięcego stanowi „lubi — nie lubi“. Rozumie się, w miarę, jak zbliżaliśmy się od wrót do ciasnych, kwadratowych klas, opanowywało nas coraz większe przygnębienie —



i zmykanie „za labę“ stawało się wśród nas chro-  
niczne.

Znaleźliśmy w tem spółnika. Starsi moi bracia mieli guwernera Persa. Nazywaliśmy go Munszi. Był to człowiek średniego wieku, skóra i kości, jak gdyby szkielet jego został wprost pokryty ciemnym pergaminem, bez śladu ciała i krwi. Prawdopodobnie doskonale umiał po persku, angielski język znał zupełnie dobrze, ambicja jego nie szła jednak ani w jednym ani w drugim kierunku. Był on przekonany, że największym jego talentem i największą zaletą zarazem jest sztuka śpiewania. Stawał na słońcu w samym środku podwórza i wyrabiał różne dziwy ze swoją laską — uważając własny swój cień za partnera. Nie potrzebuję chyba dodawać, że jego cień nigdy nad nim góry nie wziął, a kiedy pod koniec Munszi, wydawszy wielki okrzyk, stawał na jego głowie ze zwycięskim uśmiechem, cień pokornie leżał u jego stóp. Jego śpiew nosowy i poza wszelkim porządkiem, brzmiał jak ponura mieszanina wycia i jęczenia, dolatująca ze świata duchów. Wisznu, nasz nauczyciel śpiewu, okrzykiwał go czasem: — Ej, Munszi, uważaj, ducha kiedyś w ten sposób wyzioniesz! — Odpowiedzią na to był jedynie pogardliwy uśmiech.

Stąd wynika jednak, że Munszi czuł był na słodkie słówka; i istotnie, ile razy tylko chcieliśmy namówić go, aby nam napisał usprawiedliwienie



z powodu opuszczenia szkoły, zawsze się nam to udawało. Zaś władze szkolne nie zadawały sobie najmniejszego trudu sprawdzania tych świadectw, wiedząc dobrze, że czy do szkoły chodzimy czy nie, na nasze wykształcenie zupełnie to nie wpłynie.

Dziś mam swą własną szkołę, w której chłopcy dopuszczają się najrozmaitszych psot, bo chłopcy zawsze będą nieznośni — a nauczyciele bezlitośni. Lecz gdy którego z nas opada niewłaściwy gniew z powodu ich zachowania się i skłania nas do żądania ich ukarania, psoty moich własnych lat szkolnych stają przede mną długim szeregiem i uśmiechają się do mnie.

Teraz jasno widzę, że całe nieporozumienie pochodzi stąd, iż na chłopców patrzy się pod kątem widzenia dorosłych, że się zapomina, iż dziecko jest żywe i ruchliwe jak płynący strumień; i że wobec tego pewna niedoskonałość nie musi zaraz wywoływać nadzwyczajnego alarmu, ponieważ sama rychłość fali jest najlepszą korektywą. Niebezpieczeństwo grozi dopiero wówczas, kiedy zaczyna panować stagnacja. Stąd też znacznie więcej niż uczeń powinien się złego wystrzegać nauczyciel.

W tej szkole był specjalny pokój do śniadań dla chłopców bengalskich, pragnących trzymać się swych kastowych przepisów. Tam-to zawarliśmy przyjaźń z innymi kolegami. Wszyscy oni byli starsi od nas. O jednym z nich muszę się szerzej rozpisać.

Specjalność jego stanowiła magia do tego stopnia, iż faktycznie napisał o niej i wydrukował małą broszurkę, na której pierwszej stronie widniało jego nazwisko z tytułem „profesora“. Nigdy dotychczas nie miałem jeszcze do czynienia z uczniem, którego nazwisko byłoby drukowane, skutkiem czego mój szacunek dla niego — jako niby profesora magji — był głęboki. I jakżebym mógł sobie pozwolić przypuścić, że w tym równym szeregu wyprostowanych liter może znaleźć miejsce coś podejrzanego? Czyż być zdolnym do zapisania swego nazwiska niestartym atramentem — jest rzeczą tak łatwą? Stanać obnażonym lecz nieupokorzonym, świadomym siebie przed całym światem — i któżby to potrafił bez wiary wobec konieczności tak olbrzymiej pewności siebie? Przypominam sobie, jak pewnego razu udało mi się wy dostać z pewnej drukarni czcionki, składające się na me nazwisko, i jak wielką rzeczą wydało mi się, kiedy je nasmarowałem atramentem, wycisnąłem na papierze i znalazłem je na nim wydrukowane.

Tego naszego kolegę i zaprzyjaźnionego autora zarazem woziliśmy czasem powozem. Stąd poszły wizyty. Kolega nasz był nie mniejszym magiem niż znawcą teatru. Z jego pomocą zbudowaliśmy na naszym boisku gimnastycznym scenę, ozdobioną kolorowym papierem, nalepionym na szkielec z bambusowej trzciny. Ale stanowczy zakaz z górnego



Satya.





piętra zapobiegł wszelkim przedstawieniom, jakie się na niej miały odbywać.

Mimo wszystko jednak bez żadnej sceny rozegrała się tu później komedja omyłek. Autor jej został już czytającemu te kartki przedstawiony. Był nim nie kto inny, jak mój siostrzeniec, Satja. Ci, którzy poznali dotychczas tylko jego spokojny i poważny sposób zachowania się, z podziwem usłyszą o „kawałach“, jakie wymyślał.

Wypadek, o którym tu zamierzam opowiedzieć, zaszedł trochę później, kiedy miałem dwanaście do trzynastu lat. Zaprzyjaźniony z nami magik tyle nam naopowiadał o dziwnych właściwościach różnych rzeczy, że płonałem nieposkromioną ciekawością przekonania się o nich własnymi oczami. Niestety, materiały wymieniane przez niego były stale tak rzadkie lub dalekie, że trudno było spodziewać się wejść w ich posiadanie bez pomocy Sindbada-żeglarza. Otóż pewnego razu profesor dziwnym jakimś zbiegiem okoliczności zapomniał się do tego stopnia, że wymienił przedmioty możliwe do dostania. Któżby był kiedy uwierzył, że pestka, dwadzieścia jeden razy zamaczana i wysuszona w soku pewnego kaktusa może wyrosnąć, zakwitnąć i wydać owoce w przeciągu godziny. Postanowiłem zrobić próbę, ani na chwilę nawet nie powążywszy się wątpić o prawdzie słów profesora, którego nazwisko znajdowało się w drukowanej książce.

Udało mi się namówić naszego ogrodnika, aby mnie zaopatrzył w odpowiednią ilość mlecznego soku, poczem pewnego popołudnia niedzielnego udałem się do naszej kryjówki w kącie terasy na dachu spróbować doświadczenia z pestką „mango“. Cały pograżyłem się w maczanie i suszenie — ale dorosły czytelnik prawdopodobnie nie będzie mnie pytał o rezultaty. A zupełnie nie wiedziałem, że w tym samym czasie Satja, w drugim kącie terasy w przeciągu godziny zasadził i do rozkwitu doprowadził mistyczny kwiat własnego dzieła. Kwiat ten zaczął nieco później wydawać wcale ciekawe owoce.

Od dnia tego eksperymentu profesor — jak się o tem stopniowo mogłem przekonać — zaczął mnie unikać. Nie siadał ze mną po tej samej stronie w powozie, stawał się w mojej obecności zakłopotany, mieszał się.

Pewnego dnia zaproponował naraz, aby każdy z nas zosobna skoczył po kolei na ławkę w naszej izbie szkolnej. Mówił, że chce zobaczyć różnicę w stylu. Taka ciekawość naukowa ze strony profesora magji nie wyglądała na nic nadzwyczajnego. Każdy kolejno skakał, skoczyłem też i ja. Profesor potrząsnął głową ze stłumionem „hm“. Żadne nalegania nie mogły z niego nic więcej wyciągnąć.

Kiedyindziej znów oświadczył nam, że kilku serdecznych jego przyjaciół pragnęło zapoznać się



z nami i prosił nas, abyśmy zechcieli udać się z nim do jego domu. Przełożeni nasi nie mieli nic przeciw temu — poszliśmy. Zgromadzeni w pokoju okazali nadzwyczajną ciekawość. Chcieli koniecznie usłyszeć mój śpiew — zaśpiewałem jedną czy dwie pieśni. Prawie dziecko jeszcze wówczas, nie mogłem ryczeć jak krowa. — „Prawdziwie słodki głosik!“ — zgodzili się wszyscy.

Kiedy podano słodycze, obsiedli nas kołem i przyglądali się nam, jak jemy. Ja byłem z natury nieśmiały i nie przyzwyczajony do obcego towarzystwa; co więcej, długie rządy naszego służącego Iswara sprawiły, że i jadłem niewiele i nie byłem smakoszem. Ta delikatność mego apetytu wywarła na wszystkich głębokie wrażenie.

W piątym akcie tej komedji otrzymałem od naszego profesora kilka dziwnie ciepłych listów, które wyjaśniły całą sytuację. Spuśćmy tu zasłonę.

Dopiero potem dowiedziałem się od Satji, że kiedy ja dokazywałem magicznych sztuk z pestką mangową, jemu udało się wmówić profesorowi, że starsi przebierali mnie tylko za chłopca, chcąc uzyskać dla mnie lepsze wykształcenie, ale że w rzeczywistości jestem dziewczyną. Tym, których interesuje imaginarna wiedza, muszę wyjaśnić, iż dziewczętom przypisuje się właściwość skakania naprzód lewą nogą, co też ja przy sposobności próby profesora uczyniłem. Nie zdawałem

sobie nawet wówczas sprawy, jak strasznie to był z mej strony fałszywy krok!

### (13) *MÓJ OJCIEC.*

Wkrótce po mem narodzeniu się, ojciec mój zaczął stale podróżować. Nie będzie tedy przesadą, gdy powiem, że w pierwszych latach dzieciństwa prawie zupełnie go nie znałem. Od czasu do czasu nagle przyjeżdżał, a wraz z nim zjawiała się też jego zagraniczna służba, z którą usilnie starałem się zaprzyjaźnić. Pewnego razu przybył do nas w ten sposób młody służący z Pendżabu, zwany Lenu. Serdeczność, z jakąśmy go powitali, byłaby godna samego Randzita Singha. Był nie tylko cudzoziemcem ale nawet Pendżabi od stóp do głów — cóż dziwnego, że ukradł nam nasze serca?

Dla całego narodu Pendżabi mieliśmy tę samą cześć, co dla Bhimy i Ardżuny z Mahabharaty. Pendżabi byli wojownikami; a jeśli czasem, walcząc, przegrali, to z pewnością winą leżała po stronie nieprzyjaciela. Mieć Lenu z Pendżabu w naszym domu za gościa przynosiło zaszczyt.

Bratowa moja miała model statku wojennego pod szklanym kloszem; ten statek, nakręcony, piał się po falach z błękitnego jedwabiu do taktu brzęczącej muzyki pozytywki. Usilnie błagałem o pożyczanie mi zabawki, której cudami chciałem w podobny sposób wprawić Lenu.



Ponieważ stale siedziałem w domu, jak zamurowany, wszystko, co pachniało dalekimi krajami, miało dla mnie szczególny urok. To była jedna z przyczyn, dla których tak imponował mi Lenu. To było też przyczyną, dla której Gabriel w swym wyszywanym chałacie, żyd przychodzący sprzedawać nam błyskotki i wonne olejki, tak mnie zajmował, podczas gdy olbrzymi Kabyłowie, w swych poplamionych, workowatych szarawarach, z plecakami i pakunkami, wywierali w mym młodym umyśle zatrważające, groźne wrażenie.

Cokolwiekby było, gdy ojciec przyjeżdżał, musieliśmy poprzestawać na krążeniu dokoła jego otoczenia i na towarzystwie jego służby. Do niego samego dotrzeć nie mogliśmy.

Pewnego razu, kiedy ojciec bawił w Himalajach, znowu przedmiotem żywych rozmów w szerokich kołach stało się nieśmiertelne widmo rządu brytyjskiego — inwazja rosyjska. Kilka życzliwych, zaprzyjaźnionych dam zaczęło się jednego dnia z całą żywością bujnej wyobraźni szeroko nad grożącym niebezpieczeństwem rozwodzić przed moją matką. Któż może powiedzieć, przez którą przełęcz tybetańską bandy rosyjskie mogą nagle runąć na podobieństwo wszystko druzgocącej komety?

Matka moja przełękła się nie na żarty. Prawdopodobnie inni członkowie rodziny nie podzielali



jej obaw, wobec czego, zwątpiwszy o spólczuciu dorosłych, zwróciła się z prośbą o pomoc do mnie, chłopca.

— Czy nie chciałbyś napisać ojcu, co się mówi o Rosjanach? — zapytała.

Ten list, donoszący ojcu o zaniepokojeniu mej matki, był pierwszym moim listem do ojca. Nie wiedziałem, jak się do listu zabrać, jak go skończyć, wogóle nie miałem wyobrażenia, jak się listy pisze. Pobieglem do Mahanandy, który był *munszim* <sup>1)</sup> w administracji naszego majątku. W rezultacie styl mego listu był niewątpliwie dość poprawny, ale uczucia z pewnością nie uniknęły banalnego zabarwienia, nieodłącznego od literatury, pochodzącej z kancelarji zarządu majątku.

Na list ten otrzymałem odpowiedź. Ojciec pisał mi, abym się o niego nie obawiał; gdyby Rosjanie przyszli, on sam ich wygoni. Ta niezachwiana pewność siebie prawdopodobnie na zmniejszenie się obaw mej matki nie wpłynęła, mnie jednak od wszelkiej troski o ojca uwolniła. Od tej chwili codzień już chciałem pisywać do ojca i nie dawałem Mahanandzie chwili spokoju. Nie mogąc się oprzeć memu natręctwu, pisał mi wzory listów, które ja miałem przepisywać. Nie wiedziałem jednakże nic o tem, że należy też opłacić „porto“. Wyobrażałem sobie, że wystarczy mi wręczyć list Maha-

---

<sup>1)</sup> Korespondentem.

nandzie, a list do celu przeznaczenia dojść musi, bez najmniejszego przyczynienia się z mej strony. Nie potrzebuję chyba wspominać, że, ponieważ Mahananda był znacznie starszy ode mnie, te listy nigdy do gór himalajskich nie dotarły.

Gdy wreszcie, po długiej nieobecności, ojciec przyjeżdżał choćby tylko na parę dni, cały dom zdawał się być pełen wagi jego obecności. Widzieliśmy, jak w niektórych godzinach starsi, ceremonialnie odziani w swe „czogi“, idą na jego pokoje miarowym krokiem i z poważnemi minami, usuwając wszelkie ślady żucia *pan*. Wszyscy zdawali się mieć na baczności. Matka, chcąc mieć pewność, że wszystko będzie w porządku<sup>1)</sup>, sama dozorowała gotowania. Stary Kinu, który nosił przed ojcem berło, cały biało ubrany i w turbanie, ozdobionym pióropuszem, stał na straży u drzwi apartamentów ojca, napominając nas, abyśmy nie hałasowali na werandzie naprzeciw jego mieszkania podczas siesty południowej. Musieliśmy przechodzić koło tych drzwi powoli, mówiąc tylko szeptem i nie wolno nam było ani nawet zajrzeć przez nie.

Przy jednej sposobności ojciec przyjechał do domu, aby nam trzem dać święty sznur (brahmiński). Z pomocą Pandyty Wedantawagisza zebrał w tym celu stare wedyjskie obrzędy. Siedząc w kaplicy z Beczaramem Babu całemi, dniami uczy-

---

<sup>1)</sup> Co do rytualnych przepisów przyrządzania potraw.



liśmy się śpiewać i akcentować poprawnie wybór z Upaniszad, dokonany przez mego ojca a znany pod nazwą „Brahma Dharma“. Wreszcie, z ogolonemi głowami i złotemi kolczykami w uszach odprowadzono nas trzech, obiecujących młodych brahminów, na trzydniowe samotne rozmyślenia w pewnej części apartamentów na trzecim piętrze.

Bawiliśmy się tam doskonale. Nausznice nadawały się znakomicie do ciągnięcia się wzajemnie za uszy. W jednym pokoju znaleźliśmy leżący mały bęben; staliśmy z nim na werandzie i gdy tylko zauważyliśmy przechodzącego o piętro niżej służącego, natychmiast rozpoczynaliśmy łomotać w bęben. Rozumie się, że ten ktoś musiał spojrzeć w górę po to tylko, aby już w następnej chwili zmykać czem prędzej z odwróconym wzrokiem<sup>1)</sup>. Słowem, nie możemy twierdzić, abyśmy te dni odosobnienia spędzili na ascetycznych rozmyśleniach.

Zresztą jestem przekonany, że chłopcy tacy, jak my, nie byli wcale rzadkością w starodawnych pustelniach. I jeśli nawet starożytny jaki dokument stwierdza, że dziesięcio- lub dwunastoletni Saradwata czy Sarngarawa<sup>2)</sup> wszystkie dni swego chłopięctwa trawi na składaniu ofiar i śpiewaniu mantr,

<sup>1)</sup> Uważa się za grzech ze strony nie-braminów przyglądanie się neofitom podczas procesu ich wyświęcania, póki ceremonia nie jest ukończona.

<sup>2)</sup> Dwaj nowiejusze w pustelni mędrca Kanwy, wymienieni w dramacie sanskryckim *Sakuntali*.



to nic nie zmusza nas wierzyć tej opowieści bez zastrzeżeń, jako że księga *Natury Chłopca* jest jeszcze starsza, a także o wiele więcej autentyczna.

Po osiągnięciu pełnego brahmaństwa, stałem się bardzo pilny w powtarzaniu *gajatri*<sup>1)</sup>. Rozmyślałem nad niemi w wielkiem skupieniu. Nie jest to jednak tekst, którego całe znaczenie mógłbym odgadnąć w tym wieku. Przypominam sobie usiłowania, jakie robiłem, aby rozszerzyć pole swej świadomości zapomocą początkowej inwokacji: „Ziemio, gwiazdy i niebios!“ Co przytem czułem lub myślałem, trudno jasno wyrazić, pewnem natomiast jest, że jasne zrozumienie znaczenia słów nie stanowi najważniejszej funkcji ludzkiego poznania.

Głównem zadaniem nauki nie jest wykładanie znaczenia słów, lecz pukanie do wrót umysłu. Jeśli każemy chłopcu zdać nam sprawę, co zbudziło się w nim skutkiem takiego pukania, powie prawdopodobnie coś bardzo niedorzecznego. Albowiem to, co się w nim dzieje, jest znacznie większe, niż on słowami wyrazić może. Ci, którzy całą swą wiarę kładą na egzaminy uniwersyteckie jako ostateczne świadectwo rezultatów wychowawczych, nie zdają sobie sprawy z tego faktu.

Mogę sobie przypomnieć wiele rzeczy, których nie rozumiałem, a które mimo to zrobiły na mnie

<sup>1)</sup> Tekst dla samourzeczywistnienia.

głębokie wrażenie. Pewnego razu, na terasie, na dachu naszej willi nadrzecznej, mój najstarszy brat na widok nagle zbierających się chmur wygłosił kilka stanc z Kalidasy „Chmurnego Posłańca“. Nie rozumiałem, ale też i nie potrzebowałem rozumieć, ani słowa z sanskrytu. Wystarczyła mi najzupełniej ekstatyczna deklamacja dźwięcznych rytmów.

To znowu, zanim jeszcze naprawdę po angielsku rozumiałem, wpadło mi w ręce bogato ilustrowane wydawnictwo „The Old Curiosity Shop“. Przeczytałem całą książkę, mimo że dziewięć dziesiątych słów były mi nieznane. A mimo to z tego, czego się na podstawie reszty słów domyślić mogłem, uwiłem sobie różnobarwną wstęgę, na której mogłem nanizować sobie ilustracje. Egzaminator uniwersytecki dałby mi wielkie, puste zero, a przecie lektura tej książki mimo wszystko nie pozostała dla mnie zupełnie bez rezultatów.

Kiedyindziej znów towarzyszyłem ojcu w wycieczce Gangesem jego własną łodzią. Wśród książek jakie miał na łodzi, znajdowało się też stare Fort Wiliamskie wydanie *Dżajadewy Gity Gowindy*. Wydrukowane było bengalskimi charakterami. Wiersze te nie były oddzielone od siebie, lecz szły jeden po drugim, jak proza. Pojęcia nie miałem jeszcze wówczas o sanskrycie, mimo to dzięki znajomości bengalskiego, tu i owdzie jakieś



słowo rozumiałem. Nie mogę powiedzieć, jak często czytałem *Gitę Gowindę*. Pamiętam doskonale wiersz:

Tak przeszła noc w samotnej chacie leśnej.

Wiersz ten pogrążał mą duszę w atmosferę nieokreślonego piękna. I wystarczyło mi do tego jedyne słowo sanskryckie „Nibhrita-nikundzagriham“, oznaczające „samotną chatę leśną“.

Sam też musiałem odszukać zawikłaną miarę Dżajedewy, ponieważ jego strofy rozplynęły się w przyjętej w książce formie niezdarnej prozy. I to odgadywanie sprawiało mi bardzo wielką przyjemność. Oczywiście, nie zawsze Dżajadewę rozumiałem, nie byłoby nawet zgodnem z prawdą, gdybym twierdził, że rozumiałem go choć w części. Ale sam dźwięk słów i żywy rytm miary wywoływał w umyśle mym mnóstwo obrazów przedziwnej piękności, co zmusiło mnie do skopjowania całej książki dla mego własnego użytku.

To samo zdarzyło mi się, kiedy już byłem starszy, z wierszem z Kalidasy „*Narodzin Boga Wojny*“. Wiersz ten wzruszył mnie głęboko, mimo że jedyne słowa, jakich znaczenia domyśliłem się, były „wiatr niesie rozbity na pył tuman z lecących ze skał wód świętej Mandakini i wprawia w drżenie liście deodaru“. To dało mi przedsmak piękności całego poematu, a gdy później pewien Pandyta pouczył mnie, że o dwa wiersze niżej ten



wiatr „burzy pióra pawie na głowie chciwego łupu łowcy jeleni“, banalność tej ostatniej koncepcji niemało mnie rozczarowała. Wychodziłem na rzeczy znacznie lepiej, kiedy, uzupełniając wiersze, polegałem wyłącznie na własnej pamięci.

Ktokolwiek przypomni sobie swe wczesne dzieciństwo, ten przyzna, że największe jego korzyści nie znajdowały się w żadnej proporcji do pełni jego rozumienia. Nasi Kathakasowie<sup>1)</sup> znają dobrze tę prawdę. Dlatego opowiadania ich zawierają zawsze dobrą proporcję dźwięcznych słów sanskryckich i niejasnych refleksyj, nie przeznaczonych bynajmniej do zupełnego zrozumienia przez ich prostych słuchaczy, lecz do sugestywnego działania.

Wartości takiej sugestji absolutnie nie powinni lekceważyć nawet ci, którzy mierzą wykształcenie miarą materialnych strat i zysków. Ci obstają przy próbowaniu zesumowania całego rachunku i dokładnego obliczenia, ile im udzielona lekcja może zwrócić. Ale dzieci oraz ludzie, nie przeciążeni wykształceniem, przebywają w tym rajach pierwotnym, do którego ludzie mogą zaglądać, nie rozumiejąc dokładnie każdego stopnia. Dopiero po utracie tego rajów stajemy w obliczu nieszczęsnego dnia, w którym wszystko już musi być zrozumiane. Droga, prowadząca do wiedzy, zdala

---

<sup>1)</sup> Recytatorzy.

od suchego procesu rozumienia, oto droga królewska. Gdy ona się zamknie, to choć kramarstwo świata idzie wciąż dalej swą zwykłą drogą, otwarte morza i szczyty skał przestają być dostępne.

Tak więc, jak to już powiedziałem, mimo, iż w moim wieku nie mogłem sobie jeszcze wówczas zdać sprawy z pełnego znaczenia *Gajatri*, było we mnie przecież coś, co mogło się bez tego zupełnego zrozumienia obejść. Pamiętam, jak jednego dnia, kiedy siedząc na cementowej podłodze w kącie naszej izby szkolnej, rozmyślałem nad tekstem, oczy zaszyły mi łzami. Skąd się wzięły te łzy, nie wiem; na krzyżowe pytania nieubłaganego sędziego śledczego dałbym prawdopodobnie odpowiedź, nie mającą nic wspólnego z *Gajatri*. Faktem jest, że o tem, co się odbywa w wewnętrznych skrytkach świadomości, nie zawsze wie mieszkaniacze jej komnat zewnętrznych.

#### (14) *PODRÓŻ Z MOIM OJCEM.*

Ze swą ogoloną głową miałem po ceremonii świętego sznura brahmińskiego wielki kłopot. Jakkolwiek chłopcy eurazyjscy stają zawsze po stronie Krowy, to jednak ich brak szacunku dla brahmina jest notoryczny,<sup>1)</sup> tak, że nie mówiąc o innych po-

<sup>1)</sup> „Krowa i brahmin“ stanowią hasło nowoczesnych prawowiernych hindusów.



ciskach, nasze ogolone głowy zostałyby zbombardowane najrozmaitszemi szyderstwami. Gdy się tak głowiłem nad tą ewentualnością, zawezwano mnie nagle pewnego dnia na górę do ojca. Zapytywał mnie, czy chciałbym wyjechać wraz z nim w Himalaje. Wyrwać się z Akademji Bengalskiej i wyjechać w Himalaje? Czy jabym chciał? O, gdybym tak mógł być wrzasnąć z radości pod niebiosa, dopieroby się pokazało, *jakbym* chciał!

W dniu wyjazdu ojciec, stosownie do swego zwyczaju, zwołał całą rodzinę do kaplicy na nabożeństwo. Dotknąwszy pyłu stóp starszych krewnych <sup>1)</sup>, wsiadłem wraz z ojcem do powozu. Pierwszy raz w życiu miałem wówczas całe ubranie, zrobione specjalnie dla mnie. Ojciec sam wybrał krój i kolor. Strój mój uzupełniała wyszywana złotem, aksamitna czapeczka. Pełen podejrzeń co do skutków jej bezpośredniego zetknięcia się z moją gołą głową, trzymałem ją w ręku. Kiedyśmy wsiadali do powozu, ojciec kazał mi w niej jechać, więc musiałem ją włożyć na głowę. Jak tylko spojrzał w inną stronę, zdejmowałem ją, kiedy patrzył na mnie, wkładałem natychmiast na głowę.

Ojciec mój był bardzo dokładny, tak w swym trybie życia, jak w postanowieniach i rozporządzeniach. Znosić nie mógł pozostawiania za sobą

---

<sup>1)</sup> Uroczyste pozdrowienie, polegające na dotknięciu palcami stóp starszego oraz przyłożeniu ich do czoła.



jakichś niedokładności lub niejasności i nigdy nie tolerował niedbalstwa lub opieszałości. Posiadał swój własny, dokładnie opracowany kodeks, normujący jego stosunki do drugich i nawzajem. Pod tym względem różnił się od ogółu swych współrodaków. Co się tyczy nas reszty, odrobina swobody w pożyciu rodzinnem uchodziła; w stosunkach z ojcem musieliśmy być nadzwyczaj uważni. Zależało mu nie tyle na mniej lub więcej ważnych szczegółach, co na uszanowaniu zasady.

Mój ojciec umiał też do najdrobniejszych szczegółów wyobrazić sobie to, co chciał, aby zrobiono. Jeśli zachodziła konieczność jakiegoś uroczystego zebrania, w którym sam nie mógł brać udziału, obmyślał dokładnie i wyznaczał, gdzie co ma się znajdować, co ma każdy członek rodziny robić, gdzie każdy gość ma być posadzony; o niczem nie zapominał. Później zaś wypytywał każdego z osobna o przebieg uroczystości i w ten sposób tworzył sobie dokładny pogląd na całość. Tak też, kiedy podróżowałem razem z nim, mimo, iż co się tyczy zabawy, nie krępował mnie w niczem i pozwalał spędzać czas, jak mi się podobało, w ścisłych prawidłach, jakie co do mego zachowania się na innych polach ustanowił, nie pozostawił najmniejszej luki.

Pierwszy raz zatrzymaliśmy się na parę dni w Bolpur. Właśnie niedawno temu był tu ze swymi

rodzicami Satja. Żadne szanujące się dziecko dziewiętnastego wieku nie uwierzyłoby opisowi podróży, jaki on nam dał po swym powrocie. Ale też i my byliśmy trochę inni, jako dzieci, i nie mieliśmy sposobności nauczania się, gdzie pociągnąć linję między możliwym a niemożliwym. Nasza Mahabharata i Ramajana klucza do tego nam nie dawała, nie mieliśmy też wówczas ksiązek z obrazkami, któreby nam pokazały drogę, jaką dziecko iść powinno. Wszystkich rządzących światem twar-dych i niezłomnych praw uczyliśmy się, bijąc o nie głową.

Satja powiedział nam, że dla człowieka nie-doświadczonego dostanie się do wagonu przed-stawia zadanie strasznie niebezpieczne — naj-mniejsze poślizgnięcie się i wszystko przepadło. A potem znów musi się człowiek z całej siły trzymać siedzenia, inaczej wóz trzęsie tak okropnie, że ani mowy, aby człowiek to wytrzymał. Kiedyśmy się tedy znaleźli na stacji, poprostu dygotałem. Tak łatwo dostaliśmy się do przedziału, że byłem pewny, iż teraz przyjdzie to najgorsze. A kiedy w chwili później pociąg ruszył absolutnie gładko, bez cienia jakichś trudności czy przygody, czułem się niewymownie zawiedziony.

Pociąg pędził przed siebie, szerokie pola z zielono-błękitnymi drzewami granicznymi, siola, gnieźdzące się w swym cieniu, wszystko leciało wstecz





Tagore śpiewa ojcu.





w strumieniu obrazów, uciekającym jak fala mi-  
rażów. Przyjechaliśmy do Bolpuru wieczorem.  
Kiedyśmy wsiedli do palankinu, zamknąłem oczy.  
Pragnąłem zatrzymać całą przepiękną wizję, roz-  
winiętą przed memi czuwającymi oczami w świetle  
porannem. Obawiałem się, że fragmenty, uchwy-  
cone tu i owdzie w niepewnym zmroku, pozbawią  
ją świeżości.

O świcie wstałem i z bijącym sercem wymkną-  
łem się z budynku. Mój poprzednik powiedział  
mi, że Bolpur posiada pewną właściwość, której  
zresztą na całym świecie nie znajdzie, mianowicie  
ścieżkę, prowadzącą z głównych budynków do  
mieszkań dla służby, ścieżkę, na której, mimo iż  
ona niczem nie jest przykryta, nie padnie na prze-  
chodnia ani jeden promień słońca, ani jedna kropla  
deszczu. Wyszedłem na poszukiwanie tej cudownej  
ścieżki. Czytelnik jednakże nie będzie się chyba  
dziwił, gdy mu powiem, że jej do dziś nie znalazłem.

Wychowany w mieście, nigdy nie widziałem  
pola ryżowego, miałem zato w głowie na krosnach  
swej wyobraźni piękny portret chłopca od krów,  
o którym czytaliśmy. Od Satji słyszałem, że dom  
nasz w Bolpur leży wśród pól dojrzewającego ryżu  
i że zabawa na tych polach z pastuszkami i chłop-  
cami od krów, zabawa, której koroną byłoby zry-  
wanie, gotowanie i jedzenie ryżu, jest rzeczą co-  
dzienną. Ciekawie rozejrzałem się dokoła. Gdzież

to, gdzie są te pola ryżowe na tym nieuprawnym stepie? Chłopcy od krów gdzieś tu być mogli, ale jak ich odróżnić od innych chłopców, oto pytanie!

Ostatecznie nietrudno mi było przejść do porządku nad tem, czego nie widziałem — dość było tego co widziałem. Nie było tu już panowania służby, a jedyny krąg, jaki mnie zamykał, stanowił błękit horyzontu, zakreślonego dokoła tych pustkowi przez panującą nad nimi boginię. W tem kole mogłem się poruszać, jak chciałem.

Mimo, że dotychczas byłem jeszcze dzieckiem, ojciec tych moich wędrówek zupełnie nie ograniczał. W zakłęśłościach piaszczystej ziemi woda deszczowa wymyła głębokie jamy i wyrzeźbiła w nich miniaturowe łańcuchy górskie, pełne czerwonego żwiru i różnokształtnych kamyków, przez które sączyły się malutkie strumyczki, co wszystko razem przypominało geografję Liliputów. Wybrałem z tych regionów mnóstwo ciekawych kamieni i zaniósłem ten zbiór w pole sukni memu ojcu. On nigdy mych trudów nie lekceważył, przeciwnie, okazywał wielki zapał.

— Jakże cudowne! — wykrzyknął — Skąd wzięłeś wszystkie te kamienie?

— Jest ich tam jeszcze znacznie więcej, tysiące i tysiące! — wybuchnąłem — Mógłbym ich codzień przynieść tyle co dziś.



— Ale to byłoby bardzo ładnie! — odpowiedział ojciec — Czy nie chciałbyś udekorować niemi mego małego wzgóрка?

W ogrodzie próbowano swego czasu wykopać sadzawkę, ponieważ się jednak pokazało, że woda podskórna znajduje się zbyt głęboko, zamiaru zaniechano, dzieła nie dokończono, a wykopaną ziemię zesypano na jedno miejsce i zrobiono z niej wzgórze. Na wierzchołku tego wzgóрка zwykł był ojciec zasiadać do swych modlitw porannych, a gdy tak tam siedział, słońce wschodziło na skraju falistej przestrzeni, ciągnącej się przed nim ku widnokręgom, na wschód. Ten właśnie wzgórek kazał mi ojciec ozdobić.

Opuszczając Bolpur, byłem bardzo zmartwiony z tego powodu, że nie mogłem zabrać swej kolekcji kamieni. Dotychczas jeszcze trudno mi zdać sobie sprawę z tego, że nie mam żadnego prawa do zawiązywania ścisłego stosunku z rzeczami tylko dlatego, że ja je zebrałem. Gdyby los był uczynił za- dość mym modłom, które tak żarliwie wówczas odmawiałem i zezwolił na to, abym zawsze dźwigał ze sobą to brzemień kamieni, nie miałbym z pewnością sił i ducha śmiać się dziś z tego.

W jednym jarze znalazłem zagłębienie, pełne wody źródlanej, wylewającej się zeń w postaci strumyczka, w którym śmigają małe rybki, z trudem płynące przeciw wodzie.

— Znalazłem takie ładne źródło! — oświadczyłem ojcu — Nie moglibyśmy brać z niego wody na kąpiel i do picia?

— Doskonale! — zgodził się i, dzieląc mój zachwyty, polecił, aby brano dla nas wodę z tego nowego źródła.

Ważałem się niestrudzenie wśród tych minjaturowych wzgórz i dolin w nadziei odkrycia czegoś nigdy dotychczas niewidzianego. Byłem Livingstonem tego nieznanego kraju, który wyglądał, jak gdyby widziany przez odwrócony teleskop. Minjaturowe palmy daktyłowe, krzaczasta tarnina, karłowate dzambolany, wszystko to stosowało się do minjaturowych łańcuchów górskich, strumyczka i odkrytych przeze mnie maleńkich rybek.

Prawdopodobnie w celu nauczania mnie uwagi, ojciec mój dał mi do mego rozporządzenia pewną drobną kwotę, zapowiadając, iż mam mu z niej zdawać rachunki. Włożył też na mnie obowiązek nakręcania za niego wartościowego złotego zegarka. W swem dążeniu do wpojenia mi jakiego takiego zmysłu odpowiedzialności, nie zwracał uwagi na szkodę, jaką ewentualnie może ponieść. Kiedyśmy wychodzili rano na przechadzkę, kazał mi dawać jałmużnę każdemu żebrakowi, któregośmy po drodze spotykali. Na końcu przechadzki nigdy mu się z tego wyrachować nie mogłem. Pewnego dnia pokazało się, że suma, którą posiadałem, była większa, niż z rachunku wypadło.



— Doprawdy, muszę cię zrobić swoim kasjerem! — odezwał się ojciec — Zdaje się, jak gdyby pieniądze w twych rękach się mnożyły!

Zegarek jego nakręcałem z tak niezmordowanym zapalem, że w krótkim czasie trzeba go było odesłać do zegarmistrza w Kalkucie.

Przypominam sobie pewien okres, kiedy, oczywiście znacznie już później, powierzono mi zarząd majątku, skutkiem czego drugiego lub trzeciego każdego miesiąca musiałem ojcu osobiście składać rachunki, oraz ze względu na zły stan jego oczu, czytać mu je. Przedewszystkiem musiałem odczytywać sumę w każdej rubryce, zaś ojciec, o ile miał jakie wątpliwości, pytał o poszczególne pozycje. Ile razy próbowałem poszachrować lub ominąć jakąś pozycję, któraby się mu nie podobała, byłem pewny, że wyjdzie to na jaw. To też te pierwsze dni miesiąca były dla mnie zawsze bardzo nieprzyjemne.

Jak to już zaznaczyłem, ojciec mój miał zwyczaj bardzo jasnego zdawania sobie sprawy ze wszystkiego — czy to były pozycje rachunków, czy ceremonjał uroczystości, wzrost lub wreszcie pewne zmiany w majątku. Nigdy nie widział nowo zbudowanej kaplicy w Bolpur, a jednak znał najmniejszy jej szczegół z rozmów z tymi, którzy odwiedzali go za swej bytności w Bolpur. Miał nadzwyczajną pamięć, a co raz zapamiętał, tego nigdy nie zapominał.



Ojciec mój podkreślił w swym egzemplarzu *Bhaga Wadgity* wiersze, które najbardziej lubił. Prosił mnie, abym je przepisał dla niego wraz z tłumaczeniem. W domu byłem chłopcem bez znaczenia, lecz tu, gdzie powierzano mi tak doniosłe funkcje, odczuwałem całą chwałę sytuacji.

W owym czasie dawno już byłem zwolniony od swego błękitnego bruljonu i miałem oprawny tom diarjuszów Letta. Staralem się teraz o to, aby moje poezje odznaczały się tą godnością, której im użyczać powinny okoliczności zewnętrzne. Stosowało się to nietylko do poematów samych, ale także do mego zachowania się, jako poety, wobec mej własnej wyobraźni. W Bolpur pisałem wiersze najchętniej wyciągnięty w cieniu młodej palmy kokosowej. Uważałem to za jedynie godne poety. Leżąc tak na twardym, gołym żwirze w palącym skwarze dnia, ułożyłem rycerską balladę na temat „Kląski Króla Prithwi“. Wbrew nadmiarowi swego wojennego ducha, ballada ta nie zdołała uniknąć wczesnej śmierci. Oto oprawny diarjusz Letta powędrował drogą swego starszego brata, błękitnego bruljonu, nie pozostawiając za sobą żadnego adresu.

Opuściliśmy Bolpur i, zatrzymując się po drodze na krótko w Sahibgandź, Dinapore, Alahabad i Kawnpore, stanęliśmy wreszcie w Amritsar.

Jedno zdarzenie z podróży na zawsze utkwilo mi w pamięci. Pociąg zatrzymał się na jakiejś wiel-

kiej stacji. Przyszedł konduktor i przestemplował nasze bilety. Mnie przyglądał się z taką ciekawością, jak gdyby miał jakąś wątpliwość, której jednak nie śmie wyrazić. Wyszedł, a po chwili wrócił z towarzyszem. Obaj kręcili się jakiś czas koło drzwi naszego przedziału i znowu odeszli. Wreszcie przyszedł sam naczelnik stacji.

— Czy ten chłopiec nie ma więcej jak dwanaście lat?

— Nie! — odrzekł mój ojciec.

Miałem wówczas lat jedenaście, ale wyglądałem na starszego.

— Pan musi zapłacić za niego cały bilet — rzekł naczelnik stacji.

Oczy ojca błysnęły, bez słowa jednak wyjął ze swej skrzynki banknot i wręczył go naczelnikowi stacji. Kiedy konduktorzy przynieśli ojcu resztę, rzucił im ją z pogardą, gdy naczelnik stacji ze wstydem patrzył na ten jawny dowód niedorzeczności jego podejrzeń.

Złota świątynia w Amritsar wraca mi na myśl, jak sen. Niejeden ranek towarzyszyłem ojcu do tego Gurudarbaru Sikhów w pośrodku jeziora. Nabożne śpiewy brzmią tu bezustannie. Ojciec mój, siedząc w tłumie nabożnych, łączył czasem głos swój z ich hymnami pochwalnymi, zaś oni, widząc cudzoziemca, biorącego udział w ich nabożeństwie, stawali się tak entuzjastycznie serdeczni, iż nieraz

wracaliśmy obładowani poświęconemi wotami z lodowatego cukru i innych słodczy.

Raz przyszedł do naszego mieszkania zaproszony przez ojca członek chóru i na jego prośby odśpiewał nam kilka ich pieśni nabożnych. Człowiek ten odszedł prawdopodobnie więcej niż zadowolony z otrzymanego wynagrodzenia. Następstwem tego było, że musieliśmy przedsięwziąć stanowcze środki samoobrony — tak uporczywa armja śpiewaków nas prześladowała. Spostrzegłszy, że nasz dom jest nie do zdobycia, muzykanci zaczęli czyhać na nas w ulicach. Nawet kiedyśmy rano wychodzili na przechadzkę, to tu, to tam pojawiała się przerzucana przez plecy tambura, której widok wywoływał w nas uczucie podobne do tego, jakiego musi doznawać ptak, spostrzegłszy muszkę na lufie myśliwego. Doprawdy, tak nam to dokuczyło, że już sam dźwięk tambury, słyszany zdaleka, przerażał nas i mało co nie wprawiał w omdlenie.

Z zapadnięciem wieczoru ojciec mój siadał na werandzie, wychodzącej na ogród. Ja musiałem mu wówczas śpiewać. Księżyc wzeszedł; promienie jego, przedzierające się przez drzewa, padają na podłogę werandy; ja śpiewam na nutę *Behagi*:  
O Towarzyszu wierny w najciemniejszych przejściach żyjeia...

Ojciec mój z głową opuszczoną na piersi i złożonemi rękami słucha w skupieniu. Do dziś mam tę scenę przed oczami.



Opowiadałem już, jak ojca ubawiło opowiadanie Srikanthy Babu o mych pierwszych próbach napisania poematu religijnego. Ale też pamiętam, jak potem zostałem za to wynagrodzony. Przy sposobności jednego z naszych świąt *Magh* śpiewano hymny, z których kilka było mego układu. Jeden z nich zaczynał się:

Oko nie widzi Ciebie, który jesteś źrenicą każdego oka...

Ojciec, złożony chorobą, znajdował się wówczas w Czinsurah. Posłał po mnie i mego brata Dżioti. Brata poprosił, aby mi akompanjował na harmonji, zaś mnie kazał śpiewać wszystkie me hymny, jeden po drugim — niektóre nawet dwa razy. Kiedy skończyłem, rzekł:

— Gdyby władca tego kraju znał jego język i mógł należycie ocenić jego literaturę, z pewnością nagrodziłby poetę. A ponieważ tak nie jest, muszę to uczynić ja.

Z temi słowy wręczył mi czek.

Ojciec wziął z sobą kilka tomów z serji Peter Parley'a do nauki. Zaczęliśmy od życia Benjamina Franklina. Ojciec myślał, że się to będzie czytało, jak jaka książka historyczna, to znaczy, że to będzie zajmujące i pouczające zarazem. Ale gdy tylko zabrałiśmy się do czytania, natychmiast zrozumiał swą pomyłkę. Benjamin Franklin był osobistością zanadto zajętą interesami. Ciasnota jego wykalkulowanej etyki oburzała mego ojca, a w niektórych

miejscach światowy rozum Franklina tak go irytował, że ojciec nie mógł się powstrzymać od ostrych słów potępienia.

Do tego czasu nie miałem z sanskrytem nic wspólnego, prócz wyuczenia się na pamięć pewnej ilości reguł gramatycznych. Ojciec jednym zamachem przeniósł mnie do drugiej części wypisów, ucząc mnie deklinacji w miarę, jak przychodziły w tekście. Bardzo mi się tu przydały postępy, jakie poczyniłem w bengalskim języku.<sup>1)</sup> Z uzyskanego z sanskryckich wypisów zapasu słów budowałem wspaniałe słowa złożone, skropione obficie dźwięcznym „m“ i „n“, co razem składało się na szatański żargon języka bogów. Ale ojciec nigdy nie szydził z tej mej lekkomyślności.

Prócz tego czytaliśmy też Proctora „Astronomję Popularną“, którą mi ojciec komentował prostszemi słowy, a którą ja potem tłumaczyłem na bengalski.

Z książek, które ojciec wziął był wówczas ze sobą dla swej własnej lektury, najbardziej nęciło mnie dziesięcio- czy dwunastotomowe wydanie Gibbona „Rzymu“; w szczególności dzieło to wydało mi się nadzwyczaj suchem. — Ja, jako chłopak, — myślałem — jestem bezbronny, więc czytam rozmaite książki, ponieważ muszę. Ale dlaczego miał-

---

<sup>1)</sup> W literackim języku bengalskim znajduje się wielka ilość słów, przejętych w niezmięnionej postaci z sanskrytu.

by się tak dręczyć człowiek dorosły, który przecie nie musi czytać, jeśli mu się co nie podoba?

### (15) W HIMALAJACH.

W Amritsar bawiliśmy mniej więcej około miesiąca, a gdzieś w połowie kwietnia wyruszyliśmy w Góry Dalhousie. Himalaje tak mnie już silnie ciągnęły, iż zdawało mi się, że ostatnie dni w Amritsar nigdy się nie skończą.

Kiedyśmy w *dżhampanach* dotarli do gór, terasowate ich zbocza stały w całym blasku piękna rozkwitających ozimin. Wyruszyliśmy co rano po śniadaniu, składającym się z chleba i mleka, a przed zachodem słońca zatrzymaliśmy się na noc w najbliższym zajezdzie. Cały boży dzień oczy me nie spoczywały, tak bardzo się bałem, aby im co nie uszło. Gdziekolwiek na zakręcie drogi, ucho-  
dzącej w wąwóz, spostrzegano bliżej gąszcz drzew wielkiej puszczy, zwłaszcza jeśli w cieniu ich tryskał wodospad, podobny do małej dziewczynki w pustelni, bawiącej się u stóp pogrążonych w zamyśleniu, szarych mędrców i szczebiocącej wśród czarnych, mchem porosłych skał, tam tragarze „dżhampanów“ stawiali na ziemi swe brzemię i odpoczywali. Czemuż, och, czemuż pozostawiliśmy za sobą tyle takich zakątków, czemu nie mogliśmy pozostać w nich na zawsze.



Oto wielka zaleta pierwszego wrażenia: Umysł nie zdaje sobie sprawy z tego, że tych rzeczy będzie znacznie więcej. Dowiedziawszy się o tem, ten kalkulujący organ natychmiast staje się oszczędniejszym w udzielaniu uwagi. Tylko wierząc, iż coś jest istotnie rzadkie, umysł przestaje być skąpcem w przyznawaniu wartości. Tak też i ja sam, idąc ulicami Kalkutty, wyobrażam sobie czasem, że jestem cudzoziemcem i dopiero wówczas spostrzegam, jak wiele tu jest do widzenia rzeczy, których się nie widzi, dopóki się nie zapłaci całej ich wartości w uwadze. Ten to głód realnego, prawdziwego widzenia każe ludziom podróżować po obcych krajach.

Ojciec mój powierzył mi swą podręczną kasę. Nie miał żadnej podstawy do wyobrażania sobie, iż ja będę najodpowiedniejszym stróżem poważnych sum, jakie w drodze w niej woził. Byłby o nią z pewnością znacznie spokojniejszy, gdyby się znajdowała w rękach Kiszori, jego dworzanina. To też przypuszczam, że ojciec chciał mnie tylko przyzwyczajić do odpowiedzialności. Pewnego dnia, kiedyśmy nad wieczorem stanęli w zajeździe, zapomniałem oddać ojcu kasę i pozostawiłem ją na stole. Dostałem za to burę.

Wysiadłszy u końca wyznaczonej na dzień drogi, ojciec kazywał stale wynosić krzesła przed zajazd i tak siadywaliśmy. W miarę jak zmierzch

zapadał, gwiazdy rozpałały się przecudnie w czystej atmosferze górskiej, a ojciec pokazywał mi konstelacje lub zaszczycał mnie dyskursem astronomicznym.

Dom, zajęty przez nas w Bakrocie, znajdował się na najwyższem wzgórzu. Mimo, iż zbliżał się już maj, było tu jeszcze przejmująco zimno do tego stopnia, że śnieg zimowy na ocienionem zboczu góry jeszcze nie stajał.

Nawet tu ojciec mój bez najmniejszego niepokoju pozwalał mi chodzić, gdzie chciałem. Trochę poniżej naszego domu znajdowała się odnoga górską, gęsto porośłą deodarami. Zapędzałem się w puszcę sam jeden, z laską, żelazem okutą. Te wspinałe drzewa, ze swemi wielkimi cieniami, sterzące tu niby olbrzymy — jakże niezmierne one przeżyły życie przez tak długie wieki! A jednak ten chłopak, niemal że jednodniówka w porównaniu z niemi, dreptał dokoła ich pni przez nikogo nie zaczepiany. Ile razy wszedłem w cień tych drzew, zdawało mi się, że czuję coś w rodzaju spokojnego chłodu jakiegoś starego, jak świat, jaszczura, a drżące światło i cienie na ich liściastym stropie przypominały jego łuski.

Mój pokój znajdował się na samym końcu domu. Leżąc w łóżku, mogłem przez niezastłonięte okna widzieć dalekie, śniegiem pokryte szczyty gór, świecące blado w ciemnościach. Czasami, nie wiem



o której to mogło być godzinie, napół rozbudzony widziałem jak ojciec, otulony w czerwony szal i z płonącą lampą w ręce przechodził pocichu, zdążając do oszklonej werandy, gdzie zasiadał do swych nabożnych rozmyślań. Znowu zasypiałem i znowu spostrzegalem go u swego łóżka, budzącego mnie lekkim potrząsaniem, zanim jeszcze ciemna noc minęła. Była to godzina, wyznaczona mi na uczenie się na pamięć deklinacyj sanskryckich. Jakież okropnie wietrzne przebudzenie się z miłego ciepła mych koców!

A tymczasem słońce wschodziło, ojciec, odprawivszy modlitwy, kończył wraz ze mną nasze mleko poranne, a wreszcie, mając mnie u swego boku, jeszcze raz zwracał się do Boga, śpiewając Upaniszady.

Wówczas dopiero wychodziliśmy na przechadzkę! Ale jakże mógłbym dotrzymać ojcu kroku? Niejeden starszy nie dokazałby tego! To też po chwili rezygnowałem z tego i wracałem do domu na przelaj, drapiąc się po zboczu górskim.

Po powrocie ojca następowała lekcja angielskiego, po godzinie dziesiątej kąpiel w wodzie zimnej jak lód; daremnie byłoby prosić służącego, aby ją bez pozwolenia ojca ogrzał, choćby dzbankiem gorącej wody. Dla dodania odwagi ojciec opowiadał mi o niesłychanie zimnych kąpielach, jakie mu kazano brać, kiedy był w moim wieku.



Drugą torturą było picie mleka. Ojciec przepadał za mlekiem i mógł go wypić bardzo dużo. Co się mnie tyczy, to czy nie odziedziczyłem po nim tej skłonności, czy też może stało się to pod wpływem niekorzystnego otoczenia, o którym opowiadałem, dość na tem, że mój apetyt na mleko pozostawiał ogromnie wiele do życzenia. Na nie szczęście pijaliśmy to mleko razem. Wobec tego musiałem się zdać na łaskę lub niełaskę służących i ich ludzkiej uprzejmości (lub ułomności) zawdzięczam, że mój kubek na mleko zawierał przeważnie więcej niż połowę piany.

Po posiłku południowym znowu rozpoczynały się lekcje. Ale to już było więcej, niż ciało i dusza mogły wytrzymać. Mój pokrzywdzony sen poranny domagał się koniecznie zadośćuczynienia, a ja omal że nie leciałem z nóg, zmagając się z sennością nie do przewyciężenia. A mimo to, jak tylko ojciec, zlitowawszy się nad moim oplakany stanem, wypuścił mnie, senność znikwała. A wówczas — jazda w góry!

Z kijem w ręce często wędrowałem z jednego szczytu górskiego na drugi, a ojciec się nigdy tym wycieczkom nie sprzeciwiał. Pod koniec jego życia spostrzegłem, że wogóle nigdy nie stawał w drodze naszej niezależności. Nieraz mówiłem lub robiłem rzeczy niezgodne tak z jego upodobaniami jak z jego zdaniem; jednym słowem mógł mnie powstrzymać, on jednak wolał czekać, póki gotowość do

powstrzymania się nie przyjdzie z wewnątrz. Bierne przyjmowanie tego, co jest dobre i właściwe, nie zadawało go; on chciał, abyśmy ukochali prawdę całym sercem, wiedząc, że sama tylko jej znajomość bez miłości jest bez treści. Wiedział także, że prawdę, wypromieniowaną z wewnątrz, można znowu odnaleźć, lecz że przymusowe lub ślepe przyjęcie jej z zewnątrz, tamuje tylko drogę do niej.

Jako młody chłopak zapaliłem się był do myśli zrobienia podróży wielkim gościńcem indyjskim aż do Peshawaru wozem, zaprzężonym w bawoły. Nikt mi tego planu nie chciał pochwalić i niewątpliwie z punktu widzenia praktycznego dużo można mu było zarzucić. Ale kiedy przedstawiłem go ojcu, ani chwili nie wątpił, że idea jest świetna — podróż koleją nie można nawet porównać! I tu zaczął mi opowiadać o jednej ze swych pełnych przygód wędrowek pieszo lub konno. O możliwych niewygodach lub niebezpieczeństwach nie wspomniał ani słowem.

Innym znów razem, kiedy już byłem mianowany sekretarzem Adi Brahma Samadz, odwiedziłem ojca w jego rezydencji w Park Street i oświadczyłem mu, że nie zgadzam się z zasadą, według której nabożeństwo odprawiają tylko brahmini z wykluczeniem innych kast. Ojciec bezwzględnie dał mi pozwolenie poprawienia tego, jeśli potrafię. Otrzymawszy pozwolenie, zmiarkowałem, że brak



mi sił. Umiałem odkrywać niedoskonałości, ale nie umiałem stwarzać doskonałości! Gdzież ci ludzie? A czy może posiadam moc, dzięki której przyciągnąłbym właściwego człowieka? Czy mam dość sił do budowania na miejsce tego, co mogę zburzyć? Dopóki nie przyjdzie właściwy człowiek, każda forma jest lepsza, niż żadna — taki, czułem, musiał być pogląd ojca na istniejący porządek rzeczy. A mimo to ani na chwilę nie chciał mnie zniechęcać wykazywaniem trudności.

I jak pozwalał mi chodzić po górach, gdzie chciałem, tak też w poszukiwaniu prawdy pozostawiał mi zawsze wolność chodzenia własnymi ścieżkami. Nie lękał się niebezpieczeństwa, iż mogę się dopuścić jakichś błędów, nie przerażała go perspektywa zagrażających mi cierpień. Niósł w ręku sztandar, nie trzcinę do wymierzania kar.

Często rozmawiałem z ojcem o domu. Jak tylko dostałem list od kogoś z rodziny, natychmiast śpieszyłem z nim do niego. Jestem głęboko przekonany, że w ten sposób dałem mu niejeden obrazek, którego nikt inny daćby mu nie mógł. Ojciec kazał mi też czytać listy, pisane do niego przez mych starszych braci. W ten sposób uczył mnie, jak powinienem do niego pisać, albowiem nigdy nie lekceważył doniosłości form zewnętrznych etykiety.

Przypominam sobie, jak drugi mój brat w liście pełnym sanskryckiej poniekąd frazeologii skarżył



się, iż czuje się śmiertelnie pracą znużony, poprostu za szyję przykuty do zajmowanego przez siebie stanowiska. Ojciec kazał mi opisać to uczucie. Zrobiłem to na swój sposób, on jednak był zdania, że lepiej odpowiadałoby tłumaczenie wprost przeciwne. W zarozumiałości swej zaciąłem się i przez dłuższy czas spierałem się z nim na ten temat. Kto inny byłby mi usta zamknął czem prędzej, ale ojciec mój słuchał mnie cierpliwie i zadawał sobie jeszcze trud uzasadnienia mi swego poglądu.

Czasami opowiadał mi ojciec komiczne historyjki. Pamiętał niejedną anegdotę ze sfer złotej młodzieży swoich czasów. Byli między nimi wytwornisie, dla których delikatnej skóry nawet haftowany brzeg muślinu z Dacco był za szorstki, tak że przez jakiś czas za najwykwintniejszą rzecz uchodziło nosić muśliny z poobrywanymi brzegami.

Ojciec też po raz pierwszy opowiedział mi ku wielkiej mojej radości anegdotę o mleczarzu, posądzonym o rozpuszczanie mleka wodą, lecz im więcej ludzi jeden z jego odbiorców delegował do kontrolowania go podczas dojenia, tem bardziej niebieskim stawał się płyn, aż wreszcie, kiedy odbiorca sam zaczął go wypytywać i zażądał wyjaśnień, mleczarz odpowiedział, iż jeśli będzie musiał zadowolić więcej dozorców, mleko jego nie przyda się na nic więcej, jak na wylęganie się ryb.

Po kilku miesiącach w ten sposób razem spędzonych, ojciec odesłał mnie do domu pod opieką swego oddanego ucznia i stronnika, Kiszori.

### (16) *MÓJ POWRÓT.*

Krępujące mnie więzy surowego trybu życia rozluźniły się na dobre, jak tylko wyjechałem z domu. Po powrocie wszedłem w swoje prawa. Dopóki siedziałem w swej klatce, nie myślano o mnie już choćby tylko dlatego, że byłem wciąż pod ręką w pobliżu; kiedy zeszedłem z oczu, pojawiłem się na widowni.

Przedsmak wzrostu mego znaczenia miałem już w powrotnej drodze do domu. Podróżując sam ze służącym, pełen zdrowia i humoru, w zwracającej uwagę, złotem wyszywanej czapeczce, wzbudzałem szacunek we wszystkich Anglikach, z którymi się w pociągu po drodze spotkałem.

Przybycie me do domu było nietylko powrotem z podróży, lecz zarazem powrotem z mego wygnania w mieszkaniach dla służby na należne mi miejsce w apartamentach wewnętrznych. Od tej chwili kiedykolwiek w pokoju mej matki zbierali się mieszkańcy apartamentów wewnętrznych, ja zajmowałem miejsce honorowe. Zaś ona, która wówczas była najmłodszą żoną w naszej rodzinie, obsypywała mnie nieprzebranymi skarbami swego przywiązania i swych względów.

Kochająca opieka kobiety należy się dziecku bez pytania, a ponieważ należy do rzeczy tak samo niezbędnych, jak światło lub powietrze, przyjmuje się ją poprostu bez żadnej świadomej wzajemności; raczej przeciwnie, dziecko dorostające często okazuje chęć wyswobodzenia się z oplątującej je ze wszystkich stron sieci kobiecej troskliwości. Zato nie-szczęсна istota, pozbawiona jej w czasie właściwym, jest faktycznie ożebrażona. Tak było ze mną. Wychowany w pokojach dla służby, znalazłszy się naraz w obliczu przechojnej czułości kobiecej, nie mogłem nie zdać sobie z tego sprawy.

Jak długo musiałem się trzymać zdala od wewnętrznych apartamentów, były one w mej wyobraźni czemś w rodzaju jakiegoś raj. *Zenana* <sup>1)</sup>, uchodząca z zewnętrznego punktu widzenia za coś w rodzaju więzienia, była dla mnie wcieleniem wszystkich swobód. Nie było tu ani szkoły ani Pandytów; jak mi się też zdawało, jeśli tu kto nie chciał czego robić, to nie musiał. Jej odcięta od świata bezczynność miała w sobie coś tajemniczego; bawiono się tu, robiono, co się komu podobało i nikomu nie musiało się zdawać sprawy z tego, co się robi. Stosowało się to zwłaszcza do mej najmłodszej siostry, której, mimo iż wraz z nami słuchała wykładów Nilkamala Pandyty, zdawało się być zupełnie wszystko jedno, czy umie lekcję czy nie. To

---

<sup>1)</sup> Część domu przeznaczona dla kobiet.



znowu, kiedyśmy o dziesiątej godzinie musieli zwijać się ze śniadaniem i spieszyć do szkoły, ona, z war-koczem dyndającym na plecach, odchodziła sobie obojętnie do siebie, drażniąc nas do szaleństwa.

A gdy w domu naszym pojawiła się nowa panna młoda, przybrana w swój złoty naszyjnik, tajemniczość apartamentów wewnętrznych stawała się jeszcze głębszą. Dziwnie pociągała mnie ku sobie ta, która przychodziła ze świata, a jednak stawała się członkiem rodziny, która była nieznaną, a jednak nasza — i płonąłem chęcią zawarcia z nią przyjaźni. Ale jak tylko po wielu usiłowaniach udało mi się zbliżyć do niej, najmłodsza siostra odpychała mnie od niej, mówiąc: — Czego tu, chłopcy, chcecie — wynoście mi się! — Obraza połączona z zawodem wystarczała. Przez oszklone drzwi ich gabinetów można było czasem dostrzec błyski wszelkiego rodzaju dziwnych cacek — tworów z porcelany i szkła — o świetnych barwach i wzorach. Nie uznawano nas za godnych dotknąć ich nawet, jakiejż tedy odwagi trzeba było, aby poprosić o pozwolenie bawienia się nimi! Otóż te rzadkie i podziwu godne przedmioty, za jakie my, chłopcy, je uważaliśmy, zdawały się nowych, kuszących barw dodawać pociągającemu urokowi apartamentów wewnętrznych.

Od tych jednak, wciąż odpędzany, musiałem trzymać się zdala. Jak świat zewnętrzny tak i wewnętrzny był dla mnie niedostępny. Stąd też

pierwsze wrażenia, jakie stamtąd wyniosłem, przedstawiają mi się pod postacią obrazów.

Skończywszy lekcję z Aghore Babu, wracam po godzinie dziewiątej wieczorem na noc do naszej sypialni. Słabo migocąca latarnia wisi w długim, z obu stron osłoniętym korytarzu, prowadzącym z zewnętrznej części domu do apartamentów wewnętrznych. Korytarz ten kończy się czterema czy pięciu schodami, gdzie światło już nie sięga i którymi ja schodzę do galerji, biegnącej dokoła pierwszego wewnętrznego czworoboku. Pęk promieni księżycowych pada ukośnie ze wschodniej strony nieba w zachodni kąt tych werand, pozostawiając resztę w ciemnościach. W tej smudze światła zebrały się dziewczęta i siedzą na podłodze przy sobie z wyciągniętymi przed się nogami, kręcąc z resztek bawełny knoty do lamp i gawędząc półgłosem o swych wsiach rodzinnych. Mnóstwo takich obrazów pozostało na zawsze w mej pamięci.

To znowu po wieczery odbywa się mycie rąk i nóg przed wyciągnięciem się na przestronnych łóżkach; a potem któraś z nianiek, Tinkari czy Sankari, przychodzi, siada u głów i zcicha opowiada nam historję księcia podróżującego samotnie przez pustynne bagniska, a gdy dochodzi do końca, cisza zapada w pokój. Obróciwszy się twarzą do ściany, wpatruję się w czarne i białe plamy, powstałe skutkiem odpadania tu i owdzie tynku od muru i rysu-



jących się niewyraźnie w ciemnym świetle; z tych plam wywołuję niejednen fantastyczny obraz, zanim wreszcie usnę. A czasami, wśród ciszy nocnej, słyszę napół przez sen okrzyki starego Swarupa, stróża nocnego, obchodzącego dom od werandy do werandy.

A potem nastaly nowe porządki, gdy ów wewnętrzny, bajeczny kraj mych marzeń sownie zaczął mnie obdarzać uznaniem, którego od tak dawna pragnąłem i kiedy odrazu, z nawiązką zwrócono mi wszystko to, co w naturalnym składzie rzeczy dzień w dzień powinienbym był otrzymywać. Nie mogę powiedzieć, żeby mi to głowy nie zawróciło.

Mały podróżnik miał mnóstwo do opowiedzenia o swych podróżach, lecz w miarę jak się ten trud powtarzał, opowiadanie jego rozluźniało się coraz bardziej, aż wreszcie najzupełniej rozeszło się z faktami. Niestety, jak wszystko inne tak i historia z czasem blednie, na czem cierpi też równocześnie i chwała opowiadającego; oto dlaczego musi on stale dorzucać nowe barwy, aby utrzymać ją w świeżości.

Po powrocie z gór byłem głównym mówcą na wieczornych zebraniach matki, na terasie, na dachu, pod gołem niebem. Pokusie stania się sławnym w oczach rodzonej matki o tyle trudno się oprzeć, o ile sławę tę nietrudno zdobyć. Jeszcze jako uczeń Szkoły Normalnej, znalazłszy w jakiejś czytance wiadomość, iż słońce jest setki i tysiące razy większe



od ziemi, natychmiast wtajemniczyłem w to matkę. Miało to służyć jako dowód, iż ten, który napozór wydaje się małym, może jednakże posiadać znaczną dozę wielkości. Popisywałem się też przed nią urywkami poezyj, cytowanemi jako przykłady w rozdziale prozodji czy retoryki w naszej gramatyce bengalskiej. Teraz wykladałem na jej zebraniach wieczornych różne astronomiczne bzdurstwa, wyczytane w Proctorze.

Uczeń mego ojca, Kiszori, należał swego czasu do trupy recytatorów dźwięcznych przeróbek epików Dasarathi'ego. Jeszcze gdy byliśmy w górach, mawiał do mnie często: — „O, mój braciszku<sup>1)</sup>, gdybym cię był miał w swej trupie, moglibyśmy dać wspaniałe przedstawienie!“ W głowie mej powstał kuszący obraz wędrowek z miejsca na miejsce w charakterze wędrownego śpiewaka, deklamowania i śpiewania. Nauczyłem się od niego mnóstwo pieśni z jego repertuaru, a piosenki te cieszyły się jeszcze większem powodzeniem, niż moje wykłady o fotosferze słońca lub licznych księżycach Saturna.

Jednakże bohaterstwem, które najbardziej zaimponowało matce, było to, że gdy reszta mieszkańców apartamentów wewnętrznych musiała poprzestawać na bengalskiem tłumaczeniu Rama-

---

<sup>1)</sup> Służba tytułuje pana i panią „ojcze“ i „matko“, zaś dzieci „bracie“ lub „siostrze“.

jany przez Krittiwazę, ja czytałem z ojcem sam oryginał Maharszi Walmiki ze skandowaniem i wszystkim, jak należy.

— Przeczytaj mi coś z tej Ramajany, przeczytaj! — mówiła, nie posiadając się z radości, gdy jej oznajmiłem tę nowinę.

Niestety, moje czytanie Walmiki ograniczało się do znajdującego się w moich wypisach sanskryckich krótkiego wyciągu z jego Ramajany, a i tego ustępu nawet zupełnie nie opanowałem. Prócz tego, przeglądając go teraz, zauważyłem, że pamięć mnie zawodzi i że większa część tego, co myślałem, że umiem, stała się mglista. Brakło mi jednak odwagi zasłaniać się słówkiem „zapomniałem“ przed ambitną matką, czekającą na triumf świetnych talentów jej syna, i skutkiem tego w tem, co odczytałem, pozostała wielka różnica między intencjami Walmiki a moim wykładem. Ten dobrotliwy mędrzec z pewnością z wysokości swego tronu na niebiosach odpuścił tę lekkomyślność chłopcu, starającemu się o pochwałę i sławę w oczach matki, zato inaczej miała się rzecz z Madhusudanem <sup>1)</sup>, poniżającym wszelką pychę.

Matka, niezdolna do powstrzymania swych uczuć wobec nadzwyczajnego mego czynu, chciała, aby wszyscy dzielili jej podziw.

---

<sup>1)</sup> Nazwa Wisznu pod postacią pogromcy pysznego demona, Madhu.

— Musisz przeczytać to Dwidźendrze! (mój najstarszy brat) — rzekła.

— Przepadło! — pomyślałem, na próżno zasłaniając się różnemi wymówkami, których matka jednakże nawet słuchać nie chciała. Posłała po mego brata Dwidźendrę i, jak tylko się pokazał, powitała go:

— Posłuchaj, jak Rabi czyta Ramajanę Wal-miki; zobaczysz, jak doskonale umie!

Trzeba było usłuchać i zrobić, czego chciano! Ale Madhusudan zlitował się nade mną i puścił mnie, dawszy mi tylko przedsmak swej mocy upokarzania. Brata mego odwołano prawdopodobnie od jakiejś jego własnej pracy literackiej. Nie okazując najmniejszego zniecierpliwienia, przysłuchiwał się memu tłumaczeniu sanskrytu na bengalski, a kiedy przeczytałem kilka wierszy, rzekł poprostu — „bardzo dobrze!“ — i odszedł.

Po wywyższeniu na obywatela apartamentów wewnętrznych miałem wrażenie, że bardzo trudno byłoby mi rozpocząć znowu życie szkolne. Uciekałem się do wszelkich możliwych wybiegów, aby tylko wykręcić się od Akademji Bengalskiej. Wobec tego spróbowano umieścić mnie w szkole św. Ksawerego. Ale rezultat był ten sam.

Starsi moi bracia po kilku kurczowych wysiłkach zupełnie na moim punkcie zrezygnowali — przestali mnie nawet strofować. Pewnego dnia najstarsza moja siostra odezwała się:



— Spodziewaliśmy się wszyscy, że z Rabi'ego będą ludzie, ale zawiedliśmy się najzupełniej.

Czułem, że znaczenie moje w świecie towarzyskim znacznie upada, mimo to jednak nie mogłem się zgodzić na przykucie mnie do wiecznych żaren młyna szkolnego, który, zerwawszy z wszelkiem życiem i pięknem, wydawał mi się czemś tak potwornie okrutnym, jak kombinacja szpitala i więzienia.

Jedno cenne wspomnienie ze szkoły Św. Ksawerego zachowało się dotąd w mej pamięci czyste i żywe — wspomnienie nauczycieli. Nie znaczy to, aby wszyscy byli jednakowo doskonali. Zwłaszcza u tych, którzy uczyli w naszej klasie, nie mogłem się dopatrzyć czcigodnej rezygnacji ducha. Nie wznosili się oni bynajmniej ponad zwykły poziom mechanicznego nauczania zwykłych nauczycieli szkolnych. Tak, jak rzeczy obecnie się mają, machina szkolna jest bezlitośnie brutalna; jeśli z nią połączy się jeszcze młyński kamień religijności zewnętrznej, musi skruszyć serce młodzieży na proch. Ten potężny, kamieniami młyńskimi obracany typ szkolny mieliśmy w szkole Św. Ksawerego. Mimo to, powtarzam, wyniosłem stamtąd wspomnienia, które wrażenie, jakie na mnie wywarli nauczyciele tej szkoły, stawiają na wyżynie idealnej.

Jest tu przedewszystkiem Ojciec De Peneranda. Bardzo mało miał z nami do czynienia — o ile dobrze pamiętam, przez krótki zaledwie czas zastępował

jednego z nauczycieli naszej klasy. Był Hiszpanem i, jak mi się zdaje, że nie bez trudności wyrażał się po angielsku. Może być z tego powodu chłopcy nie bardzo uważali na to, co mówił. Miałem wrażenie, że ten brak uwagi uczniów sprawia mu przykrość, ale on znosił go z niezmienną cierpliwością. Nie wiem, dlaczego wzbudzał w mem sercu współczucie. Rysy jego twarzy nie były piękne, ale jego sposób zachowania się był dla mnie dziwnie pociągający. Ile razy nań spojrzałem, zawsze duch jego zdawał się być pogrążony w modlitwie, a całą jego istotę przenikał nawskroś głęboki spokój.

Mieliśmy zwykle pół godziny na szkolne zadanie; był to czas, w którym, z piórem w rękę, przeważnie zamyślałem się, a myśli me wędrowały to tu, to tam. Pewnego dnia ojciec De Peneranda miał nadzór nad naszą klasą. Przechadzał się tam i nazad poza naszymi ławkami. Musiał z pewnością niejedną raz zauważyć, że moje pióro nie rusza się. Naraz zatrzymał się tuż za mną. Pochyliwszy się nade mną, delikatnie położył mi rękę na ramieniu i zapytał łagodnie: — Czy jesteś niezdrów, Tagore? — Było to tylko zwykłe pytanie, ja jednak nigdy nie mogłem go zapomnieć.

Oczywiście, nie mogę mówić za innych chłopców, ale ja osobiście czułem w nim obecność wielkiej duszy i nawet dziś samo to wspomnienie daje mi prawo wstępu do milczącego ustronia świątyni Boga.

Był też drugi stary Ojciec, którego wszyscy chłopcy kochali, mianowicie Ojciec Henry. Uczył w wyższych klasach, więc go dobrze nie znałem, ale jedną rzecz przecie pamiętam. Umiał po bengalsku. Pewnego dnia zapytał Niradę, ucznia ze swojej klasy, o pochodzenie jego nazwiska. Biedny Nirada <sup>1)</sup> był oddawna w najwyższym stopniu z siebie zadowolony, a już w szczególności o pochodzenie nazwiska nigdy zgoła się nie martwił, tak że zupełnie nie był przygotowany do odpowiedzi na to pytanie. Ponieważ jednak, wobec tylu niejasnych i nieznanymi słów w słowniku skompromitować się niezrozumieniem własnego nazwiska byłoby rzeczą tak śmieszną, jak gdyby ktoś wpadł pod koła własnego wozu, Nirada odpowiedział bez zajknięcia:

— *Ni* — *privativum* — *rode* — promienie słońca; stąd *Nirode* — to, co powoduje nieobecność promieni słonecznych.

### (17) *STUDJA DOMOWE.*

Gijan Babu, syn Pandyty Wedantawagisza, był teraz moim nauczycielem domowym. Zauważywszy, iż nie może pozyskać mej uwagi dla tego, co przepisywał kurs szkolny, zrezygnował z tego

---

<sup>1)</sup> Nirada jest słowem sanskryckim, oznaczającym „chmurę“, a złożonym z rzeczowników: *nira* — woda i *da* — dawca, w języku bengalskim wymawia się „Nirode“.



beznadziejnego zadania i wziął się do mnie z innej strony. Przeszedł ze mną Kalidasy „*Narodziny Boga Wojny*“, tłumacząc w miarę jak szliśmy naprzód. Przeczytał mi także: „*Macbetha*“, wyjaśniając mi naprzód po bengalsku tekst, poczem zamykał mnie w izbie szkolnej i trzymał tak długo, dopóki lektury dziennej nie przełożyłem bengalskim wierszem. W ten sposób doprowadził do tego, że przetłumaczyłem całą sztukę. Całe szczęście, że zgubiłem ten przekład, dzięki czemu o tyle mniejsze jest brzemie, ciążące na mojem *karma*.

Obowiązkiem Pandyty Ramsarwaswy było czuwać nad naszymi postępami w sanskrycie. Ten również zrezygnował z bezowocnego trudu nauczania gramatyki swego opornego ucznia i zamiast tego, czytał ze mną Sakuntalę. Pewnego dnia, postanowiwszy pokazać mój przekład *Macbetha* Pandytowi Widjasagarowi, zaprowadził mnie do niego.

Właśnie przyszedł był w odwiedziny Radżkriszna Mukherdzi i konferował z nim. Serce biło mi gwałtownie, kiedy wchodziłem do pełnej książek pracowni wielkiego Pandyty, surowy wyraz jego twarzy również nie mógł mi dodać odwagi. Niemniej, ponieważ pierwszy raz miałem przed sobą tak dystyngowanych słuchaczy, pragnąłem gorąco zdobyć ich uznanie. Wróciłem do domu nie bez powodu — jak mi się zdaje — do napadu entuzjazmu.

Co się tyczy Radźkriszny Babu, to poprzestał tylko na napomnieniu mnie, abym starannie odróżniał język i wiersz ról czarownic, zupełnie odmienny od języka i wiersza charakterów ludzkich.

Za mych lat chłopięcych literatura bengalska była, co się tyczy objętości, szczupła i mam wrażenie, że przeczytałem wszystkie możliwe i niemożliwe do przeczytania książki, jakie w owym czasie istniały. Ówczesna literatura dla młodzieży nie wyłoniła jeszcze swego własnego odrębnego typu — ale, jestem pewny, nic na tem nie straciłem. Wodnista zupka, przyrządzona z rozpuszczonego nektaru literackiego i przeznaczona dla młodzieży, w całej pełni liczy się z jej dziecinnością, zapomina za to, że są to dorastające istoty ludzkie. Książki dla dzieci powinny być pisane tak, żeby je poczęści można było zrozumieć, a poczęści nie. W dzieciństwie każdą książkę, która nam w ręce wpadnie, czytamy od deski do deski i tak to, co rozumiemy, jak i czego nie rozumiemy, jednakowo w nas pracuje. Tak zresztą sam świat reaguje na świadomość dziecka. Dziecko czyni swą własnością to, co zrozumie, zaś to, co leży poza niem, prowadzi je o krok naprzód.

Kiedy wyszły Satyry Dinabandhu Mitry, byłem w wieku, dla którego one się nie nadawały. Jedna z krewnych czytała tę książkę, ale mimo usilnych błagań nie mogłem jej skłonić, aby mi ją pożyczyła. Trzymała ją zawsze pod kluczem. Ta niedostępność



kazała mi pożądać jej tem bardziej, wobec czego rzuciłem wyzwanie, iż tę książkę przeczytać muszę i przeczytam.

Pewnego popołudnia krewna moja grała w karty, a klucze jej, uwiązane do rogu *sari*, zwisały jej przez plecy. Nigdy nie zwracałem uwagi na karty, wogóle kart nie znosiłem, tego jednak dnia trudno by to było poznać po mem zachowaniu się, do tego stopnia byłem jej grą zajęty. Wreszcie, kiedy jedna strona w zupełności zajęta była zrobieniem „dwudziestu“, skorzystałem ze sposobności i zacząłem rozwiązywać węzeł, na który zawiązane były klucze. Nie byłem zręczny, a prócz tego w podnieceniu spieszyłem się, więc mnie złapano. Właścicielka *sari* i kluczy ściągnęła z uśmiechem koniec szala z ramienia i, położywszy sobie klucze na podołku, grała dalej.

Wobec tego wymyśliłem podstęp. Wiedząc, że krewna bardzo lubi *pan*, podsunąłem jej je czem prędzej. Następstwem tego było, że w chwilę później musiała wstać, aby pozbyć się *pan* już zżutego, zaś wówczas z kolan jej spadły klucze, które znów machinalnie przerzuciła przez ramię. Tym razem klucze jej skradziono, włamywacz umknął i książka została przeczytana! Właścicielka jej chciała mnie wyłajać, ale oboje takeśmy się śmiali, że się jej to nie udało.

Dr. Radžendralal Mitra wydawał ilustrowany przegląd miesięczny. Mój trzeci brat miał w swej szafie z książkami jeden oprawny rocznik. Udało





Służące na werandzie.



mi się zdobyć i do dziś jeszcze pamiętam rozkosz, z jaką go wciąż od początku do końca, czytałem. Niejedno południe świąteczne spędziłem, leżąc na wznak na łóżku z tym kwadratowym tomem na piersiach, czytając o narwalu, o dziwnych wyrokach, wydawanych przez starodawnych „Kadich“ lub też studjując romantyczną historję Kriszny-Kumari.

Dlaczego dziś niema takich przeglądów? Mamy wprawdzie artykuły filozoficzne i naukowe z jednej strony, niesmaczne ramoty i podróże z drugiej, nie mamy jednak takich bezpretensjonalnych przeglądów, któreby prosty człowiek mógł czytać z przyjemnością — coś w rodzaju *Chambra* czy *Cassel'a* czy też *Strandu* w Anglii — któryby dostarczał czytającemu ogółowi prostej lecz zadowalającej strawy, przynosząc jak największą korzyść jak największej masie czytelników.

W młodych latach spotykałem też jeszcze jedno małe pismo perjodyczne *Abodhabandhu* (Przyjaciel Niewiedzącego). Zbiór zeszytów miesięcznych tego pisma znalazłem w bibliotece najstarszego brata i pożerałem je przez jakiś czas, siedząc na progu jego pracowni, wychodzącej na część południowej terasy. Tam, na kartkach tego miesięcznika zaznajomiłem się pierwszy raz z poezją Wiharilal Czakrawarti'ego. Ze wszystkiego, co wówczas przeczytałem, jego poezje przemawiały do mnie najsilniej. Niewyszukane, fletowe tony jego



poematów lirycznych budziły we mnie muzykę pól i polan leśnych.

Niejedną też łzę uroniłem nad temi kartkami, czytając patetyczne tłumaczenie „Pawła i Wirginji.“ To przedziwne morze, te wystrzępione wichrami lasy palm kokosowych na jego brzegu, zbocza gór, ożywione stadkami antylop — jakże rozkosznie orzeźwiająca miraża wyczarowywało to wszystko na płaskim dachu w Kalkucie! I oh, te romantyczne zaloty na leśnych ścieżkach samotnej wyspy, zaloty czytelnika, bengalskiego chłopca, do małej Wirginji z zawiązaną dokoła głowy, różnobarwną chustą!

A potem przyszedł Bangadarsan Bankima, szturmem zdobywając serca bengalskie. Już samo czekanie na wyjście następnego numeru miesięcznika nie należało do przyjemności, ale dalsze czekanie, póki go starsi nie przeczytają, było męczarnią po prostu nie do zniesienia! Dziś, kto chce, może jednym tchem pochłonąć odrazu *Czandaszekharę* lub *Biszabrikszę*, ale nikt już nie zazna rozkoszy tego czekania i domysłania się z miesiąca na miesiąc, tego zraszania długich przerw skoncentrowaną radością każdej krótkiej lektury, przeżywania w duchu szczegółów podczas oczekiwania i czyhania na to, co będzie dalej, tego połączenia zadowolenia z niezaspokojonem pożądaniami, tej długo przeciąganej rozkoszy czytania dzieła na raty.

Bardzo mnie też zajmowały kompilacje ze starych poetów pióra Sarady Mittera i Akszaja Sarkara. Starsi byli wprawdzie abonentami, lecz niezbyt pilnymi czytelnikami, tak że bez trudu mogłem te rzeczy dostać. Najbardziej poeigał mnie Widjapati swem ozdobnem, zepsutem narzeczem Maithili, głównie dlatego, że go nie mogłem zrozumieć. Próbowałem je odcyfrować bez pomocy komentarza kompilatora, zapisując w swym zeszycie wszystkie mniej zrozumiałe słówka w ich związku w miarę, jak na nie natrafiałem. Notowałem sobie też odrębności gramatyczne, o ile je spostrzegalem.

### (18) *MOJE OTOCZENIE DOMOWE.*

Jedną wielką rzeczą, która w młodości dała mi niemałe korzyści, była literacka i artystyczna atmosfera, przenikająca cały nasz dom. Przypominam sobie, jak, kiedy byłem jeszcze bardzo małym dzieckiem, stałem patrząc przez szczelinę w balustradzie werandy, skąd było widać oddzielne budynki, w których znajdowały się pokoje do przyjęć. Pokoje te były co wieczór oświetlone. Wspaniałe ekwipaże zajeżdżały przed portyk, goście wchodzili i wychodzili bezustannie. Co się działo, tego dobrze zrozumieć nie mogłem, niemniej wpatrywałem się wciąż ze swego miejsca w ciemnościach w rząd oświetlonych budynków. Przestrzeń, jaka mnie od

nich dzieliła, nie była wielka, ale przepaść, leżąca między mym dziecięcym światem a temi światłami, była niezmierna.

Jeden z mych starszych kuzynów, Ganendra, otrzymał był właśnie dramat napisany przez Pandytę Tarkaratnę i chciał wystawić go w naszym domu na amatorskiej scenie. Jego entuzjazm dla literatury i sztuk pięknych nie miał granic. Ganendra stanowił centrum grupy, która zdawała się z całą świadomością dążyć do tego, aby doprowadzić do takiego odrodzenia, jakie dzisiaj widzimy. W nim i dookoła niego zbudziło się wyraźne dążenie do stworzenia stroju narodowego, narodowej literatury, muzyki, sztuki i dramatu. Studjował on pilnie historję różnych krajów i zaczął pisać w języku bengalskim dzieło historyczne, którego jednak nie mógł skończyć. Przetłumaczył i ogłosił drukiem dramat sanskrycki *Wikramorwasi*, a niejedyn dobrze znany hymn jest jego kompozycji. Można o nim powiedzieć, iż on pchnął nas w kierunku pisania pieśni i poematów patriotycznych. Było to w dniach, kiedy *Hindu Mela* była jeszcze doroczną instytucją i stąd pochodzi rozpowszechnienie jego pieśni „Wstyd mnie opiewać Indyj chwałę.“

Dzieckiem jeszcze byłem, kiedy kuzyn Ganendra zmarł w młodym wieku, ale ci, którzy go raz widzieli, nigdy nie zapomną jego pięknej, rosłej, męskiej postaci. Wywierał on nieprzeparty wpływ



na ludzi. Umiał zebrać ludzi dokoła siebie i utrzymać ich przy sobie; jak długo działała jego potężna siła przyciągająca, mowy nie mogło być o jakimś zerwaniu. Należał on do ludzi — typ, naszemu krajowi właściwy — którzy, dzięki swemu osobistemu magnetyzmowi, z łatwością stają się środkiem swej rodziny czy wsi. W innych krajach, gdzie powstały już wielkie ugrupowania polityczne, społeczne lub handlowe, ludzie tego rodzaju z natury rzeczy wysuwają się na czoło jako przywódcy narodowi. Zdolność zorganizowania większej ilości ludzi w ściśle związaną korporację wymaga specjalnego genjuszu. W naszym kraju genjusz ten marnuje się, mojem zdaniem, tak żałośnie, jak gdyby ktoś, nadziemską siłą obdarzony, obracał ją na to, aby, zdjęwszy gwiazdę z nieba, używać jej zamiast zapałki.

Znacznie lepiej pamiętam jego młodszego a mego stryjecznego brata Gunendrę.<sup>1)</sup> Jego indywidualność również przepelniała cały dom. Jego wielkie, dobrotliwe serce obejmowało wszystkich: krewnych, przyjaciół, gości i służbę. Czy to na swej obszernej południowej werandzie, czy na trawniku koło fontanny, czy wreszcie nad brzegiem sadzawki, gdzie się łapało ryby, zawsze, niby uosobiona gościnność, przewodniczył zebraniom gości, którzy się przeważnie sami zapraszali. Jego wysokie mnie-

<sup>1)</sup> Ojciec słynnych artystów Gaganendry i Abamindry.

manie o sztuce i talencie sprawiało, że stale promieniał entuzjazmem. Każdy nowy pomysł jakiejś uroczystości, żartu, przedstawienia teatralnego czy innej zabawy znajdował w nim chętnego protektora i przy jego pomocy rozkwitał i przynosił owoce.

Byliśmy wówczas jeszcze za mali, aby móc brać jakiś udział w tym ruchu, ale fale wesela i życia, jakie dzięki niemu powstawały, docierały i uderzały w drzwi naszej ciekawości. Przypominam sobie, jak raz w wielkim salonie mego kuzyna odegrano burleskę, skomponowaną przez mego najstarszego brata. Ze swego miejsca u balustrady werandy naszego domu mogliśmy słyszeć dolatujące przez otwarte naprzeciwko okna wybuchy śmiechu, zmieszane z dźwiękami wesołych kupletów a od czasu do czasu dojrzeć też coś z komicznej gry Akszaja Mazumbara. Nie umieliśmy jeszcze dokładnie zdać sobie sprawy z treści kupletów, pocieszaliśmy się jednak nadzieją, że przecie kiedyś je zrozumiemy.

Przypominam sobie, jak raz pewien drobny wypadek zjednał mi szczególniejsze względy stryjecznego brata Gunendry. Nigdy w szkole nie dostałem nagrody, wyjąwszy raz za dobre zachowanie się. Z trzech mych braci ciotecznych Satja uczył się najlepiej. Pewnego razu, zdawszy doskonale jakiś egzamin, otrzymał nagrodę. Kiedyśmy przyjechali do domu, wyskoczyłem z powozu, aby zanieść tę

wielką wiadomość stryjecznemu bratu, który był w ogrodzie.

— Satja dostał nagrodę! — wołałem, biegnąc ku niemu.

Z uśmiechem posadził mnie na kolanach.

— A ty nagrody nie dostałeś? — zapytał.

— Nie! — odpowiedziałem — Ja nie, to tylko Satja.

Moja szczerą radość z powodzenia Satja, zdaje się, szczególnie mego brata stryjecznego ujęła. Zwróciwszy się do swych przyjaciół, przedstawił ją jako fakt godzien pochwały. Pamiętam dobrze, jak niewyraźnie mi się wówczas zrobiło, bo nie myślałem wcale o swem uczuciu w tem świetle. Nagroda, jaką otrzymałem za to, że nie dostałem żadnej nagrody, nie wyszła mi na dobre. Niema nic złego w sprawianiu dzieciom prezentów, o ile one nie mają być nagrodą i odznaczeniem. Świadomość siebie nie wychodzi młodzieży na zdrowie.

Po obiedzie kuzyn Gunendra udawał się do biura zarządu majątku, znajdującego się w naszej części domu. Biuro starszych braci było czemś w rodzaju klubu, gdzie śmiech i gawędy mieszały się swobodnie z rozmową o interesach. Kuzyn wyciągał się na szezlongu, zaś ja korzystałem ze sposobności, aby się oń choć otrzeć.

Zwykle opowiadał mi coś z historji Indyj. Do dziś dnia pamiętam zdumienie, jakie mnie ogarnęło,



kiedy się dowiedziałem, że Clive, utrwaliwszy panowanie W. Brytanji w Indjach, po powrocie do domu poderżnął sobie gardło. Z jednej strony stworzenie nowej historii, z drugiej posępny dramat, ukryty w tajemniczych ciemnościach ludzkiego serca. Skądże ten żaloszny upadek wewnętrzny i tak świetne powodzenie na zewnątrz? Przez cały dzień byłem pod tem wrażeniem.

Kiedy indziej znów zaznajamiało się kuzyna Gunendra dokładnie z zawartością mej kieszeni tak, aby nie mógł mieć najmniejszych wątpliwości o jej zawartości. Za najmniejszą zachętą pojawiał się bez najmniejszego wstydu mój bruljon. Nie potrzebuję chyba dodawać, że kuzyn mój nie był surowym krytykiem, przeciwnie, zdania, jakie wyrażał, nadawały się świetnie na reklamę. Mimo to, kiedy w którym poemacie ma dziecinna naiwność zbyt już rzucała się w oczy, nie mógł powstrzymać swego serdecznego „Ha! Ha!“

Raz napisałem poemat „Do Matki Indyj“, a ponieważ jedynym rymem, jaki w jednym wierszu wymyślić mogłem, było słowo „wóz“, więc musiałem ciągnąć już ten wóz dalej, mimo że nie było ani śladu jakiejś drogi, którąby mógł rozumnie przyjechać — jako że bezwzględne wymagania rymu nie chciały słuchać wątpliwości, podsuwanych przez rozum. Wybuch śmiechu, jakim kuzyn Gunendra ten wóz powitał, zdmuchnął go z powrotem tą samą

nieprawdopodobną drogą, którą był przyjechał, tak, że od tego czasu wszelki słuch o nim zaginął.

Mój najstarszy brat pracował wówczas nad swem arcydziełem, *Podróżą Wymarzoną*, siedząc przed niskim pulpitem na poduszkach, na południowej werandzie. Kuzyn Gunendra zachodził tam co rano i przesiadywał jakiś czas. Jego niezmierna zdolność radowania się pomagała poezji w rozkwicie nakształt rozkosznego podmuchu wiosennego. Mój najstarszy brat na przemiany to pisał, to znów odczytywał głośno, co napisał, a niepohamowana wesołość, do jakiej pobudzały go jego własne koncepty, wstrząsała całą werandą. Poetyckie natchnienie mego brata było tak płodne, że pisał znacznie więcej, niż w ukończonem dziele ostatecznie zużył. Niby nadmiernie obfite kwiatuszki mangowe, pokrywające kobiercem cień drzew mangowych o wiosnie, można było wzgardzone kartki jego *Podróży Wymarzonej* znaleźć rozrzucone po całym domu. Gdyby je kto był wówczas zbierał i przechował, utworzyłyby dziś kosz pełen kwiatów, zdobiących naszą bengalską literaturę.

Podsluchując pod drzwiami i wyglądając z za rogów, zdobywaliśmy i my swój pełny dział w tej uczcie literackiej, taka była obfita i tyle dało się z niej zachować. Najstarszy brat był wówczas u szczytu swych przedziwnych sił i z pod pióra jego wylewała się niestrudzenie fala po fali, cała powódź

fantazji poetyckiej, rymów i ekspresji, wypełniając swe brzegi i przelewając się przez nie z bujnym, radosnym peanem triumfu. Czy istotnie rozumieliśmy dokładnie *Podróż Wymarzoną*? Ale czy, aby się nią rozkoszować, musieliśmy ją koniecznie rozumieć? Nie zdołaliśmy osiąść skarbów, ukrytych w głębiach oceanu — i cóżbyśmy z nimi poczęli, gdybyśmy je zdobyli? — ale mogliśmy zanurzyć się w rozkoszach fal u brzegu; a jak żywo i wesoło w żyłach i arterjach naszych krążyła krew pod ich uderzeniami!

Im dłużej myślę o tym okresie, tem dokładniej zdaję sobie sprawę, że nie mamy już tego, co dawniej nazywało się *mudżlis*<sup>1)</sup>. W dzieciństwie widzieliśmy jeszcze konające promienie tej zażyłości towarzyskiej, charakterystycznej dla przeszłego pokolenia. Uczucia sąsiedzkie były wówczas jeszcze tak silne, że *mudżlis* był wprost koniecznością, zaś tych, którzy mogli czemś przyczynić się do jego uprzyjemnienia, skrzętnie poszukiwano. Dziś ludzie odwiedzają się wzajemnie, czy to dla interesu czy też z obowiązku towarzyskiego, nie zgromadzają się już jednak zapomocą *mudżlisu*. Nie mają czasu a równocześnie niema już zażyłych stosunków! Jaki to był ruch przyjeżdżających i odjeżdżających, jak wesołe życie w pokojach i na werandach, pełnych

---

<sup>1)</sup> W języku bengalskim słowo to oznacza nieoficjalne zebranie bez zaproszeń.



rozgwaru rozmów i ech śmiechu! Znikła umiejętność, z jaką przodkowie nasi stawali się ośrodkiem grup i zebrań, zaginęła sztuka rozpoczynania i prowadzenia ożywionej i zajmującej rozmowy. Ludzie wciąż jeszcze przychodzą i odchodzą, zdaje się jednak, jak gdyby te same werandy i pokoje były puste i bezludne.

W owych czasach wszystko, poczynając od sprzętów a skończywszy na uroczystościach, przeznaczone było na użytek tak wielu ludzi, że choćby tu była niewiadomo jaka świetność i wspaniałość, nic nawet zdaleka nie trąciło wyniosłością. Akcesoria te wzrosły od tego czasu co do liczby, zato jednak zubożały, stały się nieczule i nie posiadają już własności, mocą której sprawiały, iż zarówno wielki jak mały czuł się wśród nich jak w domu. Nagi lub biedno ubrany nie ma już prawa używania ich i posługiwania się nimi bez pozwolenia, wyłącznie dla swej uśmiechniętej twarzy. Ci, których dziś naśladujemy w budowaniu domów i ich urządzeniu, mają swe własne życie towarzyskie z jego szeroką gościnnością. Nasze nieszczęście polega na tem, że straciliśmy to, cośmy posiadali bez możności odbudowania się na modłę europejską, z tym ostatecznym rezultatem, iż nasze życie domowe straciło wszelką radość. Schodzimy się dla interesu lub celów towarzyskich, ale nigdy dla przyjemności samego spotkania się. Przestaliśmy wynajdywać spo-

sobności do zbierania ludzi razem wyłącznie dla naszej miłości bliźniego. Nie mogę sobie wyobrazić nic szpetniejszego od tej nędzy towarzyskiej, a gdy, spoglądając za siebie, widzę tych, których dźwięczny śmiech, tryskający prosto z serca, zwykł był lżejszemi czynić nam troski domowe, zdaje mi się, że to byli goście z jakiegoś innego świata.

### (19) *TOWARZYSZE LITERACCY.*

W chłopięcych latach przybył mi przyjaciel, którego pomoc w mych postępkach literackich była nieoceniona. Akszaj Czaudhury był szkolnym kolegą mego piątego brata. Był on M. A. literatury angielskiej, której miłość w nim była tak wielka, jak jej znajomość. Z drugiej strony nie mniejszy zachwył żywił dla naszych starszych autorów bengalskich i dla poetów Waisznawa. Umiał na pamięć setki pieśni bengalskich nieznanych autorów i na tych sobie przeważnie używał, śpiewając podniesionym głosem i nie zwracając najmniejszej uwagi na melodję, tonację lub wyrazy niezadowolenia słuchaczów. Nic też na świecie — w nim czy poza nim — nie było w stanie przeszkodzić mu w głośnem wybijaniu taktu do tej muzyki, do czego służył mu pierwszy lepszy stół czy książka, na której, dla ożywienia słuchaczów, wybębniał głośny werbel swemi cienkimi palcami

Należał on również do ludzi, obdarzonych nadzwyczajną zdolnością wyciągania z wszystkiego swej radości. Z taką samą łatwością i gotowością wchłaniał w siebie wszystko dobre, co w danej rzeczy było, z jaką nieumiarkowanie wyśpiewywał jej pochwały. Był też nadzwyczaj utalentowany jako improwizator i kompozytor utworów lirycznych i pieśni niemałej wartości, których autorstwem jednak bynajmniej się nie chlubił. Zupełnej uwagi nie zwracał na stosy rozrzuconych świstków, zapisanych przez siebie ołówkiem. Jego obojętność wobec jego talentów równała się ich płodności.

Jeden z jego dłuższych utworów poetyckich, ogłoszony drukiem w *Bagadarsanie*, był wysoko ceniony, a ja nieraz słyszałem jego pieśni, śpiewane przez ludzi, nie wiedzących nawet, kto je skomponował.

W literaturze prawdziwe zamiłowanie należy do zjawisk znacznie rzadszych niż erudycja i właśnie ta entuzjastyczna miłość w Akszaju Babu wzbudzała we mnie zwykle mój własny literacki szacunek. W stosunkach przyjacielskich był tak liberalny jak w swym krytycyzmie literackim. Wśród obcych czuł się, jak ryba wyrzucona na piasek, ale wśród przyjaciół różnice wykształcenia czy wieku nie miały dla niego żadnego znaczenia. Z nami, chłopcami, był chłopcem. Kiedy późnym wieczorem wychodził z *mudżlisu* starszych, chwytałem go za połę i zacią-



gałem do naszej sali szkolnej. Tam, usiadłszy na stole szkolnym, stawał się z nie mniejszem, jak wśród starszych ożywieniem, sercem i duszą naszych małych zebrań. Niejednokrotnie przy takiej sposobności przysłuchiwałem się jego dysertacji o jakimś poemacie angielskim, do której naraz przechodził; to znów wciągałem go w krytyczną dyskusję, badanie lub ożywioną dysputę, albo wreszcie czytałem mu coś z własnych utworów, zawsze nagradzany szczerze pochwałami.

Mój piąty brat, Dżiotirindra, był jednym z moich głównych pomocników w mych trudach literackich i emocjonalnych. Sam entuzjasta, lubił wzbudzać entuzjazm w innych. Nie dopuścił do tego, aby różnica wieku <sup>1)</sup> miała być dla mnie przeszkodą w swobodnem obcowaniu z nim, tak intelektualnem jak i uczuciowem. Tej wielkiej łaski, jaką on mi wyświadczył, nikt zresztą nie raczył mi zrobić, a niejeden ganił go nawet za to. Dzięki obcowaniu z nim zdołałem się pozbyć swej przeczulonej wrażliwości. Po twardym ucisku lat dziecinnych było to dla mej duszy tak niezbędne jak chmury monsunu po upalnym lecie.

Jednakże skutkiem tego zerwania więzów mogłem zostać kaleką na całe życie. Starsi i przełożeni niestrudzenie podkreślają możliwość nadużycia wolności, czyniąc z tego argument przeciw używaniu

---

<sup>1)</sup> Około dwunastu lat.

jej, ale ostatecznie bez tej możliwości wolność nie byłaby prawdziwie wolną. Prócz tego jedynym sposobem nauczania się, w jaki sposób danej rzeczy używać należy, jest właśnie jej nadużycie. Co do mnie przynajmniej, to muszę szczerze powiedzieć, że ile razy z mej wolności wynikło jakieś małe zmartwienie, zawsze wskazywało mi równocześnie drogę ku środkom, przy których pomocy można je było usunąć. Nigdy nie mogłem przyswoić sobie czegoś, co kazano mi pochłonać, trzymając mnie, fizycznie czy moralnie, za uszy. O ile mnie nie pozostawiono samemu sobie, nie zdobyłem nigdy nic, prócz bólu i troski.

Brat Dźiotirindra pozwalał mi bez żadnych zastrzeżeń iść własną drogą ku samopoznaniu i dopiero od tego czasu natura moja mogła przysposobić się do wydawania — być może — swych cierni, ale też i kwiatów. To moje doświadczenie nauczyło mnie bać się nie tyle samego zła, ile robienia dobrego tyrańskimi metodami. Miałem zawsze zdrowy wstręt do policji karnej, tak politycznej jak i moralnej. Stan niewolnictwa, przez nią wprowadzony, jest najgorszą formą raka, jakiemu ludzkość podlega.

Przez pewien czas brat spędzał całe dni przy fortepianie, zajęty tworzeniem nowych melodyj. Kaskady muzyki tryskały z pod jego roztańczonych palców, gdy Akszaj Babu i ja, siedząc po obu jego stronach, w miarę, jak się melodje kształtowały,



dobieraliśmy pilnie odpowiednich słów, aby je w ten sposób utrwalić w swej pamięci.<sup>1)</sup> W ten sposób odbyłem swój termin w komponowaniu pieśni.

Za naszych lat chłopięcych w rodzinie naszej szeroko muzykę uprawiano. Miało to dla mnie tę korzyść, że cała moja istota bez najmniejszego wysiłku mogła nią nasiąknąć. Mniej korzystnem było to, że wskutek tego nie posiadałem technicznego mistrzostwa, jakie może dać tylko wysiłek powolnego studjum krok za krokiem. To też nie zdobyłem bynajmniej tego, co się zwykło nazywać biegłością w muzyce.

Od czasu mego powrotu z Himalajów stale zdobywałem sobie coraz większą wolność. Panowanie służby skończyło się; starałem się wszelkimi sposobami o to, aby rozluźniły się też więzy mego życia szkolnego; nawet swym domowym nauczycielom nie dawałem dużo pola do popisu. Gijan Babu, przeszedłszy ze mną powierzchownie *Narodziny Boga Wojny* i jedną czy dwie książki jeszcze, odszedł, aby rozpocząć swą karierę prawniczą. Po nim przyszedł Bradża Babu. Ten pierwszego zaraz dnia dał mi do tłumaczenia *Wikarego z Wakefieldu*. Ta książka przypadła mi poniekąd do gustu, ale gdy to zachęciło go do układania bardziej wypracowanych planów, mających na celu moje postępy w nauce, zwinąłem chorągiewkę.

---

<sup>1)</sup> System notowania nie był jeszcze wówczas w użyciu.





Mój najstarszy brat.



Jak to już powiedziałem, starsi stracili co do mnie wszelką nadzieję. Ani mnie ani ich nie dręczyły już żadne plany na przyszłość. Wobec tego mogłem się swobodnie oddać zapełnianiu mego bruljonu. Oczywiście, utwory, jakimi go zapełniałem, nie były lepsze, niż można było oczekiwać. W duszy mej nie było nic, prócz gorącej pary i pełne tej pary bańki, bez znaczenia i sensu, pryskały i krążyły dokoła wiru próżniaczych urojeń. Nic się tu nie kształtowało, była tylko gra ruchu, zrywanie się baniek, pękanie ich i padanie znów w pianę. Odrobina zawierającego się w nich sensu nie pochodziła ode mnie, lecz była zapożyczona od innych poetów. Moim był tylko niepokój, wrące we mnie napięcie. Tam, gdzie ruch rodzi się, zanim jeszcze dojrzeje zrównoważenie sił, powstaje prawdziwie ślepy chaos.

Moja bratowa <sup>1)</sup> była zapaloną miłośniczką literatury. Czytała nietylko dla zabicia czasu, ale nowo przeczytane książki bengalskie zaprzętały zupełnie jej umysł. Brałem udział w jej literackich przedsięwzięciach. Bratowa była gorącą wielbicielką *Podróży Wymarzonej*. Ja też, tem bardziej, że, wzrósłszy w atmosferze jej powstawania, każdym fibrem swego serca zrosłem się z jej pięknościami. Na szczęście, poemat ten znajdował się najzupełniej poza moją zdolnością naśladowania, skutkiem czego nigdy

---

<sup>1)</sup> Nowa pani młoda w rodzinie, żona wspomnianego już piątego brata autora.



nawet na myśl mi nie przyszło spróbować coś w tym rodzaju.

*Podróż Wymarzoną* można porównać z przepysznyim pałacem Alegorji, o niezliczonych halach, komnatach, kurytarzach, kątach i niszach, pełnych posągów i obrazów cudownego rysunku i roboty, z mnóstwem ogrodów, altan i cienistych zakątków dokoła. Obfituje ona nietylko w myśl poetycką i wyobraźnię, ale zadziwia też bogactwem i różnorodnością języka i ekspresji. Niemalą rzeczą jest siła twórcza, która potrafi powołać do życia tak wspaniałą budowlę, kompletną w swych wszystkich szczegółach artystycznych i może być dlatego nie pomyślałem nigdy o jakiejś próbie naśladowania.

W owym czasie wychodziły w *Arji Darsanie* serje pieśni Wiharilala Czakrawarti'ego, zwane „Sara-ra-da Mangal.“ Słodczych tych utworów lirycznych nadzwyczaj ujęła bratową, która też wkrótce większą ich część umiała na pamięć. Zapraszała poetę często do naszego domu, a nawet wyhaftowała dla niego własnoręcznie poduszkę do siedzenia. To dało mi sposobność do zaprzyjaźnienia się z nim. Bardzo mnie polubił i ja często go odwiedzałem w jego domu o wszystkich porach dnia, rano, w południe czy wieczorem. Serce jego było tak wielkie jak jego ciało, a całą jego postać otaczała aureola fantazji, niby poetyckie ciało astralne, które zdawało się być prawdziwszym jego obrazem. Był zawsze pełen

szczerzej radości artystycznej, a ile razy znalazłem się przy nim, część jej od niego wynosiłem. Często odwiedzałem go w jego małym pokoiku na trzecim piętrze, wyciągniętego w skwarze południa na chłodnej, gładkiej podłodze z cementu i piszącego wiersze. Mimo że byłem tylko młodym chłopcem, witał mnie zawsze tak szczerze i serdecznie, że, zbliżając się do niego, nie czułem nigdy najmniejszego onieśmienia. A potem, opromieniony natchnieniem i zapominając o całym otoczeniu, czytał mi głośno swe poezje lub śpiewał pieśni. Nie powiem, aby głos jego miał szczególniejszy dar pieśni, ale był wówczas jeszcze wcale melodyjny i mógł dać niezłe wyobrażenie o zamierzonej melodji.<sup>1)</sup> Kiedy z zamkniętymi oczami podnosił swój bogaty, niski głos, jego wyrazistość wynagradzała to, czego nie dostawało wykonaniu. Wciąż jeszcze zdaje mi się, że słyszę niektóre jego pieśni tak, jak on je śpiewał. A czasem chciałbym dorobić muzykę do jego słów i zaśpiewać mu je.

Był zapalonym wielbicielem Walmiki i Kalidazy. Pamiętam, jak raz, wyrecytowawszy całą siłą głosu Kalidazy opis Himalajów, rzekł: — Następstwo długich, dźwięcznych „a“ tutaj nie jest bynajmniej przypadkowe. Poeta rozmyślnie powtarza ten

<sup>1)</sup> Cudzoziemskiemu czytelnikowi może pomóc do zrozumienia wyjaśnienie iż wprawny śpiewak indyjski mniej lub więcej improwizuje w zakresie tematu, podanego mu przez kompozytora, tak że ten nie potrzebuje dawać nic więcej, prócz poprawnej idei takiego tematu.



dźwięk przez całą długą drogę od miejscowości Devatma aż do Nagadhiradża, aby w ten sposób pomóc do uzmysłowienia sobie wspaniałej wielkości i rozciągłości Himalajów.

Szczytem mej ambicji w owym czasie było stać się takim poetą jak Wihari Babu. Może być, że udałoby mi się nawet wyrobić w sobie przekonanie, że faktycznie piszę zupełnie jak on, gdyby mi w tym nie przeszkadzała moja bratowa, jego zazdrosna wielbicielka. Straszyla mnie wciąż, przypominając mi powiedzenie z sanskrytu, że niegodny aspirant do poetyckiej sławy odchodzi z hańbą! Najprawdopodobniej wiedziała, że gdyby raz pozwolono wziąć mej próżności górę, byłoby bardzo trudno zaprowadzić nad nią. Tak ani me talenty poetyckie ani zdolności muzyczne rychłej pochwały u niej nie znajdowały; zato nie pomijała nigdy sposobności wychwalania mym kosztem czyjegoś śpiewu, z tym rezultatem, iż stopniowo stawałem się najszczerzej przekonany o niedostatkach swego głosu. Opadły mnie też wątpliwości co do mego uzdolnienia poetyckiego, ponieważ jednak było to jedyne pozostałe mi pole działalności, na którem miałem jakieś dane do zachowania szacunku dla samego siebie, nie mogłem dozwolnić, aby sądy drugich odebrały mi wszelką nadzieję; prócz tego rozmach we mnie był tak niewstrzymany, że zahamowanie mych poetyckich zapędów stało się zupełnie niemożliwe.



## (20) OGLASZANIE DRUKIEM.

Pisanie moje ograniczało się dotychczas do koła rodzinnego. Potem jednak zaczął wychodzić miesięcznik zwany *Gijanankur* (Wiedza Wschodząca) i stosownie do swej nazwy postarał się o zapewnienie sobie współpracownictwa embrjona poetyckiego. Miesięcznik ten zaczął drukować bez różnicy wszystkie me rymowane banialuki i do dziś dnia żyje w głębi mej duszy trwoga, iż kiedy nadejdzie dla mnie dzień sądu ostatecznego, jakiś entuzjastyczny literacki agent policyjny przeprowadzi rewizję w najskrytszej „zenanie“ zapomnianej literatury i, bez względu na protesty zgwałconej w ten sposób tajemnicy, wywlecze je okrutnie na widok publiczny.

Pierwszy mój utwór prozą ujrzał światło dzienne również w *Gijanankurze*. Było to studjum krytyczne, z którem łączy się nawet osobna historia.

Wyszedł był tom poezyj, zatytułowany „*Bhubanmohini Pratibha*“<sup>1)</sup>). Akszaj Babu w *Sadharani* i Bhudeb Babu w *Education Gazette* powitali nowego poetę z niepohamowanym zachwytem. Jeden z moich przyjaciół, starszy zresztą ode mnie, a z którym przyjaźń moja datuje się od tego czasu, przyszedł do mnie i pokazał mi otrzymane przez siebie listy z podpisem *Bhubanmohini*. Był on jednym

---

<sup>1)</sup> Słowo to, wzięte jako nazwisko autora, znaczyłoby: „Genjusz Bhubanmohini“.

z tych, których książka zachwyciła, a miał w zwyczajcu często pod adresem uznanej poetki posyłać na znak hołdu książki lub suknie.<sup>1)</sup>

Niektóre z tych poezyj były do tego stopnia niepowściągliwe, tak co się tyczy myśli i języka, że nie mogłem pogodzić się z myślą, aby je mogła napisać kobieta. Pokazane mi listy jeszcze bardziej zachwiały mą wiarą w kobiecość tego autora. Wątpliwości moje jednakże w niczem nie wpłynęły na zachwyt mego przyjaciela, który w dalszym ciągu uwielbiał swe bóstwo.

A wówczas ja zabrałem się do krytyki dzieła tego pisarza: Nie krępowałem się, lecz z erudycją wykazywałem niedostatki poszczególnych utworów lirycznych i innych krótkich poezyj, przyczem wielką mą wyższość stanowiło to, iż rzecz wydrukowana jest tak czelna, tak obojętna i nieczuła na prawdziwe zamierzenia pisarza. Mój przyjaciel wpadł w wielki gniew i przyleciał do mnie z groźbą, iż jeden B. A. pisze odpowiedź na mój artykuł. Aż B. A.! Mowę mi to odebrało. Doznałem tego samego wrażenia, jak za dawnych lat, kiedy mój brat cioteczny, Satja, wołał policjanta. Już widziałem słup triumfalny, wzniesiony na mych pięknych wywodach, kurczących się w mych oczach pod bezlitosnemi ciosami miażdżących cytat — a zarazem drzwi, szczelnie

---

<sup>1)</sup> Posyłanie w prezencie sukni na znak hołdu, szacunku i czci jest w Bengalu zwyczajem.



zamykające się przede mną i raz na zawsze usuwające  
mą twarz z przed oczu czytającej publiczności. Nie-  
stety, krytyku mój, pod jakże nieszczęśliwą urodziłeś  
się gwiazdą! Dzień po dniu spędzałem w najokro-  
pniejszym strachu. Ale, jak policjant Satji, tak  
i B. A. nigdy się nie pokazał.

(21) *BHANU SINGHA.*

Jak to już powiedziałem, swego czasu pilnie  
studjowałem serje starych poematów Waisznawa,  
zebrane i wydane przez Babu Akszaja Sarkara i Sa-  
rodę Mittera. Z trudnością przychodziło mi zrozu-  
mieć ich język, przeplatany dialektem Maithili, ale  
właśnie dlatego dokładałem wszelkich starań, aby je  
odcyfrować! Uczucia, jakie mnie wobec nich oży-  
wiały, podobne były do tej samej ciekawości, z jaką  
patrzyłem na nierozwinięty zarodek w ziarnie lub  
na nieodgadnioną tajemnicę ziemi pod jej pylną po-  
krywą, a w miarę, jak coraz głębiej i głębiej pogrą-  
żałem się w niezbadanych ciemnościach tej skarb-  
nicy, entuzjazm mój podtrzymywała nadzieja wy-  
dobycia na światło dzienne jakiegoś nieznanego  
klejnotu poetyckiego.

Kiedy tak byłem zajęty temi studjami, zaczęła  
mnie prześladować myśl spowicia mego własnego  
pisanie w taką właśnie szatę tajemniczości. Akszaj  
Czaudhury opowiedział mi raz historję angielskiego



chłopca-poety, Chattertona. Jak jego poezje wyglądały, o tem nie miałem najmniejszego wyobrażenia ani ja, ani nawet prawdopodobnie sam Akszaj Babu. Może być, że gdybyśmy wiedzieli coś więcej, cała historia straciłaby swój urok. Otóż melodramatyczny jej pierwiastek rozpałił mą wyobraźnię, bo czyż nie wielu wyprowadziło w pole jego udatne naśladowanie poetów klasycznych? A wreszcie nieszczęsny ten młodzieniec zginął z własnej ręki. Zostawiwszy samobójstwo na boku, zakasałem rękawy i stanąłem do współzawodnictwa z czynami młodego Chattertona.

Pewnego południa zebrały się gęste chmury. Rozkoszując się miłym cieniem południowej siesty, leżałem w mej nyży, wyciągnięty na łóżku, pisząc na tabliczce naśladowanie poematu *Maithili „Gahana Unsuma kundža madźhe“*.... Naśladowanie to bardzo mi się podobało, wobec czego bezzwłocznie przeczytałem je pierwszej osobie, która mi weszła w drogę; osobie, co do której nie zachodziło najmniejsze niebezpieczeństwo, aby mogła choć jedno słowo z tego wszystkiego zrozumieć i której też nie pozostawało do zrobienia nic innego, jak tylko, kiwając poważnie głową, powtarzać „Dobre, naprawdę, bardzo dobre!“

A tedy rzekłem jednego dnia do swego przyjaciela, o którym przed chwilą wspominałem: „Szukając czegoś w bibliotece *Adi Brahma Samadź*, zna-

lezione poplamiony, stary manuskrypt, z którego przepisałem tych parę poematów, napisanych przez starego poetę szkoły Waisznawa, nazwiskiem Bhanu Singha.<sup>1)</sup> Poczem przeczytałem mu kilka moich imitacyj. Był głęboko wzruszony. „Tego nie potrafiłby napisać nawet *Widjapati* czy *Czandidas!* — wykrzyknął z zachwytem. — Doprawdy, muszę dostać ten manuskrypt i dać go do wydrukowania Akszajowi Babu.

Wtedy ja pokazałem mu mój zeszyt z rękopisami i niezbitie przekonałem go, iż wierszy tych nie mógł napisać ani *Widjapati* ani *Czandidas*, ponieważ przypadkowo autorem ich byłem ja sam. Przyjaciel mój spuścił nos na kwintę i mruknął: — Owszem, owszem, wcale nieźle!

Kiedy te poezje Bhanu Singhi pojawiły się w czasopiśmie *Bharati*, dr. Niszikanta Czatterdzi bawił w Niemczech. Pisał był właśnie rozprawę o poezji lirycznej swej Ojczyzny, porównując ją z poezją liryczną Europy. Bhanu Sindze, jako jednemu ze starych poetów, wyznaczono w tej rozprawie miejsce tak zaszczytne, o jakim marzyć nawet nie mógł żaden z poetów współczesnych. Za pomocą niej uzyskał Niszikanta Czatterdzi swój doktorat filozofji.

---

<sup>1)</sup> Poeci szkoły Waisznana mieli zwyczaj umieszczać swe nazwisko w ostatniej strofie poematu i to stanowiło ich podpis. Tak *Bhanu* jak *Babi* znaczą „słońce.“

Kimkolwiek mógłby być Bhanu Singha, przysięgam, że gdyby utwory jego wpadły w moje ręce, nie zdołałyby wywieść mnie w pole. Język uszedłby, bo język, którym starzy poeci pisali, nie był ich mową ojczystą, lecz językiem sztucznym, narzędziem, zmieniającem się w rękach różnych poetów. Zato w uczuciach ich sztuczności żadnej nie było. Pierwsza lepsza próba rozpoznania poezji Bhanu Singhi zapomocą zbadania ich dźwięku, wykazałaby całą lichotę ich metalu. Nie miał on w sobie nic z porywającej melodji naszych starych fletów a tylko pobrzękiwanie nowoczesnej, zagranicznej katarynki.

## (22) *PATRJO TYZM.*

Z zewnętrznego punktu widzenia mogłoby się zdawać, iż do rodziny naszej uzyskał dostęp niejeden cudzoziemski obyczaj, jednakże w sercach jej płonie duma narodowa, której blask nigdy nie gaśnie. Szczere uczucie czci, jakie ojciec mój żywił dla swej ojczyzny, nie opuszczało go nigdy ani na chwilę w zmiennych kolejach jego rewolucyjnego życia, a cześć ta w jego potomkach przybrała kształt silnego uczucia patrijotycznego. A trzeba wiedzieć, że miłość ojczyzny nie była bynajmniej charakterystycznym rysem czasów, o których piszę. Nasze sfery wykształcone odpychały wówczas od siebie tak język ojczysty jak i wszelką myśl o kraju rodzinnym.



A mimo to moi starsi bracia zawsze uprawiali literaturę bengalską, zaś kiedy pewnego razu przy sposobności jakiegoś nowego małżeństwa przysłał ktoś memu ojcu list, napisany po angielsku, ojciec natychmiast odesłał go z powrotem jego autorowi.

*Hindu Mela* była uroczystością doroczną, ustanowioną przy pomocy naszej rodziny. Kierownikiem jej mianowany został Babu Nabagopal Mitter. Była to może pierwsza próba szacunku godnego uzmysłowienia sobie Indyj, jako naszej ojczyzny. Wówczas to powstał także popularny hymn narodowy mego drugiego brata „*Bharater Dżaija*“. Główne, charakterystyczne punkty programu tej *Meli* stanowiło śpiewanie pieśni, wysławiających ojczyznę, recytacja poematów opiewających miłość ojczyzny, wystawa sztuki i rzemiosł krajowych, wreszcie dodanie bodźca i zachęty narodowemu talentowi i umiejętnościom.

Z okazji durbaru <sup>1)</sup> lorda Curzona w Delhi napisałem odezwę prozą — z okazji durbaru lorda Lyttona poemat. Ówczesny rząd angielski obawiał się Rosjan, to prawda, ale nie pióra czternastoletniego poety. To też, mimo iż w poemacie moim nie brak było właściwych memu wiekowi ognistych uczuć, najmniejszego śladu konsternacji nie zauważono w szeregach władz, poczynając od głównodowodzącego, a skończywszy na komisarzu policji; ani też żaden

<sup>1)</sup> Uroczysta audjencja hołdownicza.

łzawy list nie przepowiadał w *Timesie* rychłego upadku Cesarstwa z powodu opieszałości tych miejscowych organów władzy. Poemat swój wygłosiłem pod drzewem na *Hindu Meli*, a jednym z moich słuchaczy był Nabin Sen, poeta. Przypomniał mi to później, kiedy już byłem starszy.

Piąty mój brat był założycielem związku politycznego, któremu przewodniczył stary Radźnarain Bose. Związek ten odbywał swe posiedzenia w jakiejś ruderze w jednej z nędznych uliczek Kalkutty. Działalność jego osłoniąta była tajemnicą. Ta tajemniczość to było jedyne, co mogło budzić grozę, bo zresztą faktycznie ani w naszych obradach ani w działalności nie było nic takiego, czegoby mógł się obawiać rząd czy naród. Większa część naszej rodziny nie wiedziała, gdzie spędzamy popołudnia. Frontowe drzwi tego naszego domu schadzek były zamknięte na klucz, salę zebrań zalegały ciemności, za hasło służyła nam *mantra* z Wed, zaś porozumiewaliśmy się szeptem. Już samo to wystarczało, aby nas przyprawić o dreszcze, a my przecie nie pożąдалиśmy niczego innego. Mimo iż właściwie zaliczałem się jeszcze do dzieci i ja też byłem członkiem tego związku. Otaczaliśmy się atmosferą tak czystego podniecenia, że doznawaliśmy zawsze wrażenia, jak gdybyśmy się wznosili w powietrze na skrzydłach tego naszego entuzjazmu. Nie czuliśmy w sobie śladu nieśmiałości, niewiary lub strachu,



a jedynym naszym celem było wygrzewanie się w skwarze naszej własnej żarliwości.

Brawura może mieć swe strony ujemne, ale stała zawsze wysoko w opinji ludzkiej. W literaturach wszystkich narodów widzimy nieskrywane usiłowania do podtrzymania tego szacunku. To też gdziekolwiek w danem miejscu znajdzie się dana grupa ludzi, nie może uniknąć stałego naporu tych podniecających wstrząśnień. Musimy zadowolić się odpowiadaniem na te wstrząsy, jak najlepiej możemy, zapomocą popuszczania cugli wyobraźni, zbliżania się do siebie, napuszonego gadania i gorliwego śpiewania.

Nie ulega żadnej wątpliwości, iż zamknięcie wszystkich wyłotów i zabarykadowanie wszystkich ujść właściwości tak głęboko zakorzenionej w naturze ludzkiej i tak wysoko przez człowieka cenionej, stwarza warunki niezgodne z naturą, sprzyjające działalności zdegenerowanej. Niedosć trzymać otworem tylko te drogi, które prowadzą do pracy biurowej w którymś z uchwytnych zamierzeń rządu cesarskiego — jeśli nie pozostawi się drogi zamierzeniom ryzykowniejszym, dusze ludzkie zaczną tęsknić do wyzwolenia i z pewnością zaczną się myśleć o tajemnych przejściach, których ścieżki są kręte a cele niemożliwe do przewidzenia. Jestem głęboko przekonany, że gdyby rząd okazał był wówczas zaniepokojenie pochodzące z jakichś podejrzeń, komedja,



w której brali udział młodzi członkowie tego związku, mogła się zmienić w straszną tragedję. Ale ostatecznie — ta zabawa skończyła się, ani jedna cegła w forcie Wiliama nie została naruszona, a my śmiejemy się dziś z tych wspomnień.

Brat mój Dżiotirindra zaczął się wtedy zajmować skomponowaniem stroju narodowego dla całych Indyj i w tym celu przedkładał związkowi najrozmaitsze rysunki. Uznano, że *dhoti* nie nadają się, spodnie były nazbyt cudzoziemskie; wobec tego brat mój wpadł na pomysł kompromisu, który znaczną ujmę wyrządził *dhoti*, a nie udoskonalił spodni. Ściśle mówiąc, spodnie ozdobiono dodaniem do nich z przodu i z tyłu fałszywych fałdów *dhoti*. Potwornej rzeczy, jaka wynikła z połączenia turbanu z *Solatopi*, najzapaleńszy nawet członek naszego stowarzyszenia nie ośmieliłby się nazwać ozdobną. Żaden człowiek obdarzony przeciętną odwagą cywilną, wyjąwszy mego brata, nie ośmieliłby się nosić całego kostjumu w biały dzień i bez najmniejszego wahania przejść w nim popołudniu przez cały dom do czekającego przed bramą powozu, nieczuły na osłupienie krewnych jak i przyjaciół, odźwiernego i woźnicy. Wielu może być w Indjach dzielnych ludzi, gotowych ponieść śmierć za swą ojczyznę, ale jestem pewny, że mało znajdzie się takich, którzyby nawet dla szczęścia narodu chcieli się pokazać na ulicy w podobnym wszech-indyjskim stroju.

Co niedziela zbierał mój brat towarzystwo łowieckie. Wielu z tych, którzy się do nas nieproszeni przyłączyli, nie znaleźliśmy nawet. Był między nimi jakiś mularz, jakiś kowal i wielu innych ze wszystkich warstw społecznych. Polowaniom tym nie dostawało tylko rozlewu krwi, przynajmniej ja żadnego sobie przypomnieć nie mogę. Zresztą wszystkie ich szczegóły były tak obfite i zadawalające, że brak zabitej czy rannej zwierzyny uważaliśmy za drobiazg bez najmniejszego znaczenia. Ponieważ wyruszyliśmy wczesnym rankiem, bratowa zaopatrywała nas w obfity zapas *luczi* z należnymi dodatkami; a że to nie zależało od naszego szczęścia w polowaniu, więc i tak nigdy nie wracaliśmy z pustymi brzuchami.

W okolicy Maniktoli nie brak dworców, otoczonych ogrodami. Pod koniec polowania wstępowaliśmy do któregoś takiego dworku i, wysoko czy nisko urodzony, każdy siadał na terasie nad sadzawką i rzucał się na *luczi* z taką zawziętością, iż zwykle pozostawały po nich tylko naczynia, w których je przyniesiono.

Jednym z najzapaleńszych zwolenników tych bezkrwawych „szikari“ był Bradża Babu, superintendent zakładu miejskiego, a swego czasu mój nauczyciel domowy. Pamiętam, raz wpadł na szczęśliwy pomysł rozpoczęcia rozmowy z *malim* (ogrodnikiem) pewnego ogrodu wiejskiego zapomocą pytania: — Hallo, wuja tu w tych dniach nie było! —



*Mali* bezzwłocznie ukłonił mu się z całym szacunkiem, poczem odpowiedział: — Nie, proszę pana, pan w ostatnich czasach nie przyjeżdżał! — Nie szkodzi, strząśnij nam kilka zielonych orzechów kokosowych z drzew! — Tego dnia mieliśmy po naszych *luczi* wyborny napitek.

W kółku naszym był jeden mały dzierżawca wiejski. Miał on willę na brzegu rzeki. Raz urządziliśmy sobie u niego piknik naprzekór kastowym przepisom. Popołudniu zerwała się okropna burza. Staaliśmy nad rzeką na schodkach, prowadzących w wodę i ryczeliśmy pieśni do jej akompanjamentu. Nie mogę bezzwzględnie twierdzić, iż w śpiewie Radźnaraina Babu można było rozróżnić wszystkie siedem nut gamy, niemniej natężał on potężnie swój głos i podobnie jak teksty sanskryckie nurzają się w nutach, tak i w muzycznych Radźnaraina Babu usiłowaniach jego bogata gestykulacja i mimika przewyższała jego słabszą produkcję wokalną; głowa jego, znacząc takt, latała z ramienia na ramię, podczas gdy burza szarpała jego rozwianą brodę. Późno w nocy wróciliśmy do domu najętymi końmi. Ciemności zapadły nieprzejrzone, panowała zupełna cisza, drogi wiejskie były samotne, a zarośla po obu stronach gościńca pełne świecących robaczków, rzekłbyś, taniec iskier, rozsypanych na jakimś bezgłośnym festynie.

Jednym z celów naszego stowarzyszenia było popieranie wyrobu zapalek i innych tego rodzaju



mniejszych przedsiębiorstw przemysłowych. Na ten cel każdy członek związku składał dziesięcinę z swych dochodów. Miało się fabrykować zapalki, ale trudno było o drzewo, z którego by się zapalki dało robić. Każdy wie, ile ognistej energii wprawna ręka może wydobyć z pędu *changrasu* <sup>1)</sup>, jednakże to, co za jej dotknięciem pali, nie jest absolutnie knotem lampy. Po wielu próbach udało się nam wreszcie zrobić pudełko zapalek. Entuzjazm patriotyczny, jakiego były objawem, nie stanowił bynajmniej ich jedynej wartości, albowiem za pieniądze, wydane na ich sporządzenie, można było rozpałać ognisko domowe przez przeciąg całego roku. Drugim małym niedostatkiem byłoby też, iż zapalek tych nie można było zapalić inaczej jak tylko od ognia. Gdyby mogły odziedziczyć choć odrobinę tego żaru patriotycznego, jaki je zrodził, do dziś dnia możnaby je sprzedawać.

Doszła do naszych uszu wieść, iż jakiś student pracuje nad zrobieniem motorowego warsztatu tkackiego. Natychmiast poszliśmy to zobaczyć. Nikt z nas nie posiadał wiadomości potrzebnych do oceny praktycznej użyteczności tego warsztatu, za-

---

<sup>1)</sup> Z wysuszonego i oczyszczonego głównego włókna liścia palmy kokosowej robi się długie pręty, przeciętnie grubości zapalki, a pęk takich prętów stanowi w gospodarstwie bengalskiem miotłę, przy pomocy której — jak mówią — pani domu utrzymuje w posłuszeństwie cały dom, poczynając od swego małżonka. Tagore robi tu aluzję do piekącego bólu, jaki uderzenie tej miotły sprawia obnażonym plecóm.

to co do zdolności wiary i nadziei nie ustępowaliśmy nikomu. Ten biedak wlaź w długi przewyższające wartość jego maszyny, którą też wykupiliśmy dla niego. A potem pewnego dnia ujrzelśmy Bradzę Babu, idącego ku naszemu domowi z głową, obwiązaną lichym ręcznikiem wiejskim. — „Zrobiony w naszym warsztacie!“ — krzyczał i, podniósłszy w górę ręce, rozpoczął taniec wojenny. Powierzchnia głowy Bradzy Babu zaczęła wówczas już siwieć.

Wreszcie pojawił się jakiś mądry człowiek, znający świat, wszedł między nas, dał nam pokosztować owocu wiadomości i zburzył nam nasz mały raj.

Kiedy pierwszy raz spotkałem się z Radżnarainem Babu, byłem zbyt młody, aby móc ocenić jego wszechstronność. Łączyło się w nim niemało sprzeczności. Mimo szpakowatej czupryny i brody, był tak młody jak najmłodszy z nas, zaś jego czcigodny wygląd służył mu tylko za biały płaszcz, utrzymujący jego młodzieńczość w wiecznej świeżości. Nawet jego rozległa wiedza nie zdołała wyrządzić mu żadnej szkody, ponieważ pozostawiła go absolutnie prostym. Do końca życia nic nie potrafiło zatamować nieustającego wylewu jego serdecznego śmiechu, czy to były usterki podeszłego wieku, czy choroby, nieszczęścia rodzinne, głębokość myśli i różnorodność wiedzy, co wszystko przypadło mu w niemałym udziale. Był ulubionym uczniem Richardsona i wzrósł w atmosferze nauki angielskiej,



a mimo to przewycięzył wszelkie przeszkody, wynikające z upodobań i wychowania wczesnej młodości i z całą miłością i oddaniem się poświęcił się literaturze bengalskiej. Najłagodniejszy z ludzi, pełen był jednakże ognia, który najgwałtowniej wybuchał w jego patriotyzmie, jak gdyby na popiół spalić pragnął całą nędzę i poniżenie swej ojczyzny. Pamięć tego łagodnie uśmiechniętego, promieniejącego zapalem i przez całe życie młodzieńczego świętego należy do tych, które zasługują na cześć rodaków.

### (23) *BHARATI.*

W całości okres, o którym piszę, był dla mnie okresem ekstatycznego podniecenia. Niejedną noc spędziłem bezsennie bez żadnej innej szczególniejszej przyczyny, jak tylko z pragnienia zrobienia czegoś wprost sprzecznego z tem, co było zupełnie oczywiste. Czuwałem, czytając samotny w ciemnem świetle naszej izby szkolnej; zegar na dalekiej wieży kościelnej wydzwaniał kwadransę, jak gdyby każda mijająca godzina wystawiona była na licytację, a od czasu do czasu rozlegały się głośnie *Haribol* tragarzy trupów, mijających Czitpore po drodze na miejsce spalania zwłok w Nimtollah. Czasem znów w księżycowe noce letnie wędrowałem niby duch, nie mogący znaleźć spokoju, wśród światła i cieniów stągwi i wazonów w ogrodzie na płaskim dachu domu.



Ci, którzy określają to, jako czcze poetyzowanie, nie postąpią słusznie. Sama ziemia, bez względu na to, że znacznie już posunęła się w latach, zdumiewa nas od czasu do czasu wychodzeniem ze swej trzeźwej równowagi, zaś w latach swej młodości, kiedy nie stwardniała jeszcze i nie skrzepla, była wulkanicznie wybuchowa i pozwalała sobie na niejedną dziką eskapadę. To samo zdarza się w dniach pierwszej młodości człowieka. Jak długo materiały, mające złożyć się na jego życie, nie przybrały jeszcze swego kształtu ostatecznego, mogą w okresie tego swego kształtowania się wywoływać zaburzenia.

W tym właśnie czasie brat mój Dżiotirindra postanowił wydawać *Bharati* z najstarszym bratem jako naczelnym redaktorem — dodając tem zarazem nowego bodźca naszemu entuzjazmowi. Miałem wtedy już szesnaście lat, ale w składzie redakcji mnie nie pominięto. Na krótki czas przedtem napisałem, z całą arogancją swej młodzieńczej zarozumiałości, krytykę *Meghonadawadhy*. Jak kwas jest charakterystyczny dla niedojrzałych owoców mango, tak napastliwy ton świadczy o niedojrzałości krytyka. Gdzie brakuje innych talentów, talent kłucia zdaje się być najlepiej rozwiniętym. Szukałem wówczas nieśmiertelności, próbując pozostawić ślady swych bazgrot na tej nieśmiertelnej epopei. Ta bezwstydną krytyka była mym pierwszym artykułem umieszczonym w *Bharatt*.

W pierwszym tomie wydrukowałem też długi poemat p. t. *Kawikahini* (Dzieje Poety). Był to owoc wieku, w którym autor faktycznie nie widział ze świata nic, prócz przesadzonego obrazu swego własnego mglistego „ja.“ Oczywiście, bohaterem całej historii był poeta, nie autor poematu taki, jakim był naprawdę, lecz taki, za jakiego chciał uchodzić. Nie możnaby powiedzieć, że istotnie pragnął być takim, jak ten jego rzekomy portret, który przedstawiał raczej to, czego — jego zdaniem — od niego oczekiwano, co zmusiłoby świat do kiwania z zachwytem głową i wykrzykiwania: — „Tak jest, to dopiero poeta prawdziwy, taki jak być powinien.“ Było tam wielkie popisywanie się wszystko ogarniającą miłością, tym ulubionym tematem młodocianego poety, wyglądającym tak okazale i o którym tak łatwo mówić. Dopóki w umyśle poety nie zaświta jakaś jego własna prawda a całym jego kapitałem obrotowym są słowa drugich, mowy nie może być o prostocie i powściągliwości w wyrażeniach. To też w usiłowaniach przedstawienia w sposób upiększający tego, co samo przez się jest istotnie wielkie, niepodobna uniknąć groteskowości i śmieszności.

Kiedy rumienię się, czytając te wylewy mej młodości, ogarnia mnie nieraz lęk, iż najprawdopodobniej to samo wypaczenie, spowodowane gonitwą za efektem, wygląda w sposób mniej może bijący



w oczy i z późniejszych moich utworów. Jestem pewny, że donośność mego głosu często zagłusza to, co chciałem powiedzieć, i prędzej czy później Czas pociągnie mnie za to do odpowiedzialności.

*Kawikahini* było pierwszym moim dziełem, które wyszło w książce. Mianowicie, kiedy wyjechałem z drugim moim bratem do Ahmedabadu, jeden z moich entuzjastycznych przyjaciół zrobił mi niespodziankę, wydał to dzieło i przysłał mi jeden tom. Nie mogę powiedzieć, aby zrobił dobrze, ale uczucie, jakiego wówczas doznałem, dalekie było od uczuć oburzonego sędziego. Niemniej został za ten swój postępek ukarany, nie przez autora, lecz przez publiczność, która wcale nie kwapiła się sięgnąć do sakiewki. Słyszałem, że martwe brzemie tych książek przeleżało niejeden długi dzień w księgarni, zaciężywszy srodze tak na półkach księgarskich jak i na humorze nieszczęśliwego wydawcy.

Utwory, napisane w tym wieku, w jakim zacząłem pisać do *Bharati*, nie mogą się nadawać do ogłaszania drukiem. Niema lepszego sposobu zapewnienia sobie skruchy w wieku dojrzałym, jak przedwczesne rozpoczęcie drukowania. Ale jest też w tem jedna rzecz zbawienna: Trudna do zwalczenia chęć ujrzenia swych własnych utworów w druku wczesnie przechodzi. Jak wyglądają czytelnicy, co mówią, jakie błędy drukarskie pozostały niepoprawione, te i tym podobne zmartwienia mijają niby choroby



dziecinne i pozwalają w życiu późniejszym pracować nad dziełem literackim ze zdrowszym poglądem na rzecz.

Literatura bengalska jest zbyt młoda, aby mogła już wypracować sobie tamy wewnętrzne, umożliwiające kontrolę nad jej wielbicielami. Pisarz bengalski z samego siebie musi wysnuwać siłę hamującą w miarę, jak wzrasta jego pisarskie doświadczenie, co uniemożliwia mu najzupełniej uniknięcie fabrykowania przez dłuższy czas rzeczy pozbawionych wszelkiej wartości. Ambicja robienia cudów zapomocą skromnych środków, jakimi się rozporządza, dochodzi w początkach do opętania, tak, że w utworach młodocianych wciąż ma się do czynienia z usiłowaniem przekroczenia na każdym kroku granic wrodzonych sił, a co za tem idzie, granic prawdy i piękna. Na to, aby móc wyzwolić swe własne „ja“, aby się nauczyć liczenia się z własnymi środkami, takimi, jakimi one są, potrzeba czasu.

Krótko mówiąc, zasmarowując stronnice *Bharati*, pozostawiłem na nich dość młodocianych bzdurstw, aby się ich dziś wstydzić; zaś wstyd mnie nie tylko samych ich niedostatków literackich, lecz także ich okrutnej arogancji, niedorzecznych pomysłów i pretensjonalnej sztuczności. Równocześnie jednak wolno mi stwierdzić, iż utwory moje z tego okresu pełne były entuzjazmu, którego wartość nie może być mała. Był to okres, któremu tak samo przy-

rodzony był błąd, jak i chłopięca zdolność nadziei, wiary i radości. I jeśli paliwo błędów było potrzebne do sycenia płomienia entuzjazmu, o ile to, co miało być spalone na popiół, istotnie w popiół się obróciło, dobrodziejstwo, wyświadczone mi przez płomień, nie pozostało w mem życiu bez następstw.

#### (24) AHMEDABAD.

Kiedy *Bharati* rozpoczęły drugi rok swego istnienia, drugi mój brat ofiarował się wziąć mnie z sobą do Anglii, zaś pozwolenie udzielone przez ojca, ta dalsza, niespodziewana łaska Opatrzności, zaskoczyło mnie najzupełniej.

Narazie wyjechałem z mym bratem do Ahmedabadu, gdzie on pełnił obowiązki sędziego. Moja bratowa bawiła wtedy wraz z dziećmi w Anglii, tak, że dom był właściwie pusty.

Rezydencja sędziego znana jest jako *Szachibagh* i mieści się w starym pałacu z czasów Badszachów. U stóp murów, dźwigających szeroką terasę, płynął cienki w lecie strumień rzeki Sawarmati, wzdłuż jednego brzegu swego szerokiego piaszczystego łożyska. Mój brat wychodził do sądu, a wówczas ja zostawałem sam w obszernym pałacu, gdzie ciszę południa przerywało tylko gruchanie gołębi, a niepohamowana ciekawość pchała mnie wciąż do wędrowek po pustych komnatach.



Brat mój umieścił swe książki w zagłębieniach ścian jednego wielkiego pokoju. Między temi książkami znajdowało się też wspaniałe wydanie dzieł Tennysona, z wielkimi inicjałami i licznymi ilustracjami. Książka ta była dla mnie tak milcząca, jak sam pałac i mniej więcej tak samo przechadzałem się wśród jej obrazków. Nie dlatego, żebym zupełnie już nie mógł niczego zrozumieć z jej tekstu, lecz ponieważ mówiła mi znacznie więcej niż słowy, tem czemś w rodzaju nieartykułowanego gruchania. W bibliotece brata znalazłem też książkę, zawierającą wszystkie poezje sanskryckie, wydane przez dra. Haberlina i drukowane w starej drukarni Serampore. Ta książka również przechodziła siły mego zrozumienia, ale dźwięczne słowa sanskryckie i rytm miary trzymały mnie wciąż drepcącego wśród *Amaru Szataka* poematów do taktu oszałamiającego warczenia ich bębnow.

Ma samotna cela pustelnicza znajdowała się w górnej części wieży pałacowej; za całe towarzystwo miałem tylko gniazdo os. W czarnych ciemnościach nocy sypiałem tam sam. Czasami jedna, dwie osy spadały mi z gniazda na łóżko, a jeśli przypadkiem, przewracając się na bok, którą przygmiotłem, spotkanie było nieprzyjemne dla osy i bardzo przykre dla mnie.

Jedną z mych fantazyj było chodzenie w księżycowe noce po szerokiej terasie, skąd widać



było rzekę. Podczas takich to przechadzek skomponowałem pierwsze melodje do swych pieśni. Jedną z nich była pieśń o Dziewicy Róż, drukowana wciąż jeszcze w wydaniach mych dzieł.

Spostrzegłszy, jak niedoskonałą była moja znajomość języka angielskiego, postanowiłem przeczytać kilka książek dokładnie przy pomocy słownika. Od najdawniejszych czasów miałem zwyczaj nie krępować się w czytaniu niedostatkami zupełnego zrozumienia, najkompletniej zadowolony gmachem, jaki wyobraźnia ma wznosiła na strzępach, które tu i owdzie połapałem. Po dziś dzień zbieram dodatnie i ujemne rezultaty tego zwyczaju.

### (25) ANGLJA.

Po sześciomiesięcznym pobycie w Ahmedabadzie wyruszyliśmy do Anglii. W nieszczęsnej godzinie zacząłem pisać listy z podróży do krewnych i do *Bharati*. Cofnąć ich dziś już nie mogę. Nie były one niczem więcej, jak tylko wynikiem młodocianej brawury. W tym wieku umysł wzdraga się przyznać, iż największą jego chlubą może być zdolność rozumienia, uznawania i szanowania, oraz że skromność jest najlepszym środkiem rozszerzania jej zakresu. Podziw i pochwała uchodzą za oznaki słabości i poddania się, zaś pragnienie zakrzywienia, atakowania i obalania zapomocą mędrkowania rodzi ten gatunek

fajerwerków intelektualnych. Te moje próby utrwalenia swej wyższości zapomocą poniżania innych, mogłyby mnie dziś bawić, gdyby ich brak szczerości i zwykłej przyzwoitości nie dotykał mnie zbyt przykro.

Właściwie to od najmłodszych lat nie miałem był faktycznie żadnych stosunków ze światem zewnętrznym. Wziąwszy to pod uwagę, zanurzenie się — w siedemnastym roku życia — w samym środku towarzyskiego morza Angli mogłoby usprawiedliwiać poważne obawy co do tego, czy potrafię utrzymać się na jego powierzchni. Ponieważ jednak przypadkowo bawiła w Brightonie wraz z dziećmi moja bratowa, więc pierwsze wstrząśnienie przebyłem pod jej dachem.

Właśnie zbliżała się zima. Pewnego wieczoru, kiedyśmy gawędzili przy kominku, dzieci wpadły do nas nagle z wstrząsającą nowiną, iż spadł śnieg. Natychmiast wszyscy wybiegliśmy na dwór. Było przejmujące zimno, niebo przepelniał biały blask księżyca, zaś ziemię okrył biały śnieg. Nie była to twarz przyrody, do której przywykłem, przeciwnie, to co ujrzałem, było mi zupełnie obce — niby sen. Wszystko, co było bliskie, uciekło gdzieś w głąb, pozostawiając po sobie ciche, białe figury niby ascetów, pograżonych w głębokich rozmyślaniach. Nigdy jeszcze nie doznałem — krokiem tylko wyszedłszy za próg domu — podobnie nagłego objawienia tak przedziwnego i niezmiernego piękna.



Wesoło mijały mi dni pod tkliwą opieką mej bratowej i wśród ożywionych zabaw z dziećmi. Śmieżyła je ma dziwna wymowa angielskiego i chociaż w innych ich uciechach mogłem całym sercem brać udział, co do tej to trudno mi było ocenić jej komizm. Jakże mogłem im wytłumaczyć, że niema logicznych środków dla odróżnienia brzmienia „a“ w „warm“ i „worm“? Nieszczęśliwiec, musiałem dźwigać całe jarzmo śmieszności, które właściwie zawdzięczałem tylko dziwactwom angielskiej pisowni.

Stałem się wcale biegły w sztuce wyszukiwania nowych sposobów zajmowania i zabawiania dzieci. Sztuka ta później niejednokrotnie mi się przydała, a i dziś jeszcze nie straciła dla mnie całej swej użyteczności, nie czuję jednak już w sobie dawnego bogactwa zawsze gotowej pomysłowości. Była to pierwsza sposobność, kiedy mogłem oddać serce swe dzieciom, a posiadało ono jeszcze wówczas całą swą świeżość i kipiącą bujność takiego daru.

Nie przedsięwziąłem jednakże tej podróży poto tylko, aby zamienić dom rodzinny po jednej stronie morza na drugi, po drugiej jego stronie. Ideą przewodnią było, iż mam studjować prawo i powrócić do domu jako obrońca sądowy. To też pewnego dnia zaprowadzono mnie do szkoły publicznej w Brighton. Pierwsze, co mi po przyjrzeniu się rysom mej twarzy dyrektor powiedział, było: — „Cóż to za wspaniała



głowa!“ Szczegół ten utkwiał mi w pamięci dlatego, że ta, która w domu tak gorliwie przestrzegała dobrowolnie wziętego na siebie obowiązku tłumienia mej próżności i zarozumiałości, wmówiła we mnie, iż tak kształt mej głowy jak wogóle rysy twarzy, porównane z innymi, były co najwyżej przeciętne. Spodziewam się, że Czytelnik poczyta mi za dobre, iż najzupełniej jej uwierzyłem i w duchu oplakiwałem oszczędność, z jaką Stwórca mnie stworzył. Widząc, jak i pod wielu innymi względami angielscy moi znajomi wydawali o mnie sądy zgoła inne, niż te, które zwykłem być od niej słyszeć, zacząłem poważnie łamać sobie głowę nad różnicą gustu obu krajów!

Jedna rzecz w szkole brightońskiej wydawała mi się wprost nadzwyczajną: Chłopcy zupełnie nie byli wobec mnie brutalni. Przeciwnie, często wtykali mi w kieszenie pomarańcze lub jabłka i uciekali. To ich niezwykle zachowanie się mogę przypisać tylko temu, że byłem cudzoziemcem.

Mimo wszystko do tej szkoły też długo nie chodziłem — ale to nie było winą szkoły. Mr. Tarak Palit <sup>1)</sup> bawił wówczas w Anglii. Zorjentował się, że to wszystko do niczego nie prowadzi i nakłonił mego brata do pozwolenia mu zabrania mnie z sobą do Londynu i pozostawienia mnie tam samemu sobie w pensjonacie. W tym celu wybrano pensjo-

---

<sup>1)</sup> Później Sir Tarak Palit, przyjaciel drugiego brata autora.

nat naprzeciw Parku Regenta. Było to w środku zimy. Ani jednego listka nie widziało się na ustawionych w szeregi drzewach, wyciągających w niebo swe sękate, śniegiem okryte gałęzie — widok, od którego zimno przejmowało mnie do szpiku kości.

Dla nowoprzybywającego cudzoziemca nie może być okropniejszego miejsca nad Londyn w zimie. Prawie nikogo nie znałem, nikogo nie mogłem znaleźć. Powtórzyły się w mem życiu dni, kiedy to siadywałem sam w oknie, zdala przyglądając się światu. W tym wypadku jednak scena nie była tak pociągająca. Smutek leżał w jej fizjognomji, niebo było pochmurne, światło pozbawione blasku, jak oko trupa, widnokrąg jak gdyby się skurczył i ani jednego zachęcającego uśmiechu z szerokiego, gościnnego świata! Pokój był bardzo ubogo umeblowany, ale przypadkiem znajdowała się w nim fisharmonja, na której, kiedy światło dzienne przedwcześnie skończyło, wygrywałem różne akordy, stosownie do swego nastroju. Czasami odwiedzali mnie rodacy z Indyj, a chociaż znajomość moja z nimi była tylko powierzchowna, gdy wstawali aby odejść, miałem chęć przytrzymać ich za poję.

Kiedy mieszkałem w tym pensjonacie, pewien jegomość przychodził uczyć mnie łaciny. Jego chuda postać w znoszonym ubraniu wyglądała, jak gdyby nie mogła stawić zimie większego oporu jak te nagie drzewa. Nie wiem, ile mógł mieć lat, ale widziało się,



że wygląda na starszego, niż jest w rzeczywistości. Pewnego dnia podczas lekcji zabrakło mu naraz jakiegoś słowa, tak, że spojrzał zakłopotany, zawstydzony. W rodzinie uważano go za zniechęconego. Opętała go pewna teoria. Wierzył on mianowicie, że w każdej społeczności ludzkiej we wszystkich częściach świata objawia się pewna dominująca idea; i mimo że pod różnymi stopniami cywilizacji idea ta może przybierać różną postać, w gruncie rzeczy pozostaje jedną i tą samą i bynajmniej nie potrzeba zyskiwać jej zapomocą, procesu wzajemnego udzielania jej sobie i adopcji, ponieważ prawda ta wychodzi na wierzch nawet tam, gdzie niema żadnego obcowania. Głównym jego kłopotem było zebranie i spisanie faktów, któreby tej jego teorii dowiodły. A gdy tak zajmował się temi sprawami, dom jego cierpiał niedostatek żywności, on sam nie miał co włożyć na siebie. Jego córki nie żywiły bynajmniej wielkiego respektu dla jego teorii i prawdopodobnie robiły mu bezustanne wymówki z powodu tego jego zaniedbania się. W niektóre dni można było poznać po jego twarzy, że znalazł nowy jakiś dowód i że stosownie do tego jego teza posunęła się naprzód. Wtedy rozpoczynałem z nim na ten temat rozmowę i зараżałem się jego entuzjazmem. Kiedy indziej znów przychodził mroczny, jak gdyby nie mógł już udźwignąć swego brzemienia. Wówczas nauka przerywała się co chwila, jego wzrok uciekał gdzieś



daleko w pustkę, a jego myśl nie dawała się ściągnąć na kartki Małej Gramatyki Łacińskiej. Głęboko współczułem z tą biedną duszą, obciążoną teorią a o wygłodzonem ciele i mimo, iż nie miałem żadnych złudzeń co do tej pomocy w nauce łaciny, nie mogłem się zdobyć na to, aby tego człowieka odprawić. Te pozorne lekcje łaciny trwały, jak długo mieszkałem w tym pensjonacie. Kiedy w przeddzień mego wyprowadzenia się, chciałem biedakowi zapłacić, rzekł z żalem: — Nic nie zrobiłem, zmarnowałem panu tylko dużo czasu, nie mogę przyjąć od pana żadnego wynagrodzenia. — Z wielkim trudem udało mi się nareszcie namówić go, aby przyjął zapłatę.

Mimo, iż mój nauczyciel łaciny nigdy nie próbował dręczyć mnie dowodami prawdziwości swej teorii, ja dotychczas nie przestałem w nią wierzyć. Jestem przekonany, że dusze ludzkie związane są z sobą zapomocą jakiegoś głęboko ukrytego „medjum“ i że ono każde zaburzenie w jednej części w tajemniczy sposób komunikuje innym.

Następnie umieścił mnie Mr. Palit w domu pewnego pedagoga, nazwiskiem Barker. Przyjmował on na mieszkanie studentów, których przygotowywał do egzaminów. Wyjąwszy jego pocziwą, dobrą żonkę nie było w tym domu nic, co mogłoby rościć sobie pretensję do jakiegoś powabu. Można zrozumieć, w jaki sposób tacy pedagogowie znajdują uczniów, bo ci często nie mają wyboru. Ale przykro

się robi, kiedy się myśli o warunkach, w jakich tacy ludzie znajdują swoje żony. Pani Barker próbowała pocieszać się swym ulubionym pieskiem, zaś Barker, chcąc ukarać żonę, dręczył jej psa, tak, że jej przywiązanie do nieszczęsnego zwierzęcia rozszerzało tylko pole jej cierpień.

Rozumie się, że kiedy po mnie, znajdującego się w takim otoczeniu, posłała bratowa w Torquay w Devonshire, aż nadto byłem szczęśliwy, że się mogłem do niej wyrwać. Nie mogę powiedzieć, jak szczęśliwy czułem się tutaj wśród wzgórz, morza, kwiecistych łąk, w cieniu sosen i z mymi dwoma małymi, bezustannie uganiającymi się towarzyszami. Mimo wszystko dręczyło mnie czasem pytanie, dlaczego, podczas gdy me oczy pełne są piękna, myśl ma pełną radości, zaś me dni bez zajęcia kroczą w bezgraniczny błękit przestrzeni, brzemiennie niezmaconą błogością, nie odzywa się we mnie głos poezji. Wobec tego zrobiłem pewnego dnia wycieczkę wzdłuż skalistych wybrzeży, zbrojny w notatnik i parasol, z zamiarem uczynienia zadość swemu poetyckiemu powołaniu. Wybrany przeze mnie zakątek był niewątpliwiej piękności, bo ta nie zależała ani od mego rymu ani natchnienia. Był to płaski wiszar, wynurzający się z wody, jak gdyby w wiecznym gniewie; przede mną, huśtając się na pokrytych pianą falach płynnego błękitu, rozslonecznione niebo spało, uśmiechając się przez sen do jego kołysanki; za mną



cień frendzli sosen leżał rozścielony jak zrzucona szata rozteśknionej driady. Siedząc na tym tronie kamiennym, napisałem poemat „Magnatari“ (Zatopiona Łódź). Byłbym do dziś przekonany, że ten poemat jest dobry, gdybym go był wówczas przezornie rzucił w morze. Niestety, tem się pocieszać nie mogę, ponieważ poemat ten istnieje, i mimo, iż został wygnany z wydania mych dzieł, lada odpis może spowodować jego opublikowanie.

Jednakże poseł obowiązku nie próżnował. Znowu doleciało do mnie jego wezwanie, wobec czego musiałem wrócić do Londynu. Tym razem znalazłem schronienie w domu dra. Scotta. Pewnego pięknego wieczoru najechałem jego dom z kuframi i tobołami. Zastałem tylko siwowłosego doktora, jego żonę i ich najstarszą córkę. Dwie młodsze córki, przerażone najazdem cudzoziemca z Indyj, opuściły dom i zamieszkały u krewnej. Zdaje mi się, że wróciły do domu dopiero wówczas, kiedy się dowiedziały, że nie jestem niebezpieczny.

W bardzo krótkim przeciągu czasu stałem się jakby członkiem rodziny. Pani Scott traktowała mnie jak syna, zaś serdecznej dobroci, jaką okazywały mi jej córki, rzadko można doznać nawet od własnych krewnych.

Kiedy mieszkałem przy tej rodzinie, uderzyła mnie jedna rzecz — mianowicie, iż ludzka natura jest zawsze ta sama. Powtarzamy chętnie, w co i ja sam



też wierzyłem, iż w Indjach przywiązanie kobiety do męża jest czemś jedynem w swoim rodzaju, czemś, czego w Europie znaleźć nie można. Co się mnie jednak tyczy, to nie mogłem znaleźć żadnej różnicy między panią Scott a idealną żoną hinduską. Myśl o mężu pochłaniała ją najzupełniej. Przy ich skromnych środkach mowy nie mogło być o zbyt licznej służbie i pani Scott sama osobiście dbała o wszystkie potrzeby męża. Kiedy miał wieczorem wrócić po pracy do domu, ona sama własnoręcznie przysuwała do kominka jego fotel i jego wełniane pantofle. Nie pozwalała sobie nigdy ani na chwilę zapomnieć o tem, co on lubił, i o zachowaniu, jakie mu się podobało. Każdego ranka wraz ze swą jedyną służącą przechodziła przez cały dom, od strychu do kuchni, a mosiężne pręty na schodach, klamki i ozdoby na drzwiach wycierano i czyszczono tak długo, póki znowu nie załśniły. Ale oprócz tych zajęć domowych było też niemało obowiązków towarzyskich. Po załatwieniu wszystkich spraw dziennych z przyjemnością brała udział w naszej lekturze wieczornej i w produkcjach muzycznych, jako że jednym z niemniej ważnych obowiązków dobrej gospodyni jest ożywianie wesołości godzin odpoczynku.

Czasem brałem wieczorem udział w seansach spirytystycznych, jakie młode panny urządzały. Kładliśmy palce na małym stoliku do herbaty i stolik, skacząc, krążył po pokoju. Zdarzało się czasem tak,

że wszystko, czegośmy tylko dotknęli, zaczynało drgać i dygotać. Pani Scott niezbyt się to wszystko podobało i nieraz poważnie potrzęsała głową, mówiąc, że ma swe wątpliwości co do tego, czy to rzecz godziwa, ponieważ jednak nie chciała nakładać tłumika młodym naszym temperamentom, znosiła to mężnie. Ale raz, kiedyśmy chcieli położyć ręce na cylindrze dra. Scotta, było jej tego już przecie trochę za dużo i, powstawszy na nas w wielkim gniewie, zakazała nam go dotykać. Nie mogła znieść myśli, aby szatan choć na chwilę miał mieć coś do czynienia z ubraniem głowy jej małżonka.

Całe jej postępowanie cechował ten niezmierny szacunek dla męża. Wspominając jej słodkie zaparcie się siebie, uświadamiam sobie, iż ostateczną doskonałość wszelkiej miłości kobiecej można znaleźć w szacunku; i że gdzie jakieś nadzwyczajne przyczyny nie przeszkodziły jej prawdziwemu rozwojowi, miłość kobiety z natury rzeczy urasta do rozmiarów uwielbienia. Tam, gdzie zbyt wiele jest rozkosznego zbytku i pustota zaćmiewa tak dzień jak i noc, miłość ta cierpi poniżenie, a natura kobiety nie może znaleźć radości swej doskonałości.

Spędziłem tu kilka miesięcy. A potem nadeszła dla mego brata pora powrotu do domu, zaś mój ojciec zażądał listownie, abym mu towarzyszył. Perspektywa ta zachwyciła mnie. Milcząco przyzywało mnie do siebie światło mej ojczyzny i me ojczyste niebo.



Kiedy zegnałem się z panią Scott, wzięła mnie za rękę i rozplakała się. — Poco pan przybył do nas — rzekła — jeśli pan musi tak prędko odjeżdżać? — Tej rodziny niema już w Londynie. Niektórzy jej członkowie przenieśli się na drugi świat, inni żyją rozproszeni w nieznanym mi miejscowościach. Ale wspomnienie jej zawsze żyć będzie w mej pamięci.

Pewnego dnia, kiedy przechodziłem jakąś ulicą w Tunbridge Wells, ujrzałem człowieka, stojącego na chodniku. Gołe palce nóg widać było przez dziury jego obuwia, a jego pierś była częściowo obnażona. Nie odezwał się do mnie ani słowem, może dlatego, iż zebranie było zakazane, ale przez chwilę patrzył mi w twarz. Pieniądz, jaki mu dałem, miał może większą wartość, niż się spodziewał, ponieważ, ledwo się parę kroków oddaliłem, człowiek ten pobiegł za mną, mówiąc: — Panie, pan dał mi przez pomyłkę sztukę złota! — i chciał mi ją zwrócić. Nie byłbym tego tak dokładnie zapamiętał, gdyby mi się coś podobnego nie było przytrafiło przy innej okazji. Gdy pierwszy raz stanąłem na stacji kolejowej w Torquay, tragarz odniósł mi mój pakunek do dorożki. Napróżno szukając w sakiewce drobniejszej monety, dałem mu wreszcie pół korony, kiedy dorożka już ruszała. Po chwili tragarz doznał nas biegiem, wołając na woźnicę, aby stanął. Myślałem, że uznawszy mnie za naiwnego, wpadł na pomysł, aby zażądać wię-



cej. Gdy dorożkarz stanął, tragarz rzekł: — Pan przez pomyłkę dał mi zamiast szóstki pół korony!

— Nie mogę powiedzieć, aby mnie za mego pobytu w Anglii nigdy nie naciągnięto, jednakże, jeśli się to stało, to nie zasługuje nawet na wspomnienie. Powiedziałbym raczej, że w owych właśnie czasach wyrobiło się we mnie przekonanie, iż tylko zasługujący na zaufanie człowiek wie, jak zaufać. Byłem nieznanym cudzoziemcem i łatwo mogłem bezkarnie uniknąć płacenia, a jednak ani jeden kupiec londyński nie okazał mi braku zaufania.

Przez cały czas pobytu w Anglii wmieszany byłem w pocieszną farsę, którą przyszło mi odegrać od początku aż do końca. Zaznajomiłem się był przypadkiem z wdową po jakimś zmarłym wysokim urzędniku anglo-hinduskim. Była ona tak dobra, że zaczęła mnie nazywać mem zdrobniałem imieniem Ruby. Kilku jej hinduskich przyjaciół ułożyło na cześć jej zmarłego męża tren w angielskim języku. Zbytecznym byłoby rozwodzić się nad jego zaletami poetyckimi lub szczęśliwym doborem wyrazów. Pech mój chciał, że autor zaznaczył, iż tren ten ma być śpiewany na nutę *Behagi*. Otóż pewnego dnia wdowa zaczęła mnie usilnie prosić, abym jej tren odśpiewał, zaś ja, jak naiwny prostaczek, którym istotnie byłem, nierozumnie przystałem. Niestety, ja jeden tylko mogłem dokładnie zdać sobie sprawę z tego, w jak okropnie komiczny sposób melodja *Behagi* łą-

czyła się z temi niedorzecznemi wierszami. Wdowa zdawała się być nadzwyczaj wzruszona, słuchając tego trenu hinduskiego, śpiewanego na ojczystą nutę Hindusów. Myślałem, że na tem się skończy, ale omyliłem się.

Z tą owdowiałą damą często spotykałem się na różnych zebraniach towarzyskich, a ile razy po obiedzie przyłączaliśmy się w salonie do pań, stale prosiła mnie o odśpiewanie *Behagi*. Spodziewając się jakiegoś nadzwyczajnego okazu muzyki hinduskiej, reszta towarzystwa przyłączała się do jej próśb. Wówczas z kieszeni jej wynurzały się drukowane odbitki tego nieszczęsnego poematu, gdy mnie w czerwieniących się uszach zaczynało dzwonić. Wkońcu, z pochyloną głową zaczynałem drżącym głosem, aż nadto dobrze wiedząc, iż w całym pokoju ja tylko jeden jestem, któremu ten popis naprawdę rozdziera serce. Nareszcie, wśród hamowanych usilnie chichotów, rozlegał się chór: — „Dziękujemy panu bardzo!“ — „Jakież to zajmujące!“ — zaś ja, mimo iż to było w zimie — cały oblewałem się potem. Któż byłby przepowiedział mi przy urodzeniu, lub przy śmierci tego czcigodnego dostojnika anglo-induskiego, jak strasznym ciosem będzie dla mnie jego zgon!

W czasie, kiedy mieszkałem u państwa Scott i uczyłem na wykłady w University College, straciłem kontakt z tą wdową. Mieszkała ona w jakiejś podmiejskiej miejscowości dość daleko od Lon-



dynu, i mimo, że często otrzymywałem od niej listy, w których mnie do siebie zapraszała, mój strach przed tym trenem nie pozwalał mi z zaproszeń jej korzystać. Nakoniec dostałem od niej przynaglący mnie telegram. Kiedy telegram przyszedł, wybierałem się właśnie do Kolegium, a mój pobyt w Anglii zbliżał się już wówczas ku swemu końcowi. Pomyślałem, że wypada mi przed odjazdem jeszcze raz wdowę odwiedzić i tak uczyniłem zadość jej naprzykrzaniu się.

Zamiast wrócić z Kolegium do domu, udałem się wprost na stację kolejową. Dzień był okropny, przejmująco zimny, mglisty, śnieg padał. Miejsco-wość, do której jechałem, znajdowała się na samym końcu linii kolejowej. Wobec tego nie troszczyłem się już o nic i nie uważałem za potrzebne rozpytać o czas przybycia na miejsce.

Wszystkie stacje były po prawej stronie i po prawej stronie w kącie przedziału ukryłem się, czytając książkę. Zrobiło się powoli tak ciemno, że za oknem nic widać nie było. Pasażerowie, stając u miejsca przeznaczenia, jeden po drugim wychodzili. Właśnie dojechaliśmy do przedostatniej stacji i ruszyliśmy naprzód, poczem pociąg znowu stanął, ale nie było widać ani żywej duszy, ani świateł, ani stacji. Ponieważ zwykły pasażer nie posiada daru proroczego, któryby mu podszeptał, kiedy pociąg stanie czasem o niewłaściwej porze i w niewłaściwym miejscu, prze-



to i ja, zrezygnowawszy z wszelkich prób zorjentowania się, zabrałem się znów do czytania. Wtem pociąg ruszył wstecz. — Tu, zdaje się, na dziwactwa kolei nikt już nie zwraca uwagi — pomyślałem i znowu wziąłem się do książki. Kiedyśmy jednak wrócili na poprzednią stację, nie mogłem już pozostać dłużej obojętny. — Kiedy przyjedziemy do —? — zapytałem na stacji. — Pan właśnie stamtąd przyjechał — brzmiała odpowiedź. — Dokądże teraz jedziemy? — pytałem dalej zmieszany. — Do Londynu. — Dopiero wtedy zrozumiałem, że był to pociąg lokalny, jeżdżący tam i napowrót. Na pytanie, kiedy odejdzie następny pociąg do — —, odpowiedziano mi, iż tego wieczoru pociągu już nie będzie. Rozpytując dalej, dowiedziałem się też, że w odległości pięciu mil nie było też oberży.

Wyszedłem z domu po śniadaniu o dziesiątej godzinie rano i od tego czasu nic w ustach nie miałem. Gdy wstrzeźliwość jest jedyną rzeczą, jaka nam pozostaje do wyboru, ascetyczny sposób myślenia przychodzi łatwo. Zapiąłem gruby płaszcz aż pod szyję i, usiadłszy pod latarnią na stacji, czytałem dalej. Miałem ze sobą Spencera „Data of Ethics“, które właśnie świeżo wyszły z druku. Pocięczałem się myślą, iż nigdy może nie miałbym podobnej sposobności do skoncentrowania całej swej uwagi na takim temacie.

Po krótkim czasie przyszedł tragarz i poinformował mnie, że pójdzie jeszcze jakiś pociąg specjalny,

który nadejdzie za pół godziny. Nowina ta tak mnie uradowała, że „Data of Ethics“ przestały mnie zajmować. Gdzie mnie oczekiwano o siódmej, przybyłem wreszcie o dziewiątej.— Cóż to znaczy, Ruby? — zapytała mnie gospodyni.— Co się z panem działo? — Nie miałem czem zbytńo się chlubić w złożonem jej sprawozdaniu z mych podziwu godnych przygód. Było już po obiedzie; mimo to, ponieważ ja właściwie nic nie zawiniłem, nie spodziewałem się, abym zasłużył na karę, zwłaszcza, że sędzią mym była kobieta. Jednakże wszystko, co mi wdowa po wysokim urzędniku anglo-hinduskim rzekła, było: — Chodź pan, Ruby, na filiżankę herbaty.

Nigdy nie byłem amatorem herbaty, jednakże w nadziei, że przecie jakoś pomoże mi do zaspokojenia trawiącego mnie głodu, wypilem filiżankę mocnego odwaru i zjadłem parę suchych biszkoptów. Kiedyśmy się nareszcie udali do salonu, zastałem tam towarzystwo, składające się z podstarzałych dam, a wśród nich jedną ładną, młodą Amerykankę, zaręczoną z siostrzeńcem pani domu, a która zdawała się pracowicie przechodzić przez zwykłe przedwstępne i przedślubne fazy miłości.

— Może zatańczymy trochę! — zaproponowała pani domu.

Nie byłem ani duchowo ani fizycznie usposobiony do tej gimnastyki, na tym świecie jednak najnieprawdopodobniejszych rzeczy dokazują pokorni;



tak tedy, mimo iż tany zasadniczo miały na widoku parę narzeczonych, ja musiałem obtańcowywać damy w szanownym wieku, jedynie herbatą i sucharkami chroniony przed śmiercią głodową.

Ale moje cierpienia tu się jeszcze nie kończyły.

— I gdzież pan postanowił zanoć? — zapytała pani domu.

Na to pytanie byłem zupełnie nieprzygotowany. Kiedy oniemiały patrzyłem na nią, poinformowała mnie, że jedyny hotel miejscowy zamykają o dwunastej i że zrobiłbym jak najlepiej, gdybym się do niego udał bez dalszej zwłoki. Mimo wszystko trudno byłoby posadzać tę panią o zupełny brak gościnności, ponieważ dała mi służącego z latarnią, który pomógł mi odszukać gospodę. W pierwszej chwili myślałem, że jest to szczęście w nieszczęściu i natychmiast zacząłem rozpytywać o środki żywności: Mięso, ryba, jarzyny, gorące czy zimne, byle coś! Odpowiedziano mi, że trunki mogę mieć najrozmaitsze, ale do zjedzenia nic. Zacząłem tedy myśleć o tem, aby bodaj we śnie zyskać zapomnienie, zdawało się jednak, że nie znajdę miejsca nawet na jego, cały świat obejmującym łonie: Pokój sypialny, ze swą podłogą z piaskowca, był lodowato zimny, a całe jego umeblowanie stanowiło łóżko i stoczona przez robaki umywalnia.

Rano anglo-hinduska wdowa przysłała po mnie, prosząc mnie na śniadanie. Zastałem zastawioną



zimną ucztę, najwidoczniej resztki wczorajszego obiadu. Odrobina tego wszystkiego, letnia czy zimna, ofiarowana mi poprzedniego wieczoru, nie byłaby nikogo skrzywdziła, a sprawiłaby, że mój sposób tańczenia byłby mniej podobny do konwulsyjnej agonji wyrzuconego na piasek karpia.

Po śniadaniu pani domu oznajmiła mi, iż dama, dla której zabawy zaproszono mnie i której miałem śpiewać, leży chora w łóżku i życzy sobie, żebym zaśpiewał jej serenadę przed drzwiami sypialni. Ustawiono mnie u wejścia na schody. Ukazawszy mi zamknięte drzwi, wdowa rzekła: — Ona jest tam! — I ja zaintonowałem ten tren *Behaga*, zwrócony twarzą do tajemniczej nieznanjomej po drugiej stronie drzwi. Jak to na chorą podziałało, tego się nigdy nie dowiedziałem.

Wróciwszy do Londynu, musiałem w łóżku odpokutować następstwa mej nieszczęsnej uprzejmości. Córki dra Scotta zaklinały mnie na wszystko święte, abym nie uważał tego za przykład gościnności angielskiej. Przeciwnie, twierdziły, iż to był tylko wynik długoletniego pobytu w Indjach.

## (26) *LOKEN PALIT.*

Kiedy chodziłem na wykłady literatury angielskiej w *University College*, Loken Palit był mym kolegą. Był o cztery lata młodszy ode mnie. Dziś, gdy

piszę te wspomnienia, różnica czterech lat nie ma już znaczenia, jednakże z trudnością przychodzi przyjaźni przerzucić most przez cieśninę, oddzielającą siedmnaście od trzynastu lat. Nie posiadając wagi lat, chłopak pilnie przestrzega godności starszeństwa. To jednak w duszy mej nie zrodziło żadnej przegrody, mającej zdala trzymać młodego Lokena, ponieważ w żaden sposób nie odczuwałem, aby on był młodszy ode mnie.

Studenci i studentki zasiadali w bibliotece Kolegium razem do swych studjów. To było też miejsce naszego *tête-à-tête*. Gdybyśmy byli siedzieli cicho, niktby się był na to nie skarżył, ale młody mój przyjaciel miał tak żywy temperament, że przy najbliższej sposobności wybuchał śmiechem. We wszystkich krajach dziewczęta mają przewrotne zamiłowanie do nauki, to też ja z bólem serca przypominam sobie to mnóstwo błękitnych oczu, napróżno wyrażających naganę naszej niewstrzymanej wesołości, w owym czasie jednakże nie odczuwałem najmniejszego współczucia dla pilności, bolejącej nad zakłóceniem spokoju. Dzięki Opatrzności, nigdy w życiu nie cierpiałem na ból głowy i nigdy ani na chwilę nie odczuwałem najmniejszego żalu z powodu przerwy w nauce.

Otóż przy towarzyszeniu prawie nieustającego śmiechu wdawaliśmy się też czasem w małe dyskusje literackie i mimo że Loken mniej ode mnie był w lite-

raturze bengalskiej odczytany, wynagradzał to bystrością swego umysłu. Między innymi dyskutowaliśmy też na temat bengalskiej pisowni.

Oto jak do tego przyszło. Jedna z panien Scott prosiła mnie, abym ją uczył języka bengalskiego. Przechodząc z nią alfabet, wyraziłem jej swą dumę z tego powodu, iż pisownia bengalska posiada jakieś sumienie i nie widzi swej rozkoszy w przekraczaniu na każdym kroku prawideł. Wyjaśniłem jej, jak śmieszne byłyby dziwactwa pisowni angielskiej i wreszcie pod tragicznym przymusem zaczęliśmy rzecz bliżej rozpatrywać. Wtedy dumy moja została upokorzona. Pokazało się, iż pisownia bengalska tak samo niecierpliwie targa swe więzy, lecz że przyzwyczajenie uczyniło mnie ślepym na jej wykroczenia.

Wobec tego zacząłem poszukiwać praw, które mogłyby mi uregulować te wyjątki. W zdumienie wprawiła mnie niespodziewana pomoc, jakiej w tym wypadku doświadczyłem od Lokena.

Kiedy Loken wstąpił do Indyjskiej Służby Cywilnej i wrócił do kraju, dzieło, które w Kollegjum Uniwersyteckim miało swój początek w kaskadach śmiechu, znalazło swe ujście do coraz bardziej rozszerzającego się koryta. Żywiłowy zapal Lokena do literatury był niby pomyślny wiatr w żaglach mej literackiej wyprawy. I kiedy, znajdując się u szczytu swej młodości, ciągnąłem z szalonym pośpiechem „tandem“ prozy i poezji, nieograniczone



poparcie Lokena ani na chwilę nie pozwalało osłabnąć mej energii. Niejednego nadzwyczajnego wstępu w prozie czy w poezji dokonałem w jego podmiejskiej willi, a zdarzało się nieraz, iż nasze literackie czy wokalne zebrania, rozpoczęte pod auspicjami gwiazdy wieczornej, gasły, niby światło lamp w podmuchach brzasku, przy świetle gwiazdy porannej.

Zdaje mi się, że z wielu kwiatów lotosu, otaczających stopy *Saraswati* <sup>1)</sup>, szczególnie ulubionym musi jej być kwiat przyjaźni. Ja niewiele pyłu złotego otrząsałem z jej ławic kwiatowych, ale absolutnie nie mogę się skarżyć na brak słodczy kołżeństwa.

### (27) „PĘKNIĘTE SERCE.“

Jeszcze za pobytu w Anglii zacząłem pisać drugi poemat, nad którym pracowałem podczas podróży do kraju, zaś ukończyłem go po powrocie do domu. Poemat ten został opublikowany p. t. „*Bhagna Hriday*“ („Pęknięte Serce“) i wówczas byłem przekonany, iż on jest bardzo dobry. Nie było nic dziwnego w tem, że autor tak myślał, w owym czasie jednak poemat ten cieszył się niemniejszym uznaniem czytelników. Pamiętam, że po jego wyjściu z druku odwiedził mnie prezes ministrów nieboszczyka króla

---

<sup>1)</sup> *Saraswati*, bogini nauki, wyobrażają sobie Bengalowie w białej szacie, siedzącą wśród mnóstwa kwiatów lotosu.

Tipperah wyłącznie w tym celu, aby mi oświadczyć, iż król pełen jest podziwu dla poematu i żywi jak najlepsze nadzieje co do literackiej kariery autora.

Proszę mi pozwolić, abym mógł zacytować to, co o poemacie tym, napisanym w osiemnastym roku życia, napisałem, kiedy miałem lat trzydzieści:

Kiedy zacząłem pisać „Bhagna Hriday“ miałem lat osiemnaście — zatem nie byłem ani dzieckiem ani młodzieńcem. Ten wiek przejściowy nie jest oświetlony bezpośrednimi promieniami Prawdy; — jej odbłask widać wprawdzie tu i tam, ale reszta jest w cieniu. I na podobieństwo cieniów zmierzchu wyobrażenia jej są wydłużone a chwiejne tak, iż świat realny zmieniają w świat fantastyczny. Ciekawe jest, że nie tylko ja miałem wówczas osiemnaście lat, ale wszystko dokoła mnie zdawało się mieć też lat osiemnaście; i my wszyscy fruwailiśmy w jakimś pozbawionym wszelkiej podstawy i substancji świecie imaginarnym, gdzie nawet najintensywniejsza radość i smutek zdawały się być radością i smutkiem z kraju baśni. A ponieważ nie było nic realnego, coby mogło służyć za ich przeciwwagę, popolitość zastępowała wielkość.

-Okres mego życia, mniej więcej od piętnastego czy szesnastego do dwudziestego drugiego czy trzeciego roku, był okresem najwyższego nieładu.

Kiedy, we wczesnych epokach ziemi, woda nie była jeszcze wyraźnie oddzielona od lądu, wielkie potworne stworzenia ziemno-wodne błąkały się po bezpiennych lasach, rosnących na grząskim mule. Nie inaczej rzecz się ma z porywami pierwszych wieków niedojrzałego umysłu, które, tak samo niekształtne i dziwaczne, straszą w nieskończonych cieniach swego pozbawionego dróg i bezimiennego pustkowia. Nie znają ani same siebie ani celu swych wędrówek,



a ponieważ same właściwie niczem nie są, gotowe naśladować co bądź z tego, co je otacza. Tak w tym wieku nic nie znaczącej działalności, gdy moje nierozwinięte siły, nieświadome swego celu i niewystarczające, potraçały się wzajemnie, szukając sobie ujścia, każda starała się osiąść przewagę zapomocą przesady.

Ząbkujące dziecko dostaje gorączki. Całe jego rozdrażnienie nie ma żadnego usprawiedliwienia, dopóki zęby się nie wyklują i nie zaczną dopomagać w spożywaniu potraw. Tak samo wczesne nasze porwy, niby choroba jakaś, mącą nam umysł, dopóki nie staną w swym prawdziwym stosunku do świata zewnętrznego.

Lekcje, jakich udzieliły mi me przeżycia w tym wieku, można znaleźć w każdym podręczniku etyki, z czego jednak nie wynika, aby je należało lekceważyć. To, co ogranicza w nas samych nasze apetyty i nie daje im swobodnego ujścia, zatruwa nam życie. Takim jest egoizm, który odmawia swobody naszym pragnieniom i przeszkadza im w osiągnięciu pożądanego celu, i oto dlaczego zawsze towarzyszy temu ropienie się różnych kłamstw i zbytecznych wymysłów. Dopiero gdy pragnienia nasze znajdą nieograniczoną wolność w dobrem dziele, wyzwalają się z krępujących je pęt i powracają do swej własnej natury — to jest, do swego prawdziwego przeznaczenia, w czem zarazem leży też radość ich istnienia.



Opisany przeze mnie stan mego umysłu był wynikiem tak tego, co dookoła siebie widziałem, jak i ducha czasu i nie jestem pewny, czy to do dziś dnia jeszcze na mnie nie ciąży. Kiedy spojrzę wstecz na okres, o którym opowiadam, uderza mnie, iż z angielskiej literatury czerpaliśmy więcej raczej podniecenia niż strawy duchowej. Naszymi bogami literackimi byli wówczas Shakespeare, Milton i Byron, zaś najwięcej imponowała nam w ich dziełach siła namiętności. W towarzyskiem życiu Anglików wszelkie wybuchy namiętności trzyma się surowo na wodzy, i może być dlatego one opanowały tak literaturę, nadając jej jako rys charakterystyczny opracowywanie nadzwyczaj gwałtownych uczuć aż do ich nieuniknionego spalenia się. Przynajmniej my przywykliśmy uważać to niepohamowane podniecenie za kwintesencję literatury angielskiej.

W gwałtownej deklamacji poezyj angielskich, tak jak je wygłaszał Akszaj Czaudhury, który nas wtajemniczał w angielską literaturę, była dzikość upojenia. Zapamiętanie miłości Romea i Julji, furja bezsilnych żalów króla Leara, wszystko chłonący ogień zazdrości Otella, oto co wywoływało w nas entuzjastyczny podziw. Nasze ciasne życie towarzyskie i społeczne, nasze bardziej zacieśnione pole działania ujęte było płotem tak monotonnej jednostajności, że burzliwsze uczucia nie mogły do nas trafić — wszystko było tak spokojne i ciche, jak tylko

można. Nic tedy dziwnego, że serca nasze z natury rzeczy już pragnęły życiodajnego wstrząśnienia namiętnych wzruszeń literatury angielskiej. To nie była wcale estetyczna rozkosz i podziw dla sztuki literackiej, lecz radosne powitanie przez zastój buntowniczej fali, nawet gdy ona wynosiła na powierzchnię szlam z dna.

Współczesna Shakespeare'owi literatura reprezentuje właściwie taniec wojenny czasów, kiedy Odrodzenie wkraczało do Europy z całą gwałtownością swego odruchu przeciw ciemieniu i niewoleniu ludzkich serc. Głównym celem nie było tu bynajmniej odróżnienie złego od dobrego, piękna od szpetoty — ludzi pożerała chęć przedarcia się przez wszystkie przeszkody do „Świętego Świętych“ swej istoty, aby tu odkryć ostateczny obraz swych własnych gwałtownych dążeń. Oto dlaczego my w literaturze tej dopatrzyliśmy się tyle ostrej, bujnej, nieokielznanej ekspresji.

Duch tej bachicznej uczty Europy uzyskał dostęp do naszego trzeźwego, sztywnego, poprawnego towarzystwa i ożywił nas. Byliśmy olśnieni blaskiem nieskrępowanego życia, jaki padł na nasze szablonowe serca, tęskniące do sposobności otwarcia się.

Drugi taki dzień w literaturze angielskiej wszedł wówczas, kiedy powolne tempo trywjalnych czasów Pope'a ustąpiło miejsca tanecznemu rytmowi rewolucji francuskiej. Poetą tego okresu jest Byron



i gwałtowność jego uczucia również wzruszała naszą zawoalowaną oblubienicę serca w jej cichym kąciku.

W ten sposób emocja pogoni w literaturze angielskiej ogarniała serca młodzieży naszych czasów, a już zwłaszcza w moich czasach fale tej emocji były ze wszystkich stron. Pierwsze przebudzenie się jest godziną rozwoju energii, nie jej stłumienia.

A mimo wszystko nasza sytuacja w niczem nie była podobna do sytuacji Europy. W Europie podniecenie i zniecierpliwienie z powodu skrępowania było w literaturze odblaskiem historii tego kontynentu. Wyraz był tu zgodny z uczuciem. Słyszeć było ryk burzy, ponieważ burza istotnie się srożyła. Ale dolatujący stamtąd podmuch wichru w naszym małym światku w rzeczywistości zcichła tylko szumiał. Dlatego też nie zadowolili naszych dusz, tak, że nasze próby naśladowania wycia huraganu bez trudu doprowadzały nas do przesady — dążenie, które wciąż jeszcze trwa i które niełatwo ulega wyleczeniu.

Odpowiedzialność za to ponosi fakt, iż w angielskiej literaturze nie pojawiła się dotychczas prawdziwie artystyczna umiejętność rozmyślnych niedomówień. Namiętności ludzkie stanowią tylko jedną część składową literatury a nie jej cel — którym jest piękno doskonałej pełni, polegające na prostocie i powściągliwości. Twierdzenie to nie w całości jeszcze zostało przyjęte przez literaturę angielską.



Umysły nasze od dzieciństwa aż do późnej starości kształtuje wyłącznie angielska literatura. Ale inne literatury Europy, tak klasyczne jak i współczesne, mimo iż ich formy świadczą o pielęgnowanym starannie rozwoju, wynikającym z systematycznego stosowania panowania nad sobą, nie stanowią przedmiotu naszych studjów, skutkiem czego — tak mi się przynajmniej zdaje — nie mogliśmy dotychczas dojść do należytego zrozumienia prawdziwego celu i metod pracy literackiej.

Akszaj Babu, który rozbudził w nas zapał do literatury angielskiej, był sam zwolennikiem życia emocjonalnego. Doniosłość uświadamiania sobie prawdy w całej pełni jej doskonałości zdawała się znaczyć dla niego mniej, niż odczuwanie jej w sercu swoim. Nie miał najmniejszego intelektualnego szacunku dla religji, choć pieśni o *Szijama* („Czarna Matka“) wzruszały go do łez. Nie czuł się powołanym do szukania ostatecznej rzeczywistości; wszystko, co mogło go wzruszyć, służyło mu przez pewien czas za prawdę, od czego nie odstraszało go nawet jawne prostactwo.

Dominującą nutą ówczesnej najbardziej rozpowszechnionej prozy był ateizm. — Bentham, Mill i Comte należeli do najbardziej ulubionych autorów. Argumentami, zapożyczonemi z ich rozumowania, walczyła nasza dysputująca młodzież. Okres Milla stanowi w literaturze angielskiej epokę zupełnie na-

turalną; przedstawia on zdrową reakcję zbiorowego politycznego poglądu na świat, przyczem jego siły burzące doprowadziły w pewnej chwili do tego, że starły zeń nagromadzone śmieci myślowe. W naszym kraju przejawilo się to w literaturze, ale nikt nie myślał wprowadzać tych idei w czyn, przeciwnie, używano ich jako bodźca do rewolty moralnej. Stąd ateizm był dla nas tylko odurzeniem.

Oto dla jakich przyczyn ludzie wykształceni podzielili się na dwa główne stronnictwa. Jedno stronnictwo wysuwało się wciąż naprzód z niewyzywanem niczem ani przez nikogo dowodzeniem, mającem na celu pocięcie na sztuki wszelkiej wiary w Boga. Niby myśliwy, którego, jak tylko na wierzchołku lub u stóp drzewa ujrzy jakie żywe stworzenie, ręce świerzbą, aby je zabić, tak zwolennicy tego sposobu myślenia na samą wieść, iż gdzieś w urojonem bezpieczeństwie ukrył się strzęp nikomu nieszkodliwej wiary, już chcieliby rzucić się nań i zniszczyć go. Mieliśmy przez krótki czas nauczyciela domowego, dla którego to właśnie stanowiło najulubieńszą rozrywkę. Mimo że byłem wówczas zaledwie chłopcem, nawet ja nie mogłem się oprzeć jego atakom. Nie żeby one były tak poważne lub aby jego przekonania były wynikiem jakiegoś entuzjastycznego poszukiwania prawa, bo właśnie pochodziły przeważnie z cudzych ust, ale, mimo iż zwalczałem go wszelkimi swemi siłami, nie mogąc mu z powodu swego wieku dorównać, po-



niosłem niejedną ciężką klęskę. Niekiedy czułem się tem tak zgnębiony, że mi się na płacz zbierało.

Drugi obóz tworzyli nie ludzie wierzący, lecz Epikurejczycy religijni, którzy znajdowali pociechę i ukojenie w zgromadzaniu się i nurzaniu się pod pokrywką ceremonjału religijnego w pięknie obrzędów, dźwięków muzyki i woni kadzideł; lubowali się zewnętrzną stroną kultu. W żadnym z tych obozów ani wątpliwości ani zupełna niewiara nie były wynikiem pracowitego poszukiwania prawdy.

Mimo że te religijne wątpliwości sprawiały mi wielki ból, nie mogę powiedzieć, aby choć częściowo wpływu swego na mnie nie wywarły. Także i ten przewrót dokonał się we mnie z właściwym rozkwitającej młodości intelektualnym bezwstydem. Nie chciałem mieć nic wspólnego z wyznaniem i obrzędkami, przyjętymi przez naszą rodzinę, nie uznawałem ich. Miechem swych wzruszeń starałem się rozdmuchać w sobie huczący płomień. Był to tylko kult ognia, składanie ofiar mających podsycić jego płomień — bez żadnego innego celu. A ponieważ usiłowania moje nie miały na względzie żadnego ustanowionego sobie kresu, przeto były też bezmierne i zawsze przekraczały wszelką zakreśloną granicę.

Jak na polu religji tak i na polu życia emocjonalnego nie odczuwałem potrzeby podłoża prawdy, ponieważ moje podniecenie było celem samym w sobie. Przychodzi mi na myśl kilka wierszy ówczesnego poety:



My heart is mine.  
I have sold it to none,  
Be it tattered and torn and worn away,  
Mine heart is mine.

Z punktu widzenia prawdy, serce bynajmniej nie musi się tak poszarpać; bo nic nie karze mu drzeć się w strzępy. Naprawdę smutek nie jest pożądany, jednakże ostrość jego, rozpatrywana pod specjalnym kątem widzenia, może uchodzić za smaczną przyprawę. Otóż w tym smaku poeci nasi często przesadzają, zapominając o Bogu, którego służbę zaniedbują. Krajowi naszemu nie udało się jeszcze pozbyć tej dziecinności. Nawet dziś, jeśli nie możemy się dopatrzeć prawdy religji, szukamy w jej przestrzeganiu użycia artystycznego. Podobnie też i w patriotyzmie naszym znalazłoby się niejedno, co nie jest bynajmniej służeniem Ojczyźnie, lecz tylko rozkoszą ustawiania umysłu swego w takim stosunku do Ojczyzny, w jakimby się znajdować pragnęło.

### (28) MUZYKA EUROPEJSKA.

Będąc w Brightonie, poszedłem raz posłuchać jakiejś primadonny. Zapomniałem już, jak się nazywała. Była to, zdaje się, Nilsson lub Albani. Nigdy dotychczas nie zdarzyło mi się spotkać z tak nadzwyczajnem opanowaniem głosu. Nawet najlepsi nasi śpiewacy nie mogą ukryć swego wysiłku; nie wstydzą się też brać, jak tylko potrafią, najwyższych lub najniższych nut, leżących już poza skalą ich

głosu. W naszym kraju wykształcona część słuchaczy nie widzi nic złego w podnoszeniu wykonania na należytą wyżynę dzięki sile własnej wyobraźni. Z tej samej racji słuchacze nie biorą też za złe jakiejś chropowatości głosu czy niezręczności ruchu wykonawcy doskonale ukształtowanej melodji; przeciwnie, czasem nawet wydaje się, jak gdyby byli zdania, że takie małe braki zewnętrzne uwydatniają lepiej wewnętrzną doskonałość kompozycji — na podobieństwo Wielkiego Pustelnika Mahadewy, którego boskość bije z jego nagości.

Te uczucia, zdaje się, nie są Europie znane. To piękno zewnętrzne musi być doskonałe do najmniejszego szczegółu i najdrobniejszy błąd staje zawstydzony, nie śmiejąc spojrzeć w twarz publiczności. Na naszych zebraniach muzycznych nikomu nic nie szkodzi, jeśli się pół godziny stroi *Tanpury*, lub łomocze się na wielkich i małych bębnach, próbując ich stroju. W Europie załatwia się takie rzeczy przed przedstawieniem, za sceną, bo to, co się na scenie pokazuje, musi już być bez zarzutu. Mowy nie może już być o jakimś niedostatku w głosie śpiewaka. U nas głównym zadaniem, na którym skupiają się wszystkie usiłowania, jest poprawne i artystyczne podanie melodji.<sup>1)</sup> W Europie sam głos jest przedmiotem

---

<sup>1)</sup> W muzyce hinduskiej nie idzie o samo tylko poprawne odtworzenie melodji dokładnie tak, jak ona została ułożona, lecz temat oryginalnej kompozycji staje się przedmiotem improwizowanej interpretacji wykonawcy.



kultury i na tem polu osiąga się rezultaty nieprawdopodobne. W naszym kraju meloman jest zadowolony, jeśli usłyszał śpiew; w Europie chodzi się posłuchać śpiewaka.

Oto co zobaczyłem wtedy w Brightonie. Dla mnie to było zupełnie jak cyrk. Ale, przy całym podziwie dla przedstawienia, nie mogłem pogodzić się ze śpiewem. Z trudnością przychodziło mi powstrzymać się od śmiechu, gdy niektóre kadencje śpiewaczki zaczynały naśladować świegot ptaków. Przez cały czas czułem, iż to jest nadużywanie głosu ludzkiego. Gdy przyszła kolej na śpiewaka doznałem uczucia ulgi. Szczególnie podobały mi się głosy tenorowe, które mają w sobie najwięcej ludzkiej krwi i ciała i najmniej może przypominają bezcielesne zawodzenie potępionego ducha.

Później, kiedy coraz więcej uczyłem się i słyszałem europejskiej muzyki, zaczynałem jej ducha rozumieć, do dziś jednak jestem przekonany, że ich muzyka i nasza przebywają w zupełnie różnych apartamentach i nie wchodzi do serca temi samemi drzwiami.

Mam wrażenie, że muzyka europejska do tego stopnia splata się z życiem materialnem, iż tekst pieśni może być tak rozmaity, jak samo życie. Gdybyśmy chcieli pieśni naszych używać do równie rozmaitych celów, straciłyby swe symboliczne znaczenie i stałyby się śmieszne; albowiem nasze melodje wy-



biegają poza ramy codziennego życia i tylko dzięki temu wtrącają nas w tak otchłanną przepaść żalu lub też wznoszą nas na takie wyżyny, iż przeznaczeniem ich jest odsłanianie obrazu najwewnętrzniejszych, niewypowiedzianych głębin naszej istoty, tajemniczych i niezbadanych, gdzie pobożny może znaleźć czekającą już nań gotową pustelnię lub też Epikurejszyk swą altanę, ale gdzie niema miejsca dla wiecznie zziąjanego człowieka świata interesu.

Nie mogę twierdzić, że uzyskałem dostęp do duszy muzyki europejskiej. Jednakże to niewiele, co mogłem zrozumieć, pod pewnym względem nadzwyczaj mnie pociągało. Wydawało mi się tak romantycznym! Byłoby poniekąd trudno określić dokładnie, co przez to rozumiem. Zaznaczyłbym tu jej różnorodność, bujność, widok jej fal na morzu życia, wiecznie zmieniające się światło i cień na jej bezustannem falowaniu. Mamy też i wprost odmienny widok — czystego rozprzestrzenienia się, nieruchomego błękitu nieba i milczącej nauki bezkresu w szerokim kole horyzontu. Lecz, jakkolwiekby już było, niech mi wolno będzie powtórzyć na ryzyko, iż nie zostaną dokładnie zrozumiane, że ile razy mnie muzyka europejska wzruszyła, zawsze powtarzałem sobie: — To jest romantyczne, to jest przekładanie na melodję znikomości życia.

My również nie jesteśmy wolni od tych dążeń w niektórych naszych formach muzycznych, jednak-

że są one mniej wyraźne i mniej szczęśliwe. W naszych pieśniach śpiewa gwiazdzista noc, pierwszy rumieniec brzasku; one opowiadają o przepelniającym niebo smutku, ukrytym w ciemnościach chmur, o niemem głębokiem upojeniu bląkającej się po lasach wiosny.

### (29) WALMIKI PRATIBHA.

Mieliśmy bogato ilustrowany tom Moore'a „*Melodyj Irlandzkich*“ i ja nieraz przysłuchiwałem się, jak je Akszaj Babu z uniesieniem recytował. W połączeniu z temi ozdobnemi rysunkami poezje składały się na pełen bajecznych barw obraz Starej Irlandji. Wtedy nie znałem jeszcze ich oryginalnych melodyj, ale śpiewałem sobie sam te „*Melodje Irlandzkie*“ przy akompanjamencie harf, grających mi z ilustracyj. Bardzo pragnąłem usłyszeć prawdziwe melodje, nauczyć się ich i zaśpiewać je Akszajowi Babu. Na nieszczęście, w tem życiu niektóre pragnienia spełniają się i przez to umierają. Podczas pobytu w Anglii istotnie niektóre z tych pieśni irlandzkich słyszałem i nauczyłem się ich nawet, lecz to położyło kres moim dalszym w tym kierunku zapalom. Były to proste, smętne i tkliwe piosenki, ale nie zgadzały się z cichą muzyką harf, przepelniającą hale Starej Irlandji z mych marzeń.

Po powrocie do kraju zaśpiewałem swoim tych parę wyuczonych piosenek irlandzkich. — „Co się



stało z głosem Rabięgo? — zaczęto wołać — Jak śmiesznie i z cudzoziemska on brzmi! — Zauważono, że nawet w mówieniu głos mój nabrał jakiegoś nowego tonu.

Z tego podwójnego kultu muzyki zagranicznej i ojczystej powstała *Walmiki Pratibha* <sup>1)</sup>). Motywy tego dramatu muzycznego są przeważnie hinduskiego pochodzenia, zostały jednak pozbawione swego klasycznego dostojęstwa; co bujało po niebie, ściągnięto na ziemię. Sądzę, że ci, którzy to widzieli i słyszeli, zaświadczą, iż wprzęgnięcie melodyj i motywów hinduskich w służbę dramatu nie było ani ubliżające ich powadze, ani bezużyteczne. To połączenie jest jedynym rysem charakterystycznym *Walmiki Pratibha*. Miły trud rozluźniania łańcuchów muzycznych form i czynienia ich zdolnymi do najróżniejszego użytku najzupełniej mnie pochłonał.

Niektóre pieśni z *Walmiki Pratibha* skomponowane były na melodie oryginalnie i ściśle w stylu klasycznym; inne skomponował mój brat Dźiotirindra, a jeszcze inne pochodziły ze źródeł europejskich. Z motywów indyjskich szczególnie nadaje się

---

<sup>1)</sup> *Walmiki Pratibha* znaczy dosłownie „genjusz Walmiki“. Pomysł zaczerpnięty jest z historii poety Walmiki, swego czasu przywódcy zbrojców, który, będąc przypadkiem świadkiem żalu żórawia z powodu zabicia przez myśliwego samicy, wzruszony do głębi, wybuchnął metrycznym lamentem. Miarą poetycką, która w ten sposób mu się objawiła, napisał później swą *Ramajanę*.



do celów dramatu styl *Telena*<sup>1)</sup>, którym się też w tym utworze często posługiwano. Dwóch melodyj angielskich użyto do pieśni pijackich bandy zbójeckiej, z jednej melodji irlandzkiej powstała elegja Dryjad.

*Walmiki Pratibha* nie nadaje się do czytania. Traci wszelkie swe znaczenie, o ile nie jest grana i śpiewana. Nie jest to to, co w Europie nazywa się operą, lecz raczej mały dramat, ilustrowany muzyką. Chcę przez to powiedzieć, że nie jest to zasadniczo utwór muzyczny. Mało jest aryj ważnych lub też pociągających jako takie; wszystkie służą raczej jako muzykalny tekst sztuki.

Przed wyjazdem do Anglii urządzaliśmy czasem w domu zebrania literackie, na których podawano lekką przekąskę, a także śpiewano, grano i deklamowano. Po mym powrocie do kraju miał się odbyć jeszcze jeden taki wieczorek, przypadkowo ostatni. *Walmiki Pratibha* została napisana dla uczczenia tej okoliczności. Ja grałem rolę *Walmiki*, moja siostrzenica, *Pratibha*, objęła rolę *Saraswati* — który to drobny szczegół historyczny zanotowany został w tytule.

---

<sup>1)</sup> Niektóre klasyczne kompozycje oznaczone są na szemie akcentowania (tempa), według którego zostały napisane, lecz nie znaczącymi notatkami dźwiękowymi, przedstawiającymi pałeczki od bębna lub rękojeści gitar, których w muzyce hinduskiej jest mnóstwo o najrozmaitszych tonacjach, zaś każda ma własny symbol dźwiękowy. *Telena* jest jednym z takich stylów komponowania.

W którymś dziele Herberta Spencera czytałem, iż gdy tylko pojawia się wzruszenie, mowa nabiera giętkości melodji. Faktem jest, iż nie mniej od słów w wyrażeniu wzruszeń, jak gniew, smutek, radość i podziw, doniosłe znaczenie ma też dla nas ton. Idea Spencera, iż przez rozszerzanie tych emocjonalnych modulacyj głosu człowiek doszedł do muzyki, trafiła mi do przekonania. — I dlaczegożbym ja — pomyślałem sobie — nie miał stworzyć dramatu ujętego w „recitativa“, oparte na tej idei? Nasi *Kathakasowie* <sup>1)</sup> robią nawet w tym kierunku pewne próby, ponieważ często przechodzą w śpiew, który, swoją drogą, zatrzymuje się tuż przed pełną formą melodji. Ponieważ biały wiersz jest o wiele elastyczniejszy od rymu, taki śpiew, mimo iż nie pozbawiony rytmu, znacznie swobodniej może się dostosować do emocjonalnej interpretacji tekstu dlatego, iż nie dąży do uzgodnienia się ze znacznie surowszemi prawami melodji, tonacji i taktu, wymaganemi przez prawdziwy utwór muzyczny. Wobec tego, że główny cel stanowi tu wyrażenie uczuć, niedokładności, dotyczące formy, słuchacza nie zrażą.

Zachęcony powodzeniem nowego kierunku, wytkniętego w *Walmiki Pratibhie*, napisałem drugi dramat muzyczny w tym samym stylu. Nazywał się on *Kal Mrigaja* („Tragiczne polowanie“). Tematu dostarczyła historia przypadkowego zabicia jedyne

<sup>1)</sup> Recytatorowie legendarnej nauki Purańskiej.



syna ślepego pustelnika przez króla Dazarathę. Odegrano tę sztukę na scenie, zbudowanej na naszej terrazie na dachu, i publiczność zdawała się być głęboko wzruszona jej patosem. Później z małymi zmianami większa jej część została wcielona do *Walmiki Pratibha* i ta sztuka przestała już być w mych dziełach drukowana osobno.

Znacznie już później skomponowałem trzecią taką sztukę, *Majar Khela* („Igraszki Maji“), operetkę zupełnie odrębnego typu. W tej sztuce najważniejszą rzeczą był śpiew, nie dramat. W tamtych sztukach cały szereg sytuacji dramatycznych nanizany był na nić melodji; tu wieniec pieśni nanizany został na nić łączącej wszystko intrygi dramatycznej. Rys charakterystyczny tej sztuki stanowiła gra uczuć a nie akcja. Prawdę mówiąc, kiedy ją komponowałem, byłem przepelniony muzyką.

Nad żadnym innym swoim utworem nie pracowałem z takim zapałem, jak nad *Walmiki Pratibha* i *Kal Mrigaja*. W tych dwóch sztukach znalazł swój wyraz twórczy muzykalny impuls czasu.

Brat mój Dżiotirindra całe dni spędzał przy fortepianie nad przerabianiem według swego upodobania klasycznych form melodyj. I doprawdy, za każdym ruchem jego instrumentu stare melodje nabierały niespodziewanych kształtów, wyrażając nowe odcienie uczucia. Melodje, przyzwyczajone do swego dawnego, uroczystego chodu, zmuszone do poruszania się



w takt żywszych, niekonwencjonalnych rytmów, rozwijały nieoczekiwaną ruchliwość i moc — i odpowiednio też i nas wzruszały. Kiedyśmy wraz z Akszajem Babu siedzieli po obu stronach brata, dobierając słów do pieśni, w miarę jak one tryskały z pod cienkich jego palców, mogliśmy wyraźnie słyszeć, co te melodie do nas mówią. Nie twierdzę, iż nasze *libretto* miało zalety dobrej poezji, w każdym jednak razie służyły za wehikuł melodjom.

Te dwie moje sztuki muzyczne zostały skomponowane w gwarnych dniach tej rewolucyjnej działalności i dlatego tak wesoło tańczyły do każdego taktu, bez względu na poprawność techniczną, obojętne na to, czy motywy są narodowe czy obce.

Czytelnik bengalski nieraz mógł być świadkiem surowych uwag, rzuconych w moją stronę czy to z powodu jakiegoś wygłoszonego przeze mnie zdania czy formy, ciekawe jednak jest, że niczyjego protestu nie wywołała zuchwalstwo, z jakim przechodziłem do porządku dziennego nad przyjętymi powszechnie zapatrywaniem na muzykę; przeciwnie, kto przyszedł posłuchać, odchodził zadowolony. *Walmiki Pratibha* zawiera parę kompozycji Akszaja Babu, a także kilka przeróbek z Wihari Czakrawartiego cyklu pieśni *Saiada Mangal*.

W tych dramatach muzycznych grywałem zwykle główne role. Od najwcześniejszych lat ciągnęło mnie na scenę i wierzyłem niezłomnie, że miałem wy-

bitny talent aktorski. Zdaje mi się, iż dowiodłem też, że ta moja wiara nie była bezpodstawna. Raz jeden tylko przedtem grałem rolę Abeka Babu w farsie napisanej przez Dżiotirindrę, tak że w rzeczywistości występy w mych sztukach można uważać za moje pierwsze kroki, stawiane na scenie. Byłem wtedy bardzo młody i zdawało się, że nie nie zdoła zmęczyć ani zmącić mego głosu.

Dom nasz w owym czasie zalewała dzień w dzień kaskada muzycznych wzruszeń, a jej rozpryskujące się brzegi odbijały się w naszych duszach całą gamą tęczyowych barw. Wtedy, z bujną świeżością młodości, nasza nowo-narodzona energia, pobudzana swą dziewiczą ciekawością, biła nowe drogi we wszystkich kierunkach. Czuliśmy, że możemy ważyć się na każdą próbę i doświadczenie i że niema dla nas nic niemożliwego. Pisaliśmy, śpiewaliśmy, graliśmy, szafowaliśmy sobą na wszystkie strony. Oto w jaki sposób rozpocząłem swój dwudziesty rok życia.

Woźnicą tych sił, które tak triumfalnie unosiły naprzód nasze życie, był mój brat Dżiotirindra. Był to człowiek absolutnie nieustraszony. Pewnego razu, kiedy byłem jeszcze pacholęciem, a nigdy przedtem nie siedziałem na koniu, kazał mi konia dosiąść i galopować wraz z sobą, bez najmniejszego rozczulania się nad mą niezręcznością. W tymże czasie, kiedyśmy bawili w Szelidah (główniej siedzibie naszego majątku), doniesiono nam o pojawieniu się ty-



grysa i brat wziął mnie z sobą na to polowanie. Nie miałem strzelby — a gdybym ją nawet był miał, byłaby może dla mnie jeszcze niebezpieczniejszą od tygrysa. Na skraju dżungli zdjęliśmy trzewiki i skradaliśmy się dalej boso. Wreszcie wpełzliśmy w gęste zarośla bambusowe, napół ze skóry obdarci przez ich podobne do cierni gałązki i przecie jakoś udawało mi się czułgać za bratem, dopóki zadanie nie zostało spełnione — bez możliwości bronienia się choćby pantoflem, gdyby źle wychowana bestja ośmieliła się podnieść na mnie swe drapieżne łapy.

Tak brat dawał mi zupełną wolność, zewnętrzną i wewnętrzną, w obliczu wszelakich niebezpieczeństw. Nie krępował się co do tego ani zwyczajem ani obyczajem i w ten sposób zdołał wreszcie wyleczyć mnie z mej przeczulonej nieufności.

### (30) „PIEŚNI WIECZORNE.“

W tym czasie, kiedy to — jak opowiadałem — żyłem zamknięty w sobie, napisałem cały szereg poezyj, które w wydaniu mych dzieł przez Mohitę Babu zostały zgrupowane razem pod tytułem „*Matecznik Serca*“. W jednym z poematów, pierwotnie drukowanych w zbiorze zatytułowanym „*Pieśni Poranne*“, znajdują się następujące wiersze:

Jest matecznik ogromny — a zaś na imię mu *Serca*;  
Gdzie zrosłe puszczy konary chwieją się, kołysząc  
ciemność, jak dziecię.

Zgubiłem drogę w jej głębiach.



Z tego wiersza zrodził się pomysł tytułu tej grupy poezyj.

W wydaniu tem opuszczono większą część tego, co napisałem, gdy życie moje nie miało jeszcze styczności ze światem zewnętrznym, kiedy cały pogrążony byłem w kontemplacji swego własnego serca a urojenia me błędziły w najrozmaitszem przebraniu wśród bezzasadnych wzruszeń i bezcelowych tęsknot; zaledwie parę poezyj, ogłoszonych w tomie zatytułowanym „*Pieśni Wieczorne*“, znalazło się tu w grupie „*Matecznika Serca*“.

Ponieważ Dżiotirindra wraz z żoną udał się w dalszą podróż, pokoje ich na trzecim piętrze naprzeciw terasy na dachu były wolne. Wobec tego ja zająłem je wraz z terasą i spędzałem tam swe dni w samotności. Pozostawiony samemu sobie, nawet się nie spostrzegłem, jak się wydostałem z dołu poetyckiego, w jaki wpadłem. Może być, że dzięki rozłące z tymi, którym starałem się podobać i których upodobania poetyckie wpływały na ukształtowanie form, jakimi myśl swą próbowałem wyrazić, w sposób zupełnie naturalny otrząsałem się z narzuconego mi stylu.

Zacząłem pisać na tabliczce łupkowej. To również pomogło mi do wyzwolenia. Zeszyt z rękopisami, którym się dotychczas posługiwałem, wymagał i przepisywał pewną wysokość polotu poetyckiego, do którego należało się dostosować w drodze

porównania. Zato tabliczka w tej chwili najzupełniej memu nastrojowi odpowiadała. Zdawało mi się, że słyszę, jak mówi: — „Nie bój się, pisz, co ci się żywnie podoba, jeden ruch ręki zmaże wszystko“.

Kiedy tak niczem nieskrępowany, napisałem parę poematów, uczułem w głębi duszy wielką radość. — Nareszcie — rzekłem sobie w sercu — to, co napisałem, jest naprawdę moje! — Niech nikt nie bierze tego za jakiś napad dumy! Dumę odczuwałem raczej w poprzedniej swej twórczości, gdzie ona stanowiła jedyną jej cenę. Nigdy jednak nie nazwę tak urzeczywistnienia samego siebie, samowystarczalności. Radość, jakiej rodzice doznają z powodu narodzenia pierworodnego, nie pochodzi z dumy z powodu jego piękności, lecz z radosnego uczucia, iż to dziecko jest nawskroś ich dzieckiem. Jeśli przypadkiem dziecko to jest zarazem pod jakimś względem nadzwyczajne, mogą się niem pysznić — ale to już zupełnie co innego.

W pierwszym wybuchu tej radości nie zwracałem należytej uwagi na granice formy metrycznej, i, jak rzeka nie płynie prosto, lecz wiję się wciąż zakrętami, tak toczył się mój wiersz. Dawniej byłbym to uważał za zbrodnię, teraz nie miałem już najmniejszego wyrzutu sumienia. Wolność naprzód łamie prawa, a potem dopiero ustanawia nowe, które doprowadzają ją do prawdziwego Samorządu.

Jedynym słuchaczem tych moich błędnych poezyj był Akszaj Babu. Kiedy je pierwszy raz usły-

szał, zdziwił się wprawdzie, lecz był zadowolony, zaś jego aprobata rozszerzyła mą drogę do wolności.

Poezje Wihari Czakrawartiego miały miarę trzystopową. Ta miara wywołuje zaokrąglony, kulisty efekt, inaczej niż przecięta na pół miara dwustopowa. Z łatwością toczy się, ślizga, jak gdyby tańczyła do dźwięku własnych nagolenic. Kiedyś bardzo lubiłem tę miarę. Miałem wrażenie, że nie idę, ale jadę na rowerze. Do jej rytmu przyzwyczałem się. W „*Pieśniach Wieczornych*“, nie myśląc nawet o tem, czasami od zwyczaju tego odstępowałem — choć z drugiej strony żadnych jakichś nowych szczególniejszych pęt sobie nie nakładałem. Czułem się zupełnie wolny i niczem nieskrępowany i nie przypuszczałem ani też nie obawiałem się, aby ktokolwiek mógł mnie za to pociągnąć do odpowiedzialności.

Siła, jaką zdobyłem sobie dzięki pracy, wyzwolonej z pęt tradycji, naprowadziła mnie na drogę do odkrycia, iż to, czego poszukuję w miejscach najnieprawdopodobniejszych, noszę w samym sobie. Nic, prócz braku wiary w siebie, nie stało mi na drodze do zdobycia tego, co mi się należało. Miałem wrażenie, jak gdybym się zbudził ze snu, w którym widziałem, iż jestem w niewoli, a teraz czuję, że nic mnie nie wiąże. Dawałem nadzwyczajne susy poto tylko, aby się upewnić, że mam całkowitą swobodę ruchów.

Mnie się zdaje, że zcałej mojej kariery poetyckiej ten okres jest najbardziej pamiętny. Moje „*Pieśni*



*Wieczorne*“ mogą nie przedstawiać wielkiej wartości, ponieważ w samej rzeczy nie są jeszcze dość dojrzałe. Ani ich miara, ani język, ani myśli nie osiągnęły jeszcze kształtu ostatecznego. Jedyłą ich wartość stanowi, iż tu pierwszy raz zacząłem pisać, co rzeczywiście myślałem i dla własnej wyłącznie przyjemności. I gdyby te utwory niewiele były warte, przyjemność ich pisania miała niewątpliwie swą wartość.

### (31) *PRÓBY NA POLU MUZYKI.*

Miałem studjować prawo, kiedy ojciec odwołał mnie z Anglii do domu. Niektórzy z jego przyjaciół, zmartwieni tak nagłym zakończeniem mej kariery, zaczęli wywierać nań nacisk, aby mnie jeszcze raz wysłał. W rezultacie wyruszyłem w powtórny podróż do Anglii, tym razem w towarzystwie dalszego krewnego. Przeznaczenie moje jednakże tak stanowcze „veto“ założyło przeciw mym studjom prawniczym, iż nawet do Anglii nie dotarłem. Dla pewnych przyczyn musieliśmy wylądować w Madras i wrócić do Kalkuty. Przyczyna nie była bynajmniej tak poważna, niż następstwa, jakie za sobą pociągnęła, ponieważ jednak nie narażiła *mnie* na śmiech, uchylam się od podania jej tutaj. Z obu mych zamierzonych pielgrzymek do *Lakszmi*<sup>1)</sup> powróciłem w ten sposób odepchnięty.

<sup>1)</sup> Bogini bogactwa.

Spodziewam się jednak, że przynajmniej bóg prawa spogląda na mnie łaskawem okiem za to, iż niczem nie przyczyniłem się do przeladowania kancelaryj adwokackich nowemi aktami.

Ojciec bawił wówczas w górach Mussoorie. Pospieszyłem do niego, drżąc z trwogi. Ale ojciec nie okazywał gniewu, przeciwnie, zdawał się być raczej zadowolony. Zapewne widział w tym moim powrocie błogosławieństwo opatrności bożej.

Wieczór przed wyruszeniem w tę podróż miałem w Medical College Hall odczyt na zaproszenie Bethune Society. Była to moja pierwsza prelekcja publiczna. Przewodniczył czcigodny K. M. Banerdzi. Tematem była muzyka. Usunąwszy na stronę muzykę instrumentalną, starałem się dowieść, iż głównym i ostatecznym celem muzyki wokalne jest oddać lepiej to, co słowa chcą wyrazić. Tekst mego odczytu był nikły, za to, ilustrując swój temat, śpiewałem całe pieśni. Co jedynie skłoniło przewodniczącego do podziękowania mi pochlebniemi słowy za odczyt, to było niezawodnie wzruszające wrażenie mego młodego głosu wraz z powagą i różnaitością jego wysiłków. Dziś jednak muszę wyznać, iż pogląd, który tego wieczoru z takim zapalem wygłosiłem, był mylny.

Sztuka muzyki wokalne ma swe własne funkcje i własny charakter. Jeśli przypadkiem wyraża się ją słowami, to te słowa nie powinny zanadto się wy-



bijać i starać się wywyższyć nad melodję, której służą tylko jako koła. Pocóż pieśń, wielka swem własnem bogactwem, miałaby się krępować słowami! Raczej przeciwnie, bo zaczyna się tam, gdzie słowa już zawodzą. Potęga jej leży w regionach niewyraźności; pieśń opowiada nam to, czego słowo wyrazić nie może.

Tak tedy im mniej pieśń przeciążona jest słowami, tem lepiej. W klasycznym stylu Hindustanu<sup>1)</sup> słowa nie mają najmniejszego znaczenia i porzucają melodję, przemawiając do serc własnymi, właściwymi sobie środkami. Wokalna muzyka osiąga swą doskonałość dopiero wtedy, kiedy forma melodyczna może się swobodnie rozwijać, unosząc wraz z sobą naszą świadomość na swą własną, przedziwną wyżynę. W Bengalu jednakże słowa tak się zawsze wybijały naprzód, że nasz śpiew prowincjonalny nie zdołał rozwinąć wszystkich swoich muzycznych możliwości, lecz zadawała się poprzestawaniem na pełnieniu wobec swej siostrzanej sztuki poezji funkcji dziewczyny służebnej. Począwszy od starych pieśni szkoły *Waisznawa*, a skończywszy na pieśniach Nidha Babu, pieśń u nas roztacza swe wdzięki tylko na tylnym planie. Ale podobnie jak kobieta w naszym kraju panuje nad mężem, uznając swą zależność od

---

<sup>1)</sup> W odróżnieniu od rozmaitych stylów prowincjonalnych, ale przede wszystkim od stylu drawidyjskiego, przeważającego na południu.



niego, tak i nasza muzyka, choć na oko tylko służy, wkońcu opanowuje pieśń.

Czułem to nieraz podczas układania swych własnych pieśni. Kiedy sobie nuciłem i pisałem wiersze

    Nie chowaj swej tajemnicy dla siebie, miłości ma,  
    Lecz szeptem cichutkim powierz ją mnie, tylko mnie —

spostrzegłem, iż słowa same nie mogą dotrzeć do tego regionu, do jakiego bez trudu niesie je melodja. Melodja powiedziała mi, iż tajemnica, którą tak bardzo pragnąłem poznać, zmieszana jest z zieloną tajemnicą wyrębów leśnych, spowita w milczącą biel nocy księżycowych, że wygląda z poza zasłony bezkresnego błękitu za widnokrzem — i stanowi wspólną tajemnicę Nieba, Ziemi i Wody.

Jako mały chłopak usłyszałem urywek jakiejś pieśni:

    Któż ubrał cię, miłości ma, w ten nadziemski strój?

Ten jeden jedyny wiersz malował mi w duszy tak przedziwne obrazy, że dotychczas jeszcze nie daje mi spokoju. Pewnego dnia, pełen tego fragmentu piosenki, zasiadłem do ujęcia w słowa własnej kompozycji. Nucąc sobie melodję, napisałem do jej akompanjamentu:

    Znam cię, kobieto, z obcych stron,  
    Przybyłaś tu z za mórz!

Gdybym nie był miał melodji, nie wiem, jakby mi się był poemat dalej ułożył; ale czar melodji

ukazał mi cudzoziemkę w jej całej piękności. Ona-to — mówiła moja dusza — przychodzi i odchodzi jako poseł do tego świata z drugiego brzegu oceanu tajemnicy. Ona-to jest, która od czasu do czasu ukazuje się nam przelotnie o rośnym poranku jesiennym, w woniejących nocach wiosennych, w najtajniejszych skrytkach naszych serc — a czasem zwracamy głowy ku niebu, aby usłyszeć jej śpiew. Powtarzam — melodia zaniósła mnie aż ku drzwiom tej czarującej świat cały cudzoziemki i do niej zwrócona była reszta mych słów.

Znacznie już później, w jakiejś uliczce Bolpuru, słyszałem jak żebrzący *Baul* śpiewał, krocząc samotnie:

On sprawia, iż ptak nieznanany wlatuje i wylatuje z klatki;  
Gdybym go złapał, nogi skułbym mu swoją miłością.

O dziwo, ten *Baul* wyraził samą istotę rzeczy. Nieznanany ptak istotnie czasami zaczyna wśród drutów i prętów klatki szeptać o wielkiem, bezgranicznem nieznanem. Serce chętnie zatrzymałoby go przy sobie na zawsze, ale nie może. Cóż na świecie, wyjąwszy jedną tylko pieśń, może nam opowiedzieć o wędrówkach nieznanego ptaka?

Oto dlaczego zawsze tak niechętnie drukuję książki z tekstami pieśni; musi w nich brakować duszy.

(32) *NA BRZEGU RZEKI.*

Kiedy wróciłem do domu z drugiej, przerwanej podróży do Anglii, brat mój Dżiotirindra mieszkał z żoną w willi na brzegu rzeki w Czandernagore, a ja zamieszkałem przy nich.

Znowu Ganges! Znowu te nieopisane dni i noce, omdlewające z radości, bolesne z pożądania, nucone do akompanjamentu żalosego szmeru rzeki w chłodnym cieniu brzegów, drzewami porośłych. To bengalskie niebo, pełne światła, ten południowy wietrzyk, ten bieg rzeki, ta iście królewska, majestatyczna powolność, szeroka cisza, rozciągająca się od widnokregu do widnokregu i od zielonej ziemi aż do błękitnego nieba, wszystko to było dla mnie niby pokarm i napój dla głodnego i spragnionego. Tu czułem się naprawdę, jak w domu, i w tem dopatrywałem się jak gdyby tkliwej opieki Matki.

Nie było to tak bardzo dawno temu, a przecie czas wniósł tu niemało zmian. Miejsce naszych małych gniazdek, ukrytych w otaczającej je zieleni, zajęły młyny, które teraz, niby smoki jakieś, wszędzie podnosiły w górę swe syczące głowy i ziały kłębami czarnego dymu. W jaskrawem świetle południa nowoczesnego życia nawet godziny naszej siesty umysłowej musiały zostać ograniczone do „minimum,” a wielogłowa hydra niepokoju wdarła się do wszystkich działów naszego życia. Być może — tak lepiej,



co się mnie jednak tyczy, to nie mogę tego uważać za rzecz zupełnie dobrą.

Te rozkoszne moje dni na brzegu rzeki upływały, podobne do płynących wdół świętej rzeki niezliczonych, w ofierze rzuconych w wodę kwiatów lotosu. Deszczowe popołudnia spędzałem czasem w istnym szale, śpiewając na własną nutę pieśni *Waisznawa*, przyczem przygrywałem sobie na harmonji. Kiedy indziej znów wyjeżdżaliśmy łodzią na rzekę, a tam Dżiotirindra akompanjował mi na skrzypcach. A kiedy, zacząwszy od *Purawi*<sup>1)</sup> i zmieniając nutę pieśni, w miarę jak dzień posuwał się naprzód, dochodziliśmy wieczorem do *Behagi*, widzieliśmy, jak niebo zachodnie zamyka wrota swej pracowni złotych zabawek, a na wschodzie wypływa księżyc ponad frendzle drzew.

Wtedy wiosłowaliśmy z powrotem do schodków prowadzących z rzeki do naszego domu i siadaliśmy na dywanie, rozpostartym na terasie, z której rozciągał się widok na rzekę. Srebrzysta cisza leżała na wodzie i na ziemi, rzadko gdzie widać było jakąś łódkę, obramowanie drzew nadbrzeżnych zmieniało się w głęboki cień, a światło księżyca lśniło na gładkiej powierzchni rzeki.

---

<sup>1)</sup> Niektóre hindustańskie melodie klasyczne zastosowane są do poszczególnych pór roku lub godzin dnia i tylko wówczas należy je śpiewać. *Purawi* jest melodją wczesnego poranka, *Behaga* późnego wieczoru.

Willa, w której mieszkaliśmy, znana była jako „Ogród Morana.“ Wprost z rzeki wykładane płytami kamiennymi schody wiodły na długą, szeroką werandę, która stanowiła część domu. Pokoje nie były zbudowane regularnie, nie wszystkie nawet znajdowały się na tym samym poziomie, tak, że musiało się do nich wchodzić po schodach. W wielkim salonie, z którego widać było schodki, prowadzące do wody, znajdowały się w dwóch oknach różnobarwne witraże.

Na jednym witrażu widać było huśtawkę, zwisającą z gałęzi drzewa, napół ukrytej w gęstych liściach a w pstrokatem świetle i cieniu tej altany huśtały się dwie osoby; drugi obraz przedstawiał szerokie schody, wiodące do jakiegoś zamku czy pałacu, a którymi schodzili i wchodzili panowie i panie w odświętnych sukniach. Kiedy światło padło na okna, obrazy te świeciły wspaniale, zdając się napępniać nadbrzeżną atmosferę jakąś świątecznie-uroczystą muzyką. Możliwy byłoby myśleć, że jakieś dalekie, dawno zapomniane marzenie wypowieda się tu milczącą mową światła, podczas gdy miłosne gruchanie kołyszącej się na huśtawce pary ożywiało drzewa nadbrzeżne swą odwieczną historją.

Najwyżej położony pokój znajdował się w tym domu w okrągłej wieży z oknami na cztery strony świata. W tym pokoju pisywałem zwykle wiersze. Nie było stamtąd widać nic, prócz wierzchołków,

otaczających drzew i szerokiego nieba. Pisałem wtenczas *Pieśni Wieczorne* i o tym pokoju napisałem:

Gdzie na piersiach bezkresnej przestrzeni chmury kładą się do snu,

Wzniósłem swój dom dla ciebie, Poezjo!

### (33) *JESZCZE O „PIEŚNIACH WIECZORNYCH.”*

Wśród krytyków literackich miałem wówczas opinię poety złamanej kadencji i szepczącej wymowy. Utwory moje wszyscy określali jako mgliste i zaciemnione. Mimo, że mi to wówczas wcale nie przypadało do smaku, muszę przyznać, iż zarzut nie był pozbawiony wszelkich podstaw. Poezji mojej faktycznie nie dostawało kręgosłupa życiowego realizmu. I jakże w odcięciu od świata mej najwcześniejszej młodości, mogłem zebrać potrzebny ku temu materiał?

Ale jednej rzeczy uznać nie mogę. Stawiany mi zarzut niejasności miał też ukryte w sobie żądło insynuacji, jak gdyby to była rozmyślna poza — dla efektu. Szczęśliwy właściciel dobrych oczu gotów kpić z chłopca w okularach, jak gdyby on istotnie nosił je tylko dla ozdoby. I pocóż podejrzewać biedaka, że udaje, jakoby niedowidział, skoro po prostu może cierpieć na oczy!

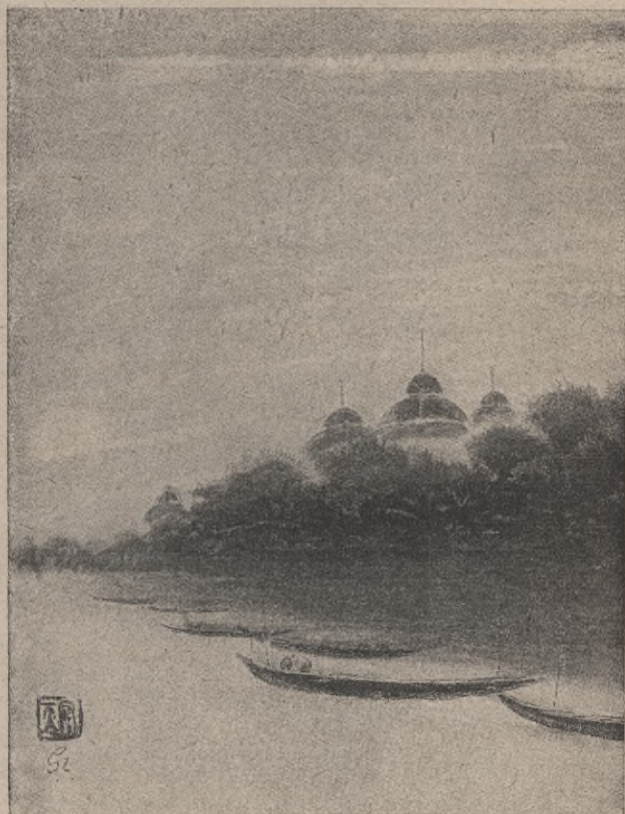
Mgławice znajdujemy nie tylko we wszechświecie — wyrażają one jedynie pewien stan w two-



rzeniu; zaś usuwanie wszelkiej poezji tylko dlatego, że ona nie osiągnęła jeszcze swej ostatecznej jasności, nie doprowadziłoby nas do prawdy literatury. Jeśli jakaś faza rozwoju natury ludzkiej znalazła swój prawdziwy wyraz — jest godna zachowania — usunąć można ją tylko wówczas, jeśli nie została wyrażona prawdziwie. W życiu człowieka jest okres, w którym uczuciem jego jest patos niewyrażalnego, męka nieuchwytności. Poezji, szukającej swego wyrazu, nie można nazwać bezpodstawną — w najgorszym wypadku ona może być bezwartościowa, ale i to być nie musi. Grzech leży nie w tem, co się wyraża, lecz w nieumiejętności wyrażenia danej rzeczy.

W człowieku jest pewna dwoistość. Bardzo mało wiemy o ukrytych za zewnętrznym biegiem myśli uczuciach i życiu człowieka wewnętrznego; mimo to jednak nie możemy zaprzeczyć, iż on jest czynnikiem rozwoju i postępu naszego życia. Kiedy życie zewnętrzne nie harmonizuje z wewnętrznym, mieszkaniem wnętrza cierpi, a to jego cierpienie przejawia się w świadomości zewnętrznej w sposób, który trudno nazwać lub nawet opisać, a którego krzyk bardziej zbliża się do nieartykułowanego jęku, niż do słów z ich ściśle określonym znaczeniem.

Szukający sobie ujścia i wyrazu w *Pieśniach Wieczornych* bolesny smutek tkwił swemi korzeniami w głębiach mej istoty. Jak wygładzone snem sumienie pasuje się ze zmorą nocną, usiłując się



Ganges.





obudzić, tak zatopione „ja“ wewnętrzne stara się otrząsnąć ze swych więzów i wydostać na wolność. Te *Pieśni* są historją takiej walki. Jak w całej twórczości, tak i w poezji, zachodzi przeciwieństwo sił. Gdzie rozbieżność jest zbyt wielka, albowi też zgodność zbyt ścisła, tam, zdaje mi się, miejsca dla poezji niema. Albowiem tam, gdzie ból i męka sprzeczności dąży do osiągnięcia i wyrażenia swej woli w harmonji, poezja, niby technienie we flecie, przegradza się w muzykę.

Kiedy *Pieśni Wieczorne* ujrzały po raz pierwszy światło dzienne, nie przyjęto ich bynajmniej triumfalnymi fanfarami, mimo wszystko jednak nie brakło im wielbicieli. Gdzieindziej opowiedziałem, jak to podczas ślubu najstarszej córki Ramesza Czandra Dutt, Bankim Babu pojawił się u drzwi, a pan domu obdarzył go według zwyczaju girlandą kwiatów. Kiedy nadszedłem, Bankim Babu natychmiast zdjął girlandę i, zarzuciwszy mi ją na szyję, rzekł: — Ramesz, wieniec jemu się należy; czy czytaliście jego *Pieśni Wieczorne*? — A kiedy pan Dutt wyznał, że ich jeszcze nie czytał, tem, co o niektórych z tych poematów powiedział Bankim Babu, czułem się szczerze wynagrodzony.

*Pieśni Wieczorne* zjednały mi przyjaciela, którego uznanie, niby promienie słońca, pobudzało i skierowywało na właściwą drogę pędy mych nowo kielkujących usiłowań. Przyjacielem tym był Babu

Prījanath Śen. Po przeczytaniu *Pękniętego Serca* wyrzekł się był co do mnie wszelkich nadziei. Zdo-  
byłem go sobie z powrotem temi *Pieśniami Wie-  
czornemi*. Ci, którzy go znali, wiedzieli, iż jest to  
żeglarz doświadczony na wszystkich siedmiu mo-  
rzach literatury<sup>1)</sup>, której głównemi i ubocznemi dro-  
gami, we wszystkich możliwych językach, indyj-  
skich i cudzoziemskich, stale podróżował. Rozma-  
wiać z nim znaczyło zyskać wgląd w najbardziej  
odległą scenerję świata idei. Dla mnie miało to ol-  
brzymie znaczenie.

Niezależny w swym wyrobionym guście od  
swych upodobań lub uprzedzeń, wygłaszał swe sądy  
z absolutną pewnością siebie. Nie mogę nawet po-  
wiedzieć, jak pożyteczna była mi ta jego autoryta-  
tywna krytyka. Zwykle odczytywałem mu wszystko,  
co napisałem i trudno powiedzieć, czy z tych mych  
wczesnych skib weszłoby co tak, jak weszło, gdyby  
ich w stosownym czasie nie użyźniały deszcze jego  
rozmaitej oceny.

### (34) *PIEŚNI PORANNE.*

Mieszkając tam nad rzeką, napisałem też trochę  
prozy, bez jakiegoś planu ani ściślej określonego celu,  
ale w tym nastroju, w jakim chłopcy łapią motyle.

---

<sup>1)</sup> W indyjskich bajkach i w indyjskim folklorze wy-  
stępuje zwykle śledem mórz i trzynaście rzek.



Gdy w człowieku robi się wiosna, w duszy rodzą się i trzepocą wielobarwne, krótkotrwałe kaprysy — przemijające zwykle niepostrzeżenie. W tych czasach bezczynności fantazją moją było zbierać kaprysy, jakie rodziły się we mnie. A może była to tylko druga faza wyzwolenia mego „ja“, które rzuciło swój piórnik i postanowiło pisać, jak mu się żywnie podoba — zaś to, co pisałem, nie miało żadnego celu, bo wystarczało najzupełniej, że to ja pisałem. Te utwory prozą zostały ogłoszone później drukiem pod tytułem *Wiwidha Prabandha* (Różne Tematy), wyzionęły jednak ducha wraz z pierwszym wydaniem i nie zmartwychwstały w drugim.

Zdaje mi się również, że wówczas zacząłem pisać pierwszą swoją powieść *Bauthakuranir Hat*.

W willi na brzegu Gangesu mieszkaliśmy jakiś czas, a potem Dźiotirindra wynajął osobny dom w Kalkucie w Sudder Str., niedaleko muzeum. Mieszkałem u niego w dalszym ciągu. Kiedy tu pracowałem nad powieścią i *Pieśniami Wieczornemi*, dokonało się we mnie nagle coś w rodzaju niespodziewanej rewolucji.

Pewnego dnia, późno popołudniu, przechadzałem się po terasie naszego domu w Dźorasanko. Dogasający żar zachodzącego słońca zlewał się z bladym zmierzchem w sposób, który nadchodzącemu wieczorowi dla mnie zdawał się używać przedziwnego uroku. Miałem wrażenie, jak gdyby nawet



ściany sąsiedniego domu zaczęły pięknieć. Czyż to uniesienie zasłony pospolitości ze świata powszedniego — myślałem zdumiony — należy przypisać jakiemuś czarowi wieczornego oświetlenia? Przenigdy!

I naraz spostrzegłem, iż ono jest skutkiem wieczoru zapadającego we mnie; jego cienie usunęły moje własne „ja“. Kiedy to „ja“ wlokło się przez skwar dnia, wszystko, co mogłem dojrzeć, z niem się mieszało, splatało; to „ja“ wszystko mi zasłaniało. Teraz, kiedy nareszcie zostało usunięte na plan tylny, mogłem ujrzeć świat w prawdziwej jego postaci. A ta postać nie ma w sobie nic pospolitego, przeciwnie jest pełna piękna i radości.

Od czasu, gdy zrobiłem to doświadczenie, niejednokrotnie rozmyślnie próbowałem usunąć zupełnie swoje „ja“ i patrzeć na świat jako zwykły widz i stale w nagrodę doznawałem uczucia szczególniejszej rozkoszy. Przypominam sobie, że raz starałem się też wytłumaczyć jednemu z krewnych, jak należy widzieć świat we właściwym świetle i jak oprócz tego po takiej wizji doznaje się uczucia ulgi, zdaje mi się jednak, że niewiele wskórałem.

A potem uzyskałem nowy wgląd, który zaciężył na całym moim życiu.

Z naszego domu przy Sudder Str. widać było koniec ulicy i drzewa na leżącym naprzeciw boisku Wolnej Szkoły. Pewnego poranku przypadkiem stałem na werandzie, patrząc w tamtą stronę. Wła-

śnie wschodziło słońce wśród liściastych wierzchołków tych drzew. Kiedy tak w dalszym ciągu patrzyłem, nagle jakby zasłona spadła mi z oczu i ujrzałem świat skąpany w przedziwnej jasności, zalewany ze wszech stron przez fale piękna i radości. Ta jasność w jednej chwili przeniknęła przez zwoje zbierającego się nad mem sercem smutku i zwątpienia i zalała je tą światłością wszechświata.

Tego samego dnia trysnął i popłynął jak prawdziwa kaskada poemat *Przebudzenie się Wodospądu*. Poemat został ukończony, ale kurtyna już radosnego widoku Wszechświata nie przesłoniła. I stało się, że żadna osoba czy rzecz na tym świecie nie była już w moich oczach ani pospolitą ani brzydką. Pewien drobny wypadek, jaki wydarzył mi się na drugi czy trzeci dzień, dał mi szczególnie do myślenia.

Odwiedzał mnie od czasu do czasu pewien dziwak, który miał zwyczaj zadawania przeróżnych, niedorzecznych pytań. Jednego dnia zapytał mnie, czy widziałem kiedy Boga na własne oczy, a gdy mu odpowiedziałem, że nie, on rzekł, że widział. — Cóżście widzieli? — spytałem. — W moich oczach wrzał i pulsował! — brzmiała odpowiedź.

Łatwo sobie wyobrazić, że nikt nie ma chęci do wdawania się w niedorzeczne dyskusje z takim człowiekiem. Prócz tego mnie pochłaniało wówczas zupełnie moje pisanie. Mimo to, ponieważ człowiek ów był zupełnie nieszkodliwy, przykrość sprawiała



mi myśl ewentualnego urażenia go, wobec czego tolerowałem go, jak mogłem.

Teraz, kiedy przyszedł pewnego popołudnia, byłem faktycznie szczęśliwy, że go znowu ujrzałem i przywitałem go serdecznie. Miałem wrażenie, jak gdyby z niego spadł płaszcz jego dziwactwa i szaleństwa, i że osoba, którą tak radośnie powitałem, jest prawdziwym człowiekiem, bynajmniej pod żadnym względem ode mnie nie niższym, a oprócz tego blisko spokrewnionym. Nie czując ani śladu przykrości na jego widok i nie widząc, jakobym czas z nim strawiony marnował, doznałem uczucia niezmiernej radości, a równocześnie zostałem wyzwolony z pewnej osłony kłamstwa, które, zbytecznie i nieproszone, tyle mi sprawiało przykrości.

Kiedy stałem czasem na balkonie, patrząc, jak — niby fale oceanu wszechświata — przemijali przechodnie, bez względu na to, ktoby to był, ich chód, postać, ruchy, wszystko wydawało mi się nadzwyczajne i podziwu godne. Od dzieciństwa przywykłem patrzeć tylko oczami, teraz zaczynałem widzieć całą swą świadomością. I nie mogłem już jako na rzecz mało ważną patrzeć na dwóch uśmiechniętych chłopców, niedbale idących swą drogą z ramionami zarzuconymi wzajemnie na szyję, albowiem w nich manifestowała się dla mnie bezdenne głębia źródła Radości, z którego niezliczone bryzgi śmiechu leciały na cały świat.



Nigdy przedtem nie zauważyłem gry członków i konturów, towarzyszącej nawet najmniejszej czynności człowieka; teraz oczarowany byłem jej rozmaitością, objawiającą mi się każdej chwili na każdym kroku. Nie traktowałem jej jednak jako rzeczy zamkniętej w sobie, lecz jako część tego zdumiewająco pięknego, większego tańca, który wciąż wypełnia świat ludzi, we wszystkich ich domach, różnorodnych pragnieniach i czynnościach.

Przyjaciel śmieje się ze swym przyjacielem; matka pieści swe dziecko, jedna krowa podchodzi bokiem do drugiej i liże ją, a ukrywająca się za tem bezmierność trafia mi wprost do duszy z wstrząśnieniem, które zawsze ma w sobie coś z bólu.

W owym czasie napisałem:

Nie wiem, jak nagle serce me na oścież otwarł swe wr ta  
Tłumom światow, które, wlatując w nie, pozdrowiały się wzajem

I nie było to wcale poetycką przesadą. Przeciwnie, mogę powiedzieć, że to raczej mnie nie dostawało sił do wyrażenia wszystkiego, co czułem.

Przez pewien czas trwałem w tym błogim stanie samozapomnienia. Naraz mój brat powziął zamiar udania się w góry, do Dardżilin. Tem-ci lepiej — pomyslałem. — Na różległych grzbietach Himalajów wejrzę głębiej w to, co zostało mi objawione w Sud-der Str.; w każdym razie zobaczę, jak mi się przedstawia Himalaje w świetle mego nowego sposobu widzenia.

Zwycięstwo odniósł mały domek przy Sudder Str. Kiedy, wdrapawszy się na góry, zacząłem się rozglądać dokoła, spostrzegłem, iż mój nowy sposób widzenia rzeczy gdzieś przepadł. Wina moja musiała-prawdopodobnie leżeć w wyobrażeniu, iż wciąż jeszcze mogę więcej prawdy uzyskać od świata zewnętrznego. I choćby król gór wzrokiem swym przebijał niebiosy, ten jego dar mnie nic dać nie może; albowiem Ten, który jest Dawcą jedynym, może użyć wizji wiecznego wszechświata w najbrudniejszej uliczce i w jednej chwili.

Błądziłem wśród sosen, siadywałem koło wodospadów i kąpałem się w ich wodach, podziwiałem wielkość Kinczindzungi wśród nieba bez chmur, tego jednak, co o piękności tych miejsc stanowi, nie znalazłem. Przybyłem, aby się dowiedzieć, lecz nie umiałem już patrzeć. Kiedy podziwiałem klejnot, wieko nagle się zamknęło, tak że przede mną pozostało tylko chroniące go puzderko. Jednakże, mimo całego powabu jego kunsztownej roboty, nie zachodziło już najmniejsze niebezpieczeństwo, abym brał je za pustą szkatułkę.

Me „*Pieśni Poranne*“ zostały doprowadzone do końca a ostatnie ich echo zamarło w *Echu*, które napisałem w Dardżilin. A była to taka zawikłana historia, że dwóch moich przyjaciół założyło się o to, co ona właściwie ma znaczyć. Jedyłą moją pociechą było, że kiedy przyszli do mnie z prośbą o wytłuma-



czenie, ja sam tej zagadki rozwiązać nie mogłem, tak, że żaden z nich straty w pieniądzach nie poniósł. Niestety, czasy, w których pisałem zupełnie zrozumiałe wiersze o *Lotosie* lub *Jeziorze*, minęły na zawsze.

Czy jednak poezje pisze się po to, aby coś wytłumaczyć? Coś, co serce czuje, stara się przybrać zewnętrzny swój kształt, jako poemat. Jeśli tedy, wysłuchawszy poematu, ktoś powie, że nie rozumiał, nie wiem, co mu na to odpowiedzieć. Jeżeli ktoś powącha kwiat i powie, że nie rozumie, można mu odpowiedzieć: Tu niema nic do rozumienia, to jest tylko zapach. Lecz gdy się zacznie upierać i powie: *To* ja sam wiem, ale co to wszystko ma *znaczyć?* — można albo zmienić temat rozmowy, lub też uczynić ją jeszcze bardziej zawilą powiedzeniem, iż zapach jest kształtem, w którym w kwiecie przejawia się radość wszechświata.

Cała trudność polega na tem, iż słowa mają swe znaczenie. Dlatego poeta musi tak kręcić niemi i wplatać je w miarę i wiersz, aby znaczenie trzymane było poniekąd w szachu i aby za to możność wyrażenia się otrzymało uczucie.

To wyrażanie uczuć nie jest bynajmniej jakimś wyznaniem prawdy zasadniczej, faktem naukowym lub pożyteczną maksymą moralną. Podobnie jak łza lub uśmiech, poezja jest tylko obrazem tego, co się dzieje w człowieku. Jeżeli Wiedza lub Filo-



zofja może co od niej skorzystać, są mile widziane, ale to nie stanowi bynajmniej jej racji bytu. Weźmy na przykład: O ile, podczas przepływania się promem z jednego brzegu rzeki na drugi, uda wam się złapać rybę, możecie powiedzieć, że macie szczęście, z tego jednak nie wynika, aby prom był łodzią rybacką, ani też nie uprawnia was to do ganienia przewoźnika za to, że on nie poświęca się rybołówstwu.

*Fcho* było napisane tak dawno, że uniknęło uwagi i nikt już, co się tyczy jego znaczenia, nie pociąga mnie do odpowiedzialności. Mimo to, pomijając już wszystkie inne jego zalety czy wady, mogę swych czytelników zapewnić, że absolutnie nie miałem zamiaru zadawania im zagadki lub też podstępnego osłaniania jakiegoś uczonego wykładu. Faktem jest, że w sercu mem zrodziło się pewne pragnienie, zaś ja, nie mogąc znaleźć innej nazwy, nadałem tej upragnionej rzeczy imię *Fcha*.

Kiedy z najpierwotniejszego źródła, ukrytego w głębinach Wszechświata, strumienie melodji tryskają w przestrzeń, echo ich, oddane przez serca nasze, wyziera z twarzy naszych najdroższych i innych otaczających nas pięknych rzeczy. Tedy ja twierdziłem, że my najprawdopodobniej kochamy to Echo, a nie rzeczy same w sobie, które przypadkiem je oddają; albowiem to, na co jednego dnia ledwie raczymy spojrzeć być może, już na drugi dzień staje się przedmiotem całego naszego uwielbienia.

Tak długo miałem na oczach tylko zewnętrzną wizję świata, iż zupełnie już nie byłem w stanie dostrzec promiennego blasku jego wszechradości. Kiedy naraz, gdzieś z najgłębszych głębi mej istoty, jakiś promień światła zdołał się przedrzeć, ogarnął i rozświecił dla mnie cały wszechświat, który w tej chwili przestał być dla mnie kupą rzeczy i wydarzeń, ale zjawił się mym oczom, jako całość. W mojem przekonaniu to doświadczenie pouczało mnie właśnie o owym strumieniu melodji, tryskającym z samego serca wszechświata, a rozprzestrzeniającym się ponad przestrzenią i czasem i odbijającym się od nich w postaci fal radości, spływających napowrót do źródła.

Radością artysty jest, gdy może wysłać swą pieśń z głębi swego pełnego serca. Radość ta jest podwójna, jeśli ta jego pieśń powraca do niego jako słuchacz. Tedy, jeśli dziełu Arcy-Poety, powracającemu w ten sposób ku Niemu, pozwolimy zalać naszą własną świadomość, nagle, bezpośrednio, w niewypowiedziany sposób, spostrzegamy cel, ku któremu płyną te fale. Zaś jak tylko zaczynamy sobie zdawać sprawę z tego, miłość nasza wzrasta; i nasze „ja“, zerwane ze swych kotwic, lecą, unoszone prądem radości, ku swym nieskończonym celom. I to jest całe znaczenie pragnienia, jakie się w nas zrywa na widok Piękna.

Prąd, który przyplywa z Nieskończoności i dąży ku skończoności — to Prawda, to Dobro; pod-



dany on jest prawom, określony co do kształtu. Jego Echo, powracające ku Nieskończoności, to Piękno i Radość, których nie możemy ani dotknąć ani uchwycić, abyśmy w ten sposób mogli stanąć poza sobą. Oto co chciałem wyrazić zapomocą przypowieści czy też śpiewu w *Echu*. I niema się co dziwić, że rezultat był niejasny, ponieważ sam zamiar, jako taki, już jasny nie był.

Niech mi wolno będzie przytoczyć tu pewien ustęp z listu, jaki w późniejszym już wieku napisałem o „*Pieśniach Porannych*.“

„Niema nikogo na świecie, wszystko jest w mem sercu“ — oto stan umysłu, charakterystyczny dla pewnego wieku. Kiedy serce pierwszy raz się zbudzi, wyciąga ramiona, jak gdyby chciało objąć cały świat na podobieństwo ząbkującego niemowlęcia, które myśli, że każda rzecz stworzona jest po to tylko, aby ono mogło ją wziąć do ust. Stopniowo zaczyna rozumieć, czego potrzebuje, a co się dla niego nie nadaje. Wtedy jego mgławicowe emanacje gęstnieją, zaczynają się rozgrzewać i same z kolei rozgrzewają.

Zaczynać od pożądania całego świata znaczy — nie otrzymać nic. Kiedy pragnienie jest skoncentrowane z całą siłą danej istoty na jakimś przedmiocie — mniejsza z tem, na jakim — wrota Nieskończoności stają się widzialne. *Pieśni Poranne* były pierwszym takim ciśnieniem mego wewnętrznego ja na zewnątrz i oczywiście brak im wszelkich cech takiej koncentracji.

Ta wszystko ogarniająca radość pierwszego porwy w następstwie prowadzi nas do zaznajomienia się ze szczegółami. Jezioro w swej pełni szuka sobie ujścia w postaci rzeki. W tem znaczeniu nieustająca miłość późniejsza jest jednak bardziej ograniczona,



niż pierwsza miłość. Jest bardziej określona w kierunku swej działalności, chciałaby urzeczywistnić całość w każdej poszczególnej części, i to popędza ją ku Nieskończoności. To, co ona ostatecznie osiąga, nie jest już nieokreślonym rozprzestrzenieniem wewnętrznej radości własnego serca, lecz pograżeniem się w nieskończonej rzeczywistości, a co za tem idzie, osiągnięciem zupełnej prawdy własnych pragnień.

W wydaniu Mohity Babu te „*Pieśni Poranne*“ zostały umieszczone w grupie poezyj zatytułowanych *Niszkraman* (Wynurzenie się). Albowiem w tych poezjach można było znaleźć pierwszą zapowiedź mego wyjścia z *Matecznika Serca* na świat boży. Później to serce pielgrzymie zaczęło się zaznajamiać z tym światem, powoli, krok za krokiem, na najrozmaitsze sposoby i wreszcie, minawszy wszystkie przystanie wiecznie zmiennego przemijania, dotrze do Nieskończoności — nie w postaci mglistości nieokreślonych możliwości, lecz w postaci dokonania doskonałej pełni Prawdy.

Od najwcześniejszych lat żyłem w prostym, serdecznym związku z Przyrodą. Każda palma kokosowa w naszym ogrodzie miała w moich oczach swą własną, odrębną indywidualność. Jeszcze dziś mogę sobie przypomnieć cały bezmiar radości, jaka mnie w jednej chwili napelniała, kiedy, wracając ze Szkoły Normalnej, ujrzałem ponad linją nieba nad naszą terasą na dachu, błękitno-szare, deszczem ciężarne

chmury. Kiedy rano otwierałem oczy, błyskawicznie budzący się świat wołał mnie do siebie, niby towarzysza swych zabaw, gorejące niebo południowe podczas długich, milczących godzin „siesty“ unosiło mnie daleko od świata pracy dnia powszedniego w zakątki swych cel pustelniczych, zaś ciemności nocne otwierały mi furtkę wiodącą na widmowe ścieżki i przenosiły mnie przez siedem mórz i trzysta rzek przez wszystkie możliwości i niemożliwości wprost do kraju baśni.

Aż pewnego dnia, kiedy, o zmierzchu młodości, zgłodniałe me serce zaczęło domagać się posiłku, pojawiła się zaporą między tą grą wewnętrznego i zewnętrznego świata. I dusza ma zaczęła krążyć wciąż dokoła zaniepokojonego serca, wytwarzając w ten sposób wir, w którego kręgach zamykała się jego świadomość.

W *Pieśniach Wieczornych* oplakuję tę utratę harmonji między życiem wewnętrznym a światem zewnętrznym, spowodowaną zbyt wielkimi wymaganiami serca w jego głodzie wraz z nieuniknionem w następstwie ograniczeniem posiadanego przeze mnie dotychczas przywileju wspólnoty. W *Pieśniach Porannych* opiewałem nagłe otworzenie się w tej barjerze furtki — nie wiem nawet, jakim wstrząśnieniem spowodowane — lecz dzięki któremu ja odzyskiwałem całą swą stratę i ovladałem nią nietylko tak, jak pierwej, ale, dzięki chwilowej rozłące, znacznie głębiej i pełniej.



Na tych rozdziałach zjednoczenia, rozłąki i pojednania skończyła się Pierwsza Księga mego życia. A właściwie nieprawda, jakoby się skończyła. Ten sam temat musi przychodzić w dalszym ciągu, ale w trudniejszych i bardziej opracowanych rozwiązaniach zagadnień bardziej zawikłanych i prowadzących do większych wniosków. Każdy z nich zamyka jedną jedyną księgę życia, które, w miarę postępu i rozwoju swych poszczególnych części, rozrasta się spiralnie dookoła coraz to dłuższego promienia. I tak, mimo iż w oczach powierzchownego widza, każdy odcinek może zupełnie różnić się od innych, w rzeczywistości wszystkie one zbiegają się w ten samem wyjściowem ognisku.

Jak to już powiedziałem, pochodzące z okresu *Pieśni Wieczornych* utwory prozą zostały wydrukowane pod tytułem *Wiwidha Prabandha*. Inne prozy, pochodzące z czasu, kiedy pisałem *Pieśni Poranne*, wyszły pod tytułem *Alochana* (Rozmowy). Różnica, zachodząca między charakterem obu tych tomów, może być znakomitym wskaźnikiem natury przemiany, jaka się tymczasem we mnie dokonała.

### (35) RADŻENDRALAL MITRA.

Mniej więcej w tym samym czasie mój brat Dzio-tirindra wpadł na myśl zgromadzenia wszystkich wybitniejszych literatów i założenia w ten sposób



Akademji Literackiej. Zadaniem jej było ustanawianie technicznych określeń dla języka bengalskiego i dopomaganie literaturze wszelkimi sposobami w jej rozwoju — w czem bardzo mało różniła się od kierunku, jaki sobie wytknęła nowoczesna *Sahitja Pariszat* (Akademja Literatury).

Dr. Radžendralal Mitra podjął myśl założenia tej Akademji z zapałem i był też jej przewodniczącym przez krótki czas jej istnienia. Kiedy udałem się z zaproszeniem do przystąpienia do tej Akademji do Pandyty Widjasagara i wyłożyłem mu jej cele, a także wymienilem nazwiska proponowanych członków, wysłuchał i rzekł: — Ja radziłbym wam, nas wogóle wypuścić — nigdy do ładu z grubemi rybami nie dojdziecie; oni się sami między sobą nigdy pogodzić nie potrafią. — To rzekłszy, odmówił. Bankim Babu został mianowany członkiem Akademji, ale nie mogę powiedzieć, aby się bardzo jej pracami zajmował.

Prawdę mówiąc, przez cały czas istnienia tej akademji, Radžendralal Mitra wszystko robił sam. Zaczął od terminów geograficznych. Dr. Radžendralal sam sporządził listę nazw i, wydrukowawszy ją, posłał jako okólnik do uznania członków. Mieliśmy także zamiar zastosowania w języku bengalskim nazwy każdego obcego kraju, tak jak się ją wymawia.

Proroctwo Pandyty Widjasagara spełniło się. Istotnie niepodobieństwem było zmusić „grube

ryby“, aby cośkolwiek robili. Skutkiem tego akademja musiała uwiędnąć w krótkim czasie po puszczaniu pierwszych latorośli. Ale Radżendralal Mitra był wszechstronny i sam stanowił całą akademję. Wszystkie moje trudy dla tej sprawy sownie wynagrodził mi sam zaszczyt poznania go. Spotkałem w życiu wielu bengalskich literatów, ale żaden z nich nie wywarł na mnie tak olśniewającego wrażenia.

Odwiedzałem go zwykle w jego biurze w Maniktali. Przychodziłem rano i przeważnie zastawałem go już przy robocie, jednakże z właściwym młodości brakiem zastanowienia się, nie brałem nawet pod uwagę, że mu przeszkadzałem. Zaś on nigdy nie dał mi tego po sobie poznać. Gdy tylko mnie zobaczył, odkładał swą robotę i zaczynał mówić. Było publiczną tajemnicą, iż źle słyszał, skutkiem czego rzadko kiedy pozwalał mi zadać sobie jakieś pytanie. Wyszukiwał obszerny temat i mówił, i te właśnie jego wykłady najbardziej mnie przyciągały. Nie było człowieka, z którym rozmowa mogłaby podsuwać mi takie bogactwo twórczych pomysłów w tylu różnorodnych kwestjach. Słuchałem zachwycony.

O ile sobie przypominam, dr. Radżendralal Mitra był też członkiem komitetu, czuwającym nad tekstami książek, skutkiem czego czytał i zaopatrywał w pisane na marginesie ołówkiem uwagi każdą książkę, którą mu przysłano do recenzji. Czasami



przy nadarzającej się sposobności obierał którąś z tych książek za temat dyskursu o strukturze języka bengalskiego w szczególności, lub też o filologii wogóle, z czego ogromnie wiele korzystałem. Mało było rzeczy, którychby nie znał, zaś wszystko, co przestudjował, potrafił jasno wyłożyć.

Gdybyśmy się nie spuszczała na wyszukiwanych z trudem członków Akademji, lecz pozostawili wszystko doktorowi Radżendralalowi, dzisiejsza *Sahitja Pariszat* znalazłaby niewątpliwie dzięki temu jednemu człowiekowi sprawy, któremi dziś się zajmuje, znacznie już dalej posunięte.

Dr. Radżendralal Mitra był nie tylko głębokim uczonym, ale także wybitną indywidualnością, co przebiegało się z jego twarzy. Pełen ognia w życiu publicznem, potrafił być także rozbijającą uprzejmym, że przypomnę choćby te jego rozmowy o najtrudniejszych kwestjach z takim młodzieniaszkiem jak ja, bez śladu protekcyjnego tonu. Korzystając z tej jego łaskawości, posunąłem się tak daleko, że wyprosiłem od niego artykuł dla *Bharati*, zatytułowany *Pies Jamy*. Z współczesnymi mu innymi wielkimi ludźmi nie pozwoliłbym sobie na taką poufałość, a gdyby, to z pewnością nie dostałbym takiej, jak od niego, odpowiedzi.

A mimo to, kiedy rozpoczynał wojnę ze swymi oponentami w radzie miejskiej lub w senacie uniwersyteckim, bano się go śmiertelnie. W owym cza-



sie Kristo Das Pal był zręcznym politykiem. Radźendralal Mitra mężnym wojownikiem.

Dla celów publikacyj i badań Towarzystwa Azjatyckiego, musiał zatrudniać pewną ilość Pandytów sanskryckich, którzy wykonywali za niego prace mechaniczne. Przypominam sobie, że niektórzy zawistni i ograniczeni oszczercy, korzystając z tego, twierdzili, jakoby w rzeczywistości wszystkiego dokonali ci Pandyci, podczas gdy Radźendralal oszukańczo sobie przypisał całą zasługę. Jeszcze dziś narzędzia przywłaszczają sobie lwią część zasługi, wyobrażając sobie, że ten, który ich używa, jest głową tylko dla ozdoby. Gdyby pióro miało duszę, z pewnością skarżyłoby się na niesprawiedliwość, iż jemu przypada w udziale cała czerń atramentu, zaś pisarzowi cała sława!

Ciekawa rzecz, że ten nadzwyczajny człowiek nie doczekał się uznania swoich rodaków nawet po śmierci. Jedną z przyczyn może być, iż z powodu żałoby narodowej po śmierci Widjasagara, który zmarł wkrótce po Radźendralalu, nie było już miejsca na oplakiwanie tej drugiej straty. Drugą przyczyną było, iż ponieważ główna jego działalność wybiegała poza zakres literatury bengalskiej, nie mogła trafić do serca ludu.

### (36) KARWAR.

Z Sudder Str. przenieśliśmy się do Karwar na zachodnim brzegu morza. Karwar jest głównem miastem okręgu Kanara w południowej części prezydentury bombajskiej. Jest to trakt wiodący z gór Malaja (w literaturze sanskryckiej), kraj, w którym rośnie pnącze kardamonowe i drzewo sandałowe. Mój brat był tam wtedy sędzią.

Mała przystań, otoczona ze wszystkich stron górami, jest tak odcięta od świata, że zupełnie nie sprawia wrażenia portu. Jej płaskie wybrzeże w kształcie półksiężyca, wyciągające swe ramiona ku nieskończonemu, otwartemu morzu, jest niby żywym obrazem tęsknego dążenia do ogarnięcia Nieskończoności. Skraj szerokiego, piaszczystego wybrzeża obramowany jest lasem kazuaryn, przerwanym u jednego końca przez rzekę *Kalanadi*, która uchodzi tu do morza, przepłynąwszy przez jar, osłonięny z obu stron górskimi łańcuchami.

Pamiętam, jak pewnego księżycowego wieczoru popłynęliśmy małą łódką w górę rzeki. Stanęliśmy u stóp jakiejś starej forteczki górskiej z czasów Szivadzi, a wysiadłszy na brzeg, znaleźliśmy ścieżkę, która zaprowadziła nas na schludne, małe podwórze chaty jakiegoś wieśniaka. Rozłożyliśmy się na miejscu, gdzie promienie księżyca lśnią odbijają się od górnej części murowanego ogrodzenia i zje-

dliśmy obiad, składający się z przywiezionych z domu zapasów. Wracając, puściliśmy czółno z biegiem rzeki. Na nieruchomych wzgórzach, lasach i na cichem korycie małej *Kalanadi* leżała noc, zalewająca wszystko czarem swego światła księżycowego. Dostanie się do ujścia rzeki zabrało nam tyle czasu, że zamiast wracać morzem, woleliśmy wysiąść i wrócić do domu piaskami wybrzeża. Zrobiło się już późno, morze było bez zmarszczki, ścichał nawet szum wiecznie zaniepokojonych kazuaryn. Cień drzew wzdłuż szerokiego obszaru piasków wisiał nieruchomo u granic, a szaro-błękitne góry na widnokręgu spały spokojnie pod jasnym niebem.

W głębokiej ciszy tej bezgranicznej bieli, my — parę istot ludzkich — szliśmy wraz ze swymi cieniami, bez słowa. Kiedyśmy przyszli do domu, mój sen przeszedł w coś jeszcze głębszego. Poemat, który wówczas napisałem, jest nierozzerwalnie spleciony z tą nocą na odległym wybrzeżu morskiem. Nie wiem, jak on przemówi do czytelnika, obcego wspomnieniom, z których powstał. Z powodu tych wątpliwości poemat ten został wypuszczony z mych dzieł w wydaniu Mohity Babu. Zdaje mi się, że nie będzie rzeczą niewłaściwą, jeśli w tych wspomnieniach udzielię mu trochę miejsca.

Dajcie mi zapaść się, rozplynać się w głębiach północy. Niechże wypuści mnie Ziemia, niech mnie wyzwoli ze swych więzów z prochu.

Baczenie zdala, o gwiazdy, pijane światłem księżycyca.



I niechaj widnokręgi rozciągną nade mną swe opiekuńcze skrzydła.

Niechaj mi zniknie pieśń i słowo, dźwięk i dotknięcie, sen i przebudzenie się.

Niech pozostanie tylko światłość księżycy, niby ekstaza, rozciągnięta nad niebem i nade mną.

Świat jest mi okrętem, wiozącym niezliczonych pielgrzymów i ginącym w dalekim błękitie niebios.

Żeglarze jego coraz bardziej rozplywają się w powietrzu,

Gdy ja osuwam się na łono nieskończonej nocy, odrywam się od siebie samego i wędnę, zsyhajac się w punkt.

Trzeba tu zaznaczyć, że nie zawsze to, co zostało napisane tylko dlatego, że uczucia przelewały się przez brzegi, musi być koniecznie dobre. Zdarza się to raczej wówczas, kiedy wzruszenie hamuje wymowę. Tak samo, jak nie jest dobrze, jeśli autor zupełnie obcy jest uczuciom przez siebie wyrażanym, nie może prowadzić do najprawdziwszej poezji, gdy będzie zanadto z temi uczuciami zespolony. Jedynym pędzlem, zapomocą którego można najlepiej nakładać barwę prawdziwej poezji, jest pamięć. Zbyttnia bliskość zbyt wiele rzeczy narzuca i wyobrażenia nie może być odpowiednio wolna, jak długo nie usunie się z pod jej wpływu. Nie tylko w poezji, ale wogóle w sztuce umysł artysty musi osiągnąć pewien stopień wyższości — kontrolę należy powierzyć wyłącznie twórcy w człowieku. Jeśli materiał weźmie górę nad twórczością, otrzymamy w najlepszym wypadku kopję życia, a nie jego odbicie przez umysł artystyczny.

(37) „ODWET PRZYRODY.“

Tu, w Karwar, napisałem *Prakritir Gratiszodha* (Odwet Przyrody), poemat dramatyczny. Bohaterem tej sztuki jest *Sanjasi* (pustelnik), który chciał przewyciężyć Naturę zapomocą odrzucenia wszystkich pragnień i uczuć, aby w ten sposób dojść do prawdziwego, głębokiego poznania samego siebie. Mała dziewczynka sprawia, iż pustelnik wyrzeka się znowu swego obcowania z Nieskończonością dla świata i przyjmuje znowu pęta ludzkich uczuć. Powracając tak do świata, *Sanjasi* zdaje sobie sprawę, iż wielkość można znaleźć w małym, nieskończoność w skończoności formy, zaś wieczną wolność w miłości. Tylko w świetle miłości wszystkie granice zanurzają się w bezkreśności.

Wybrzeże w Karwar jest niewątpliwie miejscem, w którym można zrozumieć, iż piękność przyrody to nie złudzenie wyobraźni, lecz że ona odbija radość Nieskończoności, a przeto nakłania nas do rozplynięcia się w niej. Gdzie wszechświat wyraża się tajemnicą swych praw, niema dziwu, iż nie dostrzegamy jego nieskończoności; ale tam gdzie serce wchodzi w bezpośredni kontakt z bezmiarem piękna najmniejszej nawet rzeczy, czyż jest jeszcze miejsce na dowody?

Drogą serca przyprowadziła natura *Sanjasi* przed oblicze Nieskończoności, usadowione na tro-

nie skończoności. W „*Odwiecie Przyrody*“ przedstawieni są z jednej strony wędrowcy i włóścianie, poprzestający chętnie na swej prostodusznej pospolitości i nieświadomi, aby mogło być coś poza nią; z drugiej strony Sanjasi, skrzętnie wrzucający wszystko, co ma, i siebie samego w otchłań nieskończoności, zrodzonej przez własną wyobraźnię. Kiedy miłość przerzuciła most przez zatokę, dzielącą te dwa światy, i Sanjasi spotyka się z wyrobnicą, znika tak pozorna pospolitość skończoności jak i pozorna pustka nieskończoności.

Była to nieco zmieniona historia mych własnych przeżyć, historia owego promienia światła, który trafił do głębin lochu, w jakim się ukryłem, unikając wszelkiej styczności ze światem zewnętrznym, a który znowu jeszcze silniej połączył mnie z przyrodą. „*Odwet Przyrody*“ można uważać za wstęp do całej mojej przyszłej pracy literackiej; albo też raczej to stanowiło przedmiot wszystkiego, co napisałem — radość osiągnięcia Nieskończoności w skończonym.

Wracając z Karwar, napisałem na pokładzie statku kilka pieśni, przeznaczonych do „*Odwetu Przyrody*.“ Doznawałem uczucia wielkiej błogości, kiedy siedząc na pokładzie, śpiewałem i pisałem razem:

Matko, zostaw nam swego chłopaczka

I daj nam wziąć go na błonia, gdzie wypasamy swe stada <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Z pieśnią tą towarzysze zabaw Kriszny zwracają się do Jaszody, jego matki. Jaszoda ubierała codziennie swego



Słońce wstało, kielichy kwiatów rozchyliły się, pastuszkowie odeszli na pastwisko; ale nie chcą, aby to światło słoneczne, te kwiaty, te ich zabawy na pastwisku były puste. Oni pragną, aby ich *Sziam* (Kriszna) był tu wraz z nimi, pośród tego wszystkiego. Pragną widzieć Nieskończoność w jej całej tak starannie wymuskanej piękności; wstali tak wcześnie, ponieważ chcą wziąć udział w jej wesołych zabawach, wśród tych lasów i pól, wzgórz i dolin — a nie podziwiać ją zdala lub też w majestacie jej potęgi. Strój ich jest lekki. Prosta, żółta sukienka i wieniec z kwiatów polnych, oto wszystko, czego wymagają. Albowiem tam, gdzie radość rządzi, szukać jej gorączkowo lub też w przepychu i świetności, znaczy utracić ją.

Wkrótce po powrocie z Karwar ożeniłem się. Miałem wówczas dwadzieścia dwa lata.

### (38) „OBRAZY I PIEŚNI.“

*Czhabi o Gan* (Obrazy i Pieśni) nazywał się tom poezyj, przeważnie w tym czasie napisanych.

Mieszkaliśmy wtedy w domu z ogrodem przy Niższej Drodze Okrężnej. Od południa przytykało

---

ukochanego chłopaczka w żółtą sukienkę i wtykała mu pawie piórko we włosy. Ale jak przyszło co do czego, bała się puścić małego samego z pastuszkami na pastwisko. To też nieraz trzeba ją było długo prosić, zanim go wreszcie puściła. Stanowi to w *Waisznawie* część przypowieści o tem, jak Kriszna-dziecko bawił się światem.

do tego domu obszerne *Busti* <sup>1)</sup>. Nieraz siedziałem przy oknie i przyglądałem się życiu tej małej, ludnej osady. Z przyjemnością obserwowałem tych ludzi przy pracy, podczas zabaw i odpoczynku, podczas przeróżnych ich zajęć. Była to dla mnie niby żywa historia.

W owym czasie opanowała mnie zdolność wszechstronnego widzenia. Najmniejszy obrazek opromieniałem światłem swej wyobraźni i radością swego serca — przyczem jednak każdy z nich zachowywał różnorodne zabarwienie własnego patosu. Rozkosz wydzielania w ten sposób poszczególnych obrazów była zupełnie taka sama, jak gdybym je malował, jako że w obu wypadkach pochodzi ona z pragnienia widzenia w duszy, co widziało oko widzenia okiem, co sobie maluje wyobraźnia.

Gdybym umiał władać pędzlem, próbowałbym niewątpliwie notować sobie wszystkie wizje z tego okresu, w którym umysł mój tak żywo reagował. Niestety, tem narzędziem posługiwać się nie umiałem. Rozporządzałem tylko słowami i rytmami, a i to nie umiałem jeszcze pewnie poprowadzić linii, zaś kolor zawsze wychodził poza ich brzegi.

---

<sup>1)</sup> *Busti* jest to przestrzeń gęsto zabudowana lepiankami, pełna ciasnych uliczek i przylegająca do głównej ulicy. Zamieszkują takie dzielnice służący, biedniejsi rzemieślnicy itp. Osady takie rozrzucone są po całym mieście i znajdują się nawet w najwytworniejszych dzielnicach; z tych ostatnich zaczynają powoli znikać.

Mimo to, jak młody chłopak ze swem pierwszym pudełkiem farb, cały boży dzień spędzałem na malowaniu różnobarwnych kaprysów mej nowo zrodzonej młodości. Jeśli się te obrazy widzi w świetle tego mego dwudziestego drugiego roku życia, pewne rysy można w nich rozróżnić mimo ich niedojrzałego rysunku i mętnego kolorytu.

Powiedziałem, że pierwszą księgę mego życia literackiego zamknęły *Pieśni Poranne*. Ten sam temat opracowywałem teraz dalej pod inną postacią. Niejedna początkowa kartka tej nowej Księgi — jestem pewien — nie ma żadnej wartości. Zaczynając coś zupełnie na nowo, musi się przejść przez mnóstwo zbytecznych rzeczy przedwstępnych. Gdyby to były liście na drzewie, z pewnością opadłyby. Niestety, liście w książce tkwią mocno nawet wówczas, kiedy już wcale nie są pożądane. Charakterystycznym rysem tych poezyj jest skupienie uwagi, z którem traktowane są nawet drobiazgi. *Obrazy i Pieśni* korzystały z każdej sposobności, aby zaznaczyć wartość najmniejszej nawet rzeczy przez zabarwienie jej uczuciem, bijącym wprost z serca.

Albo też to było jeszcze inaczej. Kiedy struna serca jest nastrojona zgodnie z wszechświatem, wtedy pieśń wszechświata może ją w każdym punkcie pobudzić do harmonijnej wibracji. Otóż ponieważ ta muzyka w poecie grała, nic nie wydawało mu się pospolitem. Wszystko, na co padły moje oczy, znaj-



dowało we mnie właściwą sobie odpowiedź. Jak dzieci mogą się bawić piaskiem, kamuszkami, muszlami lub wszystkim, co im w ręce wpadnie (ponieważ duch zabawy w nich przebywa), tak i my, pełni muzyki młodości, spostrzegamy, iż harfa wszechświata ma wszędzie naciągnięte swe rozmaicie nastrojone struny, że najbliższa może nam tak samo służyć do akompanjamentu, jak każda inna i że bynajmniej nie potrzebujemy szukać daleko.

(39) OKRES.

Między *Obrazami i Pieśniami* a *Ostrem i Tępem* zrodził się i — nakształt sezonowej rośliny — skończył swój krótkotrwały żywot, przeznaczony dla dzieci miesięcznik, zwany *Balaka*. Moja druga bratowa odczuła potrzebę ilustrowanego pisma dla dzieci. Stosownie do jej planu, potrzebne artykuły miały pisać dzieci naszej rodziny, ponieważ jednak czuła, że to nie wystarczy, sama podjęła się redagowania pisma i namówiła mnie, abym jej dostarczał artykułów.

Jeden czy dwa numery *Balaki* już były wyszły, kiedy wyjechałem przypadkiem do Deoghur, w odwiedzinach do Radźnaraina Babu. Pociąg, którym wracałem, był przepelniony, a ponieważ na jedyną kanapę, jaką udało mi się zdobyć, padało światło, nie mogłem zasnąć. Postanowiłem jak naj-

lepiej skorzystać z tej sposobności i wymyślić jakieś opowiadanie dla *Balaki*. Mimo wszelkich mych wysiłków historia wciąż wymykała mi się z rąk, ale za to sen przyszedł mi z pomocą. Mianowicie widziałem we śnie kamienne stopnie świątyni, zbroczone krwią ofiar — zaś u tych stopni małą dziewczynkę z ojcem, pytającą żałośnie: — Ojczy, co to znaczy, skąd ta krew? — zaś ojciec, sam w głębi duszy wzruszony, szorstkimi na pozór słowy stara się zbyć jej pytania. Zbudziłem się, bo czułem, że znalazłem już swoje opowiadanie. Mam ja więcej takich podsuniętych mi przez sen nowel i innych utworów. Ten wysniony epizod opracowałem na tle epoki króla Gobindy Manikji z Tipperah i zrobiłem z niego opowieść dla *Balaki* pod tytułem *Radzarszi*.

Były to czasy najzupełniej wolne od wszelkiej troski. Nic szczególniejszego nie szukało swego wyrazu ani w mem życiu, ani w mych utworach. Nie połączyłem się jeszcze z tłumem wędrowców na ścieżce życia, ale wciąż siedziałem jako spokojny widz w mem oknie, wyglądającym na gościniec. A kiedy się tak przypatrywałem przechodniom, widziałem, iż niejednen z nich niesie ukryte posłannictwo, zaś od czasu do czasu to wiosna, to jesień, to pora deszczowa <sup>1)</sup> nieproszona wstępowała do mnie i bawiła jakiś czas.

---

<sup>1)</sup> W Górnych Indjach rozróżnia się sześć pór roku: Wiosnę. Lato, Deszcze, Jesień, Rosy, Zimę.

Nie obcowałem jednakże tylko z porami roku. Byli także i ludzie wszelkiego rodzaju ciekawych typów, którzy, przepływając koło mnie, niby czólna, zerwane ze swych kotwic, czasami tłumnie najeżdżali mój mały dom. Niektórzy z nich starali się wyzyskać mnie dla swych własnych celów, licząc na mój brak doświadczenia i za cenę wszelakich nadzwyczajnych wskazówek. Nie potrzebowali wcale zadawać sobie tyle trudu, aby mnie wywieść w pole. Byłem wówczas absolutnie łatwowierny, moje wymagania i potrzeby były bardzo małe i nie umiałem odróżnić dobrej woli od złej. Nieraz zdawało mi się, że pomagam do zapłacenia czesnego studentom, którzy czesnego tak nie potrzebowali, jak swych nigdy nie czytanych książek.

Pewnego dnia jakiś długowłosy młodzieniec przyniósł mi list od swej urojonej siostry z prośbą, abym zaopiekował się tym jej bratem, prześladowanym przez macochę, tak samo urojoną jak i ona sama. Brat nie był bynajmniej urojony, to się rzucało w oczy. O ile jednak szło o mnie, to list jego siostry był tak samo zbyteczny, jak zbyteczną jest biegłość w strzelaniu do ubicia ptaka, który nie umie latać.

To znów zgłosił się do mnie drugi młody człowiek, który mi oświadczył, że pracuje nad swym bakalaureatem, nie może jednak poddać się egzaminom z powodu jakichś dolegliwości umysłowych.



Wzruszyło mnie to, ponieważ nie mając nic wspólnego z wiedzą lekarską, ani wogóle z żadną wiedzą, nie wiedziałem, co mu poradzić. On jednak wyłożył mi, iż miał sen, z którego miało wynikać, jakoby żona moja była w poprzednim życiu jego matką i że on z pewnością wyzdrowieje, jeśli wypije trochę wody, której ona dotknęła swą stopą. — Pan może nie wierzy w takie rzeczy? — zakończył z uśmiechem. Odpowiedziałem mu, że moja wiara nie ma nic do rzeczy, lecz jeśli sądzi, że w ten sposób istotnie będzie się mógł wyleczyć, nie mam nic przeciwko temu, poczem istotnie dostarczyłem mu flakonik wody, której rzekomo żona ma swą stopą dotknęła. Zrobiło mu się nieporównanie lepiej — oświadczył mi. Z naturalnym biegiem rozwoju przeszedł od wody do gęstszego pożywienia. Po jakimś czasie zamieszkał w jednym kącie mego pokoju i zaczął tam odprawiać ze swymi przyjaciółmi posiedzenia, podczas których tak namiętnie palono, że musiałem z zadytmionego pokoju uciekać na świeże powietrze. Stopniowo dowiedział mi, jak na dłoni, iż choćby nawet jakiejś klepki mu brakowało, w każdym razie nie był bity w ciemę.

Po tem doświadczeniu trzeba już było istotnie niemało dowodów, abym mógł uwierzyć w dzieci z poprzedniego życia. Mimo to jednak sława mego imienia musiała się rozejść szeroko i daleko, bo wkrótce potem otrzymałem list od jakiejś córki.

Ale tu stanowczo, choć uprzejmie, powiedziałem — „dość.“

Przez cały ten czas szybko dojrzewała ma przyjaźń z Babu Srisz Czandrą Mazumdarem. Co wieczora on i Prija Babu odwiedzali mnie w mym małym pokoiku, gdzie nieraz do późna w nocy rozmawialiśmy o literaturze i muzyce. Czasami schodził nam na tem też cały dzień. Moje *ja* nie zdołało się jeszcze wyrobić i ukształtować w silną i wyraźną indywidualność, skutkiem czego życie me mknęło tak lekko i łatwo, jak obłok jesienny.

#### (40) *BANKIN CZANDRA.*

Na ten czas przypada też początek mej znajomości z Bankimem Czandrą. Z widzenia znałem go już oddawna. Byli studenci uniwersytetu kalkuckiego zaczęli organizować doroczne zebrania, których duszą był Babu Czandranath Basu. Być może spodziewał się, że kiedyś w przyszłości ja uzyskam prawo brać w tych zebraniach udział, dość na tem, że przy tej sposobności poproszono mnie, abym odczytał jakiś poemat. Czandranath Babu był wówczas jeszcze zupełnie młodym człowiekiem. Pamiętam, przełożył był z niemieckiego na angielski jakiś wojenny poemat, który zaofiarował się na zebraniu odczytać i istotnie wyrecytował go nam pełen zapału. Że oda poety-żołnierza do miecza ja-

kiś czas mogła być ulubionym jego utworem, może czytelnika przekonać, że kiedyś nawet Czandranath Babu był młody — a prócz tego, że i czasy były istotnie szczególne.

Przechadzając się tam, wśród mrowia studentów na zjeździe spotkałem postać, która uderzyła mnie jako wybijająca się ponad wszystkie inne i która absolutnie w żadnym tłumie zginąć nie mogła. Rysy twarzy tego pięknego, wysokiego młodzieńca promieniały tak uderzającą jasnością, iż nie mogłem powstrzymać swej ciekawości — był on na tem zebraniu jedyny, którego nazwisko poznać zapragnąłem. Dowiedziawszy się, że to jest Bankim Babu, zdziwiłem się jeszcze więcej, bo wydało mi się dziwnym zbiegiem okoliczności, iż powierzchowność jego jest niemniej dystyngowana od jego utworów. Jego ostry, orli nos, zaciśnięte usta i śmiałe wejrzenie, wszystko świadczyło o niezmiernej sile. Z rękami założonemi na piersiach zdawał się iść, jak ktoś, stojący zupełnie osobno, górujący nad pospolitym tłumem — i to mnie w nim najwięcej uderzyło. Wyglądał nie tylko na intelektualnego olbrzyma, ale miał na czole swem znamię prawdziwego księcia wśród ludzi.

Drobny wypadek, który się wydarzył na tym zjeździe, wywarł w umyśle mym niezapomniane wrażenie. W jednej z sal pewien Pandyta deklamował sanskryckie poezje własnego układu, obja-



śniając je równocześnie słuchaczom w języku bengalskim. Jeden z tych jego komentarzy nie był niby ordynarny, ale poniekąd wulgarny. Kiedy Pandyta w dalszym ciągu ten swój komentarz rozwijał, Bankim Babu, zakrywszy twarz dłońmi, wybiegł z sali. Stałem blisko drzwi i wciąż jeszcze mam przed sobą tę wykrzywioną, zawstydzoną twarz.

Później nieraz pragnąłem się z nim poznać, ale nie miałem sposobności. Wreszcie pewnego dnia, kiedy już był szefem Howrah, zdobyłem się na odwagę i złożyłem mu wizytę. Poznaliśmy się i ja starałem się wszelkimi siłami podtrzymywać rozmowę, jednakże, wracając do domu, miałem niesmak, jak gdybym był postąpił niby nieokrzesany i nadęty młodzik, narzucający się bez zaproszenia i bez uprzedniego przedstawienia.

Wkrótce potem, kiedy mi parę lat przybyło, zdobyłem w literaturze stanowisko, jako najmłodszy z nowoczesnych pisarzy: ale nawet wówczas nie zdecydowano jeszcze, jaką mi wyznaczyć pozycję stosownie do zasług. Opinja, jaką mnie wówczas darzono, nie była wolna od zastrzeżeń, a nawet po-błażliwości. Było wówczas w Bengalu modą wyznaczać każdemu pisarzowi miejsce, odpowiadające mniej więcej jakiemuś pokrewnemu rzekomo typowi na Zachodzie. Tak więc tego nazywano Byronem Bengalu, tamtego Emersonem i tak dalej. Mnie niektórzy zaczęli nazywać bengalskim Shelley'em.

Było to obrażające dla Shelley'a, zaś mnie narażało na śmieszność.

Uznany mój przydomek był — Poeta Szepeczący. Uzdolnienie moje było mierne, znajomość życia bardzo mała, a tak w poezji jak i w prozie uczucie brało górę nad treścią, — tak, że istotnie nie było tu nic, na czym ktoś mógłby oprzeć swą pochwałę z jakąś pewnością, iż się nie zawiedzie. Mój strój i sposób zachowania się nie był również normalny. Nosilem długie włosy i prawdopodobnie lubowałem się w ultra-poetyckich manjerach. Jednym słowem byłem poniekąd ekscentryczny i nie mogłem się dostosować do życia codziennego, jak każdy inny, zwykły człowiek.

W tym czasie Babu Akszaj Sarkar zaczął wydawać swój miesięcznik *Nabadźiban* (Nowe Życie), do którego od czasu do czasu przy sposobności pisywałem. Bankim Babu właśnie zamknął był jeden rozdział swej czynności wydawniczej w *Banga Darśanie* (Zwierciadło Bengalu) i zaczął się zajmować dyskusjami religijnymi, dla którego to celu założył miesięcznik *Praczar* (Kaznodzieja). W tym miesięczniku wydrukowałem parę pieśni i pełną entuzjazmu i wylania ocenę liryków szkoły *Waisznawa*.

Od tego czasu stale już widywałem się z Bankimem Babu. Mieszkał wówczas w ulicy Bhabani Dutt. Odwiedzałem go często, to prawda, ale nie można powiedzieć, abyśmy dużo rozmawiali. Byłem



wtedy w wieku, w którym się słucha, nie mówi. Gorąco pragnąłem wywiązania się jakiejś dyskusji, jednakże moja nieśmiałość brała górę nad memi zdolnościami prowadzenia konwersacji. Czasami zastawałem też Sandżiba Babu<sup>1)</sup>, opartego na swych poduszkach. Widok jego sprawiał mi radość, bo była to wesoła dusza. Bardzo lubił mówić i zaiste rozkoszą było przysłuchiwać mu się. Ci, którzy czytali jego utwory prozą, musieli zauważyć, jak żywo i lekko ona płynie, zupełnie jak bardzo ożywiona konwersacja. Nader mało ludzi posiada taki dar rozmowy, a jeszcze mniej — zdolność przeniesienia jej na papier.

Właśnie w tym czasie zwrócił na siebie uwagę Pandyta Saszadar<sup>2)</sup>. Pierwszy raz usłyszałem o nim od Bankima Babu. O ile sobie też dobrze przypominam, Bankim Babu był odpowiedzialny za wprowadzenie go w świat. Podjęta przez ortodoksję hinduską próba wskrzeszenia swej powagi przy pomocy wiedzy zachodniej zainteresowała wkrótce cały kraj. Już przedtem teozofja przygotowywała przez jakiś czas grunt temu ruchowi. Co się jednak

---

1) Jeden z braci Bankima Babu.

2) W obrzędach hinduskich są niektóre, stanowiące część religji, pierwotnie zaś podyktowane względami higieny lub też mające na celu zdrowie duchowe, co nowoczesna nauka z dniem każdym stwierdza. Szkoła Pandyty Saszadara doprowadziła te dążenia do absurdu, starając się nawet zwykle zabobony wytłumaczyć pseudo-naukowym uzasadnieniem.



tyczy Bankima Babu, to on z tym kultem nigdy się zupełnie nie zgadzał. Najmniejszy cień Saszadara nie padł na jego wykład Hindu taki, jaki znalazł swój wyraz w *Praczarze* — to było niemożliwe.

Jak widać z moich przyczynków do tych sporów, wychodziłem wówczas z wolna na świat z zamknięcia mego kąta. Pisałem wiersze satyryczne, farsy, listy do dzienników. W ten sposób z rejonów sentymentów zstąpiłem na arenę i zacząłem walczyć na serjo.

Zdarzyło się, iż w szale walki niegodnie odstąpiłem Bankima Babu. Historia ta została zapisana na kolumnach *Praczara* i *Bharati* z owych dni i nie ma potrzeby tu jej znowu powtarzać. Pod koniec okresu tego antagonizmu Bankim Babu napisał do mnie list, który na nieszczęście zgubiłem. Gdybym go posiadał, czytelnik mógłby zobaczyć, z jak niezrównaną szlachetnością Bankim Babu wyjął żądło temu nieszczęsnemu epizodowi.

#### (41) *KADŁUB PAROWCA.*

Skuszony ogłoszeniem jakiegoś dziennika mój brat, Dżiotirindra, udał się pewnego popołudnia do hali aukcyjnej, a wróciwszy oświadczył nam, iż kupił za siedem tysięcy rupij stalowy kadłub parowca; potrzeba było jeszcze tylko motorów i kilku kabin, a parowiec mógł stanąć pod pełną parą.

Brat mój musiał uważać za wielkie upokorzenie fakt, iż rodacy nasi mogą, jak chcą, pracować języ-

kiem i piórem, ale nie posiadają ani jednej linji okrętowej. Jak to już opowiadałem, próbował zapalić zapalki dla swego kraju, lecz najusilniejsze nawet tarcie nie mogło ich zmusić do wybuchnięcia. Chciał zaprząć do pracy motorowe tkalnie, lecz po wszystkich jego usiłowaniach urodził się zaledwie jeden mały wiejski ręcznik i warsztat stanął. Zaś teraz, zapragnąwszy puścić w ruch hinduskie parowce, zakupił pusty, stary kadłub statku, kadłub, który w należytych czasie został napełniony nie tylko motorami i kabinami, ale także stratami i ruiną.

A jednak powinniśmy pamiętać, iż wszystkie straty i niepowodzenia, spowodowane jego dążeniami, spadły na niego samego, podczas gdy zysk, pochodzący z doświadczenia, zachowany został dla całego kraju. Takie właśnie niekalkulujące, niewprawne w interesach duchy zalewają pole interesów swego kraju swą działalnością. A mimo iż zalew ten cofa się tak prędko, jak prędko przyszedł, pozostawia po sobie użyźniający muł, który wzbogaca glebę. Kiedy nadchodzi czas żniw, o tych pionjerach nikt nie myśli; ale ci, którzy śmiało na jedną stawkę stawiali i przegrywali wszystko za życia, prawdopodobnie po śmierci nie uważają za stratę, iż o nich zapomniano.

Po jednej stronie stała European Flotilla Company, po drugiej mój brat Dżiotirindra zupełnie sam — a do jakich strasznych rozmiarów doszedł bój



między temi dwiema handlowemi flotami, ludność Khulny i Barisalu może nawet dziś jeszcze pamięta. Pod naciskiem konkurencji trzeba było dodawać statek do statku, stratę do straty, gdy tymczasem dochód kurczył się tak, iż wreszcie nie warto było nawet biletów drukować. Złote czasy nastąpiły na statkach pełniących służbę między Khulną a Barisalem. Niedosć na tem, że pasażerów przewożono bezpłatnie, ale oprócz tego częstowano ich *gratis* przekąskami. Później utworzyła się organizacja ochotnicza, która w uroczystym pochodzie z chorągwiami i śpiewami patryjotycznymi odprowadzała pasażerów do parowców linii hinduskiej. I tak, choć nie brak było pasażerów, wszystkie inne braki mnożyły się prędko.

Patryjotyczny zapal nie wzruszał arytmetyki i podczas gdy entuzjizm coraz to wyższym płomieniem buchał do taktu pieśni patryjotycznych, dwa razy dwa dawało stale cztery w stanie biernym bilansu.

Jednym z niedostatków, który zawsze prześladowuje ludzi niezdolnych do interesów jest, że gdy w nich można czytać łatwo, jak w otwartej księdze, oni sami nigdy nie mogą się nauczyć odgadywania charakteru innych. Zaś ponieważ poznanie tej słabej strony kosztuje ich całe ich życie i wszystkie środki, nie mają też możności korzystania z doświadczenia. Tak więc pasażerowie mieli bezpłatne przekąski, po urzędnikach też nie było widać, aby



głodowali, tylko mój brat cały swój zysk miał w postaci ruiny, której tak śmiało w twarz patrzył.

Nadchodzące z terenu działań codzienne biuletyny, donoszące to o zwycięstwie, to o klęsce, utrzymywały nas w bezustannem podnieceniu. Aż pewnego dnia przyszła wiadomość, iż parowiec *Swadeszi* najechał most Howrah i zatonął. Ta strata przekraczała już granice środków mego brata, tak, że nie pozostało mu nic innego, jak tylko zwinąć cały interes.

#### (42) STRATY.

Tymczasem wśród rodziny naszej pojawiła się śmierć. Aż do tego czasu nigdy jeszcze twarzą w twarz się ze śmiercią nie spotkałem. Kiedy matka umarła, byłem jeszcze dzieckiem. Chorowała przez dłuższy czas i my nie wiedzieliśmy nawet, kiedy w jej chorobie nastąpił fatalny zwrot. Przez długi czas sypiała razem z nami w tym samym pokoju na osobnym łóżku. Później, gdy choroba nie ustępowała, wysłano matkę w podróż po rzece, a za powrotem umieszczono ją w osobnym pokoju na trzecim piętrze w apartamentach wewnętrznych.

Tej nocy, kiedy matka umarła, spaliliśmy wszyscy twardo w naszym pokoju na dole. Nie wiem już o której godzinie stara nasza niania wpadła do nas, płacząc i wołając: — „O, moje maleństwa, straciłyście wszystko, coście miały!“ — Bratowa moja



Mój brat Jyotirindra.





zgromiła ją i wyprowadziła z pokoju, chcąc nam oszczędzić w nocy wstrząsającej wiadomości o śmierci. Napół zbudzony jej słowy doznałem wrażenia, jak gdyby we mnie serce zamarło, ale nie mogłem zrozumieć, co się właściwie stało. Rano powiedziano nam, że matka umarła, ja jednak nie umiałem zdać sobie sprawy z tego, co to dla mnie znaczy.

Wyszedszy na werandę, ujrzeliśmy matkę moją, ułożoną na łożu w dziedzińcu. W wyglądzie jej nie było nic, co mówiłoby o okropności śmierci. Wygląd, jaki śmierć przybrała w tem świetle porannem, był tak miły, jak głęboki, spokojny sen, i zatoka, oddzielająca życie od jego nieobecności, naszym oczom się nie pokazała.

Dopiero kiedy ciało wynoszono przez główną bramę domu, a my wszyscy szliśmy za niem wraz z orszakami, odprowadzając je na miejsce spalenia, burza bólu zerwała się we mnie na myśl, że matka nigdy już przez te wrota nie wróci i nigdy nie zajmie swego zwykłego miejsca przy domowym ognisku. Dzień przybladł, wracaliśmy z miejsca spalenia, a kiedyśmy skręcili w naszą ulicę, spojrzałem w górę na trzecie piętro, gdzie znajdowały się pokoje mego ojca. Wciąż jeszcze siedział bez ruchu na frontowej werandzie, pogrążony w modlitwach.

Najmłodsza w rodzinie synowa roztoczyła swą opiekę nad małemi sierotami. Sama doglądała na-

szego jedzenia, ubrania, czuwała nad innymi potrzebami i miała nas wciąż na podorędziu, abyśmy jak najmniej mogli odczuć swą stratę. Jednym z charakterystycznych rysów życia jest zdolność leczenia tego, co się naprawić nie da, zapominania o tem, czego powetować nie można. A że w pierwszych latach życia zdolność ta jest najsilniejsza, żaden cios nie sięga zbyt głęboko, żadna blizna nie pozostaje na zawsze. Stąd też pierwszy, jaki padł na nas, cień śmierci nie pozostawił po sobie ciemności i odszedł tak cicho jak przyszedł, istotnie — tylko cień.

Kiedy później latałem jak szalencie za nadzieją wiosny z wiązanką napół rozkwitłego jaśminu, zawiązaną w koniec mej muślinowej szarfy, dotykając czoła delikatnymi, zaokrąglonemi a śpiczasto zakończonemi pączkami kwiatów, miałem wrażenie, iż czuję znowu dotknięcie palców mej matki; i jasno zdawałem sobie sprawę z tego, że tkliwość serdeczna, mieszcząca się w końcach tych lubych palców, była ta sama, jaką każdego dnia w swej czystości tchnęło to kwiecie jaśminu; i że, czy my o tem wiemy, czy nie, ta tkliwość przepelnia ziemię.

Znajomość, jaką zawarłem ze śmiercią w wieku dwudziestu czterech lat, była już trwała, a ciosy jej mnożyły się z każdą następną stratą, tworząc wciąż wydłużający się łańcuch łez. Lekkość życia dziecięcego pozwala na uniknięcie jednym skokiem klęski, choćby najcięższej, z wiekiem jednak ucieczka staje



się coraz trudniejszą, a uderzenie *tego* dnia w całości musiałem przyjąć na własną pierś.

Że w nieustającej procesji radości i smutków życia może nastąpić jakaś przerwa, o tem nie miałem najmniejszego wyobrażenia. To też nic poza tem widzieć nie mogłem i przyjąłem to życie jako zamkniętą w sobie skończoną całość. Kiedy naraz przyszła śmierć i w jego napozór gładkim gmachu w jednej chwili wybiła szeroko ziejącą wyrwę, byłem najzupełniej oszołomiony. Wszystko dokoła mnie, drzewa, ziemia, woda, słońce, gwiazdy, wszystko pozostało tak niewzruszenie prawdziwe, jak przedtem; a mimo wszystko osoba, która tu była niemniej prawdziwie, która wskutek tysięcy punktów stycznych z mojem życiem, umysłem i sercem istniała dla mnie znacznie prawdziwej i istotniej niż wszystko inne, zniknęła w jednej chwili, jak sen. Jakże nierozplątana sprzecznością samą w sobie wydał mi się świat, kiedy się wreszcie rozejrzałem! I jakże mogłem pogodzić to, co pozostało, z tem, co odeszło?

Czas mijał, a straszliwa ciemność, jaka mi się za tą szczeliną rozwarła, nie przestawała mnie dzień i noc pociągać ku sobie. Wciąż powracałem ku niej, stawałem przy szczelinie i wpatrywałem się w ciemność, zastanawiając się nad tem, co pozostało na miejscu tego, co odeszło. Pustka jest rzeczą, w którą człowiek żadną miarą uwierzyć nie może. To, co *nie*



*istnieje*, jest nierzeczywiste; co nie jest rzeczywiste, nie istnieje. Stąd nasze niezmordowane wysiłki dopatrzania się czegoś tam, gdzie nie widzimy nic.

Podobnie jak młoda roślina otoczona ciemnościami, wyciąga się, jak gdyby stawała na palcach, aby tylko wydostać się na światło, tak, kiedy śmierć nagle rozrzuci dokoła duszy mroki negacji, dusza stara się bezustannie wydostać na światło potwierdzenia. A jakież inne cierpienie można porównać ze stanem, w którym ciemności przeszkadzają wydostaniu się z ciemności?

A mimo to, wśród tego bólu nie do zniesienia zdawało mi się, jak gdyby od czasu do czasu, zupełnie nieoczekiwanie, błyski radości zaczynały się iskrzyć w mej duszy. Ulgę sprawiała mi smutna świadomość, iż życie nie jest bynajmniej czemś niezmiennym i trwałym. Myśl, że nie jesteśmy wcale więźniami, na zawsze zamkniętymi wśród kamiennych murów życia, dawała mi chwile błogiej pociechy. Co posiadałem, tego musiałem się wyrzec — i strata w tem znaczeniu napełniała mnie smutkiem — kiedy jednak w tej samej chwili zacząłem się nad nią zastanawiać ze stanowiska uzyskanego wyzwolenia, doznawałem uczucia wielkiego spokoju.

Przenikające wszystko ciśnienie istnienia świata równoważy się zapomocą przeciwstawiania śmierci życia i dlatego nie miażdży nas. Człowiek nie zniósłby straszliwego brzemienia nie zrównoważonej siły

życia — ta prawda spadła na mnie tego dnia, niby nagle, przedziwne objawienie.

W miarę jak świat dla mnie tracił swą siłę przyciągającą, piękność Przyrody zyskiwała w mych oczach głębsze znaczenie. Śmierć dała mi właściwą perspektywę świata w całej pełni jego piękności, a kiedy ujrzałem obraz Wszechświata na tle Śmierci, znalazłem go zachwycającym.

W owym czasie doznałem nowego napadu ekscentryczności tak co się tyczy sposobu myślenia jak i zachowania się. Śmiać mi się chciało, kiedy mnie wzywano, abym się zastosował do utartych zwyczajów, jak gdyby one istotnie i naprawdę były czemś realnem. A ja *nie mogłem* traktować ich poważnie. Uciążliwy obowiązek zatrzymywania się i zastanawiania się nad tem, co inni mogą o mnie pomyśleć, zupełnie wyleciał mi z głowy. Bywałem w modnych księgarniach, mając za całe zwierzchnie odzienie obwiązaną dokoła ciała płachtę grubego płótna i parę pantofli na bosych nogach. Czy było gorąco, zimno, czy deszcz padał, sypiałem stale na werandzie trzeciego piętra. Tam mogliśmy sobie z gwiazdami patrzeć w oczy i tam nie zwlekałem z powitaniem brzasku.

Ten okres nie ma nic do czynienia z ascetycznym sposobem myślenia. Była to raczej odświętna zabawka, niż wynik odkrycia, iż nauczyciel-Życie ze swą trzcina jest mitem, a przeto ja mogę otrząsnąć



się i wyzwolić z małoszkolnych praw jego szkoły. Gdybyśmy, wyszedłszy pewnego pięknego poranku na przechadzkę, zauważyli, że przyciąganie ziemi zostało zredukowane do jednej tylko części, czyż spacerowalibyśmy w dalszym ciągu spokojnie po gościńcu? Czy nie wolelibyśmy raczej dać dla odmiany susa przez kilkopiętrowe kamienice, lub też, spotkawszy na swej drodze pomnik, przeskoczyć go, zamiast obchodzić dokoła? Oto dlaczego, jak tylko brzemie życia światowego przestało obciążać me stopy, nie mogłem się zastosować do przyjętych form konwencjonalnych.

Samotny na terasie w ciemnościach nocnych dreptałem po omacku dokoła, podobny do ślepeca, pragnącego na czarnej, kamiennej furcie śmierci znaleźć jakąś wskazówkę czy znak. A kiedy budziłem się wraz ze światłem porannym, padającym na to niczem nie przysłonięte moje łóżko, czułem, otwarłszy oczy, iż otaczająca mnie mgła stała się przezroczystą; a, jak po opadnięciu mgły, góry, rzeki i lasy lśnią na widowni, tak przemyty rosą obraz życia świata, rozciągający się przede mną, wyglądał jakby odnowiony, a wiecznie piękny.

### (43) *DESZCZE I JESIEŃ.*

Według kalendarza hinduskiego każdym rokiem rządzi osobna planeta. Ja znów przyszedłem do przekonania, że w każdym okresie życia szczególnie



doniosłą rolę odgrywa jakaś pora roku. Przywodząc na myśl lata dzieciństwa, najlepiej przypominam sobie porę deszczową. Miotany wichrem deszcz zalał podłogę werandy. Wszystkie drzwi, prowadzące do pokoiów, zamknięte. Piri, stara kucharka, wraca z miasta z koszem pełnym jarzyn, brnąc przez błoto i cała przemoczona do nitki. A ja bez najmniejszej rozumnej przyczyny uganiem po werandzie w ekstazie radości.

Przypominam sobie także:

Jestem w szkole. Nauka odbywa się w krużganku z kolumnadą, z matami, mającemi zastępować ściany; przez całe popołudnie zbierały się chmury a teraz piętrzą się tak, że przesłaniają niebo; spoglądamy na nie, a wtem gęstymi strumieniami lunął deszcz, zaś od czasu do czasu długo i głośno huczy grzmot; zdaje się, jak gdyby jakaś szalona kobieta o paznokciach z piorunów darła niebo od końca do końca; ściany z mat drżą w podmuchach wiatru, jak gdyby się chciały rozlecieć; jest tak ciemno, że nie możemy już czytać. Pandyta pozwala nam zamknąć książki, my, słuchając huku i ryku burzy, puszczamy w ruch swe dyndające nogi, zaś myśl moja biegnie daleko ku nieskończonym moczarom, przez które przedziera się Książę z bajki.

Pamiętam też dobrze głębię nocy *Szrawanu*. Szum deszczu, wpadający w przerwy mego snu, stwarza błogie uczucie spoczynku, głębsze od naj-

głębszego snu. Budząc się czasem, modłę się, aby poranek zastał deszcz niesłabnący, uliczkę naszą pod wodą a platformę nad sadzawką zalaną aż po ostatni stopień schodów.

Jednakże w wieku, o którym właśnie mówię, Jesień bezwątpienia króluje nad wszystkim. Jej bujne życie widać przez jasne, przeźroczyste wczasy *Aswinu*<sup>1)</sup>. Zaś w stopionem złocie tego jesiennego światła słonecznego, łagodnie odbijającego się od świeżej, rośnej zieleni, ja przechadzam się po werandzie i układam w kluczu Dżogija pieśń:

W tem świetle porannem nie wiem, czego me serce pożąda.

Jesienny dzień blednie, gong domowy wybija dwunastą godzinę, tonacja zmienia się — a mimo to dusza ma pełna jest muzyki, która nie dopuszcza do niej wołania pracy ani obowiązku. I śpiewam sobie:  
Cóż to za puste igraszki same z sobą uprawiasz, o serce me,  
w cichych godzinach?

A potem popołudniu leżę ze szkicownikiem na białem linoleum na podłodze mego białego pokoju, starając się rysować — bynajmniej nie zapalony wielbiciel muzy malarstwa, lecz ot, aby się zabawić pragnieniem rysowania. Najważniejsze jest to, co pozostaje w duszy a z czego ani śladu niema na papierze. A równocześnie pogodne popołudnie jesiennie sączyło się przez ściany tego małego kalkuckiego

---

<sup>1)</sup> Miesiąc *Aswin* odpowiada wrześniowi-październikowi i jest w Bengalu czasem długich wakacyj.



pokoiku, wypełniając go, niby puhar, złocistem oszłomieniem.

Nie wiem, czem się to dzieje, jednakże wszystkie swe dni z tego okresu widziałem jak gdyby przez to niebo jesienne, przez to jesienne światło — przez jesień, która kazała dojrzewać dla mnie mym pieśniami, jak zbożom każe dojrzewać dla żniwiarzy; jesień, która śpichrze mych wczasów wypełniała promiennym blaskiem; jesień, która mą nieobciążoną duszę zalewała nie zastanawiającą się nad niczem radością tworzenia pieśni i powiastek.

Wielka różnica, jaką widzę między porą deszczową z mego dzieciństwa a jesienią z czasów mej młodości, polega na tem, iż w pierwszej sama Przyroda zewnętrzna ograniczała mnie w sobie, zabawiając różnemi widowiskami i bogatą różnaitością swej muzyki, podczas gdy wzniosłość, rodząca się w świetnym blasku jesieni, jest w samym człowieku. Gra obłoków i światła słonecznego schodzi na drugi plan, zaś umysł nasz pełen jest szmeru radości i smutku. Nasze to spojrzenie nadaje błękitowi nieba jesiennego to tęskne zabarwienie i ludzką pełnię, używając zarazem ostrości tchnieniu jego podmuchów.

Poezje moje mają teraz stanąć u drzwi ludzi. Tu nieformalne wchodzenie i wychodzenie nie jest już dozwolone. Tu są drzwi koło drzwi, jeden pokój za drugim. Jakże często musimy wracać z jednym tylko błyskiem światła w oknie, z jednym tylko słabym



dźwiękiem fletów, dolatującym do naszych uszu z poza bram pałacu! Zanim przyjdzie do dawania i brania, musi umysł, pokonywając liczne zawile trudności, dojść do porozumienia z umysłem, musi wola pogodzić się z wolą. Fontanna życia, wlewając się w te wszystkie przeszkody, burzy się i pieni śmiechem i łzami i, tańcząc, krąży w wirach, na podstawie których niepodobna odgadnąć jasno określonej idei jego biegu.

(44) „OSTRE I TĘPE.“

„Ostre i Tępe“ to serenada uliczna, śpiewana przed przybytkiem człowieka, mowa, domagająca się wstępu i miejsca w tym tajemniczym domu.

Słodki jest świat — i ja nie chcę umierać.

Pragnę przebywać w wiecznie żywym życiu człowieka.

Oto modlitwa jednostki do życia powszechnego.

Kiedy wyruszałem w drugą podróż do Anglii, zawarłem na statku znajomość z Asutoszem Czaudhuri. Właśnie uzyskał był na uniwersytecie kalkuckim tytuł doktora praw i jechał do Anglii przygotować się do kariery prawniczej. Obcowaliśmy ze sobą ogółem przez parę dni podczas podróży z Kalkuty do Madras, stało się jednak jawnem, iż głębokość naszej przyjaźni nie zależy od dawności naszej znajomości. W tym krótkim przeciągu czasu tak mocno przykuł mnie do siebie przyrodzonemi zaleta-

mi swego prostego serca, że zdawało się, jak gdybyśmy byli przyjaciółmi od urodzenia.

Po powrocie z Anglii stał się Aszu naszym człowiekiem.<sup>1)</sup> Nie miał czasu czy sposobności pokonać wszystkich przeszkód, jakimi zawód jego jest najeżony, i nie został jeszcze przezeń całkowicie pochłonięty. Klienci jego nie rozluźnili dostatecznie sznurków sakiewek, przechowujących złoto, i Aszu był wciąż jeszcze zapalonym zbieraczem miódów z różnych ogrodów literatury. Duch literacki, przenikający wówczas jego istotę, nie miał w sobie nic z księgarskiej stęchlizny książek oprawnych w skóry „marocco“, lecz dyszał wonią nieznanymi egzotyków zamorskich. Na jego zaproszenie odbyłem niejedną majówkę w tych dalekich lasach.

Miał on szczególne upodobanie w aromacie literatury francuskiej. Właśnie pisałem poezje, które wyszły w tomie, zatytułowanym *Kady o Komal* (Ostre i Tępe). Aszu dopatrywał się pewnego podobieństwa między niektórymi z tych moich poezyj a znanymi sobie poezjami starofrancuskimi. Jego zdaniem, wspólną cechą tych poezyj stanowił powab, jaki widowisko życia miało dla poety, zaś to znachodziło swój wyraz w poszczególnych utworach. Zasadniczym motywem było nieurzeczywistnione pragnienie uzyskania tego szerszego życia.

---

<sup>1)</sup> Skutkiem małżeństwa z siostrzenicą poety Pratibhą.



— Ja te wiersze za ciebie uporządkuję i wydam — rzekł Aszu, wobec czego ja mu to zadanie powierzyłem. Uznawszy, że kluczem całego zbioru jest poemat, zaczynający się od słów „Słodki jest świat“, umieścił go na pierwszym miejscu jako początek całego tomu.

Bardzo możliwe, że Aszu miał słuszość. Kiedy w dzieciństwie nie wolno mi było z domu się wydalać, w tęsknym spojrzeniu przez szpary balustrady naszej wewnętrznej terasy na dachu całe serce swe ofiarowałem otaczającej mnie przyrodzie w całej jej różnorodności. W młodości mej tak samo silnie działał na mnie świat ludzi, dla którego jednak ja znowu byłem czemś postronnem i któremu przyglądałem się jak gdyby z boku. Dusza ma, stając wciąż na brzegu życia, niecierpliwem skinieniem rąk przyzywała przevoźnika, żeglującego przez fale ku drugiemu brzegowi. Albowiem Życie pragnęło wyruszyć w swą życiową podróż.

Nieprawdą jest, jakoby moje szczególnie odosobnione stanowisko społeczne było mi przeszkodą do zanurzenia się w życiu świeckiem czy światowem. Nie dostrzegam bynajmniej, aby ci z mych rodaków, którzy całe swe życie spędzili w gęstwie społecznej, odczuwali żywiej odemnie wpływ tego zażyłego kontaktu. Życie naszego kraju ma swe wysokie brzegi, ale także i swe schodki, a na jej ciemne wody pada chłodny cień starych drzew, gdy wśród liściastych



gałęzi u góry kukulka kuka wciąż swą zachwycającą, starożytną pieśń. Lecz mimo wszystko jest to woda stojąca. Gdzież jej prąd, gdzie są fale, kiedyż ona wzbiera, pęczniąc przyplływem od strony morza?

A czy kiedykolwiek z sąsiedztwa po drugiej stronie naszej uliczki dotarło do mnie echo zwycięskiego peanu, z którym rzeka, to wzbierając, to opadając, fala po fali, toruje sobie drogę przez ściany kamienne ku morzu? Nie! Moje życie poprostu schło w swem osamotnieniu z braku zaproszenia na miejsce, gdzie święciła się biesiada życia świata.

Człowiek, drzemiący w swych rozkosznie leniwych godzinach osamotnienia, ulega głębokiemu przygnębieniu, ponieważ w ten sposób pozbawiony jest całkowicie pełnego kontaktu z życiem. Oto upadek, z którego zawsze wszelkimi siłami starałem się wyzwolić. Umysł mój odmawiał przyjęcia taniej trucizny politycznego ruchu cwych dni, pozbawionego, jak się to rzucało w oczy, wszelkiej siły świadomości narodowej, zupełnie nieznanego kraju i zgoła obojętnego na prawdziwe obowiązki wobec ojczyzny. Dręczyła mnie szalona niecierpliwość, nieznośne niezadowolenie z samego siebie i wszystkiego, co mnie otaczało. — „O ileż chętniej — mówiłem sobie — byłbym beduinem arabskim!“

Podczas gdy w innych częściach świata ruch wolnościowy i wołanie o wolne życie nie ma końca, my, niby ten Kopciuszek z bajki, stoimy na uboczu

i tylko tęsknie się temu przyglądamy. A czyżeśmy mieli możność przysposobić się, pójść i przyłączyć się do tego? Tylko w kraju, w którym najwyższą moc ma duch separatyzmu a niezliczone drobiazgowy baryery oddzielają jednego człowieka od drugiego, może pozostać niezaspokojone to pragnienie urzeczywistnienia szerszego życia świata w swem własnym życiu.

W młodości swej rwałem się do świata ludzi z tem samym pragnieniem, z jakim w dzieciństwie starałem się wydostać z koła kredowego, zakreślonego dokoła mnie przez służbę. Niestety, jakże on wydawał mi się dalekim, jak trudnym do osiągnięcia, jak nieprzystępnym! A jednak, jeśli my nie możemy wejść w kontakt z nim, jeśli z niego nie może się przedostać żaden podmuch, żaden prąd, jeśli nie prowadzi doń żadna droga, stojąca otworem dla wędrowców z tej lub tamtej strony, mnożące się dokoła nas rzeczy obumarłe nigdy nie mogą być usunięte, lecz, przeciwnie, piętrzą się tak, że wreszcie muszą przytłumić wszelkie życie.

Podczas pory deszczowej mamy tylko czarne chmury i ulewę. Za to w jesieni odbywa się w obłokach gra światła i cienia; na tem jednak rzecz się nie kończy, albowiem mamy też obietnicę zbiorów na polach. Tak samo i w mej poetyckiej karierze, kiedy nadchodziła pora deszczowa, na pierwszy plan wysuwały się tylko moje chmurne fantazje, burzliwe i szafujące ulewą; wymowa moja była mglista, wier-



sze opętane. Zato w „Ostrem i Tępem“ mej jesieni była już nie tylko gra chmur na niebie, ale także zapowiedź zniw na ziemi. Wtedy, skutkiem kontaktu ze światem realnym, tak język jak i miara zaczęły ubiegać się o wyrazistość i różnorodność formy.

Tu kończy się Druga Księga. Skończyły się w mem życiu dni schadzek rzeczy z wewnątrz z rzeczami z zewnątrz, pokrewnych i obcych. Wędrownik mego życia szuka swego uzupełnienia przez zapoznanie się z miejscami zamieszkania ludzi. Zaś na złe i dobre, radość i smutek, jaki się tu spotyka, niełatwo patrzeć jak na obrazy. Jakież tu są zapędy i upadki, zwycięstwa i klęski, spory i zamieszanie!

Nie mam sił na opisanie i wykazanie najwyższej umiejętności, z jaką Przewodnik mego życia wiedzie mnie przez wszystkie jego przeszkody, przeciwności i zasadzki ku ziszczeniu jego najwewnętrzniejszego znaczenia. Zaś ponieważ nie mogę wyjaśnić całej tajemnicy jego przeznaczeń, pewnem jest, że cokolwiek próbowałbym wykazać, sprowadzi nas z właściwej drogi. Analizować obraz znaczy nurzać się w okrywającym go pyłe, a nie radować się radością artysty.

Podprowadziwszy w ten sposób swych czytelników aż do wewnętrznego sanktuarjum, opuszczam ich.





*BŁYSKI BENGALU*

*WYBÓR LISTÓW 1885 DO 1895.*





## WSTĘP.

---

Listy, przetłumaczone w tej książce, obejmują najproduktywniejszy okres mego życia literackiego, kiedy, na szczęście, byłem jeszcze młody i mniej znany.

Młodość jest bujna, a czasu wolnego ma dużo; to też ja uważałem pisanie listów nie za przykry obowiązek, lecz rozkoszną konieczność. Ta forma ekstrakwencji literackiej możliwa jest tylko wówczas, kiedy się nagromadzi nadmiar myśli i wrażeń. Inne formy literackie pozostają własnością autora, a publikuje się je na jego korzyść; dlatego listy, raz na zawsze ofiarowane prywatnym jednostkom, nacechowane są znacznie szlachetniejszą bezinteresownością.

Zdarzyło się tak, iż wybrane wyciągi z większej ilości takich listów trafiły do mnie z powrotem w długie lata po ich napisaniu. Przypuszczano słusznie, iż sprawią mi wielką radość, przywodząc na myśl pamięć dni, w których, nieznanym nikomu, cieszyłem się największą wolnością, jakiej kiedykolwiek w życiu zaznałem.

Ponieważ te listy są współczesne znacznej części mych opublikowanych dzieł, przyszło mi na myśl, że równoległy ich bieg rozszerzy w czytelniku zrozumienie mych poezyj tak, jak rozszerza się droga, gdy się ją z powrotem jeszcze raz ubija. To niechaj będzie usprawiedliwieniem wydania ich w osobnej książce dla mych rodaków. W nadziei, iż zawarte w tych listach opisy scen z życia wiejskiego Bengalu mogą też zająć czytelników angielskich, powierzono przekład z tego wyboru komuś, kto ze wszystkich, jakich znam, był najbardziej\* uzdolniony do jego wykonania.

*Rabindranath Tagore.*

20 czerwca 1920.

Bandora, nad morzem. *Wrzesień* 1885.

Bezdomne morze piętrzy się i piętrzy i bieli się pianą. Każe mi myśleć o jakimś związanym potworze, który wciąż szarpie swemi więzami, zaś my, nawprost jego rozwartej paszczęki budujemy swe domy na wybrzeżu i czekamy na machnięcie jego ogona. Co za niezmierna siła, co za fale, nabrzmiewające, jak mięśnie olbrzyma!

Od początku świata trwa ten spór między ziemią a wodą; wyschła ziemia powoli i w milczeniu mnoży domeny i rozpościera coraz to szerszy i szerszy szmat gruntu dla swych dzieci; podczas gdy ocean cofa się krok po kroku, burząc się, łkając i bijąc się w piersi z rozpaczą. Przypomnijcie sobie, że kiedyś morze było jedynym władcą, niczem nie skrępowanym. Łąd wyrósł z jego łona i przywłaszczył sobie jego tron i od tego czasu oszalały ten starzec z lśniąca grzywą piany skarży się i jęczy bez przerwy, podobny królowi Learowi, wystawionemu na wściekłość żywiołów.

*Lipiec* 1887.

Mam dwudziesty siódmy rok. Myśl o tem wciąż mnie prześladowuje; zdaje mi się, jak gdyby w ostatnich czasach nic innego nie zaszło.

Ale skończyć dwadzieścia siedem lat — czy to drobnostka? — przekroczyć równik dwudziestu lat



i zbliżyć się ku trzydziestce? — trzydziestce — to znaczy, dojrzałości — wiekowi, od którego wszyscy spodziewają się raczej owoców niż świeżych liści. Niestety, gdzież te obiecane owoce? Potrzęsam głową, która wciąż jeszcze pełna jest bujnej lekko-myślności, bez śladu mądrości życiowej.

Ludzie zaczynają ubolewać nade mną:

— I gdzież to wszystko, czegośmy się po tobie spodziewali? W oczekiwaniu czego tak radośnie podziwialiśmy delikatną zieleń latorośli? Czyż na zawsze mamy poprzestać na tej niedojrzałości? Najwyższy dla nas już czas wiedzieć, co możesz nam dać. Chcemy ocenić ilość oleju, jaką z ciebie może wycisnąć ślepy, bezduszny, bezstronny krytyk.

Niepodobieństwo już zwodzić tych ludzi i kazać im dłużej czekać. Kiedy byłem jeszcze niedorosły, z całym zaufaniem użyczali mi kredytu; przykro byłoby sprawić im zawód dziś, gdy zbliżam się do trzydziestki. Ale co mam począć? Żadna mądrość nie przychodzi mi na myśl. Jestem najzupełniej niezdolny do tworzenia rzeczy, z których mogłyby korzystać tłumy. Poza granice skromnej piosenki, pogawędki, czy małej, wesolej fraszki wyjść nie mogę. W rezultacie ci, którzy się dużo po mnie spodziewali, będą mieli teraz do mnie urazę. Ale czy ich kto prosił o to, aby żywili tak wielkie nadzieje?

Takie-to myśli prześladowają mnie od pewnego pięknego poranku letniego, kiedy się obudziłem

wśród świeżych podmuchów porannych i światła słonecznego, świeżych liści i kwiatów ze świadomością, iż rozpocząłem dwudziesty siódmy rok życia.

Szilaida, 1888.

Łódź nasza osiadła na ławicy piaszczystej przy odległym brzegu rzeki. Rozległa piaszczysta przestrzeń ciągnie się jak okiem sięgnąć daleko po obu stronach, przerżnięta biegnącymi na poprzek smugami, jak gdyby wody, choć czasami to, co lśni jak woda, jest tylko piaskiem.

Ani wsi, ani żywej duszy, ani drzewa, ani źdźbła trawy — jedyne przerwy w tej białej monotonii to ziejące wyrwy, które miejscami pokazują w dole wilgotne, czarne pokłady ilu.

Patrząc ku Wschodowi widzimy nieskończony błękit na górze, nieskończoną biel na dole. Niebo puste, ziemia też pusta — pustka na dole twarda i jałowa — nad głową sklepienie i eteryczna — zaiste, rzadko gdzie możnaby znaleźć obraz tak skończonego pustkowsia.

Zato, zwróciwszy się ku zachodowi, mamy wodę, koryto rzeki, bez wyraźnego prądu, obramowane wysokim brzegiem, na który pną się gaje wiejskie z wyzierającymi z nich chatami — wszystko podobne do czarującego snu w świetle wieczornem. Mówię „w świetle wieczornem“, ponieważ wyszliśmy na przechadzkę wieczorem i w tym kształcie ten widok wbił mi się w pamięć.



Szazadpur, 1890.

Sędzia siedział na werandzie swego namiotu, wymierzając sprawiedliwość tłumowi, czekającemu swej kolei w cieniu drzewa. Palankin mój postawiono mu tuż pod nosem i młody Anglik przywitał mnie uprzejmie. Miał bardzo jasne włosy z ciemniejszymi tu i owdzie pasmami i wąsik, który ledwo zaczął się wykluwać. Gdyby nie jego nadzwyczaj młodzieńcza twarz, możnaby go wziąć za sędziwego starca. Zaprosiłem go do siebie na obiad, on jednak podziękował, mówiąc, że musi być gdzieś, gdzie ma się umówić co do polowania z lancami na dziki.

Kiedy wróciłem do domu, nadciągnęły wielkie, czarne chmury i naraz zerwała się straszliwa burza ze strumieniami deszczu. Czytać nie mogłem, pisać było niepodobieństwem, tedy, nie wiedząc, co z sobą począć, zacząłem chodzić po pokojach. Zrobiło się zupełnie ciemno, grom huczał wciąż, błyskawice następowały jedna po drugiej i coraz to nagle podmuchy wiatru chwytaly za kark wielkie drzewo *liczi* i potrzasały gwałtownie jego kudłatym łbem. Jama przed domem w krótkim czasie napelniła się wodą, a kiedy przechodziłem koło niej, przyszło mi naraz na myśl, że powinienbym zaofiarować sędziemu schronienie w swym domu.

Posłałem mu zaproszenie, lecz, przejrawszy cały dom, spostrzegłem, że jedyny wolny pokój zawalony jest platformą desek zwisających z pułapu,



brudnymi kołdrami i materacami. Różne rzeczy, należące do służby, poplamiona mata, fajki, tytuń, hubka i dwie drewniane skrzynie leżały na podłodze, nie mówiąc o rozlatujących się pakach, pełnych nieużytecznych rupieci, jak zardzewiałe wieko od kociołka, pozbawiony dna piecyk żelazny, wytarty, stary czajnik nikłowy, waza, pełna melasu, czarnego od pyłu. W jednym kącie stało wiadro do mycia naczyń, zaś z gwoździ na ścianach zwisały mokre ścierki, białe ubranie i beret kucharza. Jedynym sprzętem była koślawa umywalnia z plamami od wody, od nafty i mleka, z plamami czarnymi, bronzowymi, białymi i zresztą z wszelkiego rodzaju mieszanymi plamami. Lustro, wyjęte z umywalni, oparte było o drugą ścianę, zaś szuflady zamieniono w schowki, służące do przechowywania wszystkiego, począwszy od poplamionych obrusów, a skończywszy na drutach z butelek i kurzu.

Na chwilę ogarnęło mnie obrzydzenie; a potem trzeba było — posłać po rządcę, posłać po szafarza, zwołać całą służbę, zawezwać osobnych ludzi, przynieść wody, wynieść drabiny, porozwiązywać liny, spuścić nadół deski, wynieść pościel, pozbierać kawałek po kawałku rozbite szkło, powyjmować ze ścian gwoździe jeden po drugim. — Kandelabr pada, rozsypuje się i jego części rozlatują się po całym pokoju — zbierajże je znowu po kawałku. Ja sam trzępię brudną matę z podłogi i okna, pozbawiając miesz-

kania horde małych skorpjonów, współbiesiadników, jedzących mój chleb, mój syrop z trzciny cukrowej i pastę z moich butów.

Przyniesiono mi odpowiedź sędziego; jego namiot jest w strasznym stanie, on sam przybywa natychmiast. Żywo! Żywo! Już słyhać krzyk: „Sahib przyszedł!“ W zamieszaniu przejeżdżam szczotką przez włosy, brodę i całego siebie, aby oczyścić się od pyłu, a udając się do salonu na powitanie gościa, staram się nadać sobie wygląd tak szanowny, jak gdybym się przez całe popołudnie wygodnie wylegiwał.

Podawszy sędziemu rękę, rozmawiałem z nim nazewnątrz zupełnie spokojny; w rzeczywistości od czasu do czasu budziły się we mnie wątpliwości co do jego kwatery. Kiedy wreszcie wypadło mu ją pokazać, znalazłem ją znośną i, o ile bezdomne skorpjony nie będą go laskotały w pięty, spędzi noc możliwie.

Kaligram, 1891.

Żyję w rozkosznej, słodkiej beczynności, zdala od wszelkich trosk i odpowiedzialności.

Nastrój ten panuje wszędzie dokoła mnie. Oto rzeka, ale ona nie ma nawet biegu, o którym wartoby mówić, lecz, leżąc leniwie wyciągnięta pod swą kołderką z zielonych porostów, zdaje się szeptać: — Skoro można posuwać się naprzód bez usilnego pchania się, po cóż ja mam męczyć się, aby się poruszać? To też



nic nie niepokoi szuwarów nadbrzeżnych, wyjąwszy czasem rybaków, przychodzących z sieciami.

Niedaleko cztery czy pięć szerokich łodzi stoi obok siebie na kotwicy. Na górnym pokładzie pierwszej łodzi wioślarz śpi twardo, owinięty od stóp do głów płachtą żaglową. Na drugiej, również wygrzewając się na słońcu, wioślarz leniwo kręci linę z kanoi. Na niższym pokładzie trzeciej łodzi starszy już, nagi drab, przechyliwszy się przez wiosło, gapi się bezmyślnie na naszą łódź.

Na brzegu są jeszcze inni różni ludzie, ale nikt nie odgadnie, poci oni przychodzą lub odchodzą najwolniejszym z leniwych kroków, dlaczego siedzą tu w kuczki, oplótłszy kolana ramionami, i na co patrzą, nic właściwie nie widząc.

Jedynie znaki działalności można zauważyć wśród kaczek, które z rozgłośnem kwakaniem zanurzają głowy i wyjmują je znowu, z taką energją otrząsając się z wody, jak gdyby bezustannie starając się zbadać tajemnice dna rzeki, za każdym razem musiały, potrząsając głowami, zwiastować: — Niema nic! Niema nic!“

Dni tu drzemią przez wszystkie swe dwanaście godzin na słońcu i, otulone płaszczem ciemności, przysypiają w milczeniu drugie dwanaście godzin. Jedynie, co się chce robić w takiej miejscowości, jak ta, to przyglądać się i przyglądać krajobrazowi i snuć swe marzenia, naprzemiany nucąc jakąś śpiewkę i kiwając



sennie głową, jak w zimowe południe matka, zwróciwszy się plecami do słońca, kołysze do snu swe dziecię.

Kaligram, 1891.

Wczoraj podczas posłuchania, jakie wyznaczyłem swym dzierżawcom, pojawiło się pięciu czy sześciu chłopców i stanęło przede mną wyciągniętym szeregim. Zanim mogłem zadać im jakieś pytanie, mówca ich rozpoczął w kwiecistym, górnołotnym języku:

— Panie, łaska Wszchemogącego i los szczęśliwy twych pokornych dzieci spowodował znowu twe przynoszące szczęście przybycie do tej miejscowości.

W ten sposób ciągnął około pół godziny. Tu i owdzie mylił się, przerywał, spoglądał w niebo, poprawiał się i znowu ruszał naprzód. Zrozumiałem z tego wszystkiego, iż w szkole ich za mało jest ławek i stołków.

— Z braku tych zbudowanych z drzewa siedzeń — wykladał chłopak — sami nie wiemy, gdzie usiąść, na czym posadzić szanownych nauczycieli naszych, lub co podać czcigodnemu inspektorowi, jeśli zechce nas odwiedzić.

Z trudnością tylko mogłem powstrzymać się od uśmiechu wobec tego strumienia wymowy, bijącego z malca, a brzmiącego zupełnie obco tu, gdzie swe głęboko życiowe pragnienia chłopci mieli wyrazić w jasnym i bezpośrednio do celu zmierzającym dia-

lekcie, którego słowa, choćby najniezwyklesze, są boleśnie wykoszlawione. Mimo to przedmowa nie tylko zrobiła na pisarzach i rolnikach należyte wrażenie, ale także wywołała pewną zawiść, jak gdyby oplakiwali w duchu, iż z powodu zaniedbania ich przez rodziców, nie zostali wyposażeni w tak świetne środki apelowania do swego dziedzica.

Przerwałem młodemu oratorowi, zanim jeszcze skończył, obiecując mu postarać się o potrzebną ilość ławek i stołków. Zupełnie tem niezmiyszany, pozwolił mi powiedzieć swoje, a potem w dalszym ciągu rozpoczął swą mowę w tem miejscu, gdzie mu przerwałem, wydekłamował ją do ostatniego słowa i, złożwszy mi głęboki pokłon, uprowadził z sobą swój oddział. Prawdopodobnie nie zmartwiłby się, gdybym mu był odmówił ławek, ale po całej męce nauczenia się mowy na pamięć, czułby się niewątpliwie boleśnie dotkniętym, gdybym go był pozbawił możliwości wygłoszenia choćby najmniejszego ustępu. Tak tedy, mimo iż znacznie ważniejsze sprawy czekały, musiałem go wysłuchać.

W pobliżu Szazadpuru,  
*Styczeń 1891.*

Opuściliśmy małą rzeczkę Kaligram, leniwą jak krążenie krwi w konającym, i puściliśmy się z prądem wdół chyżo mknącego strumienia, prowadzącego w strony, gdzie ląd i woda zdają się wzajem przeni-

kać, bez różnicy w szatach niby braciszek i siostrzy-  
czka w dzieciństwie.

Rzeka zgubiła swój pokrowiec ze szlamu, roz-  
rzuciła swój bieg w różnych kierunkach i rozciągnęła  
się wreszcie w *beel* (moczary), tu z pasmem pokry-  
tej murawą ziemi, tam ze smugą przezroczystej  
wody, co wszystko przypominało mi młodość tego  
globu, kiedy to wśród bezbrzeżnych wód ląd zaczął  
podnosić swą głowę, a granice między poszczególnymi  
prowincjami żywiołu płynnego i stałego były tak  
nieuregulowane, jak dziś.

Dokoła miejsca, w którym przystanęliśmy,  
wbite są bambusowe żerdzie rybaków. Sępy krążą,  
gotowe każdej chwili porwać rybę z sieci. W mule  
nadbrzeżnym stały pogrążone w swych medytacjach  
świętoszkowate ptaki. Widzi się wszelkie rodzaje  
ptactwa wodnego. Rzeka niesie smugi porostów  
wodnych. Tu i tam pola ryżowe, zaniedbane, nie-  
pielęgowane<sup>1)</sup>, wyzierają z mokrej, gliniastej ziemi.  
Moskity rojami krążą ponad wodą.

O brzasku wyruszamy w dalszą drogę i mijamy  
Kaczikata, gdzie wody moczarów mają swe ujście  
w krętym, sześć do siedmiu łokci szerokim kanale,  
którym płyną szybko. Przepchnąć przezeń nasz  
nieruchawy galar jest istotnie zadaniem karkołom-

---

<sup>1)</sup> Po urodzajnej stronie rzeki ryż zasiewa się tylko  
w porze zasiewów i zbiera w porze żniw; niczego więcej nie  
potrzeba.



nem. Toczący się tu z szybkością błyskawiczną prąd zmusza załogę do używania wiosł jako żerdzi, w celu zapobieżenia uderzeniu łodzi o brzeg. W ten sposób znowu wydostajemy się na otwartą rzekę.

Niebo zaciągnęło się ciężkimi chmurami, chwilami przeciąga mokry wiatr, przynoszący od czasu do czasu strumienie deszczu. Cała załoga drży z zimna. Takie wilgotne i posępne dni podczas chłodnej pory roku są nadzwyczaj nieprzyjemne i ja spędziłem zupełnie skonany poranek. O drugiej popołudniu słońce się pokazało i od tej chwili wszystko było rozkoszne. Brzegi rzeki są znów wysokie i porośnięte cichymi gajami, a siedziby ludzkie samotne i pełne piękna.

Rzeka kręci się tu i tam, nieznaną małą rzeczka w najwewnętrzniejszej *zenanie* Bengalu, ani leniwa, ani hałaśliwa; w miłości swej rozrzucając swe bogactwa na prawo i lewo, papie o wspólnych radościach, troskach i nowinkach od dziewcząt wiejskich, które przychodzą po wodę i, siedząc u jej boku, mokremi ręcznikami trą swe ciało tak długo, póki członki nie zaczną świecić od świeżości.

Tego wieczoru stanęliśmy na kotwicy u samotnego wybrzeża. Niebo jest jasne, księżyc w pełni. Nigdzie nie widać ani jednej łódki. Światło księżyca łamie się na falach. Samotność panuje na brzegach. Zagnieżdżona w gęstwie drzew odległa wioska drzemie. Jedynym dźwiękiem jest przenikliwe, nieustanne ćwierkanie koników polnych.

Szazadpur, Luty 1891.

Tuż naprzeciw mego okna, po drugiej stronie rzeki, okopała się banda cyganów, osłoniwszy się rusztowaniem z bambusów, okrytem matami bambusowymi i szmatami. Są tu trzy budki tak niskie, że stanąć w nich prosto nie można. Życie upływa cyganom pod gołym niebem, zaś pod dach wpełzają tylko wieczorem, aby się wyspać w kupie.

Odwieczny obyczaj cygański: Nigdzie domu, nigdzie gospodarza, któremu płaciliby czynsz, zaś kiedy im się podoba, wędrują dalej ze swemi dziećmi, wieprzkami i jednym lub dwoma psami; policja czujnie ma ich zawsze na oku.

Często przyglądam się, co robi rodzina najbliższa mnie. Są to ludzie czarni, ale wyglądający pocziwie, z ciałami pięknymi i mocno zbudowanymi, na podobieństwo naszych ludzi z północnego wschodu. Kobiety ich są ładne, rosłe i mają smukłe, zgrabne figury, a swemi swobodnymi, nieskrępowanymi ruchami i wrodzonym, niezależnym sposobem postępowania wyglądają mi na jakieś niby smagłe Angielki.

Mężczyzna zawiesił właśnie kocioł nad ogniem i, rozszczepiwszy bambus, zaczyna pleść koszyk. Kobieta naprzód przegląda się w małym zwierciadelku, potem zaczyna się myć i nacierać mokrą ścierką, wreszcie, ułożywszy i ściągawszy fałdy swego ubrania zwierzchniego, podchodzi, wy-

świeżona, do swego męża i, usiadłszy przy nim, pomaga mu od czasu do czasu w robocie.

Oto prawdziwe dzieci ziemi, urodzone gdziebądź, wychowane w rowie przydrożnym tu czy tam, umierające, gdzie wypadnie. Dzień i noc pod gołym niebem, na powietrzu, na gołej ziemi, wiodą życie jedyne w swoim rodzaju; a mimo wszystko jest tu praca, miłość, dzieci, obowiązki domowe — wszystko.

Nie próżnują ani chwili, wciąż coś robią. Skończywszy swoje zajęcia, kobieta siada przy drugiej, rozpuszcza jej włosy, czesze i znowu trefi; czy przez ten czas rozmawiają z sobą o sprawach domowych trzech niskich, matami krytych budek, tego z całą pewnością dla zbyt dużego oddalenia powiedzieć nie mogę, lecz domyślnie przypuszczam.

Tego rana wybuchło w spokojnej osadzie cygańskiej wielkie zamieszanie. Było to około wpół do dziewiątej czy dziesiątej. Cyganie rozkładali na dachach z mat podarte kobierczyki i jakieś inne łachmany, które służą im za pościel, chcąc je wysuszyć na słońcu i przewietrzyć. Leżące w jamie na kupie wraz z warchlakami świnię, wyglądające jak jedna wielka plama błota, zostały rozpędzone przez dwóch psiego rodu członków rodziny, którzy wpadli na nie i wyprawili je jęczące na poszukiwanie śniadania, mimo głośnego narzekania na przerwę w wygrzewaniu się na słońcu po chłodnej nocy. Ja pisałem list



i bezmyślnie spoglądałem czasem na drugą stronę, kiedy awantura naraz się rozpoczęła.

Wstałem i, podszedłszy do okna, ujrzałem dookoła pustelni cygańskiej całe zbiegowisko. Jakaś figura z miną zwierzchnika potrząsała kijem i używała sobie na najsilniejszych wyrażeniach. Naczelnik cyganów, przestraszony i zaniepokojony, widocznie próbował dać jakieś wyjaśnienie. Przyszło mi na myśl, że jakiś podejrzany wypadek we wsi spowodował tę inspekcję urzędnika policyjnego.

Do tej pory kobieta siedziała sobie spokojnie i pilnie wygładzała szczapki bambusowe z taką pogodą, jak gdyby znajdowała się zupełnie sama i jak gdyby żadnej awantury nie było. A naraz skoczyła na równe nogi, podeszła do urzędnika policji i, gestykulując gwałtownie rękami tuż koło jego twarzy, piskliwym głosem wyraziła mu swój pogląd na sprawę. W mgnieniu oka zniknęły trzy czwarte podniecenia urzędnika; raz drugi próbował łagodnie zaprotestować, co mu się jednak nie udało, wobec czego odszedł jak zmyty, niby zupełnie inny człowiek.

Kiedy nareszcie znalazł się w bezpiecznej odległości, odwrócił się i zawołał:

— A ja wam mówię, że macie się stąd wynosić i koniec!

Przypuszczałem, że moi sąsiedzi z naprzeciwna natychmiast spakują swe maty i bambusy i wyniosą

się wraz ze swemi tobołami, wieprzkami i dziećmi. Ani mowy o czemś podobnem. Wciąż jeszcze zabawiają się od niechcenia rozszczepianiem bambusów, gotowaniem żywności lub też uzupełnianiem toalety.

Szazadpur, *Luty* 1891.

Poczta znajduje się w części gmachu zarządu naszych dóbr, co jest bardzo wygodne, ponieważ listy otrzymujemy, jak tylko przychodzą. Czasem przychodzi też do mnie pocztmistrz na pogawędkę. Z radością przysłuchuję się jego bajdurzeniu. Wygaduje najniemożliwsze historie w możliwie najpoważniejszy sposób.

Wczoraj opowiedział mi, jak wielką cześć ma tutejsza ludność dla świętej rzeki Gangesu. Jeśli umrze czyj krewny — mówił — a rodzina nie ma środków na przewiezenie popiołów nad Ganges, tłucze się na proszek kawałek kości z jego stosu pogrzebowego i przechowuje się go tak długo, póki się nie spotka kogoś, kto dziś czy kiedyś tam pił wodę z Gangesu. Temu komuś podsuwa się szczyptę tego proszku, ukrytą w zwykłym poczęstunku *pan*, i to wystarcza do wyobrażenia sobie, iż część zwłok zmarłego krewnego weszła w oczyszczający kontakt ze świętą wodą.

Uśmiechnąwszy się, zauważyłem:

— Ależ to chyba wymysł!

Zastanowiwszy się głęboko, wyraził po pauzie przypuszczenie:

— Tak, może być.

W drodze, *Luty* 1891.

Pozostawiliśmy za sobą wielkie rzeki i wpłynęliśmy na małą.

Kobiety wiejskie stoją w wodzie, kąpiąc się lub piorąc, zaś niektóre w przemoczonych *sari*, z zasłonami opuszczonemi na twarz, kierują się ku swym domom, ze stągwiami pełnemi wody i przyciśniętymi do lewego boku, podczas gdy prawe ramię kołysze się swobodnie. Dzieci, od stóp do głów umazane, dokazują hałaśliwie, jedne, obryzgując się wodą, zaś inne wykrzykując jakąś piosenkę, bez najmniejszego szacunku dla melodji.

Ponad wysokimi brzegami widać dachy chat i wierzchołki klombów bambusowych. Niebo wyjaśniło się i słońce świeci. Resztki chmur przyczepiły się do widnokregu jak kłaczkki bawełny. Podmuch wiatru jest cieplejszy.

Niewiele łodzi płynie tą małą rzeczką; ogółem parę łódek, naładowanych gałęziami i prętami, posuwa się powoli do taktu znużonego „plasz, plasz!” swych wiosel. Na brzegu rzeki suszą się sieci, rozwieszane przez rybaków na bambusowych żerdziach. Dzienna praca zdaje się już być wszędzie skończona.



Czahali, Czerwiec 1891.

Przeszło kwadrans siedzę już na pokładzie, podczas gdy na zachodzie zbierają się ciężkie chmury. Nadciągają czarne, spiętrzone i poszarpane, z pręgami posępnego światła, przeblyskującego to tu, to tam. Małe czółna pomknęły w mniejsze rozramienienia rzeki i bezpiecznie chwyciły się brzegów swemi kotwicami. Żniwiarze dźwignęli zżęte snopy na głowy i pośpieszyli ku swym domom; ruszyły ich śladem krowy, a za nimi, wymachując ogonami, w susach pobiegły cielęta.

Wówczas odezwał się gniewny ryk. Oderwane strzępy chmur poleciały na zachód, niby zadyszani posłowie złych wieści. Nareszcie błyskawice i pioruny, ulewa i wichur, wszystko zwało się i puściło w obłąkany tan derwiszów. Krzaki bambusowe poprostu wyły, kiedy wściekły wiatr zamiatał nimi ziemię, to na wschód, to na zachód. A nad wszystkim grzmiała burza, niby olbrzymiedudy zaklinacza węzów, zaś w jej takt chwiały się setki i tysiące grzebieniastych fal, właśnie jak tyleż oszołomionych węzów. Grom huczał bez przerwy, jak gdyby po szarzy tych chmur cały świat miał się rozpaść na sztuki.

Z brodą opartą o ramę otwartego okna, odwróconego od strony wiatru, pozwoliłem swym myślom wziąć udział w tej strasznej orgji; wyleciały w przestrzeń, jak gromada żaków, wypuszczonych naraz ze

szkoły. Kiedy jednak deszcz mnie do gołej skóry przemoczył, musiałem zamknąć okno wraz ze swą poetycznością i schronić się spokojnie w ciemnościach, niby ptak w klatce.

Szazadpur, Czerwiec 1891.

Z brzegu, do którego łódź jest przywiązana, unosi się z trawy coś w rodzaju kadzidlanej woni, zaś gorąco rozgrzanej ziemi, dochodzące mnie jakby w ciężkiem dyszeniu, faktycznie dotyka mego ciała. Czuję, że ciepła, żywa Ziemia dyszy na mnie i że wzajem musi też czuć mój oddech.

Młode pędy ryżu chwieją się w podmuchu wiatru, zaś kaczki nurkują i iskają swe pióra. Nie słycać nic, prócz słabego, żalosnego skrzypienia schodków o łódź, w miarę jak, poruszana prądem, niedostrzegalnie się kołysze.

Niedaleko stąd jest przewóz. Pstry tłum zebrał się pod drzewem banjanowem, oczekując powrotu przewoźnika; ledwie przybije do brzegu, już ta gromada rzuca się gwałtownie naprzód. Godzinami całemi przyglądam się temu z przyjemnością. We wsi, po drugiej stronie rzeki, jest jarmark; oto dlaczego prom jest dziś tak czynny. Niektórzy dźwigają wiązki siana, inni kosze, jeszcze inni wory; jedni dążą na jarmark, inni wracają z niego. I tak, podczas tego cichego południa, prąd działalności ludzkiej powoli między dwiema wioskami przepływa z jednego brzegu na drugi.

Siedziałem, myśląc, zdumiony: I skądżeż na polach, brzegach rzeki, niebie i słońcu naszego kraju zawsze ten głęboki cień melancholji? I przyszedłem do przekonania, iż to pochodzi stąd, że co się nas tyczy, Przyroda jest widocznie rzeczą najważniejszą. Niebo jest wolne, pola bez końca; zaś słońce stapia je w jedną gorejącą całość. Wśród tego wszystkiego człowiek wygląda tak pospolicie. Niby prom przevoźnika wędruje wciąż od brzegu do brzegu; słychać gawędzący pomruk jego rozmów, dorywcze echo pieśni; na rynkach całego świata widać lekkie ruchy jego pogoni za małostkowemi pragnieniami; ale jakże nikłe, jak przemijające, jak tragicznie nic nieznaczące jest to wszystko wśród niezmiernej wzniosłości Wszechświata!

Kontrast między przepięknym, wielkim, niczem nie zmaconym spokojem Przyrody — cichej, cierplivej, milczącej, niezgłębionej — a naszymi kłopotami powszedniemi — nędznemi, pełnemi troski dręczonemi sprzeczkami, każe mi niemal ze skóry wyskoczyć, gdy zapatrzony widzę mgliste, dalekie, błękitne linje drzew, okalające pola za rzeką.

Tam, gdzie Przyroda wiecznie się ukrywa i osłania mgłą, chmurami, śniegiem i ciemnością, człowiek czuje się panem; pragnienia swe, swe dzieła uważa za trwałe; chce je uwiecznić, myśli o potomności, wznosi pomniki, pisze życiorysy; posuwa się nawet do stawiania nagrobków zmarłym. Jest wciąż tak zajęty,



że nie ma nawet czasu zastanowić się nad tem, ile pomników się wali i jak często nazwiska toną w niepamięci.

Szazadpur, Czerwiec 1891.

Na brzegu rzeki leżał wielki, gruby maszt i paru małych urwiszów wiejskich, bez śladu jakiegokolwiek ubrania, po długich naradach uznało, iż gdyby się dało toczyć ten maszt przy odpowiednim towarzyszeniu darcia się pod niebiosy, byłby to nowy, wszystkich zadowalający sposób zabawy. Po powzięciu postanowienia natychmiast przystąpiono do jego wykonania z głośnem „Szabasz, bracia! Chodźcie tu! Wszyscy! Dalej, do roboty!“ A ile razy maszt się potoczył, wybuchał rozgłośny śmiech.

Zachowanie się pewnej dziewczynki w tej gromadce było zupełnie odmierne. W braku innego towarzystwa bawiła się z chłopcami, widać było jednak jasno, że ta głośna i natężająca zabawa nie podoba się jej. Wreszcie podeszła do masztu i, nie mówiąc ani słowa, naumyślnie na nim usiadła.

Taka nadzwyczajna zabawa tak niespodziewanie przerwana! Niektórzy z bawiących się rezygnowali z niej, jako z niedobrej zabawy i, odszedłszy trochę, kwaśno przyglądali się dziewczynce, siedzącej wciąż z niewzruszoną powagą. Któryś chłopak udawał, że chce ją usunąć, ale i to nie spowodowało zmiany jej niedbalej, pewnej siebie, pozy. Najstarszy chłopak podszedł do niej i wskazał jej inne miejsce,

również nadające się do odpoczynku, ona jednakże energicznie zaprzeczyła ruchem głowy i, złożywszy ręce na podółku, usadowiła się jeszcze silniej na swem miejscu. Wobec tej ostateczności chłopcy uciekli się do argumentu fizycznego i odnieśli najzupełniejszy sukces.

I znowu radosne okrzyki uderzyły aż o niebo, a maszt toczył się tak cudownie, że nawet dziewczynka zrzuciła pychę z serca i, wyrzekłszy się swego hardego odosobnienia, przyłączyła się do zabawy, porwana powszechnem podnieceniem. Przez cały czas jednak było widać, że — według jej zdania — chłopcy nie wiedzą, jak się trzeba właściwie bawić i zawsze są tacy dziecinni! Gdyby tylko wolno się jej było bawić żółtą, glinianą lalką z wielką, czarną kokardką na głowie, czyżby raczyła brać udział w tej szalonej zabawie z tymi zwarzowanymi chłopcami?

Nagle chłopcy wpadli na nowy świetny pomysł. Dwóch brało trzeciego za ręce i nogi i huścili go. Musiało to być strasznie śmieszne, bo poprostu ogarnął ich entuzjazm. Ale tego było już dziewczynce za dużo; z pogardą opuściła miejsce zabaw i odeszła do domu.

Naraz stał się nieszczęśliwy wypadek. Podczas huściania jednego chłopca upuszczono. W gniewie opuścił swych towarzyszków a odszedłszy na bok, legł na trawie z ramionami skrzyżowanymi pod głową,



jakby chcąc przez to dać do zrozumienia, że nigdy już więcej nie chce mieć nic do czynienia z tym złym, nieczułym światem, lecz zawsze będzie tak leżeć, sam z rękami pod głową, licząc gwiazdy lub przyglądając się igraszkom obłoków.

Najstarszy chłopak, nie mogąc dłużej znieść myśli o tak przedwczesnem wyrzeczeniu się świata, pobiegł do niepokieszonego desperata i, położywszy sobie jego głowę na kolanach, zaczął go pieścić. — „Chodź, braciszku, wstawaj! Czyśmy ci zrobili co złego, braciszku?“ — A po chwili widziałem ich znowu bawiących się jak dwie lalki, chwytających się za ręce i wydzierających je sobie. Minęły najwyżej dwie minuty, a malca znowu huściano.

Szazadpur, *Czerwiec* 1891.

Miałem dziś w nocy nadzwyczajny sen. Śniło mi się, że cała Kalkutta okryta jest jakąś straszną tajemniczością, zaś domy widać było niewyraźnie przez gęstą, ciemną mgłę, za której zasłoną odbywały się jakieś dziwne rzeczy.

Jechałem wynajętym powozem przez Parkstr., a kiedy mijałem kolegum Św. Ksawerego, spostrzegłem, że ono zaczyna gwałtownie rosnać i osiągnęło w otulającej je mgłę niesłychaną wysokość. I naraz dowiedziałem się, że do Kalkutty przybyła szajka czarnoksiężników, którzy, za dobrą zapłatą, umieli robić różne takie sztuki.



Kiedy przybyłem do naszego domu w Dżorasanko, spostrzegłem, że czarnoksiężnicy również tu przyszl. Byli to ludzie o paskudnym wyglądzie, mongolskiego typu, z rzadkimi wąsami i paru długimi włosami, sterczącemi z bród. Umieli oni kazać ludziom rosnać. Parę dziewcząt chciało być większemi, wtedy czarodziej posypał szczyptą proszku ich głowy i dziewczęta natychmiast strzeliły w górę. Każdego spotkanego po drodze zatrzymywałem, powtarzając mu: — „To nadzwyczajne — zupełnie jak sen!“

Wtem ktoś zaproponował, aby i nasz dom zrobić większym. Czarnoksiężnicy zgodzili się i na początek zaczęli burzyć pewne części domu. Zburzywszy dom, zażądali pieniędzy, grożąc, iż w przeciwnym wypadku dalej pracować nie będą. Kasjer stanowczo się temu sprzeciwił. Jakże można płacić, zanim dzieło zostało skończone? Na to czarnoksiężnicy wpadli w gniew i rozwalili dom tak strasznie, iż ludzie pomieszali się z cegłami, mury runęły na ciała i tylko głowy i ramiona wystawały z gruzów.

Wyglądało to wszystko najzupełniej na czarcią robotę, co też natychmiast powiedziałem swemu najstarszemu bratu. — Widzisz — mówiłem — co to za robota. Lepiej polemy się Bogu. — Jednakże mimo, iż próbowałem egzorcyzować ich w imię Boga a serce me pękało wprost z wysiłku, słowa wymówić nie mogłem. Wówczas zbudziłem się.

Ciekawy sen, nieprawdaż? Kalkutta w mocy szatana i rosnąca djabelsko w ciemnościach potępieńczych mgieł!

Szazadpur, Czerwiec 1891.

Nauczyciele z tej miejscowości złożyli mi wczoraj wizytę.

Siedzieli i siedzieli, mimo że za cenę życia nie mogłem znaleźć słowa, które mógłbym im powiedzieć. Mniej więcej raz na pięć minut udawało mi się zadać im jakieś pytanie, na co dawali mi jak najzwięźlejsze odpowiedzi, poczem siedziałem znów bezmyślnie, kręcąc piórem i drapiąc się w głowę.

Nareszcie zaryzykowałem pytanie, dotyczące żniw, oni jednak, jako nauczyciele, nic o żniwach nie wiedzieli.

Co się tyczy ich uczniów, to zadałem im już wszystkie pytania, jakie tylko na myśl mi przyszły, wobec czego zacząłem znowu od początku: Ilu chłopców macie w szkole? — Jeden powiedział, że osiemdziesięciu, drugi stu siedemdziesięciu pięciu. Spodziewałem się, że to doprowadzi do jakiejś dyskusji, ale nie, oni znali już te różnice.

Dlaczego po półtorej godzinie przyszło im na myśl odejść, faktycznie nie wiem. Mogli to spokojnie uczynić o godzinę wcześniej, a nawet, zupełnie serjo, o dwanaście godzin później. Najwidoczniej postanowienie to powzięli empirycznie, bez żadnej metody.

Szazadpur, *Lipiec* 1891.

U przystani stoi łódź, a naprzeciw niej na brzegu — tłum kobiet wiejskich. Jedne najwidoczniej wyruszają w podróż, inne przyszły je odprowadzić; dzieci, zasłony i siwe włosy, wszystko pomieszało się w tem zebraniu.

Jedno dziewczę szczególnie przykuwa do siebie mą uwagę. Może mieć około jedenastu do dwunastu lat; jednakże, żwawa i krzepka, wygląda jak gdyby miała czternaście do piętnastu lat. Ma miłą twarzyczkę — bardzo smagłą, lecz bardzo ładną. Włosy ma po chłopięcemu krótko ucięte, z czem tej prostej, szczerzej i żywej osóbcie jest bardzo do twarzy. Na rękę trzyma dziecko i przygląda mi się z nieukrywaną ciekawością i z pewnością nie bez otwartej szczerości lub też inteligencji w oku. Jej napół chłopięce, napół dziewczęce manjery są nadzwyczaj pociągające — niezwykła mieszanina męskiej nonszalanckiej i kobiecego uroku. Wyobrażenia nawet nie miałem, że tego rodzaju typy trafiają się wśród naszych wiejskich kobiet bengalskich.

Żadnej z kobiet tej rodziny nie można zarzucić zbyt wielkiej nieśmiałości. Jedna z nich rozplotła na słońcu swe włosy i czesze je palcami, rozmawiając równocześnie o sprawach domowych podniesionym głosem z drugą, znajdującą się już na pokładzie statku. Dowiaduję się, że nie ma więcej dzieci, prócz dziewczynki, nierozumnej istotki, nie umiejącej ani



zachować się, jak należy, ani mówić, ani nie mogącej odróżnić swego od obcego. Dowiaduję się też, że z zięcia Gopala stał się skończony niepoń i że córka Gopala nie chce powrócić do męża.

Kiedy wreszcie nadeszła chwila odjazdu, wszystkie odprowadziły do czółna mą krótkowłosą kobietkę z pulchnemi ramionami, złotemi naramiennikami i bransoletami i z dobroduszną, promieniejącą twarzą. Można było domyślić się, że wracała z odwiedzin u rodziców do domu męża. Cała rodzina stała, patrząc na odbijające czółno, a jedna czy dwie kobiety obtarły oczy końcami swych *sari*. Mała dziewczynka, z włosami zawiązanemi w mocny węzeł na tyle głowy, pochyliła się na kark starszej kobiety i milcząco płakała jej na plecach. Może być, traciła ukochaną *Didimani* <sup>1)</sup>, która bawiła się z nią razem lalkami, a także dała jej nieraz klapsa, kiedy była niegrzeczna...

Spokojne odpływanie łodzi rzeką zdaje się powiększać patos rozstania — tak dziwnie podobne jest śmierci — odjeżdżającą traci się z oczu, zaś ci, co pozostali, ocierając oczy, powracają do swych codziennych zatrudnień. Istotnie, ból trwa tylko chwilę i może być już w tej chwili — mija tak w tych, którzy odeszli, jak i w tych, którzy pozostali — zwłaszcza iż ból jest przemijający, zapomnienie trwałe. Niemniej przeto nie zapomnienie jest prawdziwe, lecz ból; i my

---

<sup>1)</sup> Starszą siostrę nazywa się często siostrą-klejnotem, *Didimani*.

sami od czasu do czasu, czy to skutkiem rozłąki czy skutkiem śmierci zdajemy sobie sprawę, jak strasznie prawdziwy.

Na pokładzie parowca, idącego do Kattak.  
*Sierpień 1891.*

Bagaż zostawiłem za sobą, a moje ubranie robi się z każdym dniem coraz nieznośniej haniebne — zaś bezustanna myśl o tem nie zgadza się z wrodzonym zmysłem szacunku dla samego siebie. Gdybym miał bagaż, mógłbym śmiało patrzeć w oczy światu ludzi z głową podniesioną do góry i pełen ducha; bez bagażu najchętniej skryłbym się w jakim kącie,<sup>5</sup> zdala od spojrzeń tłumu. Śpię w tych sukniach, rano wychodzę w nich na pokład, a w dodatku statek pełen jest sadzy, zaś wskutek nieznośnego gorąca we dnie, człowiek jest wciąż nieprzyjemnie spocony.

Pominąwszy to, nie nudzę się na pokładzie statku. Moi towarzysze podróży są niewyczerpanej różnorodności. Jest tu jeden, Aghore Babu, który do żadnej rzeczy, żywotnej czy nieżywotnej, nie umie przemówić bez klątw. To znów drugi, amator muzyki, bezustanku próbuje warjacji na temat Bha-irab<sup>1)</sup>, które śpiewa późną nocą, przekonywając mnie jeszcze raz o niewczesności swych popisów.

Parowiec od wczorajszego wieczora siedzi na mie-  
liźnie w ciasnym korycie kanału, zaś obecnie jest już

<sup>1)</sup> *Raga*, klasyczna melodia hinduska, którą należy śpiewać o brzasku.



po dziewiątej rano. Spędziłem noc w jakimś kącie przepelnionego pokładu, raczej umarły niż żywy. Prosiłem stewarda, aby upiekł mi parę *luczi* na obiad, zaś on przyniósł mi jakieś niemożliwe do opisania placki smażonego ciasta bez jakiegokolwiek jarzyny, z którą możnaby je zjeść. Kiedy wyraziłem mu z tego powodu przykre zdziwienie, zrobił skruszoną minę i natychmiast ofiarował się przyrzadzić mi jakąś sałatę. Ponieważ jednak noc była już późna, odrzuciłem jego propozycję, spróbowałem przełknąć parę kęsów jego suchego placka, poczem przy płonących światłach ułożyłem się do snu na pokładzie, zatłoczonym pasażerami.

Roje moskitów krążyły ponad głową, przeróżne robactwo biegło po pokładzie. Jakiś „szlafkamrat“ ułożył się na poprzek u mych nóg tak, że co chwila dotykałem go podeszwami. Cztery czy pięć nosów zabawiało się chrapaniem. Kilka dręczonych przez moskity, bezsennych mizerot pocieszało się pykaniem z fajek; zaś nad wszystkim unosiły się warjacje na nutę *Bhairaby!* Nareszcie, o pół do czwartej rano parę nie cierpliwszych, czynniejszychciał zaczęło się głośno wzywać wzajemnie do wstawania. Ja również, zrozpaczony, opuściłem swe posłanie i osunąłem się na swe rozkładane krzesło, aby doczekać się brzasku. W ten sposób przeszła ta okropnie urozmaicona noc.

Ktoś z załogi poinformował mnie, że parowiec osiadł na piasku tak mocno, iż uruchomienie go zaj-



mie cały dzień. Drugiego człowieka z załogi spytałem, czy nie będzie przypadkiem gdzie po drodze statku idącego do Kalkutty, na co mi ze śmiechem odpowiedział, że ten statek jest na tej linii jedyny, i że, jeżeli chcę, mogę nim wrócić do Kattak. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, po długim szarpaniu i ciągnienu, uruchomiono statek około dziesiątej godziny rano.

Tajran, 7 Września 1891.

Ładnie wygląda przystań w Balia ze swemi pięknymi, wielkimi drzewami, zaś kanał w całości przypomina mi do pewnego stopnia małą rzeczkę w Pune. Myśląc o tem, jestem pewny, że kanał podobałby mi się znacznie więcej, gdyby naprawdę był rzeką.

Palmy orzechów kokosowych, drzewa mangowe i inne cieniste drzewa ciągną się wzdłuż jego brzegów, które, pokryte pięknie zieloną murawą, opadają łagodnie ku wodzie, upstrzone kwitnącą mimozą. Tu i owdzie znów rzędy drzewa, w przerwach między niemi widać ciągnące się daleko pola, po deszczach tak delikatnie aksamitne, że oko zdaje się tonąć w ich głębinach. A potem znów widać małe wioski popękami palm kokosowych i daktyłowych, gnieźdzące się w wilgotnym, chłodnym cieniu nisko lejących chmur.

Środkiem tego wszystkiego kanał o łagodnym biegu wije się wdzięcznie wśród swych czystych, trawą porośłych brzegów, obramowanych w węższych

miejscach kępkami lilij wodnych, przepłatanych szuwarem. A jednak człowiek krzywi się na myśl, że mimo wszystko jest to tylko zwykły, sztuczny kanał.

Szmer jego wód nie sięga początku czasu. Nie wie on nic o tajemnicach jakiejś dalekiej groty w niedostępnych górach. Nie płynął przez wieki, obdarzony starem jak świat imieniem kobiecem, karmiąc wsie, leżące po jego bokach, mlekiem swej piersi. Nawet stare sztuczne jeziora doszły już do znacznie większej godności.

A mimo wszystko, kiedy za jakich sto lat drzewa na jego brzegach podrosną jeszcze bardziej, nowiutkie kamienie kilometrowe zestarzeją się i pokryją miękkim mchem, zaś data 1871, wypisana na jego słupach, znajdzie się w szacunku godnem oddaleniu, jeśli się znowu urodzę jako swój własny prawnuk i znowu wyruszę w podróż inspekcyjną po naszych dobrach w Kattak tym kanałem, z pewnością doznam wobec niego zupełnie innych uczuć.

Szilaida, *Październik* 1891.

Łódź po łodzi zawija do przystani, a kiedy wygnańcy po całym roku wracają z różnych odległych pól pracy na święta Pudża, ich skrzynki, kosze i tłumoki pełne są prezentów. Zauważyłem jednego, który, podczas gdy jego czółno zbliżało się do brzegu, przebrał się w *dhoti* świeżo ułożone w fałdy i splisowane, przywdział na bawełnianą koszulę jedwabny,



chiński kaftan, starannie ułożył na szyi ładnie związany szalik i ruszył ku wsi, trzymając wysoko nad głową parasol.

Szmerzące fale toczą się przez pola ryżowe. Wierzchołki mango i palm kokosowych sterczą w niebiosach, a prócz nich widać na widnokręgu pierzaste obłoki. Poruszone podmuchem wiatru kołyszą się frendzle liści palmowych. Szuwary na ławicy piaskowej tuż — tuż mają zakwitnąć. Zaiste — wesoly widok.

¶ Wrażenia człowieka, który właśnie wrócił do domu, tęskne wyglądanie go przez oczekującą go rodzinę, to jesienne niebo, ten świat, to łagodne tchnienie porannego podmuchu, powszechny, odpowiadający sobie, dygocący szelest drzew, krzewia i fal na rzece spiskuje nad ujarzmieniem młodości, wyglądającej ze swego okna, układając jej niewypowiedziane radości i cierpienia.

Strzępy świata, widziane z okien przydrożnych, budzą nowe pragnienia albo raczej nadają dawnym pragnieniom nowy kształt. Kiedy przedwczoraj siedziałem przy oknie na łodzi, przesunęło się koło nas małe czółenko rybackie, którego wioślarz nucił sobie piosenkę, niebardzo nawet melodyjną. A mimo to ta piosenka przypomniała mi jedną noc z przed lat, gdy byłem jeszcze małym dzieckiem. Jechaliśmy wodą do Padmy. Pewnej nocy obudziłem się około drugiej godziny nad ranem, podniosłem w górę okno



i, wystawiwszy głowę, ujrzałem rozświetlone w blasku księżycy wody bez najmniejszej zmarszczki i w małym czółenku chłopca, wiosłującego samotnie i śpiewającego, och, jakże cudnie, — tak słodką melodję, jakiej dotąd nigdy w życiu nie słyszałem.

Porwała mnie nagle chęć cofnięcia się i powrócenia aż do dnia, w którym usłyszałem tę piosenkę; pragnienie, aby wolno mi było jeszcze raz spróbować swego życia i aby tym razem nie uczynić go tak pustem i niezaspokojonem, lecz abym mógł z pieśnią poety na ustach opłynąć świat na grzbiecie wzdymającej się fali i śpiewać je ludziom i podbijać ich serca; abym mógł własnymi oczami zliczyć, co świat zawiera i gdzie; aby mi wolno było dać się poznać ludziom i poznać ich nawzajem, przelecieć przez świat w życiu i młodości nakształt chyżo goniących powiewów, a wreszcie powrócić w podeszłym i płodnym wieku, aby go spędzić, jak na poetę przystało.

Niezbyt wzniosły ideał, nieprawdaż? Niewątpliwie, uszczęśliwienie świata byłoby zadaniem znacznie wznioślejszem; mnie jednak, który nie jestem niczem więcej, niż jestem, podobna ambicja przez myśl nawet nie przeszła. Nie mogę się zgodzić na poświęcenie tak cennego daru, jak życie, głodowi przez samego siebie wytworzonemu, ani też na zniechęcanie świata i serc ludzkich postami, rozmyślaniami i bezustannem napominaniem. Sądzę, że dość żyć i umrzeć jak człowiek, kochający i wierzący w świat,

niezdolny zapatrywać się nań jako na omamienie ze strony Stwórcy lub też jak na sidła szatańskie. Nie dla mnie dążenie do wzniesienia się w powiewność anielską.

Szilaida, 2. Kartika (Październik) 1891.

Na wsi przestaję patrzeć na człowieka jako na istotę odrębną od reszty otoczenia. Jak rzeka toczy się po różnych stokach, tak strumień ludzki szemrze, wijąc się przez lasy, wsie i miasta. Nie jest słuszne powiedzenie, że *men may come and men may go, but I go on for ever*<sup>1)</sup>. Ludzkość ze wszystkimi swemi dopływami, mniejszemi i większemi, płynie i płynie wciąż, tak samo jak rzeka, od źródła swego w urodzeniu ku morzu śmierci; — ujęta w dwie niezgłębione tajemnice na obu swoich końcach, między którymi trwa nieustanna gra i praca i szmer rozmów.

Tam rolnicy śpiewają w polach; tu płyną łodzie rybackie. Dzień wędnie, żar słońca wzrasta. Niektóre kąpiące się kobiety są jeszcze w wodzie, inne wykąpały się już i niosą do domu swe pełne wody stągwie. W ten sposób po obu brzegach rzeki stulecia, nucąc, szły swą drogą, podczas gdy od czasu do czasu odzywa się żalobnie chóralny refren: *I go on for ever!*

W ciszy południa słyhać jak młodociany pastuch krów z całej siły woła na swego towarzysza;

<sup>1)</sup> Ludzie przychodzą i odchodzą, lecz ja wciąż dążę naprzód.



pluskają w wodzie wiosła łodzi wracającej do domu; lekko zmarszczone fale uderzają o pustą stągiew, przy której jakaś kobieta wiejska odpoczywa, zanim ją w wodzie zanurzy; a z tem mieszają się inne, mniej już określone dźwięki — ćwierkanie ptaków, brzęczenie pszczół, żalosne skrzypienie galaru, kołyszącego się na kotwicy, co wszystko razem tworzy rzewną kołysankę, jak gdyby matki, starającej się utulić swe cierpiące dziecko. — „Nie gniewaj się — śpiewa, pieszczotliwie głaszcząc jego rozpalone czołko — Nie martw się, nie płacz już. Puść w niepamięć swe wysiłki, swawole i bitki; zapomnij na chwilę, usnij na chwilę.“

Szilaida, 3. *Kartika* (*Październik*) 1891.

Księżyc był w pełni, a ja przechadzałem się powoli brzegiem rzeki, rozmawiając z sobą. Właściwie trudno to nazwać rozmową, bo ja wciąż mówiłem, podczas gdy mój urojony towarzysz tylko słuchał. Biedak nie miał nawet sposobności do mówienia w swoim imieniu, bo czyż nie w mojej mocy było zmusić go, bezsilnego, do dawania niedorzecznych odpowiedzi?

Ale co to była za noc! Jakże często próbowałem taką noc opisać, a nigdy mi się nie udawało! Rzeka była bez zmarszczki; szeroka smuga światła księżycowego żarzy się daleko, tam, gdzie widać najdalszy brzeg odległego głównego koryta rzecznej poza drugim brzegiem środkowej ławicy piaszczystej,



wprost naprzeciw tego brzegu. Nigdzie ani żywej duszy, ani jednej łódki, ani drzewa, ani źdźbła trawy na piaszczystych brzegach utworzonej niedawno wyspy.

Zdawało się, jak gdyby opustoszały księżyc wschodził nad opustoszałą ziemią; jakaś dziwna rzeczka wędruje przez pustynię; ciągnąca się w nieskończoność baśń dobiega kresu w opuszczonym świecie — wszyscy królowie i księżniczki, ich ministrowie, przyjaciele i ich złote zamki, wszystko zniknęło, pozostawiając tylko Siedem Mór i Trzynaście Rzek i Nieskończone Grzęzawiska, przez które wciąż przedziera się chciwy przygód Książę, lśniący niejasno w bladym świetle księżyca. Chodziłem tam i z powrotem, niby ostatnie uderzenia pulsu tego konającego świata. Wszystko, prócz mnie, zdawało się już być na drugim brzegu — na brzegu życia — gdzie rząd W. Brytanji i Dziewiętnasty Wiek ma władzę, herbatę i papierosy.

Szilaida, 9 Stycznia 1892.

Przez kilka dni pogoda wahała się między Zimą a Wiosną. Być może, rano dreszcze jeszcze wstrząsać będą ziemią i wodą pod tchnieniem północnego wiatru; zato wieczory aż zadrzą od południowego powiewu, wiejącego w noc księżycową.

Nie ulega wątpliwości, iż Wiosna jest już w drodze ku nam. Po długiej przerwie *papija* znowu woła

z gajów z tamtej strony rzeki. Serca ludzkie są również podniecone; po zapadnięciu wieczoru słychać we wsi śpiewy dowodzące, iż ludziom nie tak już pilno do zamykania okien i drzwi i kulenia się w ciepłym kącie na noc.

Dziś księżyc jest w pełni, a jego wielka, okrągła twarz zagląda do mnie z lewej strony przez otwarte okno, jak gdyby próbując się dowiedzieć, czy przypadkiem nie mówię o nim w swym liście co złego — podejrzewa, być może, że my, śmiertelni, zachwycały się więcej jego plamami niż promieniami.

Jakiś ptak woła żałośnie „ti-ti“ na ławicy piaskowej. Ma się wrażenie, jak gdyby rzeka stała nieruchomo. Łodzi niema. Nieruchome gaje na brzegu rzucają sztywny cień na wodę. Skutkiem mgły na niebie księżyc wygląda jak oko śpiące, lecz nie zamknięte.

Teraz noc robi się wciąż ciemniejsza i ciemniejsza, a gdy jutro wracać będę z biura, ten księżyc, ulubiony towarzysz mego wygnania, już się trochę dalej odmnie odsunie, niespokojny, czy mądrze było tak zupełnie otwierać mi swe serce zeszłego wieczoru i zwoła na pomału znów je zamykając.

W obcych, samotnych miejscowościach człowiek się istotnie z Przyrodą na prawdę żywa. Przez kilka dni zupełnie poważnie martwiła mnie myśl, że po pełni z każdym dniem zacznie mi księżyc ubywać; bardziej zaciężyło mi me wygnanie, gdy wspomnia-

łem, że nie będzie już piękna i ciszy, oczekującej mego powrotu z tamtej strony rzeki i że będę musiał wracać w ciemnościach.

Na wszelki wypadek zapisuję, iż dziś jest pełnia — pierwsza pełnia wiosenna tego roku. Po latach, może być, trzeba mi będzie może przypomnieć sobie tę noc, z ptasiem „ti-ti“ na ławicy, z migotaniem dalekiego światełka na łodzi przy drugim brzegu rzeki, z świetlistą przestrzenią rzeki, z plamami cienia padającego od strony ciemnego obramowania drzew nadbrzeżnych i z białem niebem lśniącem w górze w swej niczem niezmaconej wzniosłości.

Szilaidā, 7. Kwietnia 1892.

Woda w rzece opada, a w tem ramieniu nie sięga nikomu wyżej jak po pas. Nic tedy nadzwyczajnego, że łódź musi zapuszczać kotwicę na samym środku koryta rzecznoego. Na prawym brzegu wieśniacy orzą a od czasu do czasu pasterze pędzą krowy do poju. Po lewej stronie widać w górze wierzchołki drzew mangowych i palm kokosowych starego ogrodu Szilaidy, zaś na dole, na skłonie, kobiety wiejskie piorą, czerpią stągwiemi wodę, kąpią się, śmieją i plotkują w swym prowincjonalnym dialekcie.

Młodsze dziewczęta nie mogą się wprost oderwać od swych igraszek w wodzie; prawdziwa rozkosz słuchać ich beztroskiego, wesołego śmiechu. Mężczyźni poważnie wykonywują przepisana ilość zanurzeń



i odchodzą, ale dziewczęta są z wodą w znacznie poufalszych stosunkach. I woda i one zarówno paplą, gawędzą, gną się i lśnią w ten sam prosty i naturalny sposób, i woda i one mogą omdleć i zniknąć pod bezlitośnie palącym spojrzeniem, zarazem jednak potrafią też znieść cios, nie łamiąc się pod nim zaraz beznadziejnie. Twardy świat, który bez nich byłby bezpłodny, nie może zgłębić tajemnicy pieszczotliwego uścisku ich ramion.

Tennyson mówi, iż stosunek kobiety do mężczyzny jest taki, jak wody do wina. Ja rozumiem dziś, iż powinno być: jak wody do ładu. Kobieta, która myje wszystko w wodzie, bawi się w niej, dookoła niej urządza swe zebfania, znacznie bliżej z wodą żyje; i gdy od dźwigania wszelkiego innego brzemienia jest uwolniona, noszenie wody ze źródła, ze studni czy ze stawu, od wieków należy do niej.

Bolpur, 2. Maja 1892.

Istnieje w świecie dużo paradoksów, zaś jednym z nich jest, iż gdzie krajobraz jest niezmierny, niebo bez granic, chmury gęste, uczucie niezgłębione — krótko mówiąc, tam, gdzie nieskończoność jest oczywista — najbardziej odpowiednim dla niej towarzyszem jest jeden jedyny człowiek; do tego stopnia małostkowym i przeszkadzającym wydaje się tłum.

Jednostka i nieskończoność obcują ze sobą na równej stopie, godne — każda ze swego tronu — pa-

trzeć sobie w oczy. Ale tam, gdzie ludzi jest dużo, jakże małą staje się tak Ludzkość, jak i Nieskończoność i ileż muszą z siebie usunąć, aby się móc z sobą pogodzić! Każda dusza potrzebuje dla swego rozprzestrzenienia się tyle miejsca, że w tłumie musi czekać, aż się porobią luki, przez które od czasu do czasu można wysunąć czubek głowy.

To też jedynym wynikiem naszych prób zgromadzania się jest, że stajemy się niezdolni do napelnienia swych połączonych dłoni i wyciągniętych ramion tą nieskończoną, bezdenną przestrzenią.

Bołpur, 8. *Jaistha* (Maja) 1892.

Niežnośne są kobiety, którym, gdy chcą być dowcipne, nie udaje się nic więcej nad to, że stają się zuchwałe; co się zaś tyczy usiłowań bycia śmieszną, są one dla kobiety poniżające zawsze, bez względu na to, czy się udają czy nie. Komizm jest niezaradny i przesadzony, skutkiem czego graniczy pod pewnym względem z wzniosłością. Słoń jest komiczny, wielbłąd i żyrafa są komiczne, wszystko przerośnięte, przerysowane jest komiczne.

Jak cierń z kwiatem, tak z pięknością może się łączyć raczej pewna ostrość. Tak naprzykład sarkazm nie szpeci kobiety, mimo że gdy od niej pochodzi, przykro dotyka. Ale śmieszność, zalatującą rubasnością, powinna kobieta pozostawić raczej naszej wzniosłej płci. Na widok Falstaffa męskiego

boki zrywamy. Falstaff żeński drażni tylko nasze nerwy.

Bolpur, 12. Jaistha (Maja) 1892.

Wieczorem przechadzam się zwykle samotny po terasie na dachu. Wczoraj popołudniu poczułem się do obowiązku pokazania mym gościom piękności okolicy, wobec czego wyszedłem z nimi na przechadzkę, wzięwszy Aghore za przewodnika.

Na skłonie horyzontu, nad dalekim niebieskim już pasem drzew zarysowała się cienka linja ciemno-błękitnych chmur. Był to widok szczególnie piękny. Chciałem być poetyczny i wyraziłem się, że jest to podobne do błękitnej maści na rzęsach okalających piękne niebieskie oko. Jeden z mych towarzyszków niedosłyszał uwagi, drugi nie zrozumiał jej, zaś trzeci zbył ją odpowiedzią: — „Tak jest, to bardzo ładne.“ Nie czułem się tem szczególnie zachęcony do próbowania drugiej poetyckiej wycieczki.

Przeszedłszy około mili, stanęliśmy na grobli, gdzie dokoła sadzawki rosły rzędem drzewa *tal* (palmy wachlarzowe), ustóp których znajdowało się też naturalne źródło. Stojąc tu i rozglądając się, zauważyliśmy nagle, że linja chmur, którąśmy zauważyli na północy, leci wprost na nas, wzdęta, znacznie ciemniejsza i rozżarzająca się chwilami blaskiem błyskawic.

Przyszliśmy jednogłośnie do wniosku, że, schroniwszy się do domu, znacznie łatwiej będziemy mogli



podziwiać piękności przyrody, ledwośmy się jednak ku domowi skierowali, gdy burza, pędząc olbrzymiem i susami przez płaskie, otwarte moczary, runęła na nas z wściekłym rykiem. Podziwiając collyrium na rzesach pięknej Jejmość Przyrody, nie myślałem nawet, że wleci na nas jak gniewliwa jędza, grożąc tak strasznemi cięgami!

Od kurzu zrobiło się tak ciemno, żeśmy widzieli ledwo na kilka kroków przed sobą. Furja burzy wzrastała, lecące z wiatrem odłamki kamieni i zeschłej ziemi kłuły nas, jak śrut, gdy równocześnie wiatr, ucapiwszy za karki, pchał nas naprzód, smagając deszczem lecących z nóg.

Marsz — marsz! Ale teren przed nami nie był równy, lecz, przeciwnie, pocięty rowami z wodą i trudny do przebycia w zwykły czas, a cóż dopiero podczas burzy. Ja zaplątałem się w jakiś ciernistym krzaku i omal uderzeniem wichru nie zostałem rzucony na twarz, kiedy przystanąłem, aby się wyplątać.

Gdyśmy wreszcie dotarli do domu, nadbiegła, wrzeszcząc i wywijając rękami, horda służących i wpadła na nas jak druga burza. Jedni chwytali nas za ręce, inni oplakiwali nasz stan, ci skwapliwie pokazywali drogę, tamci wieszali się u naszych ramion, jak gdyby obawiając się, że wicher może nas porwać. Pozbywszy się, nie bez trudów, ich troskliwości, dostaliśmy się wreszcie do domu, zadyszani, przemoczeni, zabłoceni i z potarganemi włosami.

Ale jednej rzeczy się nauczyłem i nigdy już więcej w żadnej powieści nie napiszę kłamstwa, że bohater może z obrazem swej bogdanki w myślach wyjść cało z takiej wichury i deszczu. Nikt nie mógłby podczas takiej burzy myśleć o jakiejś twarzy, bez względu na to, jakaby ona była piękna — ma się aż nadto do roboty, jeśli się nie chce, aby piasek oczy zasypał.

Poeci szkoły Waisznawa opisali precudownie, jak to Radha w burzliwą noc udała się na schadzkę miłosną z Kriszną. Czy też kiedy który z nich zastanowił się nad tem, w jakim stanie musiała przed nim stanąć? Łatwo sobie wyobrazić, jak się jej poplątały włosy i jak mogła wyglądać reszta jej toalety. Ładnie musiała wyglądać, przybywszy do altany z ciałem obsypanem kurzem, który, rozmókłszy w deszczu, zmienił się w szatę z błota!

Podczas czytania Waisznawy nie zwracamy na te szczegóły uwagi. Na kanwie swej duszy widzimy tylko obraz pięknej kobiety, przemykającej się pod osłoną kwitnących *kadamba*, w ciemnościach burzliwej nocy Szrawanu <sup>1)</sup> ku brzegowi Jamny, niepamiętnej na wicher i deszcz, jak pogrążonej w śnie somnabulicznym, posłusznej tylko wołaniu swej miłości, silniejszej nad wszystko w świecie. Podwiązała swe nagolenice, aby nie dzwoniły, przybrała ciemno-granatową szatę aby jej nie zauważono, ale nie niesie parasola, którym

<sup>1)</sup> Lipiec-Sierpień, pora deszczowa.



zasłoniłaby się przed słońcem i nie ma latarki, która ochroniłaby ją od upadku.

Niestety, jakże te użyteczne rzeczy — tak potrzebne w życiu praktycznym — zaniechane są przez poezję! I poezja napróżno stara się wyzwolić nas z ich więzów — bo one na zawsze z nami pozostaną, do tego stopnia, że, jak wieść powszechnie niesie, poezja może wygasnąć, ale w dalszym ciągu patent po patencie brać się będzie na udoskonalenie trzewików i parasoli.

Bolpur, 16. *Jaistha* (Maja) 1892.

Nie bije tu żaden zegar na wieży kościelnej, a ponieważ w pobliżu niema też innych mieszkań ludzkich, wraz z wieczorem, jak tylko ptaki przestaną śpiewać, zapada zupełne milczenie. Pod tym względem wieczór niewiele się tu różni od północy. Bezsenna noc w Kalkucie płynie niby wielka, leniwa rzeka ciemności; leżąc na łóżku nawznak, można policzyć wszystkie odgłosy jej przemijania. Tu jednak noc podobna jest do szerokiego cichego jeziora, rozciągniętego szeroko bez znaku najmniejszego ruchu. Kiedy przeszłej nocy przewracałem się niespokojnie z boku na bok, czułem że tkwię w gęstym bezruchu.

Rano wstałem trochę później niż zwykle i, zeszedłszy na dół do swego pokoju, usiadłem, oparłszy się plecami o poduszkę, z nogą założoną na nogę i, przycisnąwszy tabliczkę do piersi, zacząłem pisać



wiersze przy akompaniamencie powiewu rannego i śpiewu ptaków. Szło mi świetnie — uśmiech igrał nad memi ustami, oczy miałem w pół przymknięte, głowa wybijała rytm, to, co sobie podśpiewywałem, przyjmowało zwolna kształt coraz wyraźniejszy — gdy wtem przyszła poczta.

Był list, ostatni numer *Sadhana Magazine*'u, numer *Monisty* i parę korekt. Przeczytałem list, przebiegłem wzrokiem nierozcięte stronicę *Sadhany* i znowu zacząłem się kiwać i wyśpiewywać swój poemat. Nie ruszyłem się, póki nie skończyłem.

Dziwno mi, że napisanie całych stron prozy nie daje takiej radości jak ułożenie jednego skromnego poematu. W poemacie wzruszenia i uczucia nabierają takiej wyrazistości formy, że możnaby ich prawie dotknąć palcami. Zaś proza jest jak wór pełen luźnego materiału, ciężki, nieporęczny i trudny do podniesienia na każde zawołanie.

Gdybym mógł codziennie napisać jeden poemat, życie moje upłynęłoby w nieustającej radości. Jednakże, mimo iż od wielu lat pilnie uprawiam poezję, dotychczas jeszcze jej nie oswoiłem, a właściwością tego skrzydlatego rumaka nie jest bynajmniej dać się kielznać, kiedy tylko chcę! Rozkosz sztuki stanowi wolność puszczenia się w daleki lot, jak tylko przyjdzie ochota; wtedy, nawet po powrocie do tego świata-więzienia, echo jakies pozostaje jeszcze w uchu, zachwycenie w duszy.

Krótkie poezje przychodzą do mnie nieszukane i one to przeszkadzają mi zabrać się do dramatu. Gdybynie one, miałbym dwa, trzy pomysły do sztuki, z których jeden wprost sam się prosi. Obawiam się jednak, że będę musiał poczekać do chłodniejszej pory roku. Wyjąwszy „Szitrę“, wszystkie moje sztuki zostały napisane w zimie. W tej porze roku liryczny zapal trochę chłodnie i ma się więcej czasu do napisania dramatu.

Bolpur, 31. Maja 1892.

Niema jeszcze piątej godziny, ale świt już nastął, wietrzyk rozkoszny dmucha, zaś wszystkie ptaki w ogrodzie pobudziły się i zaczęły śpiewać. *Koel* zdaje się odchodzić od przytomności. Trudno zrozumieć, dlaczego kuka tak niestrudzenie! Z pewnością nie dlatego, aby zabawić nas lub rozerwać schnącego z miłości kochanka — musi mieć swój własny, osobisty cel. Niestety, jednak ten cel nigdy nie jest osiągnięty. Lecz *koel* nie traci serca a jego „Ku — u! Ku — u!“ rozlega się wciąż, przechodząc od czasu do czasu w gwałtowny tryl. Co to może znaczyć?

A prócz tego gdzieś w oddali jest tu jeszcze jeden ptak, obwieszczający się tylko słabem „czek — czek“, w którym niema ani energji, ani entuzjazmu, jak gdyby wszystkie nadzieje zostały stracone; niemniej, siedząc w swym cieniście zakątku, ptak nie może się powstrzymać od wydania tej swej krótkiej skargi: Czeka, czeka, czeka!

Jak niewiele doprawdy wiemy o sprawach do-  
iowych tych niewinnych, skrzydlatych stworzeń,  
z temi delikatnemi piersiami i podgardlami, z tem  
wielobarwnem upierzeniem. I poco, na miły Bóg,  
uważają na konieczne tak bezustannie śpiewać?

Szilaida, 31. *Jaistha* (Czerwiec) 1892.

Nienawidzę tych grzecznych formalności. W osta-  
tnich dniach powtarzałem wciąż wiersz: — „O ileż  
chętniej wolałbym być Beduinem!“ Takie piękne,  
mocne, zdrowe i wolne barbarzyństwo!

Czuje, że powinienbym położyć kres temu bez-  
ustannemu starzeniu się ciała i ducha, z całą nieusta-  
jącą rozważą i względnością wobec starych, rozsypu-  
jących się rzeczy, i zamienić je na radość wolnego  
i silnego życia; mieć — złe czy dobre — ale szerokie,  
niezwłoczne, nieskrępowane poglądy i dążenia, wolne  
od bezustannego tarcia się między zwyczajem  
a sensem, sensem a pragnieniem, pragnieniem  
a czynem.

Gdybym tylko mógł raz na zawsze najzupełniej  
wyzwolić to usidłone swoje życie, runąłbym na cztery  
strony świata, dźwigając jedną po drugiej fale zgiełku  
i wrzawy; popędziłbym przed siebie szalenie, jak  
dziki koń, dla samej tylko radości mej chyżości! Nie-  
stety, jestem Bengali, nie Beduinem! Więc w dalszym  
ciągu siedzę w swym kącie, gryzę się, martwię i me-  
dytuję. Obracam swą myśl na tę, to na ową stronę



— zupełnie jak smażoną rybę — a wrząca oliwa obrumienia naprzód jeden bok, potem drugi.

Niechaj będzie! Skoro nie mogę być nawskroś dzikim, wypada mi być jak najgładszym. Pocóż kłócić z sobą te dwie rzeczy.

Szilaida, 16. Czerwca 1892.

Im dłużej żyje się samotnie nad brzegiem rzeki lub w zapadłej wsi, tem wyraźniej się widzi, że niema nic piękniejszego ani większego nad zwykle i proste wykonywanie dziennych powinności życia. Począwszy od traw w polu, a skończywszy na gwiazdach na niebie, wszystko robi tylko to; i dlatego w naturze tyle jest spokoju i zachwycającego piękna, że nic nie stara się gwałtem przekroczyć swych granic.

Ale to wszystko, co się dzieje, nie jest bynajmniej rzeczą małego znaczenia. Trawa musi użyć całej swej energji do wyciągnięcia z kończyn swych korzonków soków, po to tylko, aby rosnąć jako trawa; nie dąży wcale do tego, aby stać się drzewem figowem; w ten sposób ziemia zyskuje piękny, zielony kobierzec. A zaprawdę, tę odrobinę piękna i spokoju, jaką można znaleźć w społeczności ludzkiej, zawdzięcza się nie wielkim czynom i pięknym słowom, lecz codziennemu spełnianiu drobnych obowiązków.

Może być, iż, ponieważ nie zawsze mamy żywo przed oczami całość swego życia, zwodzi nas jakaś urojona nadzieja, kusi barwny obraz przyszłości, nie-

skrępowanej siecią obowiązków; są to jednak złudzenia.

Szilaīda, 2. *Asarh* (Czerwca) 1892.

Wczoraj z należyłą pompą i namaszczeniem obchodzono pierwszy *Asarh*<sup>1)</sup>, wstąpienie na tron pory deszczowej. Przez cały dzień było bardzo gorąco, zato popołudniu zebrały się zdumiewające masy gęstych chmur.

Pomyślałem sobie, że pierwszego dnia pory deszczowej lepiej zrobię, ryzykując nawet przemoczenie, niż siedząc, jak w więzieniu, w swej kabynie.

Rok 1293<sup>2)</sup> nigdy się już w mem życiu nie powtórzy, a ile jeszcze przyjdzie tych pierwszych dni miesiąca *Asarh*? Życie moje byłoby dostatecznie długie, gdyby mogło naliczyć trzydzieści pierwszych dni tego miesiąca, które, dla mnie przynajmniej, w szczególniejszy sposób wyróżnił piewca *Meghaduty*.<sup>3)</sup>

Przychodzi mi czasem na myśl, jakie to niezmiernie szczęście, że w życiu mem musi znaleźć swe miejsce każdy dzień, ten rumiany od wschodzącego i zachodzącego słońca, ów orzeźwiająco chłodny, ocieniony głębokimi, ciemnymi chmurami, ten znów

---

<sup>1)</sup> Czerwiec-Lipiec, początek pory deszczowej.

<sup>2)</sup> Ery bengalskiej.

<sup>3)</sup> W *Meghaducie* (Posłanie chmury) Kalidasy słynny opis wybuchu monsunu zaczyna się od słów: *Pierwszego dnia miesiąca Asarh*.

kwitnący, jak biały kwiat w świetle księżycowem.  
Co za niewypowiedziane bogactwo!

Tysiąc lat temu Kalidas witał ten pierwszy dzień *Asarhu*; w życiu mem co rok ten sam dzień *Asarhu* świta w całej swej chwale — ten sam dzień poety staro-  
wego *Udźdżaini*,<sup>1)</sup> który niezliczonym mężczyznom i kobietom dał radość połączenia się, mękę rozstania.

Co rok taki wielki, uświęcony przez wieki dzień wypada z mego życia; i nadejdzie czas, gdy ten dzień Kalidasy, ten dzień *Meghaduty*, ten wiecznie pierwszy dzień Deszczów w Hindustanie, nigdy więcej już dla mnie nie zaświta. Kiedy sobie z tego zdaję sprawę, chciałbym dobrze przyjrzeć się przyrodzie, z całą świadomością codziennie witać każdy wschód słońca i żegnać słońce zachodzące, jak serdecznego przyjaciela.

Cóż za olbrzymie święto, co za wspaniały, uroczysty widok! A my tak daleko żyjemy od świata, że nie możemy nawet w pełni podzielić jego radości! Światło gwiazd wędruje przez miliony mil, aby wreszcie dotrzeć do ziemi, lecz nie może przeniknąć do naszych serc — o tyle milionów mil my jesteśmy dalej.

Świat, na który spadłem, zaludniony jest dziwnymi istotami. Wszystkie zajęte są wciąż wznoszeniem murów i praw dokoła siebie, a jak starają się o zasłony, aby tylko nie mogły nic widzieć! Aż mi

<sup>1)</sup> Miasto urodzenia Kalidasy.



dziwno, że nie porobiły płóciennych pokrowców na kwitnące rośliny i nie sporządziły baldachimu, aby się zasłonić przed księżycem. Jeśli o nowem życiu mają rozstrzygać pragnienia tych ludzi, ja wolę uciec z naszej zakapturzonej planety i urodzić się znowu w jakimś wolnem i otwartem królestwie radości.

Tylko ci, którzy nie umieją z głową zanurzyć się w pięknie, pogardzają niem, jako rzeczą zmysłów. Ale ci, którzy zakosztowali jego niewyraźności, wiedzą, jak daleko ono wychodzi poza granice władz wzroku i słuchu — nie, nawet serce nie ma tyle mocy, aby mogło dotrzeć do kresu jego bólu.

P. S. Odbiegłem zupełnie od poruszonego tematu. Ale nie obawiajcie się, nie zajmie mi to już czterech dalszych stron. Rzecz w tem, że wieczorem pierwszego dnia miesiąca *Asarh* spadł ulewny deszcz, strumieniami grubemi jak lance. Oto wszystko.

W drodze do Goalandy, 21. Czerwca 1892.

Pełne nieskończonej rozmaitości widoki ławic piaskowych, uprawnych pól i wsi lecą po obu stronach — chmury, żeglujące po niebie, barwy rozkwitające, gdy dzień spotyka się z nocą. Łodzie prześlizgują się, rybacy łapią ryby, fale cały dzień wydają płynne, pieszczotliwe dźwięki; szeroka powierzchnia rzeki uspokaja się w ciszy wieczornej, jak ukołysane do snu dziecko, nad którym czuwają wszystkie gwiazdy na niebie bez granic — zaś później, gdy pod-

czas nocy bezsennych siedzę na pokładzie, mając po prawej i lewej ręce brzegi, pogrążone we śnie, ciszę przerywa czasem tylko wycie szakala w zaroślach w pobliżu jakiejś wsi lub głuchy grzmot osuwających się z wysokich, stromych brzegów brył, podmytych bystrym prądem Padmy.

Nie można powiedzieć, aby widok był zawsze nadzwyczaj zajmujący — oto ciągnie się daleko żółtawa ławica bez źdźbła trawy lub drzewka; przywiązana do brzegu kołysze się pusta łódź; uciekają wody błękitnawe, tego samego odcienia co mgliste niebo — nie mogę jednak powiedzieć, jak mnie to wszystko wzrusza i pociąga. Podejrzewam, że dawne pragnienia i porywy mego udręczonego przez służbę dzieciństwa — kiedy to samotny, uwięziony w swym pokoju, rzucałem się na *Tysiąc i Jedną Noc*, z Sindbadem żeglarzem dzieląc dolę i niedolę w różnych obcych krajach — nie umarły jeszcze we mnie, lecz budzą się nanowo na widok pierwszej lepszej pustej łodzi, przywiązanej do piaszczystego brzegu.

Pewny jestem, że, gdybym był w dzieciństwie nie słuchał baśni i nie czytał *Tysiąca i Jednej Nocy* i *Robinsona Cruoe*, nie niepokoiłby mnie do tego stopnia widok odległych brzegów lub kresu szerokich pól — niezawodnie cały świat przemawiałby do mnie zupełnie inaczej.

Co za chaotyczna mieszanina urojeń i faktów panuje w umyśle człowieka. Jakże wikłają się zu-

pełnie różne brzegi — niskie i wysokie — baśni,  
prawdy i obrazu!

Szilaida, 22. Czerwca 1892.

Wczesnym rankiem, leżąc jeszcze w łóżku, sły-  
szałem, jak kąpiące się kobiety wykrzykiwały wesoło  
„Ulu! Ulu!“<sup>1)</sup> Okrzyk ten dziwnie mnie wzruszył,  
choć doprawdy trudnooby powiedzieć, dlaczego.

Być może, takie radosne wybuchy przywodzą  
ludziom na myśl wielki prąd nieustającej na tym  
świecie uroczystej działalności, z którą jednostka nie  
ma styczności. Świat jest niezmierny, tłum ludzi  
ogromny, a jednak z jakże niewielu z nich coś nas  
łączy. Te dalekie odgłosy życia, niosące wieści z nie-  
znanych domów, dają jednostce do zrozumienia, iż  
większa część świata ludzi nie uważa jej za swoją, nie  
wie nic o niej i ani uważać za swoją ani znać jej nie  
może; a wówczas człowiek czuje się opuszczonym,  
luźnie tylko związanym ze światem i ogarnia go nie-  
określony smutek.

Stąd też owe okrzyki „Ulu! Ulu!“ ukazały mi  
całe me życie, przeszłość i przyszłość, jako długą  
drogę, z której samych już końców do mnie dolaty-  
wały. I to uczucie zabarwiło mi początek dnia.

Ale jak tylko pojawi się na scenie rządcą ze  
swym sztabem i z wieśniakami, domagającymi się  
posłuchania, ta blada wizja przeszłości i przyszłości

---

<sup>1)</sup> Jest to szczególny okrzyk, wydawany przez kobiety  
w dni szczęśliwe lub uroczyste.



natychmiast zostanie odepchnięta, a zamiast niej stanie przedemną z pokłonem bardzo krzepka terażniejszość.

Szazadpur, 25. Czerwca 1892.

W listach dzisiejszych była wzmianka o śpiewie A — —, wzmianka, która przepeliła me serce niewypowiedzianym smutkiem. Najmniejsza radość życia, niedoceniona przeważnie w zgiełku miasta, przemawia do serca, kiedy się jest od niej daleko. Kocham muzykę, a w Kalkucie nie brak ani głosów ani instrumentów, ale ja muszę być na nie głuchy. Lecz, mimo że czasem nie zdaję sobie z tego sprawy, skutkiem tych braków serce musi odczuwać pewien głód.

Czytając listy dzisiejsze, uczulem tak gwałtowne pragnienie posłuchania słodkiego śpiewu A — —, iż naraz zrozumiałem, że jedną z wielu zdławionych, a wołających o ukojenie tęsknot człowieka, jest tęsknota do zaniedbanych, a niemożliwych do osiągnięcia przyjemności; w pogoni za chimerycznymi urojeniami skazujemy na głód własne życie...

W życiu mem wciąż wzrasta ta pustka, pozostawiona przez niezaznane, łatwe przyjemności. I, może być, nadejdzie dzień, w którym sobie powiem, że gdyby mi przyszło żyć jeszcze raz, nie uganiałbym już za rzeczami niemożliwymi do osiągnięcia, lecz nacieszyłbym się do syta temi małymi, niewyszukanymi przyjemnościami, jakie życie co dzień nastrecza.

Szazadpur, 27. Czerwca 1892.

Wczoraj popołudniu niebo zasepiło się tak groźnie, że uczulem coś w rodzaju przestachu. Nie przypominam sobie, abym widział kiedykolwiek tak groźnie wyglądające chmury.

Obrzękle masy, koloru najgłębszego indyga, piętrzyły się jedna na drugiej tuż nad widnokrzem, podobne do nastroszonych wąsów jakiegoś rozszałego demona.

Z pod wystrzępionego dolnego brzegu chmur tryskał krwawo-czerwony żar, jak gdyby z oka potwornego, rozsadzającego sobą niebo bawołu z rozwianą grzywą i głową pochyloną do wymierzenia ziemi wściekłego ciosu.

Zboża na polach i liście na drzewach zadygotały z trwogi przed nadciągającym nieszczęściem; dreszcz po dreszczu przebiegał wody; wrony krążyły w popłochu, kracząc nieprzytomnie.

Szazadpur, 27. Czerwca 1892.

Pisałem wczoraj, że na ten wieczór umówiłem się z Kalidasą, poetą. Kiedy zapaliłem świecę, przysunąłem swój fotel do stołu i przygotowałem wszystko, wszedł do pokoju nie Kalidasa, lecz pocztmistrz. Żywy pocztmistrz ma oczywiście zawsze pierwszeństwo przed zmarłym poetą, to też nie wypadało mi powiedzieć mu, aby zrobił miejsce Kalidasie, z którym się już poprzednio umówiłem — nie zrozumiał-

by mnie! Wobec tego podsunałem mu krzesło, a starego Kalidase odprawilem.

Jest coś, co mnie z tym pocztmistrem łączy. Kiedy poczta swego czasu mieściła się w części gmachu zarządu tych dóbr, spotykałem się z nim codziennie. W tym samym pokoju, gdzie dawniej była poczta, później napisałem pewnego popołudnia nowelę p. t. „Pocztmistrz“. Po wydrukowaniu noweli w *Hitabadi*, pocztmistrz przyszedł do mnie i, poruszywszy pokornie ten temat, rozsypał przede mną całą garść uniżonych uśmiechów. Zresztą lubię tego człowieka. Posiada on wielki zasób anekdot, których z przyjemnością słucham. Ma też poczucie humoru.

Mimo, iż późno już było, kiedy mnie pocztmistrz opuścił, pochłonałem od jednego zamachu *Raghuwanse* <sup>1)</sup> i przeczytałem wszystko o *swajamuarze* <sup>2)</sup> Indumati.

Piękni, strojni w barwne suknie księżęta siedzą rzędem na tronach w sali zebrań. Nagle rozlega się muzyka konch i trąb, i Indumati w szatach ślubnych, oparta na Sunandzie, wchodzi i staje w przejściu między księżęty.

A gdy Sunanda przedstawia jej poszczególnych konkurentów, Indumati składa im niski, chłodny

---

<sup>1)</sup> Księga poezyj Kalidasy.

<sup>2)</sup> Stary zwyczaj hinduski, mocą którego księżniczka wybiera z rywalów, starających się o jej rękę, męża, przez zarzucenie mu wieńca na szyję.



ukłon i mija ich. Jakże piękna jest ta pokorna dworność. Oni są przecie wszyscy książętami. I wszyscy są starsi od niej. Albowiem ona jest tylko dziewczęciem. Gdyby nie złagodziła nieuniknionej brutalności swej odmowy wdziękiem swej pokory, scena straciłaby całe swe piękno.

Szilaida, 20. Sierpnia 1892.

Gdybym-to mógł w takim kraju mieszkać! — myśli się nieraz na widok pięknie namalowanego, czarującego krajobrazu. Pragnienie to można urzeczywistnić, o ile się potrafi wżyć w ten iskrzący świetnemi barwami obraz tak, aby się nie czuło najmniejszego ucisku rzeczywistości. Kiedy byłem dzieckiem, przedstawiające lasy i morze ilustracje z *Pawła i Wirginji* lub *Robinsona Crusoe* przenosiły mnie w zupełnie inny świat; zaś blask słońca tu przywodzi mi na myśl uczucia, jakich zwykle doznawałem na widok tych obrazków.

Nie mogę dokładnie opisać ani wytłumaczyć, co to za uczucie zbudziło się we mnie. Jest to coś w rodzaju szmeru strumienia, płynącego arterją, która mnie łączy z szerszym światem. Mam wrażenie, jak gdyby nawiedzały mnie niejasne, odległe wspomnienia z czasów, gdy jeszcze ja i reszta ziemi stanowiliśmy jedno; gdy na mnie rosła trawa zielona i opromieniał mnie blask jesieni; kiedy ze wszystkich pór mego wielkiego, miękkiego, zielonego ciała tryskał

pod dotknięciem upajających promieni słonecznych ciepły aromat młodości a napół-świadomie skrycie i cicho nowe życie, nowa słodka radość biła z bezmiaru mej istoty, wyciągniętej w niemem odurzeniu pod jasnym, błękitnym niebem wraz ze swemi rozmaitemi krajami, morzami i górami.

Czyż te moje uczucia nie są uczuciami naszej starej ziemi w codziennej ekstazie jej słońcem całowanego życia? Świadomość moja zdaje się krążyć każdym źdźbłem trawy, każdym ssącym ziemię korzonkiem, z sokami pnie się na drzewa, trylami radostnemi wybucha w rozkołysanych łańcach zbóż, wśród szemrzących liści palm.

Czuję potrzebę dania wyrazu temu swemu związkowi krwi z ziemią, mojej dla niej braterskiej miłości, obawiam się jednak, że nie zostanę zrozumiany.

Boalia, 18. Listopada 1892.

Ciekawym, gdzie teraz jest już Twój pociąg. O tym czasie słońce wschodzi zwykle nad wzgórzami i dolinami bezdrzewnej, skalistej okolicy w pobliżu stacji Nawadih. Widownię rozjaśnia z pewnością nowe, świeże światło słoneczne, przez które zaczynają się już niewyraźnie pokazywać dalekie, błękitne góry.

Rzadko widzi się pola uprawne, wyjąwszy chyba gdzie napół-dzikie plemiona zaorały trochę ziemi przy pomocy swych bawołów; po obu stronach prze-

kopu kolejowego piętrzą się czarne skały — odciśnięte w krzemieniu ślady stóp dawno wyschłych rzek — a niespokojne, czarne pliszki siedzą rzędem na drutach telegraficznych. Dzika, poszarpana i oszpecona szramami Przyroda leży tu w słońcu jakby poskromiona dotknięciem miękkiej, jasnej dłoni Cheruba.

Czy wiesz, co mi ten obraz przypomina? W *Sakuntali* Kalidasy jest scena, w której Bharat, nieletni synek króla *Duszjańty*, bawi się z lwiątkiem. Dziecię pieszczotliwie gładzi swą delikatną, różową rączką szorstką grzywę wielkiego zwierzęcia, które leży wygodnie wyciągnięte i kątem ócz spoziera od czasu do czasu miłośnie na zaprzyjaźnionego z nim małego człowieka.

A czy mam ci powiedzieć, co mi przypomniały te wyschłe, krzemieniami zasypane łożyska? W angielskiej baśni o Dzieciach w Lesie czytamy, jak mały chłopczyk, wędrując z siostrzyczką po nieznanym lesie, do którego wypędziła ich macocha, znalazł sobie drogę, rzucając za siebie kamyki. Te strumyczki są niby dzieci, zaginione w świecie, w który je na los szczęścia wyprawiono i oto dlaczego, idąc wciąż naprzód, pozostawiają za sobą kamienie, aby zaznaczyć sobie drogę i móc ją odnaleźć, gdy będą mogły powrócić. Tylko, że dla nich niema powrotu!



Natore, 2. Grudnia 1892.

Jest wielka głębia uczucia i szerokie technienie spokoju w bengalskim zachodzie słońca za drzewami, okalającymi nieskończone, ciągnące się aż ku widnokręgowi, samotne pola.

Z miłością, lecz, mimo wszystko, nie bez pewnego smętku pochyła się nasze niebo wieczorne nad ziemią i styka się z nią w dali. Rozstając się z nią, rzuca na nią żalobne światło — światło, dające nam przedsmak boskiego bólu Wiecznej Rozłąki<sup>1)</sup>; i wymowne jest milczenie, które w tej chwili pada na ziemię, niebo i wody.

Zapatrzony, w nagłym zneruchmieniu, milczę. — Gdyby się ta cisza kiedykolwiek przeppełniła, gdyby się wyłonił wyraz, którego ta godzina sobie szuka od początku świata, czy nie popłynęłaby z ziemi aż ku gwiazdom wzniośle uroczysta, porywająca muzyka.

My sami, przy odrobinie mocniejszego, skoncentrowanego wysiłku, możemy przełożyć na muzykę tę, przenikającą wszechświat wielką harmonję światła i barw. Wystarczy nam tylko zamknąć oczy i uchem duszy uchwycić wibrację tej wiecznie płynącej panoramy.

Ale jakże często mam opisywać te wschody i zachody słońca? Ja osobiście za każdym razem odczuwam nową ich świeżość; lecz czyż mogę osiągnąć ją w swoich próbach opisów?

<sup>1)</sup> Rozłąki Puruszy z Prakriti — Boga ze Stworzeniem.

Szilaida, 9. Grudnia 1892.

Czuję się słabym i wyczerpanym po swej bolesnej chorobie, a w tym stanie pomoc przyrody jest istotnie rozczulająca. Czuję, jak gdybym, narówni z resztą otoczenia, leniwie jaśniał dziękczynną radością na widok promieni słonecznych, zaś list piszę prawie bezmyślnie.

Świat jest dla mnie zawsze nowy; wzajemna nasza przyjaźń jest długa i głęboka, jak miłość przyjaciół, którzy się kochali w tem i w przeszłym życiu.

Wyobrażam sobie z łatwością, jak to kiedyś, w minionych wiekach, kiedy ziemia w blasku pierwszej młodości wynurzyła się ze swej kąpieli morskiej i powitała modlitwą słońce, ja musiałem być jednym z drzew, tryskających z jej nowo-ukształtowanej gleby i rozwijających swe listowie z całą świeżością pierwotnego popędu.

Wielkie morze, niby szalejąca z miłości matka, kołysało, huśtało i bujało swój pierworodny ląd wśród bezustannych pieszczot — gdy ja całą swą istotą chłonałem światło słoneczne, drząc pod błękitnem niebem z naiwnego zachwyty, obejmując mocno matkę ziemię i ssąc ją wszystkiemi korzeniami. W ślepej radości liście me strzelały wciąż, a kwiaty moje rozkwitły; zaś kiedy zebrały się ciemne chmury, ich luby cień rzeźwił mnie swem delikatnem dotknięciem.

A później, wiek w wiek, wciąż pod innemi postaciami rodziłem się znów na tej ziemi. Dlatego też teraz, ile razy siedzimy naprzeciw siebie twarzą w twarz, sam na sam, we dwoje tylko, stopniowo, jedno po drugim, przychodzą mi na myśl różne dawne wspomnienia.

Moja matka-ziemia siedzi dziś nad rzeką, wśród pól zbożowych, w swej szacie ze słonecznego złoto-głowiu; zaś niedaleko jej stóp, kolan, ja kręcę się i bawię. Matka mnóstwa dzieci z roztargnieniem tylko słucha ich bezustannego wołania, niezmiernie cierpliwie, ale też nie bez pewnej wyniosłości. Siedzi tak z zamysłonemi oczami, utkwionemi w skraj południowego nieba, gdy ja tymczasem szczebiocę bez końca.

Balia, *Wtorek, Luty* 1893.

Nie chcę już wałęsać się więcej. Tęsknię do zacisznego kąta, w którym mógłbym się usadowić wygodnie, zdala od tłumu.

Indje mają dwie postaci — jest to z jednej strony domator, z drugiej — wędrowny asceta. Pierwszemu na myśl nawet nie przyjdzie nos wyściubić ze swego kąta, drugi wogóle domu nie ma. Obu ich czuję w sobie. Chciałbym widzieć i włóczyć się po całym dalekim świecie, równocześnie jednak tęsknię do małego, ciepłego kącika; zupełnie, jak ptak, który za mieszkanie ma malutkie gniazdko, lecz gdy lata, olbrzymie niebo stoi mu otworem.



Wzdycham do swego kąta, ponieważ on pomógłby mi do uspokojenia się. W rzeczywistości umysł mój pragnie pracować, jednakże, próbując, tak wciąż obija się o tłum, że płoszy się do najwyższego stopnia i pogania od wewnątrz mnie, swą klatkę. A jak tylko ma wolną chwilę w samotności, może się rozejrzeć i pomyśleć do syta, w krótkim czasie wyraża swe uczucia ku własnemu zadowoleniu.

Wolność samotności — oto za czem woła dusza moja; chcę być sam na sam ze swemi urojeniami, jak Stwórca дума nad Swą własną twórczością.

Kattak, *Luty* 1893.

Ja mówię, że dopóki nie potrafimy czegoś dokonać, powinniśmy żyć „incognito“. Póki nie zasługujemy na nic więcej, jak tylko na to, aby na nas patrzono zgóry, na czemże możemy oprzeć nasze żądania, aby nas respektowano? Dopiero, zdobywszy bodaj jedną własną piędź w świecie, uzyskawszy jakiś udział w kształtowaniu jego biegu, możemy innym spojrzeć w twarz z uśmiechem. Do tego czasu jednak nie wysuwajmy się naprzód, lecz pilnujmy własnych spraw.

⌘ Rodacy moi trzymają się jednak wprost przeciwniej zasady. Nie uznają tych skromnych, wewnętrznych wymagań, które należy złożyć za kulisami — całą swą uwagę skupiają na chwilowem powodzeniu i efekcie zewnętrznym.

Zaiste, ten nasz kraj jest od Boga opuszczony. Nam istotnie z trudnością przychodzi zachować siłę woli *zrobienia* czegoś. W konkretnem znaczeniu tego słowa — znikąd nie mamy pomocy. Tu na przykład na kilka mil daleko nie znajdzie nikogo takiego, z którym rozmowa mogłaby podziałać ożywiająco. Ma się wrażenie, jak gdyby tu nikt nie myślał, nie czuł, nie pracował. Wszyscy ci ludzie jedzą, piją, załatwiają swe sprawy biurowe, palą, śpią i gawędzą o głupstwach, Kiedy się natkną na wzruszenie, stają się sentymentalni, a rozumują jak dzieci. Wzdycha się do pełnokrwistego, krzepkiego, pojętnego człowieka, bo to wszystko, to tylko cienie, fruujące w powietrzu i niedotykające nawet ziemi.

Kattak, 10. Lutego 1893.

Był to silnie rozwinięty John Bull wyzywającego typu — z nosem wielkim jak dziób, przebiegłymi oczami i podbródkiem długim na łokieć. Rząd rozpatruje właśnie sprawę pozbawienia nas sądów przysięgłych. Ten drab gwałtem naprowadził na ten temat i zawział się rozprawiać o nim z naszym gościem, biednym B— Babu. Mówił, że poziom moralny mieszkańców tego kraju jest niski; że ludzie ci nie wierzą prawdziwie w świętość życia; i że z tego powodu nie są godni do zasiadania w sądach przysięgłych.

Tę najwyższą pogardę, z jaką ci ludzie patrzą na nas, rzucono mi w moim domu w twarz, podczas

gdy ja patrzyłem, jak oni, korzystając z gościnności Bengalisa, mogą bez śladu zażenowania mówić w ten sposób, siedząc za jego stołem.

Kiedy po obiedzie usiadłem w kącie salonu, doznałem wrażenia, jak gdyby wszystko dokoła mnie było skalane. Zdawało mi się, że siedzę u głowy mej wielkiej, sponiewieranej Ojczyzny, leżącej w pyle przede mną, niepokieszonej, odartej ze swej sławy. Nie umiem wyrazić, jak głęboki smutek ogarnął moje serce.

Jakże razily tu *mem-sahib* <sup>1)</sup> w swych sukniach wieczornych, z pogwarem swych angielskich rozmów i ze swym śmiechem! Jakiż skarb prawdy mamy w swych starych Indjach; jakże tania i fałszywa jest pusta wytworność proszonego obiadu angielskiego!

Kattak, *Marzec* 1893.

Jeśli zaczniemy zbyt wielką wagę przywiązywać do poklasku Anglików, będziemy się musieli wyzbyć niejednego, co w nas jest dobre, a przyjąć od nich wiele rzeczy złych.

Będziemy się musieli wstydzic chodzić bez obuwia, a za to będziemy musieli ukryć wstyd na widok strojów balowych ich kobiet. Będziemy musieli bez żalu wyzbyć się starodawnej naszej grzeczności i bez skrupułów emulować z nimi w ich braku uprzejmości. Musimy zaprzestać noszenia naszych *ach-*

---

<sup>1)</sup> Kobiety europejskie.



ganów, choć one mogą być ulepszone, ale bez protestu skłonić głowę przed ich kapeluszami, mimo że nie może być brzydszego od nich ubrania głowy.

Krótko, świadomie czy nieświadomie, mamy się zarzynać stosownie do tego, czy oni klasną w dłonie, czy nie.

Dlatego ja zwracam się do siebie i mówię:

— O, Garnku Gliniany! Dla sprawy dobra trzymaj się zdala od Garnka Metalowego! Czy on przyjdzie do ciebie w gniewie, czy tylko po to, aby cię protekcyjnie poklepać po ramieniu, koniec z tobą, pęknieš w jednym i drugim wypadku. Dlatego, błagam cię, pamiętaj o dobrej radzie starego Ezopa i — trzymaj się zdala!

Niech sobie metalowe naczynie zdobi domy bogatych; ty masz robotę w domach ludzi ubogich. Jeśli dasz się stłuc, nie znajdziesz miejsca ani tu, ani tam, ale poprostu obrócisz się w proch; albo też, co najwyżej, zdobędziesz kącik w gabinecie starożytności — jako osobliwość, a w porównaniu z tem znacznie zaszczytniejszą rzeczą jest być używanym do noszenia wody przez najprostszą babę wiejską.

Szilaida, 8. Maja 1893.

Poezja, to bardzo stara moja miłość — zaręczyłem się z nią chyba, kiedy byłem w latach Rathi'ego.<sup>1)</sup> Dawno już przedtem stworzyły we mnie

<sup>1)</sup> Rathi, syn poety, miał 1893 r. pięć lat.

cały świat baśni zakątki pod starem drzewem bananowem nad sadzawką, wewnętrzne ogrody, nieznanne rejony w parterze naszego domu, cały świat zewnętrzny, piosenki nianiek i powiastki opowiadane przez służące. Trudno dać jasne wyobrażenie o wszystkich dziwnych i tajemniczych wypadkach tego okresu, to jedno tylko jest zupełnie pewne, że moja wymiana wieńców <sup>1)</sup> z Wyobraźnią Poetycką dawno się już w należyty sposób odbyła.

Muszę jednak stwierdzić, że oblubienica ma nie należy do tych dziewic, które przynoszą szczęście. Nie mogę powiedzieć, aby nie dała mi ani chwili szczęśliwości, ale o spokoju w pożyciu z nią ani mowy. Kochanek, którego obdarza względami, otrzyma swą pełnię błogości, za co jednak w jej nieustającym uścisku musi dać krew z pod swego serca. Nieszczęsny jej wybraniec nigdy nie będzie statecznym, rozważnym obywatelem, usadowionym wygodnie na społecznem podłożu.

Świadomie czy nieświadomie mogłem popełnić niejedno, co nie odpowiadało prawdzie, nigdy jednak nie dopuściłem się najmniejszego fałszu w swej poezji — ona jest sanktuarjum, w którym znajdują schronienie najgłębsze prawdy mego życia.

---

<sup>1)</sup> Ceremonja zaręczyn.

Szilaida, 10. Maja 1893.

Oto nadciągają czarne, wzdęte masy chmur; wyciągają z rozpościerającego się przede mną krajobrazu światło słoneczne, jak wielkie bloki bibuły. Deszcz musi być gdzieś w pobliżu, bo wiatr jest wilgotny i brzemienny łzami.

Tam w górach, wśród niebotycznych szczytów Simli, ludzie z trudnością mogą sobie zdać sprawę z tego, jak doniosłym wypadkiem jest pojawienie się chmur tutaj i ilu ludzi trwożnie spogląda w niebo, czekając ich pojawienia się.

Uczucie ogromnej tkliwości ogarnia mnie na myśl o naszych wieśniakach — naszych oraczach — wielkich, bezradnych, naiwnych dzieciach Opatrzności, którym musi się żywność podsunąć pod same usta, inaczej zginą. Gdy pierś Matki Ziemi wyschnie, nie wiedzą, co począć i potrafią tylko płakać. Ale gdy tylko głód ich zostanie zaspokojony, zapominają o wszystkich swych minionych cierpieniach.

Nie wiem, czy socjalistyczny ideał równiejszego podziału dóbr jest do osiągnięcia, jeśli jednak nie, to postanowienia Opatrzności są istotnie okrutne, zaś człowiek jest naprawdę nieszczęśliwym stworzeniem. Bo jeśli już na tym świecie nędza istnieć musi, niechaj będzie; lecz niechby pozostała jakaś, bodaj mała furtka, jakiś cień możliwości, pozwalający na zachęcanie szlachetniejszej części ludzkości do nadziei i nieustającej walki o ulżenie nędzy.



Okrutnie mówią ci, którzy zapewniają, że podział produkcji świata, zapewniający wszystkim łyżkę stawy i łach na grzbiecie, jest utopijnem marzeniem. Doprawdy, jak przykre są te wszystkie zagadnienia społeczne! Los użyczył ludzkości tak żałośnie krótkiej kołderki, że jeśli się nią jedną część świata przykryje, druga musi pozostać odkryta. Wspomagając biedę, tracimy nasze bogactwo, a jakież świat wdzięku, piękna i potęgi przepada nam wraz z niem!

Ale słońce świeci znowu, mimo że chmury wciąż jeszcze zalegają Zachód.

Szilaida, 11. Maja 1893.

Mam tu jeszcze jedną przyjemność. Oto czasami przychodzi do mnie w odwiedziny któryś z naszych prostodusznych, oddanych, starych wieśniaków — a ich pełen czci hołdowniczy pokłon jest tak naturalny! O ileż więksi ode mnie są w pięknej prostocie i szczerości swego pokłonu! Mniejsza z tem, czy jestem godny ich czci, czy nie — ich uczucia nie tracą nic ze swej wartości.

Patrzę na te wielkie dzieci z tą samą tkliwością, jaką mam dla małych — ale tu zachodzi też pewna różnica. Przecie oni są jeszcze bardziej dziecinni. Małe dzieci kiedyś dorosną, — te nigdy.

Przez ich znoszone, pomarszczone, stare ciała prześwieca dusza łagodna i promieniście prosta. Ma-

łe dzieci są tylko proste, nie mają tego nie pytającego o nic, niewzruszonego oddania się tych ludzi. Jeśli istotnie jest jakiś prąd podziemny, zapomocą którego ludzie się z sobą wzajemnie komunikują, me szczere błogosławieństwo z pewnością do nich dotrze i posłuży im.

Szilaida, 16. Maja 1893.

Około godziny przechadzam się po brzegu rzeki, czysty i odświeżony po kąpieli. Następnie siadam do nowej łodzi żaglowej, zarzucam kotwicę na środku rzeki, wyciągam się na posłaniu, rozestlanem na wybitym deskami tyle łodzi i leżę tak w milczeniu nawznak w ciemnościach nocnych. Mały S. siedzi koło mnie i papie, zaś niebo coraz gęściej i gęściej pokrywa się gwiazdami.

Codzień odzywa się we mnie pytanie: Czy też urodzę się jeszcze raz pod tem gwiazdzistym niebem? Czy będę mógł znowu w błogim spokoju zachwycać się takimi precudnymi wieczorami nad tą cichą rzeką bengalską w dalekim zakątku świata?

Może nie. Może zmieni się scena; może też ja urodzę się z innymi zamiarami. I być może, że przyjdzie dużo takich wieczorów, tylko że one nie będą już chciały przypaść do mej piersi z taką ufnością, miłością, z tak zupełnem oddaniem się.

Ciekawe! Czego się najwięcej boję, to, żebym się nie urodził w Europie! Bo tam nie można wy-



legiwać się tak, jak tu, całą duszę otworzywszy nie-  
skończonym niebiosom — obawiam się, że tam wo-  
góle bez zapłacenia odpowiednio wysokiego podatku  
wogóle położyć się nie można. Tam prawdopodobnie  
musiałbym skrzętnie uwijać się w jakiejś fabryce,  
w banku czy w parlamencie. Naksztalt dróg tam-  
tejszych musi się tam mieć duszę z żelazo-betonu,  
mogącą wytrzymać ciężką komunikację — nakre-  
śloną geometrycznie, uregulowaną i czysto utrzy-  
maną.

Wiem dobrze, iż nie potrafiłbym powiedzieć,  
dlaczego bardziej pożądanym wydaje mi się ten  
leniwy, senny, sobą zajęty a niebem przepelniony  
stan umysłu. Wylegując się na swej żaglowej łodzi  
nie czuję się ani odrobinę gorszy od najczyn-  
niejszych ludzi na świecie. Raczej przeciwnie, gdy-  
bym się był rzucił w wir działalności, musiałbym się  
zawsze czuć słabym w porównaniu z temi dylami  
ze starych pni dębowych.

Szilaida, 3. Lipca 1893.

Przez całą noc wicher wył jak zbłąkany pies,  
a deszcz wciąż jeszcze leje bez przerwy. Woda ścieka  
z pól ku rzece niezliczonemi, szumiącemi strumie-  
niami. Ociekający wodą chłopci przeprawiają się  
promem na drugi brzeg, jedni *w tokach* <sup>1)</sup>, inni trzy-  
mając nad głowami liście *jam*. Wielkie łodzie to-

---

<sup>1)</sup> Stożkowate kapelusze z trzciny bambusowej.



warowe suną wzdłuż brzegów, kierowane przez siedzących u steru przemoczonych sterników, podczas gdy załoga ciągnie w deszczu liny holownicze. Ptaki smutno siedzą w swych gniazdach, ale głosy ludzkie nie cichną, albowiem mimo niepogody świat musi dalej pracować!

Pastuchy pasą bydło tuż naprzeciw mej łodzi. Krowy jedzą z wielkim apetytem, zanurzwszy nozdrza w świeżej, bujnej trawie i bezustannie oganiają się ogonami od much. Krople deszczu i razy pastuchów lecą na ich zady z tą samą bezrozumną stałością, zaś krowy znoszą to z równie bezkrytyczną rezygnacją, wciąż jedząc, jedząc i jedząc. Mają łagodne, dobre, rzewne oczy; nie rozumiem, dlaczego Opatrzność uznała za stosowne całe brzemię pracy człowieka włożyć na pokorne grzbiety tych wielkich, poczciwych bydląt?

Woda w rzece z każdym dniem przybiera. Co wczoraj mogłem widzieć tylko z górnego pokładu, to dziś widzę już z okien mej kajuty. Co rano, wstając, stwierdzam, iż moje pole widzenia rozszerzyło się. Niedawno jeszcze widać było, niby ciemnozielone obłoki, zaledwie szczyty drzew w pobliżu dalekich wiosek. Dziś widać całe drzewa.

Łąd i woda zbliżają się stopniowo do siebie, niby dwoje wstydliwych kochanków. Granica ich wstydlivosti została już prawie osiągnięta — ramiona ich wkrótce oplotą szyję. Użyję sobie pod-

czas tej wycieczki po przepelnionej rzece w samym środku pory deszczowej. Korci mnie, aby już dać rozkaz podniesienia kotwicy.

Szilaida, 4. Lipca 1893.

Dziś rano pokazało się trochę słońca. Wczoraj deszcz przestał padać, ale na krańcu horyzontu wiszą tak ciężkie chmury, że niema nadziei, aby ta przerwa trwała długo. Wygląda to tak, jak gdyby ciężki kobierzec chmur został z jednej strony zwiniony, ale lada chwila może nadlecieć jakiś niespokojny podmuch i rozwinąć go znowu, zasłaniając doszczętnie błękitne niebo i złoty blask słoneczny.

Jakże olbrzymim zasobem wody musi być niebo tego roku obładowane! Poziom rzeki podniósł się już ponad niskie nanosy<sup>1)</sup>, grożąc zalaniem niezbranych pól. Nieszczęśni chłopci, zrozpaczeni, znają i wywożą na czółnach snopy napół dojrzałego ryżu. Kiedy mijają mą łódź, słyszę, jak oplakują swój los. Łatwo zrozumieć, co to za cios dla rolnika żąć ryż w przeddzień jego dojrzałości, z jedyną nadzieją, iż niektóre kłosy mają może już nieco ziarna.

W rządzeniach Opatrzności musi być przecie jakiś element litości, inaczej skądżebyśmy ją wzięli? Ale tak trudno dojrzeć, w czym ona się przejawia! Nie zdaje się, że skargi tych setek tysięcy nie-

---

<sup>1)</sup> W orginalie „*chur-lands*“, dawne ławice piaskowe, umocnione pokładem urodzajnej gleby.

winnych istot do kogoś trafiały! Skargi skargami deszcz pada, rzeka wzbiera wciąż i jakoś żadne błagania nie są w stanie uprosić gdziekolwiek miłosierdzia. Pociechy trzeba szukać w myśli, iż wszystko to jest poza ludzką możliwością zrozumienia. A przecie tak niesłychanie żywotną potrzebą człowieka byłaby świadomość, iż na świecie istnieją takie rzeczy, jak litość i sprawiedliwość.

Jest to jednak tylko zrzęczenie. Rozum mówi nam, iż twór żaden nigdy nie może być zupełnie szczęśliwy. Jak długo nie jest skończony, musi się pogodzić z niedoskonałością i nędzą. Doskonałym może być tylko, kiedy przestanie być tworem, a stanie się Bogiem. Czy modlitwy nasze mają sięgać tak daleko? Im dłużej o tem myślimy, tem częściej wracamy do punktu wyjścia. — Poco wogóle cały ten świat? Jeśli nie możemy pojąć tego, daremnie skarżyć się na jego towarzyszkę — cierpienie.

Szazadpur, 7. Lipca 1893.

Bieg życia wiejskiego nie jest ani zbyt bystry ani zbyt leniwy. Praca i odpoczynek kroczą razem, ręka w rękę. Prom przepływa na drugą stronę i wraca, przechodnie z parasolami nad głową chodzą nadrzecznymi ścieżkami holowników, kobiety przepłukują ryż w bambusowych sitach, które zanurzają w wodzie, chłopcy przychodzą na jarmark z wiązkami drutu na głowach. Dwu ludzi rozrąbuje pień



drzewa równemi, dźwięcznemi cięciami. Cieśla wiejski naprawia obrócone dnem do góry czołno pod wielkiem drzewem *aswatha*. Kundys jakiś wałęsa się bez celu nad brzegiem kanału. Kilka krów, po ogromnej uczcie z bujnej trawy, leży, przeżuując pokarm, leniwie ruszając uszami to naprzód, to wtył, opędzając się ogonami od much i od czasu do czasu potrząsając niecierpliwie głowami, kiedy wrony, siedzące na ich grzbietach, zaczynają sobie zbyt wiele pozwalać.

Monotonne odgłosy siekier drwalów lub młotka cieśli, plusk wiosel, wesołe głosy małych, bawiących się golasów, tęskna melodia pieśni oracza, głośniejszy zgrzyt młynka, wyciskającego olej, wszystkie te odgłosy pracy harmonizują do pewnego stopnia ze szmerem liści i śpiewem ptaków, a wszystko razem zlewa się i brzmi niby płynne kaordy jakiejś wielkiej, wysnionej orkiestry, wykonywającej utwór o niesłychanym, choć tłumionym w sobie patosie.

Szazadpur, 10. Lipca 1893.

Wszystko, co mogę powiedzieć o dyskusji toczącej się w sprawie „poetów milczących“ jest to, że choć u tych, którzy milczą, siła uczucia może być taka sama jak u tych, którzy mówią, z poezją nie ma to nic wspólnego. Poezja nie jest kwestją uczucia, lecz polega na tworzeniu form.

W tajemniczy, przedziwny sposób idee same kształtują się w poecie. Ta siła twórcza jest źródłem poezji. Obserwacja, uczucia i język to tylko surowy materiał. Ten może być obdarzony żywością uczuć, drugi językiem, trzeci jednym i drugim; poetą jednak będzie tylko ten, który równocześnie posiada też genjusz twórczy.

Patisar, 13. Sierpnia 1893.

Kiedy jechałem przez te *beelee* <sup>1)</sup> do Kaligramu, przyszła mi pewna myśl do głowy — nie nowa wprawdzie, czasem jednak stare myśli uderzają z nową siłą.

Woda traci swe piękno, gdy brzegi przestają ją ograniczać, zaś ona sama rozlewa się w jakiś monotony, nieokreślony bezmiar. Tak samo rzecz ma się z językiem, któremu miara służy za brzegi i nadaje

---

<sup>1)</sup> Czasami rzeka, przepływająca płaskie okolice Bengalu napotyka po drodze szmaty nisko położonej ziemi i rozlewa się na nich w przestrzenie wodne, zwane *beel*, nieokreślonych rozmiarów, poczynając od szerokiego stawu w suchej porze roku, a kończąc na bezbrzeżnych jeziorach w porze deszczowej.

Wsie, składające się z garści chałup, zbudowanych na wałach, sterczą tu i owdzie jak wyspy, a łodzie lub okrągłe, gliniane kadzie są jedynymi środkami komunikacyjnymi między poszczególnymi wsiami.

Gdzie woda porywa przestrzenie uprawne, ryż rośnie w niej i wydostaje się ponad jej powierzchnię, nieraz ze znacznej nawet głębokości, zaś woda jest tak czysta, że łodzie wyglądają, jak gdyby płynęły przez uprawne pole. Poza tem te *beelee* mają odrębną florę i faunę, składającą się z lilij wodnych, irysów i różnych rodzajów ptactwa wodnego. Nie są one ani moczarami ani jeziorami, ale mają swój własny, odrębny charakter.



mu kształt, piękno i charakter. Jak brzegi użyczają każdej rzece odrębnej osobowości, tak rytm sprawia, iż każdy poemat staje się indywidualną kreacją; zaś proza jest jak ów pozbawiony wszelkich rysów, nieosobowy *beel*. Prócz tego, wody rzeki posiadają pewien ruch i pęd naprzód; wody *beelu* pochłaniają przestrzeń tylko dzięki swej ekspansji. To też dla nadania językowi siły, niezbędną staje się ciasna granica miary; inaczej język rozpościera się, ale nie może posunąć się naprzód.

Krajowcy nazywają te *beele* „niememi wodami“ — ponieważ one nie mają swej własnej mowy, swego własnego wyrazu. Rzeka szemrze bez przerwy; niemniej słowa poematu śpiewają, nie są „niememi słowami“. Tu ujęcie w pewne granice stwarza piękno formy, ruch i muzykę; normy mają na celu nietylko piękno, lecz także moc.

Poezja sama poddaje się pod kontrolę miary, nie wskutek ślepego przyzwyczajenia, lecz ponieważ znajduje w tem radość ruchu. Głuptaski tylko myślą, że miara jest czemś w rodzaju gimnastyki słownej lub sztuki, mającej na celu pozyskanie podziwu tłumu. Tak nie jest. Miara urodziła się tak jak urodziło się każde piękno w wszechświecie. Strumień płynący wśród dobrze zarysowanych brzegów użycza mierze wiersza siły wzruszania umysłów ludzkich tak, jak tego nie potrafi zrobić rozlewna i nieokreślona proza.



Ta myśl stała mi się jasną, kiedy żeglowałem od rzeki do *beelu* i od *beelu* do rzeki.

Patisar, 26. (*Straven*) Sierpnia 1893.

Od dłuższego już czasu myślę o tem, że przecie męczyzna jest od siekiery, zaś kobieta jest wyrobem wykończonym.

W zwyczajach i obyczajach kobiety, w jej mowie i stroju panuje nieprzerwana ciągłość. Przyczyną tego jest, iż Przyroda przed wiekami już wyznaczyła jej tę samą określoną rolę i dostosowała ją do niej. Żaden kataklizm, żadna rewolucja polityczna, żadna zmiana ideału społecznego nie odsunęła kobiety od właściwych jej funkcyj i nie zburzyła jej stosunków wewnętrznych. Kochała, piastowała i pieściła i nie robiła nic innego, a nadzwyczajna wprawa i zręczność, jakiej w tem nabyła, cechuje cały jej sposób bycia i postępowania. Jej pragnienia zrosły się nierozłącznie z jej czynem nakształt kwiatka i woni. Z tego powodu kobieta nie zna ani wątpliwości ani wahań.

Zato charakter męczyzny ma jeszcze luki i chropowatości; każda z najrozmaitszych okoliczności i sił, jakie składały się na jego utworzenie, wycisnęła na nim swe piętno. Oto dlaczego jedna twarz odznacza się nieokreślonym zarysem czoła, druga niewytłumaczoną wypukłością nosa, trzecia dziwną brutalnością około szczęk. Gdyby męczyzna po-

siadał dobrodziejstwo ciągłości i jedności swego przeznaczenia, Przyrodzie z pewnością udałoby się wytworzyć dla niego ostateczną formę, która pozwoliłaby mu funkcjonować poprostu i naturalnie, bez takiego nadzwyczajnego wysiłku. Nie ułożyłby sobie tak skomplikowanego kodeksu zachowania się i nie byłby tak skłonny do odchyień od normy pod działaniem wpływów zewnętrznych.

Kobieta została odlana w formie matki. Mężczyzna nie miał tak ściśle określonego przeznaczenia i oto dlaczego nie może osiągnąć równie doskonałego piękna.

Patisar, 19. Lutego 1894.

Mamy tu dwa słonie, które przychodzą paść się na ten brzeg rzeki. Ogromnie mnie zajmują. Dają ziemi parę kopniaków jedną nogą a następnie, zagarnawszy jak najwięcej trawy trąbą, wrywają olbrzymią bryłę murawy, korzeni i ziemi. Tem wszystkim potrzęsają tak długo, aż ziemia od korzeni odleci; dopiero wówczas pakują wszystko w paszczę i jedzą. Czasami strzela im do głowy wciągać w trąbę kurz, którym następnie z parsaniem obsypują całe swe ciała; jest to taka słoniowa toaleta.

Lubię się przyglądać tym wybujałym zwierzętom, z ich ogromnemi ciałami, niezmierną siłą, potwornemi proporcjami i uległą łagodnością. Już same ich rozmiary i ich niezdarność budzi we mnie dla nich coś w rodzaju tkliwości — ta ich niezgrabna

ociężałość ma w sobie coś dziecinnego. Procz tego — one mają wielkie serca. Kiedy wpadają w gniew, stają się wściekłe, ale gdy się opamiętają, są wcieleniem spokoju.

Połączona z wielkością dziwaczność nie odtrąca, lecz raczej przyciąga.

Patisar, 27. Lutego 1894.

Niebo co chwila zaciąga się chmurami i znów wyjaśnia. Od nagłych, krótkich uderzeń wiatru łódź trzeszczy leniwie i zdaje się jak gdyby jęczała. Tak ciągnie się dzień.

Jest już po pierwszej. Człowiekowi zanurzonemu w tem południu wiejskiem, z jego rozmaitemi dźwiękami — kwakanie kaczek, szelest przepływających łodzi, plusk, dolatujący z miejsc, gdzie kąpiący się płóczę swe ubrania, dalekie okrzyki poganiaczy pędzących bydło wbród przez strumień — otóż takiemu człowiekowi trudno nawet wyobrazić sobie monotonne, okropne, szablonowe, do stołu i stołka przykute życie kalkuckie.

Kalkutta jest tak poważnie sztywna, jak biuro rządowe. Każdy jej dzień jest niby moneta świeżo wybita w mennicy, wyraźnie wykrojony i błyszczący. Ach, te okropne, martwe dni, tak dokładnie odmierzone, tak czcigodnie szanowne!

Tu wolny jestem od wszelkich wymagań mej sfery i nie mam uczucia, że jestem nakreconą maszyną.



Każdy dzień należy do mnie. Bezczyinnie i własnymi tylko myślami zajęty, chodzę po polach, nieskrępowany ani przestrzenią ani czasem. A kiedy tak wałęsam się z pochyloną głową, wieczór stopniowo gęstnieje nad ziemią, niebem i wodą.

Patisar, 22. Marca 1894.

Siedząc w łodzi przy oknie i przyglądając się rzece, ujrzałem naraz dziwacznie wyglądającego ptaka, kierującego się wodą ku przeciwległemu brzegowi i uciekającego przed pogonią. Pokazało się, że to była kaczka, która, chcąc uniknąć zagrażającego jej w kuchni okrętowej losu, skoczyła w wodę i właśnie wszelkimi siłami starała się zemknąć. Już była przy brzegu, gdy szpony nieubłaganych przeciwników pochwytyły ją i kaczka z ukreconą głową została w triumfie odniesiona na statek. Zapowiedziałem kucharzowi, że nie chcę mieć żadnego mięsa na obiad.

Faktycznie muszę przestać jadać mięso. Pochłaniamy mięso tylko dlatego, że nie myślimy o tem, jak okrutną i grzeszną rzecz popełniamy. Jest wiele zbrodni, które stworzył sam człowiek, a które tłumaczy się różnicami, zachodzącymi w zwyczajach, obyczajach i tradycji. Do nich jednak okrucieństwo nie należy. Jest to grzech zasadniczy, nie podlegający żadnej dyspucie i nie strojący się w żadne upiększenia. O ile tylko do serca swego nie dopu-

szczamy zatwardziałości, jego protest przeciw okrucieństwu zawsze wyraźnie słyszymy; a mimo to łatwo i z lekkim sercem popełniamy się okrucieństwa wszyscy — faktycznie, kto w nich udziału brać nie chce, przezywany bywa mazgajem.

Jakie sztuczne jest nasze pojmowanie grzechu! Ja czuję, że nakaz najwyższy jest nakazem współczucia ze wszystkimi żyjącymi stworzeniami. Fundament całej religji stanowi miłość. Kiedyś tu czytałem w jakimś piśmie angielskiem, że do któregoś z garnizonów w Afryce posłano 50 000 funtów ubitego bydła, ponieważ jednak po przybyciu na miejsce pokazało się, iż mięso zaczyna się psuć, zwrócono je i prawdopodobnie sprzedano w Portsmouth na licytacji za parę funtów. Co za okropne pustoszenie życia! A ileż żywych stworzeń poświęca się tylko po to, aby upiększyć dania proszonego obiadu, dania, których większość zejdzie ze stołu nietknięta.

Jak długo nie zdajemy sobie sprawy ze swego okrucieństwa, nie zasługujemy na naganę. Ale jeśli kiedy już litość się w nas budzi, mimo wszystko w dalszym ciągu depcemy własne uczucia, poprostu dlatego, aby połączyć się wraz z innymi w ich łupieniu życia, znieważamy wszystko, co w nas jest dobrego.

Patisar, 28. Marca 1894.

Zaczyna się tu robić trochę ciepło, ale ja z upałów niewiele sobie robię. Rozgrzany wiatr gwiżdże,

lecąc, czasem, zawirowawszy, przystaje, a potem w płasach leci dalej, powiewając swą szatą z kurzu, piasku, uschłych liści i gałązek.

Ale mimo to dziś rano było zupełnie zimno — kompletnie poranek chłodnej pory roku; doprawdy, nie mogę powiedzieć, żebym się był entuzjastycznie cieszył z kąpeli. Tak trudno odgadnąć, co właściwie dzieje się w tym kolosie, zwanym Przyrodą! Jakieś nikomu niewiadome przyczyny pojawiają się w nieznanym zakątku i nagle wszystko wygląda inaczej.

Umysł ludzki pracuje w tak samo tajemniczy sposób jak Przyroda zewnętrzna — to mnie wczoraj uderzyło. Przedziwna alchemja dokonywa się w arterjach, żyłach, nerwach, w mózgu i rdzeniu pacierzowym. Strumienie krwi krążą, nerwy wibrują, mięsień sercowy podnosi się i opada, a sezony w ciele człowieka kolejno się zmieniają. Ale skąd wiatr w najbliższym czasie powieje, kiedy i z której strony — tego nie wiemy.

Jednego dnia jestem pewny, że wszystko pójdzie jak najlepiej; czuję się dość silnym, aby pokonać wszelkie przeszkody i troski, wyjść zwycięsko ze wszystkich prób tego świata; i, jak gdybym miał w kieszeni drukowany program na resztę swego życia, jestem zupełnie pewny siebie. Na drugi dzień dmucha wilgotny wiatr, poczęty z jakiegoś nieznanego *inferno*, widok nieba staje się groźny i ja za-



czynam powątpiewać, czy przetrzymam burzę. Po prostu dlatego, że coś zepsuło się w jakimś naczynku krwi czy w fibrze nerwowym, mam wrażenie, jak gdyby opuszczała mnie cała siła i inteligencja.

Ta wewnętrzna tajemnica napawa mnie lękiem. Budzi we mnie niedowierzenie, gdy mówię, co zrobię, a czego nie zrobię. Dlaczego przypięto do mnie tę niezmierną tajemnicę, której nie mogę ani zrozumieć ani opanować? Nie wiem, dokąd ona może mnie doprowadzić, lub czy ja ją prowadzę. Nie wiem, co się dzieje, nie mam głosu co do tego, co się ma stać a mimo wszystko ma to wyglądać, jak gdybym ja rzucił i rościł sobie pretensję do tego, jakoby był wszystkiego sprawcą.

Zdaje mi się czasem, że jestem czemś w rodzaju żywego fortepianu z ogromną, skomplikowaną maszyną i drutami w sobie, lecz pozbawiony wszelkiej możliwości powiedzenia, kto na mnie gra i domyślając się tylko niejasno, dlaczego wogóle gra. Mogę wiedzieć, co się gra, czy tonacja jest smutna czy wesoła, czy klawisze są białe czy czarne, czy melodia jest w takcie czy nie, czy klucz jest wiolinowy czy basowy. Ale czy naprawdę choćby tylko to?

Patisar, 30. Marca 1894.

Czasami, kiedy sobie zdaję sprawę, że ścieżka życia jest długa i że cierpienia, jakie mnie czekają, są liczne i nieuniknione, muszę zebrać wszystkie siły,

aby nie stracić odwagi. Nieraz wieczorem, wpatrzony w płomień lampy na stole, ślubuję sobie, że będę żył, jak powinien żyć dzielny człowiek — niewzruszenie, w milczeniu, bez skargi. Postanowienie to dodaje mi sił i przez chwilę uważam się mylnie za bardzo, ale to bardzo dzielnego człowieka. Ale jak tylko ciernie przydrożne pokłują mi stopy, zaczynam się kręcić niespokojnie i coraz bardziej lękam się przyszłości. Ścieżka żywota znowu zdaje się być długa, a me siły niewystarczające.

Ale ten ostatni wniosek nie może być prawdziwy, bo w rzeczywistości najtrudniej znosi się te ukłucia małych cierni. Dusza gospodaruje bardzo oszczędnie i nigdy nie wydaje więcej niż trzeba. Nie wyrzuca się tu nic na głupstwa, a całe bogactwo sił przechowuje się ze sknerczą oszczędnością na wypadek prawdziwych, wielkich klęsk. Stąd też płacz i narzekanie z powodu mniejszych niepowodzeń nie budzi współczucia. Ale kiedy cierpienie jest najgłębsze, wysiłek nie ma kresu. Wtedy zewnętrzna skorupa pęka, tryska z pod niej pociecha, a wszystkie siły cierpliwości i odwagi łączą się, aby spełnić swój obowiązek. Tak to wielkie cierpienie daje równocześnie moc wielkiej wytrzymałości.

Jedna strona natury ludzkiej domaga się użycia, — druga dąży do samozaparcia się, do poświęcenia. Gdy pierwszą spotka niepowodzenie, druga zyskuje na siłach, a widząc ją w ten sposób pełniejszą woli,



dusza wpada w wielki entuzjazm. Tchórzymy przed małemi zmartwieniami, lecz wielkie cierpienia, pobudzając prawdziwą naszą męskość, czynią nas dzielnymi. Zaś w tem jest radość.

Nie będzie pustym paradoksem, gdy powiem, że w bólu jest radość tak samo, jak z drugiej strony prawdą też będzie, że w użyciu jest niedosyt. I nie trudno zrozumieć, dlaczego tak być musi.

Szilaida, 24. Czerwca 1894.

Byłem tu ogółem tylko cztery dni, ponieważ jednak zupełnie straciłem rachubę czasu, wydaje mi się, że to już tak długo, że gdybym wrócił dziś do Kalkuty, zastałbym tam z pewnością mnóstwo zmian — jak gdybym ja sam stał poza czasem, nieświadomy zmieniającej się stopniowo pozycji reszty świata.

Faktem jest, że tu, zdala od Kalkuty, żyję w swym własnym świecie wewnętrznym, gdzie zegary nie chodzą tak, jak gdzieindziej; gdzie miarą trwania jest tylko natężenie uczuć; gdzie dzięki temu, iż świat zewnętrzny minut nie liczy, chwile zmieniają się w godziny, zaś godziny w chwile. Stąd też mam wrażenie, że podział czasu i przestrzeni to tylko złudzenia umysłu. Każdy atom jest niezmierny i każda chwila nieskończona.

Jest pewna powiastka perska, która mnie nadzwyczaj uderzyła jeszcze kiedy ją jako chłopiec czy-



tałem — i zdaje mi się, że choć wówczas byłem tylko dzieckiem, coś niecoś z zasadniczej idei zrozumiałem. Pewien *faqir*, chcąc wykazać urojony charakter czasu, wlał do wanny z wodą trochę wody zaczarowanej i kazał Królowi zanurzyć się w niej. Jak tylko Król zanurzył głowę w wodzie, ujrzał się w dziwnym jakimś kraju nadmorskim, gdzie spędził dłuższy czas, doświadczając wszelakich przygód i dokonywając różnych czynów. Ożenił się, miał dzieci, jego żona i dzieci pomarły, on stracił cały swój majątek, a kiedy wreszcie upadał już pod swemi cierpieniami, znalazł się naraz w swej komnacie, otoczony dworzanami. Ci, chcąc *faqira* za niepowodzenia króla poniżyć, mówili: — Ależ, Najjaśniejszy Panie, wszakże ledwo zanurzyliście się w wodzie i wyszliście z niej!“

Całe nasze życie z wszystkimi jego rozkoszami i cierpieniami tak samo zawiera się w jednej tylko chwili. I jak długo i intensywnie moglibyśmy odczuwać je, póki ono trwa, w momencie, gdy nasza kąpiel w wannie świata jest skończona, widzimy, że wszystko, co było, nie trwało dłużej niż lekki, chwilowy sen...

Szilaida, 9. Sierpnia 1894.

Widziałem dziś niesionego prądem w dół rzeki martwego ptaka. Łatwo historję jego śmierci odgadnąć. Miał on swe gniazdo na jakimś drzewie mangowem na skraju wsi. Wieczorem powrócił, jak zwykle, do gniazda, umieścił się tam wśród swych

miękkim puchem okrytych towarzyszków i usnął, dając odpoczynek swemu utrudzonemu, małemu ciału. Nagle w nocy potężna Padma obróciła się z lekka w swem łożu i ziemia z korzeniami drzewa mangurowego została zmyta. Mała istotka, wyrzucona ze swego gniazda, obudziła się na krótką chwilkę i natychmiast zasnęła, już na zawsze.

Kiedy staje wobec strasznej tajemnicy wszystko niszczącej natury, różnica między mną a innymi istotami żywymi wydaje mi się małoważną. W mieście społeczność ludzka znajduje się na pierwszym planie i nosi się pysznie; w stosunku do szczęścia i niedoli innych stworzeń jest okrutnie bezwzględna.

W Europie człowiek jest również tak złożony i tak wyniosły, że zwierzę jest dla niego aż zanadto tylko zwierzęciem. Hindusom myśl wędrówki duszy ze zwierzęcia do człowieka i z człowieka do zwierzęcia nie wydaje się dziwną, dlatego też z naszych ksiąg współczucie dla wszelkiego stworzenia żywego nie zostało wygnane jako sentymentalna przesada.

Kiedy na wsi żyję w ścisłym kontakcie z Przyrodą, budzi się we mnie Hindus i nie mogę pozostać chłodnym i obojętnym wobec bujnej radości życia, tętniącego w okrytej miękkim puchem piersi pierwszego lepszego małego ptaszka.

Szilaida, 10. Sierpnia 1894.

W nocy obudził mnie jakiś dziwny szmer wody — nagle burzliwe zamieszanie w prądzie rzeki — prawdopodobnie zderzenie się prądów, rzecz częsta o tej porze roku. Stopy przez deski łodzi wyczuwają różliczność pracujących pod niemi sił. Lekkie drżenie, kołysanie się, powolne wzdymanie się, nagle uderzenia, wszystko pozwalało mi wyczuwać puls płynącej rzeki.

Musiało w nocy zajść coś, co tak żywo pchnęło prąd rzeki naprzód. Wstałem i usiadłem przy oknie. Coś niby mgliste światło nadawało niespokojnej rzece wygląd bardziej opętańczy niż kiedykolwiek. Niebo było upstrzone chmurami. Odbicie wielkiej, jasnej gwiazdy drgało na wodzie długą smugą, niby paląca pręga bólu. Oba brzegi zamazane i pogrążone w ciemnościach spały, zaś między niemi był tylko ten dziki, bezsenny niepokój, pędzący wciąż i wciąż przed siebie, nie oglądający się na nic.

Ktoś, co obserwuje podobną scenę wśród nocy, patrzy na siebie samego jak na jakiegoś innego człowieka, a na dzień jak na urojenie. Z drugiej znów strony dziś rano ten świat północny zbladł, zapadł się w jakiś świat baśni i rozplynał się w powietrzu. Oba te tak różne światy są jednak dla człowieka równie rzeczywiste.

Świat dnia jest dla mnie jak gdyby muzyką europejską — jego harmonje i dysharmonje spły-



wają się z sobą w wielką progresję harmonijną; świat nocy jest podobny do muzyki hinduskiej — czystej, niczem nieskrępowanej melodji, poważnej a porywającej. To nic, że kontrast jest tak uderzający — obie nas wzruszają. A zasada biegunowych przeciwieństw jest na dnie wszelkiej twórczości, dzielącej się na panowanie Króla i Królowej; Nocy i Dnia; Jedności i Wielości; Wieczności i Rozwoju.

My, Hindusi, jesteśmy pod panowaniem Nocy. Zanurzyliśmy się w Wieczności, w Jedynem. Nasze pieśni można śpiewać tylko w samotności, samemu sobie. One nas przenoszą z życia codziennego we wzniosłość samotni. Muzyka europejska jest dla tłumów, które utrzymuje w wiecznym tańcu na wyżynach i w głębiach ludzkich radości i cierpień.

Szilaida, 13. Sierpnia 1894.

Cokolwiek naprawdę pomyślę, odczuję lub wyobrażę sobie — wszystko naturalnym porządkiem rzeczy musi szukać sobie swego prawdziwego wyrazu. Jest we mnie jakaś siła, dążąca stale do tego celu, a która jednakże nie należy do mnie samego, lecz przenika cały wszechświat. Gdy ta siła powszechna przejawia się w jednostce, opanować się jej nie pozwala, lecz działa zgodnie ze swą własną naturą; zaś dla nas największą radością jest podporządkowanie swego życia jej nakazom. To nie tylko użycza nam odpowiedniego wyrazu, ale także tkli-

wości i miłości; to także sprawia, że uczucia nasze wciąż są tak świeże i pełne podziwu.

Kiedy się rozkoszuje widokiem swej małej córeczki, ona zanurza się w pierwotnej tajemnicy radości, którą jest Wszechświat, zaś moje, pełne miłości, pieszczoty są wywołane zgoła jak adoracja. I ja jestem pewny, że cała nasza miłość nie jest niczem innym, jak adoracją Wielkiej Tajemnicy, z tem tylko że my wykonywamy ją nieświadomie. Inaczej nie ma sensu.

Nakszałt powszechnego prawa przyciągania, któremu w świecie materji podlega zarówno małe jak i wielkie, siła przyciągania tej radości powszechnej działa w naszym świecie wewnętrznym i paraliżuje naszą zdolność rozumienia, gdy ją spostrzegamy w kształcie niezupełnym. Jedyne racjonalne wytłumaczenie, skąd w człowieku i przyrodzie bierze się radość, podają Upaniszady:

Bowiem z radości stworzyło się wszelkie stworzenie.

Szilaida. 19. Sierpnia 1894.

Jak mówią, Wedanta pomaga wielu ludziom do wyzwolenia umysłu z wszelkich wątpliwości co do Wszechświata i Pierwszej Przyczyny jego powstania; jednakże moje wątpliwości dotychczas nie zostały rozproszone. Prawda, że Wedanta jest prostsza od większości innych teoryj. Zagadnienie Stworzenia i Stwórcy jest bardziej złożone, niż się to na pierwszy

rzut oka wydaje, Wedanta jednak niewątpliwie je od ręki uprościła, rozciąwszy węzeł gordyjski i wyrzuciwszy wogóle wszelkie Stworzenie.

Istnieje jedynie Brahma, zaś poza nim my wszyscy wyobrażamy sobie tylko, że istniejemy — i przedziwna to doprawdy rzecz, jak umysł ludzki mógł znaleźć miejsce dla takiej myśli. A jeszcze bardziej podziwu godną rzeczą będzie myśl, że idea ta nie jest wcale tak nielogiczna, jakby się zdawało, i że prawdziwa trudność będzie polegała raczej na udowodnieniu, iż wogóle coś istnieje.

Cokolwiekby było, kiedy księżyc, jak w tej chwili świeci, zaś ja z napół przymkniętymi oczami leżę na górnym pokładzie, chłodząc w delikatnych podmuchach wiatru swą udręczoną problemami głowę, wtedy złudzeniem *Maji* wydaje mi się wszystko: Ziemia i wody i niebo nad niemi, ciche szmer rzeki, przypadkowy przechodzień idący ścieżką holowniczą, tu i owdzie jakieś ślizgające się po rzece czółenko, drzewa wśród pól, niewyraźnie rysujące się w świetle księżycy i w dali senna wieś, okuta czarnymi cieniami swych gajów. A mimo to, to wszystko przyrasta do serca i obrysowuje granice umysłu i serca znacznie prawdziwiej niż sama prawda, która jest abstrakcją, i staje się rzeczą zupełnie niemożliwą wyobrazić sobie, jakie wyzwolenie można osiągnąć, wyzwalając się od tych rzeczy.



Szazadpur, 5. Września 1894.

Teraz dopiero rozumiem, jak wielki dręczył mnie głód przestrzeni, który w tych przynajmniej pokojach, gdzie władnę jak udzielny ksiązę, zaspakajam otwierając wszystkie drzwi i okna. Tu pragnienie i moc pisania zależą ode mnie tak, jak nigdzie indziej. Zgiełk życia zewnętrznego dolatuje do mnie na falach zieleni a wraz z niemi światło, wonie i dźwięki podniecają mą wyobraźnię i zmuszają do pisania przeróżnych historyj.

Popołudnia mają dla mnie swój szczególny urok. Blask słońca, cisza, samotność, głosy ptaków, zwłaszcza krakanie wron i rozkoszna, cicha bezczynność — wszystko to spiskuje wespół z sobą, aby mnie przenieść gdzieś w jakiś inny świat.

Zdaje się, że takie właśnie południa ułatwiły powstanie „Tysiāca i Jednej Nocy“ — w Damaszku, Bucharze czy Samarkandzie, z ich samotnemi gościńcami, sznurami wielbłądów, wędrownymi jeźdźcami, kryształowemi źródłkami, bijącemi w cieniu pierzastych gajów palmowych; z ich gąszczami róż, pieśni słowików i winem z Sziraz; z ich wąskimi chodnikami na bazarach, ocienionych jasnemi, zwiśającemi baldachimami, pod któremi, sprzedając daktyle, orzechy i melony, siedzą ludzie w luźnych, szerokich sukniach i w wielobarwnych turbanach; z pałacami, pełnemi woni kadzideł, zaścielouemi kościami i z poduszkami u okien; z ich Zobeidami,

Aminami czy Sufiami w pstro wyszywanych kaftanach, w szerokich szarawarach i haftowanych złotem pantofelkach, z długimi nargilami, zwiniętymi u stóp i z świetnie strojnymi eunuchami na straży — i z temi wszystkimi możliwemi i niemożliwemi baśniami o ludzkich czynach i pragnieniach i z całym śmiechem i wszystkimi łzami tej dalekiej, tajemniczej ziemi.

W drodze do Dighapatjaja, 20. Września 1894.

Wysokie drzewa stoją w wodzie; pnie ich są zupełnie zalane, a tylko gałęzie i liście zwisają ponad wodą. U cienistych gajów mangowych uwiązane są czołna, za któremi ludzie się kąpią. Tu i owdzie sterczą wśród rzeki chaty z izbami zalanemi wodą.

Torując sobie drogę wśród zbóż na pniu, kółdź ma płynie od czasu do czasu przez coś co do niedawna jeszcze było stawem, jak to dotychczas można poznać po pękach lilij wodnych i nurkach, polujących na ryby.

Woda dotarła wszędzie gdzie tylko mogła. Nigdy jeszcze nie widziałem takiej porażki lądu. Jeszcze trochę a woda zalałaby zupełnie chaty, których mieszkańcy musieliby zamieszkać na strychach. Krowy poginą, jeśli tak wciąż będą stały po kolana w wodzie. Wszystkie węże zostały wyniesione przez wodę z dziur i teraz wraz z innymi płazami i owadami muszą dzielić mieszkanie z człowiekiem i gnieździć się na strzesze jego domu.



Gnijąca w wodzie roślinność, pływający wszędzie nawóz wszelkiego rodzaju, nagie dzieci z kurczącymi się członkami i rozszerzonymi śledzionami, pluskające się na każdym kroku, wytrwale, cierpliwe gospodynie, wystawione w swych przemoczonych sukniach na wiatr i słońce i drepcące w zakasanych spódnicach około gospodarstwa, a nad wszystkim chmury moskitów, unoszące się w niezdrowej atmosferze — niezbyt to przyjemny widok.

Katar, gorączka i reumatyzm są w każdym domu, dręczone przez malarję dzieci bezustannie płaczą — a nic nie może ich ocalić. Jak ludzie mogą żyć w tak niemiłym, niezdrowym, brudnym, zaniedbanym otoczeniu? Faktem jest, że przywykliśmy z opuszczonymi rękami znosić wszystko — klęski żywiołowe, prześladowania władców, ucisk naszych ciemniejszych, wobec których nie możemy odezwać się ani słowem, gdy oni wciąż uginają nas aż ku ziemi.

W drodze do Boalji, 22. Września 1894.

Dziwną mi jest myśl, że tylko trzydzieści dwie jesienie minęły w mem życiu, bo pamięć moja zdaje się sięgać zmiernych czasów niepamiętnych, i gdy mój świat zewnętrzny zalany jest światłem, niby pogodny poranek jesienny, mam wrażenie, jak gdybym siedział przy oknie jakiegoś zaczarowanego pałacu, patrząc w zachwyceniu na scenę dalekich



wspomnień, muskany łagodnymi podmuchami niosącymi delikatne wonie wszelkiego Przemijania.

Goethe na swem łożu śmiertelnem życzył sobie „więcej światła“. Gdyby mi w takiej chwili pozostało jeszcze jakie pragnienie, to życzyłbym sobie nietylko „więcej światła“, ale także „więcej przestrzeni“; niemniej niż światło gorąco kocham przestrzeń. Wielu uważa Bengal za kraj wyłącznie płaski, ale to właśnie w moich oczach szczególnego uroku używa jego scenerji. Jego niczem nie przesłonięte niebo jest niby czara ametystowa, po brzegi wypełniona osuwającym się na ziemię półzmkrokiem i pokojem wieczoru, zaś złota szata cichego, milczącego południa rozściela się nad wszystkim bez przeszkody.

Czy jest gdzie drugi kraj, na którym oko spoczywałoby z taką lubością i który dusza mogłaby tak objąć?

Kalkutta, 5. Października 1894.

Jutro jest uroczystość Durgi. Idąc wczoraj do S., zauważyłem po drodze podobizny, sporządzone prawie w każdym większym domu. Uderzyło mnie, że podczas tych paru dni świąt Pudża, tak starzy jak i młodzi zmienili się w dzieci.

Zastanawiając się nad tem, przychodzimy do przekonania, że to przygotowanie się do wesołego spędzenia świąt jest właściwie nic nie znaczącem bawieniem się zabawkami. Obserwowane z boku może wydawać się marnowaniem czasu, czyż jednak

istotnie żadnego znaczenia nie ma to, co dźwiga i pędzi przez cały kraj takie fale uczucia? To ogarniające wszystko wzruszenie wytrąca z równowagi nawet najzatwardziały egoistów.

Tak tedy raz na rok mamy okres, w którym umysły łagodnieją i stają się skłonne do wybuchów miłości, przyjaźni i współczucia. Powitalne i pożegnalne pieśni, odprowadzające boginię, spotkanie się z najbliższymi, dźwięki świątecznych dud, czyste niebo i płynne złoto jesieni, wszystko składa się na jeden wielki pean radości.

Czysta radość to radość dziecka. Dzieci posiadają sztukę i moc wciągania najpospolitszych nawet rzeczy w swój świat i tworzenie z nich tego świata, zaś najbrzydsza lalka staje się piękną dzięki ich wyobraźni i żyje ich życiem. Ten, kto dorósłszy, potrafił sobie zachować tę zdolność radości i użycia, jest istotnie prawdziwym idealistą. Albowiem on nie tylko widzi rzeczy okiem, a słyszy uchem, ale prócz tego wyczuwa je sercem, zaś ich ograniczenia i niedoskonałości giną w błogiej muzyce, którą on sam stwarza.

Nie każdy może się spodziewać, że będzie idealistą, jednakże w taki czas świąt cały naród zbliża się do tego szczęśliwego stanu. A wówczas to, co może uchodzić za najzwykłą zabawkę, zatracą swe granice i stają w łunach idealnej promienności.

Bolpm, 19. Października 1894.

Ludzi znamy tylko według ich wykropkowanych konturów, to znaczy, z lukami w znajomości, które to luki sami musimy wypełnić tak, jak tylko potrafimy. Stąd też, nawet ci, których znamy dobrze, w wielkiej części utworzeni zostali przez naszą wyobraźnię. Czasami linje są tak poprzerywane i pozbawione nawet punktów, zaznaczających bodaj ich kierunek, że część obrazu musi pozostać niejasno zamazaną i niezrozumiałą. Jeśli tedy nawet nasi najserdeczniejsi przyjaciele nie są niczem innym, jak tylko strzępami połamanej sylwetki, zszytymi nicią naszej wyobraźni, czy my faktycznie naprawdę wogóle kogoś znamy i czy ktokolwiek zna nas inaczej jak tylko w ten urywkowy sposób? Ale może też być, że furtkie, pozwalające wśliznąć się każdej wyobraźni, szukającej zbliżenia, to furtki, bez których każdy, pewien nietykalności swej indywidualności, byłby niedostępny dla nikogo, wyjąwszy jedynie Tego, który w nim samym mieszka.

Ale i swe własne „ja“ znamy tylko z urywków i z tych strzępów materiału winniśmy ulepić bohatera historii naszego życia — również z pomocą swej wyobraźni. Opatrzność bezwątpienia rozmyślnie opuściła niektóre części, abyśmy i my mieli możność dopomóc jej swą własną twórczością.



Bolpur, 31. Października 1894.

Dziś zerwał się pierwszy mrozący podmuch wiatru północnego. Wygląda, jak gdyby poborca podatkowy przyszedł z inspekcją do gajów *Amlaki* — wszystko poprzewracane, wszystko wzdycha, drży, jęczy. Znużona bierność południowego blasku słonecznego ze swem monotonnem gruchaniem gołębi, ukrytych w głębokim cieniu wierzchołków drzew mangowych, zdaje się liczyć senne godziny dnia jakby z bólem, w przeczuciu bliskiego rozstania. Tykanie zegarka na mym stole i tupotanie wiewiórek, wpadających i uciekających z mego pokoju, harmonizuje z resztą odgłosów południa.

Bawi mnie przyglądanie się tym niewinnym, kudłatym, szaro i czarno pręgowanym wiewiórkom z puszystymi ogonami, mrugającymi oczkami jak paciorki i łagodnym choć skrzętnym i praktycznym sposobem zachowania się. Wszystko jadalne musi się przed temi łakomemi stworzonkami chować w kącie kredensu, przykryte drucianą siatką. Zaś one, węsząc z niepowstrzymanem łakomstwem, krążą wciąż dokoła kredensu, szukając jakiejś dziury którą możnaby się wśliznąć. Jeśli jaka okruszyna lub jakieś ziarenko wypadło, znajdują je z pewnością i, wzięwszy między przednie łapki, ogryzają z wielkim zapalem, przewracając je i przytrzymując sobie u pyszczka. Za najlżejszym moim ruchem biorą ogon na plecy i zmykają, aby naraz za-

trzymać się w pół drogi, usiąść na chwilę na macie przy drzwiach, poskrobać się tylną łapką za uszami i znowu powrócić.

Przez cały dzień słycać te drobne dźwięki — kłapanie zębami, tupotanie pazurków u nóg i brzęk porcelany na półkach.

Szilaida, 7. Grudnia 1894.

Kiedy się przechadzam po zalanym światłem księżycowym piasku, przychodzi zwykle S. i rozmawia ze mną o interesach.

Wczoraj wieczorem był również; a gdy, już po rozmowie, padła na mnie cisza, spostrzegłem nagle wieczny wszechświat, leżący przedemną w świetle wieczornem. Starczyło pospolitego gadania jednej osoby do zaciemnienia mi obecności tego wszystko przenikającego objawienia.

Jak tylko brzęczenie słów umilkło, pokój gwiazd zstąpił na mnie i przepęłił me serce. W jednym kącie znalazłem przecie miejsce, gdzie mogłem zasiać wraz z temi zgromadzonemi milionami gorejących światów, w wielkim, tajemniczem konklawe Istności.

Będę musiał wychodzić wczesnym wieczorem tak, aby dusza moja mogła napawać się błogim spokojem świata, zanimby S. mógł przyjść ze swemi nieznośnemi pytaniami, czy mleko mi smakowało i czy przejrzałem już doroczne sprawozdania.

Jak dziwne miejsce zajmujemy między Wiecznem a Przemijającym! Kiedy myśl przebywa w świecie ducha, każda wzmianka o sprawach żołądka brzmi tak beznadziejnie zgrzytliwie — a przecie dusza i brzuch tak długo żyją razem! To miejsce, na które teraz pada światło księżyca, jest mym majątkiem ziemskim, ale księżyc mówi mi, że ma posiadłość ziemską jest złudzeniem, zaś ma posiadłość ziemską mówi mi, że to światło księżyca jest niczem. A co się mnie, biednego, tyczy, to waham się między jednym a drugim.

Szilaida, 23. Lutego 1895.

Jak tylko mam pisać do *Sadhany*, staje się zupełnie roztargniony. Przyglądam się każdej przepływającej łodzi i gapię się na krążący między jednym a drugim brzegiem prom. Prócz tego na brzegu, tuż przy mej łodzi, jest stado bawołów, zanurzających swe potężne pyski w trawie, wywijających dokoła ozorami, aby móc jej jak najwięcej zagarnąć i znów skubiących sobie dalej, sapiąc głośno z zadowolenia i opędzając ogonami swe zady od much.

Nagle mały jakiś golasik pojawia się na widowni, zaczyna robić różne awantury i wali któreś z cierpliwych bydłał pałką, wobec czego, spoglądając na to ludzkie szczenie kątem oka i skubiąc po drodze pęki liści czy trawy tu i owdzie, niezmięszane bydłę



robi parę kroków, zaś mikrus wyobraża sobie, że uczynił zadość swym obowiązkom pasterza.

Doprawdy nie mogę zgłębić tajemnicy duszy pastucha krów. Ile razy krowa czy bawół obierze sobie jakieś miejsce według swego upodobania i spokojnie się tam pasie, nie mogę odgadnąć z jakiego powodu pastuch to zawsze zepsuje i tak długo się upiera, aż zwierzę przeniesie się na inne miejsce. Przypuszczam, że to jest coś w rodzaju triumfalnej gloryfikacji panowania człowieka nad potężnym zwierzęciem, które oswoił. Mimo wszystko ja lubię widok tych bawołów wśród świeżej trawy.

Ale nie o tem chciałem mówić. Chciałem wam opowiedzieć, jak najmniejsza nawet rzecz sprowadza mnie dziś z drogi obowiązku wobec Sadhany. W ostatnim liście pisałem Wam o trzmielach, które w jakichś daremnych poszukiwaniach z niezmordowanym uporem krążą dokoła mej głowy, bucząc niedorzecznie.

Pojawiają się codzien między dziewiątą a dziesiątą godziną, i śmigają wprost ku memu stołowi, padają pod biuro, brzęczą w kolorowych szybach okien, a potem, zatoczywszy parę kręgów dokoła mej głowy, odlatują, bucząc głośno.

Łatwo mógłbym sobie wyobrazić, że są to duchy zmarłych, które opuściły ten świat niezadowolone i, starając się wrócić znów pod postacią trzmieli, wpadają do mnie po drodze, aby się dowiedzieć, jak

rzeczy stoją. Ale ja wcale nic podobnego nie myślę. Pewny jestem, że są to zwykle pszczoły, znane z Sanskrytu jako ssące miód, zaś w rzadszych okolicznościach jako mellis fasciata.

Szilaida, 16. (*Phalgun*) Lutego 1895.

Dążąc ścieżką życia, każdej chwili musimy uczynić jakiś krok, jeśli jednak ogarniemy życie wzrokiem jako całość, to jest to rzecz taka mała, że dwie nieprzerwane godziny zupełnie na nie wystarczą.

Po trzydziestu latach bardzo czynnego życia Shelley mógł dostarczyć materiału zaledwie na dwa tomy biografji, której większą część wypełnia w dodatku gadanina Dowdena. Trzydzieści lat mego życia nie zapełniłoby ani jednego tomu.

Ileż hałasu o tę szczyptę życia! Pomyśleć tylko o ilościach ziemi, o handlu i przemyśle, jaki na jęć potrzeby pracuje, o tem, ile każda jednostka zajmuje miejsca na świecie, choć dla jej pomieszczenia najzupełniej wystarcza jedno małe krzesło! A jednak, kiedy już wszystkiego dokonano, zostaje materiału na dwie godziny myślenia, parę zaledwie kartek!

Jakąż małą cząstkę moich paru stron zająłby ten mój jeden bezczynny dzień! Ale w takim razie czy ten spokojny dzień, spędzony na piaszczystem pustkowiu nad rzeką, nie pozostawi swego małego złotego znaku na zwitkach mej wiecznej przeszłości i wiecznej przyszłości!

Otrzymałem dziś anonim, zaczynający się od słów:

Złożyć siebie samego u stóp drugiego stanowi dar najprawdziwszy.

Autor listu nigdy mnie nie widział, zna mnie tylko z mych utworów i mówi w dalszym ciągu:

Mały czy daleki wielbiciel słońca <sup>1)</sup> otrzymuje zawsze swój dział promieni słonecznych. Pan jest poetą świata, dla mnie jednak jest Pan tylko mym własnym poetą!

I tak dalej w tym sensie.

Człowiek tak się śpieszy, aby gdzieś ulokować swą miłość, że wreszcie zakochuje się w swym własnym ideale. Dlaczego jednak mielibyśmy przypuszczać, że idea jest mniej prawdziwą od rzeczywistości? Nigdy nie możemy napewne poznać istoty tego, co poznajemy zapomocą zmysłów. Dlaczegoż większe wątpliwości ma budzić istota, kryjąca się poza ideami, które nie są niczem, tylko wytworem naszego umysłu?

Matka dopatruje się w swem dziecku wielkiej Idei, która jest wogóle w każdym dziecku, ale której niewymowność nie została każdemu objawiona. Czy możemy powiedzieć, że to, co pochłania życie matki, jest urojone, za to jednak prawdziwą rzeczywistością będzie to, co nie absorbuje do tego stopnia życia żadnego z nas?

Każdy człowiek godzien jest nieskończonego bogactwa miłości — piękność jego duszy nie zna

---

<sup>1)</sup> Rabi, imię poety oznacza „słońce“.



granic. . . Jednakże to już są uogólnienia. Chciałem powiedzieć tylko to, że w pewnym stopniu nie jestem godzien ofiary serca mego wielbiciela; to znaczy, że dla mnie, jako takiego, w mej codziennej postaci, taki człowiek podobnych uczuć żywićby nie mógł. Ale jest inne jeszcze znaczenie, w którym znów wart jestem nie tylko tego wszystkiego, lecz znacznie większego nawet uwielbienia.

W drodze do Padny, 9. Lipca 1895.

Jadę wietrzną, małą Iczamati, tą rzeczulką pory deszczowej. Z gajami wiejskimi wzdłuż brzegów, z polami dżuty i trzciny cukrowej, ze smugami szuwarów i zielonemi, pochyłemi brzegami podobna jest do paru wierszy poematu, często powtarzanych a zawsze lubianych. Nie można opanować pamięciowo wielkiej rzeki, jak naprzykład Padma, zato przyswajam sobie powoli tę wijącą się, małą Iczamati, której bieg sylab reguluje rytm deszczów. . .

Ciemno jest, niebo zaciąga się chmurami. Grom huczy chwilami, a pęki dzikiej kazuariny falują pod burzliwemi uderzaniem wicheru, który przez nie przelatuje. Głęb gąszcza bambusowego jest czarna jak atrament. Błada poświata tli się nad wodą, niby zapowiedź jakiegoś strasznego wypadku.

Pochyłam się w zmroku nad biurkiem, pisząc ten list. Stosownie do tego półcienia zmierzchu, pragnąłbym cichej pogawędki szeptem. Ale właśnie

tego rodzaju pragnienia udaremniają wszelkie wysiłki. Albo spełniają się same przez się, albo nie spełniają się wogóle. Oto dlaczego łatwiej zdobyć się na srogi zacięty bój, niż na swobodną, lekką pogawędkę.

Szilaida, 14. Sierpnia 1895.

Jedną z wielkich właściwości pracy jest, że dla niej jednostka musi poświęcić swe osobiste radości i smutki i faktycznie, o ile to jest możliwe, wyrzec się ich. Przypominam sobie pewien wypadek w Szazadpur. Pewnego poranku służący mój spóźniał się, co mnie w wysokim stopniu irytowało. Jednakże przyszedł, a stanawszy przedemną ze swem zwykłym *salaam*, z ledwo dostrzegalnym drzeniem w głosie oświadczył mi, iż tejże nocy jego ośmioletnia córeczka umarła. Poczem, wzięwszy szczotkę, zaczął jak zwykle, sprzątać w mym pokoju.

Kiedy patrzymy na pole pracy, widzimy jednych zajętych handlem, innych orzących pole, jeszcze innych, dźwigających ciężary, a jednak pod spodem śmierć, troski i straty krążą wciąż, niby niewidzialny strumień podziemny — nie dając nawet znać o sobie. Gdyby te wszystkie nieszczęścia rozpełtały się i przedarły na powierzchnię, cała praca stanęłaby natychmiast. Ponad temi, płynąciami pod spodem, troskami i cierpieniami jednostek, idzie twarde, kamienny trakt, którym, pełne swego ludzkiego ładunku z hukem lecą pociągi obowiązku, nie

zatrzymując się dla nikogo nigdzie, jak tylko na wyznaczonych stacjach. To okrucieństwo pracy stanowi prawdopodobnie największą pociechę człowieka.

Kasztija, 5. Października 1895.

Religja, którą czerpiemy z ksiąg świętych nigdy naprawdę nie staje się naszą własnością, łączy nas z nią wyłącznie przyzwyczajenie. Zdobycie sobie religji to wielka historia, która trwa przez całe życie. Musi się narodzić w ostateczności cierpienia; musi żyć jego żywą krwią; a wreszcie, czy przyniosła człowiekowi szczęście czy nie, wędrówka jego musi się skończyć w radości dokonania.

Rzadko kiedy zdajemy sobie sprawę z tego, jak fałszywe jest to, co inni nam mówią lub też co my po nich powtarzamy, gdy tymczasem przez cały czas w nas samych, cegła po cegle, dzień po dniu buduje się świątynia naszej Prawdy. Nie możemy zrozumieć tajemnicy tego wiecznego budowania się, rozpatrując swe radości i smutki jako takie, same dla siebie, pośród fal Przemijania; taksamo jak niezrozumiałem stanie się zdanie, jeśli każde słowo będziemy musieli przesyłabizować.

Ale raz spostrzegłszy jedność planu tej dokonywanej się w nas twórczości, zdajemy sobie sprawę z naszego stosunku do wiecznie rozwijającego się wszechświata. Rozumiemy, że powstaliśmy w ten sam sposób, co żarzące się i krążące swemi drogami



na niebiosach światy — i że nasze cierpienia, pragnienia, wogóle wszystko ma wyznaczone sobie miejsce w całości.

My nie wiemy właściwie, co się dzieje; nie wiemy nic dokładnego o szczypcie prochu. Ale kiedy czujemy, że prąd życia w nas jest ten sam co w całym świecie, wtedy zdaje się nam, jak gdyby wszystkie nasze rozkosze i cierpienia nanizane były na jedną długą nić radości. Fakty: *Jestem, ruszam się, rosnę*, przedstawiają się w całym swym ogromie w połączeniu z faktem, iż wszystko tu stoi wraz ze mną i że najmniejszy atom beze mnie obejść się nie może.

Stosunek mej duszy do tego pięknego poranka jesiennego i całej tej niezmierzonej promienności, jest szczerze braterski, zaś cała ta muzyka, wszystkie barwy i wonie nie są niczem innym, jak tylko zewnętrznym wyrazem naszej tajemnicy wspólnoty. Ta bezustanna wspólnota, świadoma czy nieświadoma, utrzymuje mój umysł w bezustannym ruchu, — zaś z tego obcowania mego wewnętrznego i zewnętrznego świata czerpię tyle religji, mniejsza z tem, czy dużo czy mało, ile zaczerpnąć jestem zdolny; i dopiero w jej świetle badam księgi święte, zanim je sobie naprawdę mogę przyswoić.

Szilaida, 12. Grudnia 1895.

Pewnego wieczoru czytałem jakąś angielską książkę krytyczną, pełną przeróżnych rozważań na

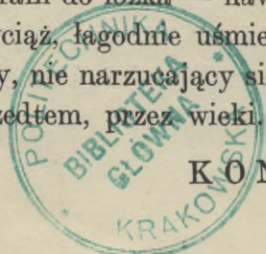
temat poezji, sztuki, piękna itd., itd. Kiedy się mo-  
zoliłem nad temi artystycznemi rozmyślaniami,  
zdało mi się naraz, jak gdyby moje utrudzone myśli  
wywędrowały do rejonu pustych mirażów, zamie-  
szkałych wyłącznie przez pełnego szyderstwa demona.

Noc była już późna. Zamknąłem głośno książkę  
i rzuciłem ją na stół. Następnie zdmuchnąłem lampę  
z zamiarem położenia się do łóżka. Ledwie to zro-  
biłem, przez okno wpadło do pokoju światło księżyca  
tak niespodzianie, że aż drgnąłem.

Mała lampka uśmiechała się do mnie cynicznie,  
niby jakiś Mefisto; i ten malutki uśmieszek prze-  
słaniał mi światło nieskończonej radości, tryskające  
w głębokiej miłości, jaka przepelnia cały świat. Za-  
iste, czegoż szukałem w czezej gadaninie książki?  
Tu była przecie istota samej rzeczy, przepelniająca  
obłoki, czekająca na mnie za oknami w milczeniu  
przez tyle godzin!

Gdybym się położył przy spuszczonych roletach  
i w ten sposób pozbawił się tej wizji, ona byłaby tu  
i tak bez protestu przeciw naśmiewającej się ze mnie  
lampie. Ale nawet gdybym przez całe życie pozostał  
na nią ślepy — pozwalając lampie triumfować do  
końca — dopóki bym w ostatniej chwili po omacku  
nie trafił do łóżka — nawet wówczas księżyc byłby  
tu wciąż, łagodnie uśmiechnięty, niczem nie zmie-  
szany, nie narzucający się i czekający na mnie, jak  
i przedtem, przez wieki.

K O N I E C.



## SPIS RZECZY.

---

|                                             | Strona |
|---------------------------------------------|--------|
| Od Tłumacza . . . . .                       | V      |
| 1. . . . .                                  | 1      |
| 2. Zaczyna się nauka . . . . .              | 3      |
| 3. W domu i poza domem . . . . .            | 8      |
| 4. Serwokracja . . . . .                    | 24     |
| 5. Szkoła normalna . . . . .                | 30     |
| 6. Wierszoróbstwo . . . . .                 | 35     |
| 7. Różne nauki . . . . .                    | 39     |
| 8. Moje pierwsze wyjście w świat . . . . .  | 45     |
| 9. Uprawianie poezji . . . . .              | 50     |
| 10. Srikantha babu . . . . .                | 52     |
| 11. Kończy się nauka bengalskiego . . . . . | 57     |
| 12. Profesor . . . . .                      | 60     |
| 13. Mój ojciec . . . . .                    | 68     |
| 14. Podróż z moim ojcem . . . . .           | 77     |
| 15. W Himalajach . . . . .                  | 91     |
| 16. Mój powrót . . . . .                    | 99     |
| 17. Studja domowe . . . . .                 | 109    |
| 18. Moje otoczenie domowe . . . . .         | 115    |
| 19. Towarzysze literacy . . . . .           | 124    |
| 20. Ogłaszanie drukiem . . . . .            | 133    |
| 21. Bhanu Singha . . . . .                  | 135    |
| 22. Patrjotyzm . . . . .                    | 138    |
| 23. Bharati . . . . .                       | 147    |



|                                                 | Strona |
|-------------------------------------------------|--------|
| 24. Ahmedabad . . . . .                         | 152    |
| 25. Anglja . . . . .                            | 154    |
| 26. Loken Palit . . . . .                       | 172    |
| 27. „Pęknięte serce“ . . . . .                  | 175    |
| 28. Muzyka europejska . . . . .                 | 184    |
| 29. Walmiki Pratibha . . . . .                  | 188    |
| 30. „Pieśni wieczorne“ . . . . .                | 195    |
| 31. Próby na polu muzyki . . . . .              | 199    |
| 32. Na brzegu rzeki . . . . .                   | 204    |
| 33. Jeszcze o „Pieśniach Wieczornych“ . . . . . | 207    |
| 34. Pieśni poranne . . . . .                    | 210    |
| 35. Radźendralal Mitra . . . . .                | 223    |
| 36. Karwar . . . . .                            | 229    |
| 37. „Odwet Przyrody“ . . . . .                  | 231    |
| 38. „Obrazy i Pieśni“ . . . . .                 | 233    |
| 39. Okres . . . . .                             | 236    |
| 40. Bankin Czandra . . . . .                    | 240    |
| 41. Kadłub parowca . . . . .                    | 245    |
| 42. Straty . . . . .                            | 248    |
| 43. Deszcze i Jesień . . . . .                  | 254    |
| 44. „Ostre i Tępe“ . . . . .                    | 259    |
| —                                               |        |
| BŁYSKI BENGALU . . . . .                        | 265    |



WYDAWNICTWO POLSKIE

SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ  
LWÓW POZNAŃ

ULICA ZYBLIKIEWICZA L. 15 | ULICA ZWIERZYŃSKA L. 6.

PROSPEKT

BIBLIOTEKA  
LAUREATÓW NOBLA

POD REDAKCJĄ DRA STAN. LAMA

PO RAZ pierwszy w Polsce ujęto w tem wydawnictwie literaturę przekładów w pewien system, dając dzieła o wysokiej wartości artystycznej z wszystkich piśmiennictw zagranicznych. Każdy z laureatów fundacji Nobla będzie tu reprezentowany szeregiem swych dzieł, tak iż z czasem cała biblioteka obejmie kwiat dorobku kulturalnego wszystkich narodów. Że zaś zarząd fundacji przy rozdawaniu nagród bierze pod uwagę nie tylko stronę estetyczną utworów, ale także ich wartość społeczną i moralną — przeto wydawnictwo skupiając w jedną całość te wszystkie prace — posiadać będzie również pewien podkład ideowy.

„BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ jest pierwszym tego rodzaju przedsięwzięciem wydawniczym w Europie i dla tego też redakcja dołoży wszelkich starań, aby całe to przedsięwzięcie stało na wysokim poziomie. Główną więc troską jest dobór przekładów, któreby mogły godnie oddawać w słowie polskiem arcydzieła nowszej i najnowszej literatury zagra-

nicznej. Nie o poprawność tylko — do której zresztą daleko było dorywczym i przygodnym tłumaczeniom polskim — ale o artystyczne walory, odpowiadające wysokiej mierze oryginałów w tych przekładach iść będzie. Słowo bowiem jako wyraz treści jest z nią ściśle związane, a takie lub inne jego użycie obojętnem być nie może. Tłumacz, przyswajający piśmiennictwu ojczystemu obce dzieło — musi być jego współtwórcą. I o tę współtwórczą pracę zabiegać będziemy jak najusilniej.

Dotychczas wyszły następujące utwory:

- Tom I. ROMAIN ROLLAND — COLAS BREUGNON — POWIEŚĆ  
„ II. RABINDRANATH TAGORE — NOC ZISZCZENIA  
„ III. MAURZYCY MAETERLINCK — ŻYCIE PSZCZÓŁ  
„ IV. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON SYNNOVE SOLBAKKEN —  
[MARSZ WESELNY  
„ V. RUDYARD KIPLING — KSIĘGA DŻUNGLI  
„ VI. RABINDRANATH TAGORE — ROZBICIE — POWIEŚĆ  
„ VII. SELMA LAGERLÖF — TĘTNIAJĄCE SERCE — POWIEŚĆ  
„ VIII. ANATOL FRANCE — POGLĄDY KSIĘDZA HIERONIMA COI-  
[GNARDA  
„ IX. RABINDRANATH TAGORE — SADHANA — SZEPT DU-  
[SZY — ZBLĄKANE PTAKI  
„ X. KAROL SPITTELER — IMAGO — ROMANS  
„ XI. HENRYK PONTOPPIDAN — DJABEL DOMOWEGO OGNISKA  
„ XII. KNUT HAMSUN — BŁOGOSŁAWIENSTWO ZIEMI — POWIEŚĆ  
„ XIII. MAURZYCY MAETERLINCK — INTELIGENCJA KWIATÓW  
„ XIV. KAROL GJELLERUP — PIELGRZYM KAMANITA — ROMANS  
„ XV. RUDYARD KIPLING — DRUGA KSIĘGA DŻUNGLI  
„ XVI. RABINDRANATH TAGORE — WSPOMNIENIA — BŁYSKI  
[BENGALU.

W dalszym ciągu pojawią się następujące tomy:

- ROMAIN ROLLAND — ANETKA I SYLWIA — POWIEŚĆ  
PAWEŁ HEYSE — L'ARRABBIATA — NOWELE WŁOSKIE.



KNUT HAMSUN — WIKTORJA — POWIEŚĆ  
GERHARD HAUPTMANN — KACERZ Z SOANY — POWIEŚĆ  
MAURYCY MAETERLINCK — WIELKA TAJEMNICA  
HENRYK PONTOPPIDAN — ZIEMIA OBIECANA — POWIEŚĆ.

„BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ wychodzi w odstępach  
mniej więcej miesięcznych i każdy tom obejmuje od 15 do  
25 arkuszy druku.

Do nabycia we wszystkich większych księgarniach; gdzie  
takiej niema, zamawiać można wprost u wydawcy.

WYDAWNICTWO POLSKIE

*Sp. z ogr. por.*

*w POZNANIU, ul. Zwierzyniecka 6.*

Równocześnie wyszły z druku:

*P O L S K I E  
L I S T Y M I Ł O S N E  
O D X V . D O X I X . W I E K U*

*OPRACOWAŁ  
DR. BERTOLD MERWIN*

**Z**mroku zapomnienia, z pożółkłych foljantów, z pólek bibliotecznych, ze zbiorów prywatnych, z archiwalnych bezcennych kosztowności, zebrano tu stokilkadziesiąt oryginalnych listów miłosnych kilkudziesięciu osobistości.

Pierwsze polskie listy miłosne pochodzą z XV. wieku. Następują listy polskiego Odrodzenia, listy okresu saskiego, listy czasów Stanisławowskich, listy z okresu rozbiorów, listy pseudoklasyków i romantyków, listy naszych wieszczów narodowych.

Książka obejmuje listy królów (Zygmunta Augusta, Jana Kazimierza. Jana Sobieskiego), listy wodzów i poetów, listy z wypraw wojennych i z więzienia. Są w zbiorze listy żaków krakowskich, listy polskich dam XVII i XVIII wieku, listy uczonych (Lelewela, Śniadeckiego), listy szlacheckie i mieszczańskie, wreszcie listy Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Norwida.

W literaturze naszej książka ta reprezentuje bezwzględną nowość. Jest ona pierwszym tego rodzaju wydawnictwem.

# LISTY MIŁOSNE SŁAWNYCH LUDZI

OPRACOWAŁ  
DR. BERTOLD MERWIN

**K**SIAŻKA ta obejmuje epistulografię erotyczną narodów romańskich, germańskich i słowiańskich od czasów renesansu po czasy najnowsze. Francuzi, Włosi, Anglicy, Niemcy, Skandynawowie, królowie i poeci, wodzowie i dyplomaci — są przedstawieni w swych intymnych związkach. Od Boccaccia do Ibsena — archiwum serc. Byron i Goethe, Musset i Heine, Napoleon i Nelson, Henryk VIII i Ludwik XV., Beethoven i Mozart, panna de Lespinasse i Georg Sand i i. — najsłynniejsze osobistości wypowiadają swe uczucia w oryginalnych listach. Tom obejmuje 32 adresatów i zawiera stokilkadziesiąt listów, przełożonych z kilkudziesięciu wydawnictw zagranicznych.

Jest to w języku polskim pierwsze tego rodzaju wydawnictwo, dające pogląd na rozwój epistulografji erotycznej najwybitniejszych narodów europejskich w ciągu sześciu stuleci.









S. 61





5-96

36.372

     
E

35701

20.√, .08

50 ✓



POLITECHNIKA KRAKOWSKA  
BIBLIOTEKA GŁÓWNA

L. inw. 29528

Kdn. 524. 13. IX. 54

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000231576